

JANUSZ CYRAN

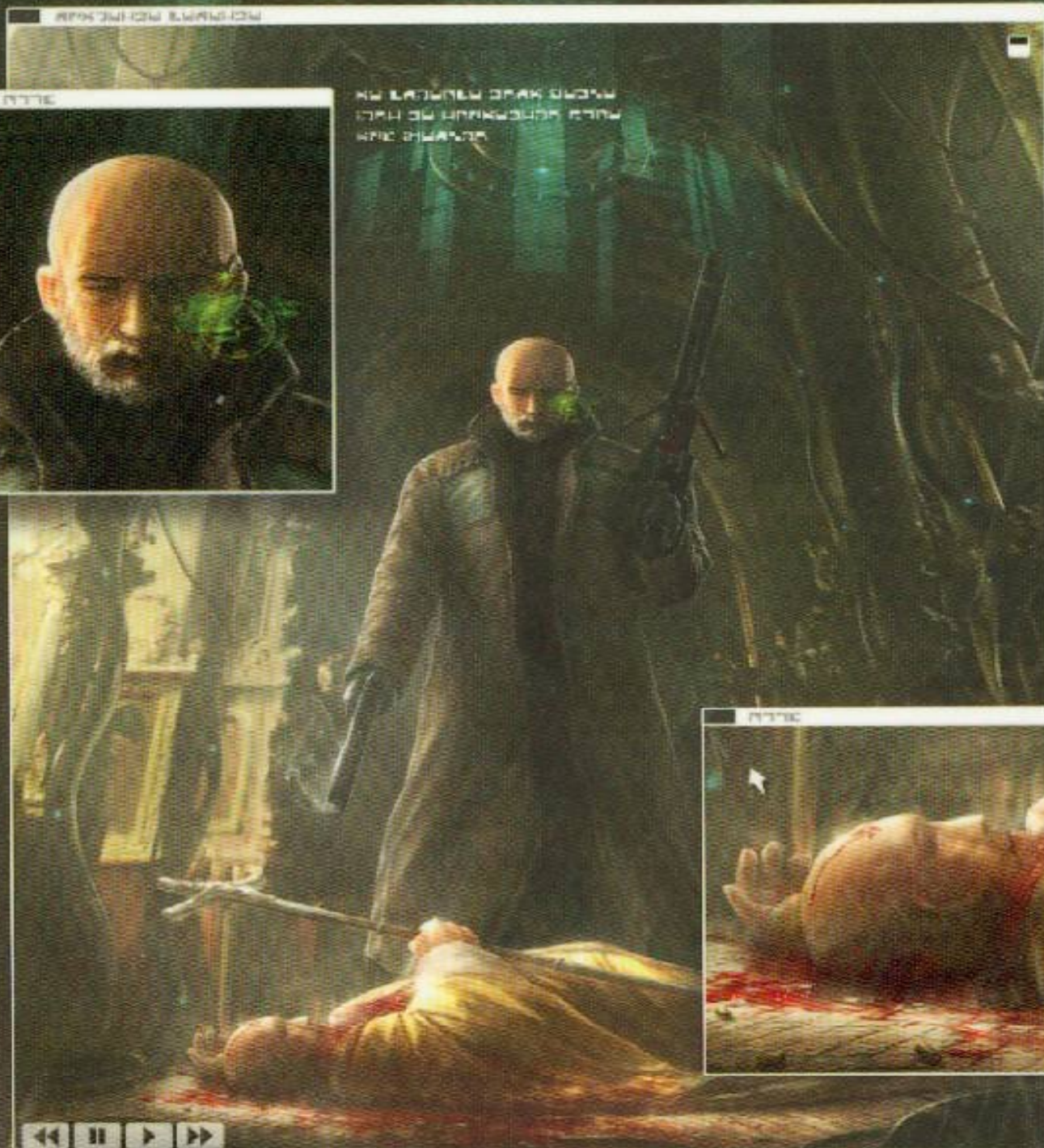


WYKONANIE
OPRACOWANIE
MONTAŻ
KONCEPCJA
REDAKCJA
KOREKTA

CIEMNE LUSTRA



WYKONANIE
OPRACOWANIE
MONTAŻ
KONCEPCJA
REDAKCJA
KOREKTA



fabryka słów

JANUSZ CYRAN

CIEMNE
LUSTRA
(SCIENCE FICTION)

ZBIÓR OPOWIADAŃ



fabryka słów

Wydawnictwo: Fabryka Słów 2006

SPIS TREŚCI

STRONA TYTUŁOWA

BIGOS POLSKI

JERUZALEM

SIEĆ I MŁOT

WYLĘGARNIA

ŚPIOCHY W ULRO

ACHILLES

ŻABI KRÓL

2. KATTOWITZ

3. TAJNE MIESZKANIA

4. DOKTOR PONTO

5. CZARNEZKI

6. FALKENBURG

7. RIKS

CIEMNE LUSTRA WYSZEPTUJĄCE SNY

HOTEL LJUBLJANA

CUDAKI

NOCNE KOSZMARY

BUNKIER

ZAGADKA NIEŚMIERTELNOŚCI

JA I TY

CESARZ

UMYSŁ I DUSZA GENERAŁA PRANGSA

OGRÓD ZIEMSKICH ROZKOSZY

LABORATORIUM SUPERCIEŻKICH ZABAWEK

SPEŁNIONE OBIETNICE

KAŻDEMU, CO MU SIĘ ŚNI

RÓŻA ANTARKTYDY

LICYTACJA

BEHEMOT

BIGOS POLSKI

Andrzej Wizner przyjechał na umówione spotkanie pół godziny przed czasem. Było ciepłe sobotnie lipcowe popołudnie. Z przyjemnością obszedł rynek, podziwiając patrycjuszowskie kamienice, przysadzistą bryłę protestanckiego kościoła i renesansowy ratusz. Korzystając z tego, że wybiła pełna godzina, wszedł do kościoła św. Jakuba, by obejrzeć najwyższy na świecie gotycki ołtarz, wyrzeźbiony przez Pawła z Lewoczy. Oprócz niego w tajemniczym i ciemnym wnętrzu kilkanaście innych skrzyło się srebrem i złotem. Błyskały też lampy aparatów fotograficznych turystów, niezważających na zakaz i pstrykających ukradkiem od czasu do czasu zdjęcia. Patrzył przez dłuższą chwilę na ołtarz, przypominający ogromną, strzelistą monstrancję, po czym opuścił kościół i mrużąc oczy na słońcu, wolnym krokiem podążył ku restauracji.

Ludwig siedział już przy stoliku w rogu pustej sali. Zobaczywszy Wiznera, wstał i wyciągnął ku niemu rękę. Była śliska i mokra, jak zdechła ryba. Wizner uściśnął ją lekko i od razu cofnął swoją dłoń z obrzydzeniem. Usiedli.

– Dawno się nie widzieliśmy! – Ludwig uśmiechnął się do niego przymilnie. Miał krótko ostrzyżone włosy i jego mała głowa, osadzona na

szerokich barach, wyglądała zabawnie.

Wizner nie odpowiedział.

– Otrzymałem już konkretne informacje. Jesteś zainteresowany pracą?

– To zależy.

Do stolika podszedł kelner. Chwycił pustą butelkę po piwie stojącą przed Ludwigiem, podrzucił ją zręcznie w górę, tak że obróciła się kilkakrotnie, złapał i postawił na trzymanej w drugim ręku tacy.

Wizner zamówił dla siebie obiad.

– Czy pracę zleca ktoś z korporacji?

Ludwig zastanawiał się, szukając odpowiednich słów.

– Ktoś szuka kontaktu, korzystając z pośrednictwa korporacji. Spoza kraju. Ale to bardzo poważna osoba. Z doskonałymi, sprawdzonymi referencjami.

Do tej pory robotę zawsze zlecała korporacja na wniosek którejś z rodzin, kiedy ta miała kłopoty.

– Dobrze – zdecydował się. Od kilku miesięcy nie miał żadnego zajęcia i był już znudzony. – Odkryj karty.

Kelner wrócił z piwem dla Wiznera i powtórzył swoją sztuczkę, tym razem ze szklanką.

Ludwig poczekał, aż chłopak się oddali, a potem wygrzebał spod poły zbyt obszernej marynarki portfel. Wyciągnął z niego zdjęcie i położył starannie przed nosem Wiznera.

– Ma też wymagania dotyczące tego, jak to ma być zrobione. – Grubym paluchem wystukał na swoim komie kilka słów i pokazał ekranik Wiznerowi. Spojrzał na jego twarz, badając efekt, i skasował napis.

– I co ty na to?

Wizner milczał chwilę, bawiąc się zdjęciem, wreszcie przesunął je w stronę rozmówcy, który zaraz je schował.

- Stawiam trzy warunki. Po pierwsze, cena.
- Mam upoważnienie do uzgodnienia ceny – kiwnął głową Ludwig.
- Trzydzieści.
- Trzydzieści? Czego?
- Trzydzieści milionów.

Ludwig przeczesał palcami krótkie włosy.

- Zgoda.

Znów zapadło milczenie. Wizner nie spodziewał się, że kwota zostanie zaakceptowana tak łatwo.

– Po drugie, nie chcę, żeby potem któraś z rodzin zaczęła za mną węszyć. Albo ktoś od nich. Muszą wyrazić zgodę. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to będzie duże zamieszanie, mimo wszystko. Ktoś może mieć pretensje. Albo uznać, iż zyska na tym, że nadzieje moją głowę na kij.

– Człowieku, nie przychodziłbym z propozycją do ciebie, gdyby nie była wcześniej uzgodniona. U nas w zasadzie problem nikogo nie obchodzi. Nie widać żadnego interesu. Ale klient daje świetne warunki handlowe. Paru wyjdzie na wykonaniu zlecenia całkiem nieźle. Ty też, wierz mi.

Wizner spojrzał prosto w oczy Ludwiga.

– I trzeci warunek. Po wykonaniu pracy dostanę od ciebie dane o kliencie. Chcę wiedzieć, kim jest.

Ludwig rozejrzał się nerwowo po sali, jakby chciał uciec przed spojrzeniem Wiznera.

- Kurwa, po co?! Na co ci to?! Chcesz sobie napytać biedy?!

Wizner nie spuszczał z niego obojętnego wzroku. Widać było, że uświadomiono Ludwigowi, jak ważna jest ta sprawa. Pomyślał, że sam też nie ma wyjścia i choć padło tylko parę zdań, nie może się już wycofać.

– No dobrze. Zróbmy tak. Dostaniesz ode mnie namiary, ale zachowasz je dla siebie. Na zawsze. Ja o tym nic nie wiem. Rozumiesz?

Opuszczając miasteczko, Wizner spojrział na Mariańską Górę z neogotyckim kościołem. Co roku przybywały tu liczne pielgrzymki. Ja też powinienem stać się pielgrzymem, pomyślał i się uśmiechnął.

* * *

O pierwszej w nocy, dwie godziny po przekroczeniu południowej granicy, Andrzej Wizner jechał w stronę Claromontany drogą krajową numer 908. Siekł drobny, marznący deszcz. Szosa była zupełnie pusta. Wizner włączył radio. Zatrzymał skanowanie częstotliwości, kiedy radio dostroiło się do stacji nadającej muzykę klasyczną. Wypożyczona toyota canibal miała całkiem niezły sprzęt. Koncert obojowy Telemanna wprowadził go w dobry nastrój i niespodziewanie przywołał szczupłą, smagłą twarz pewnej dziewczyny, którą widział ostatni raz dziesięć lat temu. Miała na imię Natasza i powtarzała mu często, że jest śmieszny. Zataczającego się na środku jezdni człowieka zauważył w ostatniej chwili, oślepiiony światłami nadjeżdżającego z przeciwka bagażowego mercedesa. Mercedes zahamował gwałtownie, wpadł w poślizg, zgarnął tyłem pijanego i wjechał na pas ruchu canibala, po czym zderzył się z nim bokiem, odbił i pojechał dalej. Auto Wiznera zatańczyło, obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni, zmiażdżyło metalową barierę na poboczu jezdni i wpadło do rowu.

Ktoś pochylał się nad nim i świecił prosto w oczy. Nie otwierał ich. Czuł coś lepkiego i ciepłego na swoim czole.

– Żyje?

Ostre, przywołujące mdłości światło wędrowało uporczywie po twarzy Wiznera.

– Tak. Nic mu nie będzie.

Obmacywały go jakieś wielkie, twarde łapska. Wpełzły do wewnętrznych kieszeni marynarki i chwyciły portfel.

– Patrz, Józek. Ja pierdolę. Facet jest kasowny.

Usłyszał odgłos szarpania z tyłu.

– Przyniosę łom, te drzwi się nie chcą otworzyć, a tam leży jakaś walizka.

– Dobra, idź, a ja popilnuję.

Kroki, potem zgrzyt i trzask.

– Poszło!

Samochodem zabujało lekko, kiedy ktoś wgramolił się na tylną kanapę.

Wizner ciągle nie otwierał oczu. Napiął mięśnie nóg, a potem rąk. Lekko poruszył kończynami.

– O kurwa, tylko tych brakowało!

Syrena karetki pogotowia zamilkła. Światło latarki przestało drażnić Wiznera. Rozwarł lekko powieki.

Kilka metrów przed toyotą, odwrócony do niej plecami, stał policjant z latarką. Z karetki wyszedł lekarz, za nim pielęgniarza. We wstecznym lusterku Wizner zobaczył nalaną twarz drugiego gliny. Ten właśnie włączył minipalnik i mrużąc oczy, przepalał zamek walizki.

– Czy są jacyś ranni? – Lekarz spojrział w stronę canibala. Zasłonił się dłonią, kiedy światło latarki padło na jego twarz.

– Może są, może nie ma. Co tu robicie?

– Jak to co? Podpisaliśmy umowę z władzami lokalnymi na obsługę tego odcinka drogi.

– A my mamy umowę z kimś zupełnie innym.

– Proszę, tu jest odpowiedni dokument, sierżancie. – Doktor wyciągnął przed siebie jakiś papier.

– Wsadź to sobie do dupy. – Policjant uporczywie świecił mu prosto w oczy.

Zbliżyła się do nich pielęgniarza.

- Jak pan się wyraża?! Wszystko słyszałam!
- Tak? Pierdolisz. – Sierżant roześmiał się głośno.

Wizner odpiął pasy i sięgnął prawą ręką do schowka pod siedzeniem. Zwolnił bezgłośnie pistolet z zatrasku. Spaślak z tyłu sapał, patrząc na równe pliki nowych dolarów i stos paszportów. Wyjął jedną z paczek banknotów przewiązanych czerwoną gumką i zbliżył ją do błyszczących oczu. Pachniały świeżą farbą. Kiedy Wizner odbezpieczył pistolet, tłścioch oderwał od nich wzrok i spojrzął w lufę wycelowaną w środek swego czoła. Strzał rzucił nim w tył, fragmenty mózgu i kości czaszki rozprysły się po wnętrzu. Wizner odwrócił się. Drugi z policjantów gapił się na niego z rozdziawioną gębą. Wizner strzelił do niego dwukrotnie przez szybę. Trafiony w klatkę piersiową upadł na wznak i znieruchomiał z rozrzuconymi rękoma. Latarka potoczyła się i zatrzymała przy przednim kole sanitarki. Wizner wysiadł z samochodu i stanął, opierając się o niego biodrem. Twarz miał zalaną krwią. Kiedy podnosił broń, karetka z piskiem opon ruszyła w tył. Wymierzył, mrużąc oczy w świetle reflektorów. Huknął jeszcze jeden strzał i kierowca osunął się na bok. Ambulans zjechał na drugą stronę szosy i ugrzązł w rowie.

– Stańcie obok siebie. Nie ruszajcie się. Załóżcie ręce na karku – powiedział wyraźnym głosem Wizner.

Lekarz i pielęgniarka wykonali jego rozkaz. Kobieta szlochała i trzęsła się ze strachu.

- Uspokój się – szepnął łapiduch.

Lodowaty deszcz ciągle zacinał, zmywając krew z rozciętego czoła Wiznera. Sięgnął do wnętrza swojego samochodu. Spod zwłok zwałistego policjanta wyszarpnął walizkę, uważając, by nie wysypała się jej zawartość. Ze skrytki pod siedzeniem wyjął też drugi magazynek i schował go do

kieszeni marynarki. Podszedł do radiowozu i wyłączył zasilanie komunikatora.

– Wsiadajcie. Pan będzie prowadził.

Usiadł z tyłu wozu i kazał jechać na południe. Pamiętał, że mijał boczną leśną drogę. Po kilku kilometrach przejechała obok nich inna karetka.

– Konkurencja – mruknął lekarz. Pielęgniarka już nie płakała.

– Tu skręci pan w prawo.

Dziewczyna zaczęła znów szczekać zębami.

– Spokojnie, nie stanie się wam nic złego – powiedział Wizner.

Skręcili i po dziesięciu minutach kazał się lekarzowi zatrzymać. Wysiedli. Deszcz przestał już padać.

– Przepraszam. Będę musiał was tu zostawić. Ale do szosy nie jest daleko. Życzę dobrej nocy.

Poczuł ostry ból w piersiach. Skrzywił się, co mogło przy dużej dawce dobrej woli zostać wzięte za uśmiech. Usiadł za kierownicą i odjechał.

* * *

Od tamtych wydarzeń upłynął miesiąc. W jednej z klinik na południu Wizner poddał się badaniom lekarskim, ale poza złamaniem dwóch żeber nie wykryto żadnych innych urazów.

Nie był to czas stracony. Zamówienie na sprzęt zostało zrealizowane.

Zatrzymał bagażówkę na zarośniętej polnej drodze. Odetchnął głęboko świeżym, wilgotnym powietrzem. Było mglisto i sąsiednie góry to wynurzały się z mlecznych tumanów, to znów w nich znikały. Wizner wysiadł i poszedł kilkanaście kroków dalej. Po prawej ściana lasu urywała się, otwierając widok na wznoszącą się lekko dużą polanę. Na jej środku, trzysta metrów od drogi, widać było szeroką drewnianą ławę. Wrócił do bagażówki i otworzył tylne drzwi. Wskoczył do środka. Były tam dwie tafle

siberutu, przezroczystego indonezyjskiego diamentoidu, wielkości półtora na półtora metra, ułożone jedna na drugiej, wieloczynnościowy granatowy workman Boscha i dwa rzucone w kąt worki przesiąknięte krwią. Odpiął stalowe opaski mocujące płyty, włączył workmana, z bocznego schowka w jego korpusie wyjął rękawice i nałożył je. Przycupnięty za siberutem workman zgrabnie się podniósł, obszedł płyty i stanął obok niego. Wizner zeskoczył z samochodu. Workman wyciągnął swoje chwytaki i złapał precyzyjnie pierwszą z tafli, po czym podniósł ją lekko i położył na krawędzi burty. Wysunął lewą nogę do przodu, wydłużył ją tak, aż szeroka stopa oparła się o grunt, przesunął środek ciężkości na zewnątrz i postawił na ziemi drugą stopę. Obrócił się płynnie w stronę płyty i uniósł ją ponownie. Wizner szedł za nim krok w krok.

Na nierówności gruntu workman zachybotał się, ale szybko odzyskał równowagę. Wizner niemal czuł w swoich dłoniach gładką powierzchnię diamentoidowej szyby. Miała lekko błękitny odcień. Wspięli się w górę, po mokrej trawie sięgającej kolan, aż do stoliska. Było zrobione z surowych sosnowych pni przeciętych na pół. Workman stanął przy stolisku i ułożył ostrożnie stukilogramową płytę na sztorc, prostopadle do jego osi. Drugą tafelę ustawił w odległości półtora metra od pierwszej. Potem Wizner zaprowadził robota w głąb lasu, przejrzał listę gotowych programów i wybrał jeden z nich. Workman zaczął kopać dół, tymczasem Wizner wziął z bagażówki obydwie worki i wrócił na polanę. Rzucił je na powierzchnię stoliska, rozwiązał, wyciągnął dwa duże świńskie łby, ułożył pomiędzy płytami, w jednej linii. Jeszcze raz podszedł do samochodu i zabrał tytanową walizeczkę z zamkiem kodowym.

Wszedł na wysokość stoliska, w odległości stu metrów od niego. Wiał lekki, chłodny wiatr. Wizner przykucnął i otworzył zamek. Walizeczka zawierała pistolet, celownik optoelektroniczny, umocowany już na

pistolecie, kaburę z szelkami, pięć sztuk amunicji i ciemne okulary. Broń nie była obca Wiznerowi. Była to brazylijska piranha, nieprodukowana seryjnie. Istotniejsza była jednak amunicja.

Mężczyzna nałożył okulary, zdjął marynarkę i zapiął szelki z kaburą. Popatrzył w stronę ławy. Połyskujący niebieskawo kwadrat siberutu zasłaniał położony dalej drugi.

Od niedawna siberutu używano do ochrony pojazdów przed ostrzałem. Z dobrych powodów – płyta o tej grubości wytrzymywała bezpośrednie trafienie z ręcznego granatnika przeciwpancernego. Pozostawało pytanie, co stałoby się z ludźmi zamkniętymi w tak ugodzonym pojeździe, jednak obrażenia, jakich mogliby doznać, z pewnością nie byłyby bezpośrednim skutkiem eksplozji.

Wizner założył z powrotem marynarkę, odczepił broń z uchwytów w walizeczce i załadował magazynek. Kilkakrotnie wyciągał szybkim ruchem pistolet z kabury, mierząc do celu. Zwiększył pokrętelem natężenie świecenia siatki celowniczej, a potem cofnął się o trzy kroki i zrobił kilka głębokich wdechów.

Nie słyszał, by tego typu amunicja była kiedykolwiek zastosowana w warunkach bojowych. Nie opracowano do tej pory taktyki jej użycia w walce, co nie znaczy oczywiście, że nie mogła być wykorzystana do celów specjalnych.

Chociaż od pierwszych przypadków użycia broni jądrowej upłynęło już bardzo wiele czasu i współczesne rodzaje tej broni tak bardzo różniły się od pierwotnych, to naznaczona była ciągle piekielnym stygmatem.

Łatwo to zrozumieć, kiedy weźmie się pod uwagę wielkość energii, jaka wyzwala się przy jej użyciu. Maksymalna kinetyczna energia początkowa pocisków wystrzeliwanych z broni krótkiej wynosi około trzy i pół tysiąca dżuli. Większa, z powodu siły odrzutu, staje się niebezpieczna dla strzelca.

Energia rozszczepienia jednego grama uranu U-235 to osiemdziesiąt miliardów dżuli. W żadnym razie nie jest to energia na ludzką miarę.

Pierwsza zastosowana w czasie wojny bomba atomowa, *Little boy*, zawierała trzynaście kilogramów uranu, z czego tylko jeden kilogram uległ rozszczepieniu.

Teraz, kiedy zapomniano już dawno o mitycznej czerwonej rtęci i o nieszczęsnych odkrywcach rzekomej zimnej fuzji, a otrzymywanie dowolnie małej porcji energii z fuzji lekkich jąder było codziennością, świat czekał w napięciu na debiut nuklearnej amunicji małokalibrowej.

Głównym zmartwieniem projektantów pocisków, jakich miał właśnie użyć Wizner, było takie wyważenie energii wybuchu, by z wystarczającą siłą ugodzić atakowany cel, jednak nie zabić przy tym podmuchem i promieniowaniem cieplnym strzelca. Trudność tego zadania czyniła tę broń niemal tak absurdalną i niebezpieczną, jak na drugim końcu skali sowiecka car-bomba, najpotężniejszy ładunek termojądrowy, jaki kiedykolwiek detonowano, o energii wybuchu pięć tysięcy razy większej niż energia *Little boya*.

Wizner przyklęknął, wyciągnął pistolet z kabury, podparł go lewą dłonią i wystrzelił.

Biały blask oślepił go mimo okularów. Wydawało mu się, jakby zajrzał nagle w głąb hutniczego pieca. Zaciskał ciągle powieki, jakby miało to jeszcze jakieś znaczenie.

Podniósł się. Echo wybuchu ciągle dudniło mu w uszach. Miejsce, gdzie stała ława, przysłonięte zostało dymem palącej się trawy. Spojrzał na zawieszony przy pasku miernik napromieniowania. Siedemset miligrejów. Pewnie będzie miał nudności. Spakował broń do walizeczki, a potem odnalazł pracującego w lesie workmana. Wykopany dół był już dostatecznie duży. Zatrzymał robota, wyciągnął ze schowka maskę wizyjną.

Teraz mógł patrzeć, używając kamer maszyny. Workman poczłapał w górę zbocza. Przelazł przez pas pożółkłej trawy i wkroczył w ciągle gęsty białoszary obłok. Nie było nic widać; Wizner cofnął workmana i poczekał, aż dym nieco opadnie. Gdy robot zbliżył się do wskazanego miejsca, Wizner zobaczył podłużny lej otoczony kręgiem spopielałej ziemi. Odszukał tafle siberutu. W pierwszej ziała dziesięciocentymetrowa, regularna dziura. Materiał wokół niej był zmętniały i pokruszony. W drugiej eksplozja wypaliła głębokie na trzy centymetry wyżłobienia. Nie znalazł żadnego śladu świńskich łbów.

Porządki zajęły mu kilka godzin. Zakopał głęboko obie płyty, a także część najbardziej skażonego gruntu. Mgły podniosły się i wyjrzało słońce.

Był zadowolony z wyników próby. Ciągle żył.

* * *

Tym razem Wizner dojechał do Claromontany bez przeszkód. Po przyjeździe od razu skierował się do klasztoru.

Klasztor słynny był z obrony przed heretykami sprzed kilku wieków. Katolicy utrzymywali, że ostał się dzięki cudownej pomocy Naszej Pani, sceptycy twierdzili, iż owi heretycy tak naprawdę nawet porządnie nie wzięli się do oblężenia, poprzestając na chaotycznym i przypadkowym ostrzale mało znaczącej twierdzy. Jakkolwiek by było, począwszy od tego momentu, heretycy zaczęli ponosić klęski, a Claromontana umocniła swoją pozycję wyjątkowego i świętego miejsca dla katolików.

Wizner odwiedził najpierw skarbiec klasztorny. Były tam dary wotywnie królów, królowych, książąt, możnych tego świata, osób prywatnych, stowarzyszeń i cechów dawnych i współczesnych. Chodziły słuchy, iż podobnie jak skarby Watykanu miały zostać ostatecznie wyniesione na

pokład „Królowej Niebios”, ponieważ i tu zaczęły być zagrożone konfiskatą.

Było to jedno z tych miejsc, w których przechował się cień dawnej świetności i potęgi Rzeczypospolitej. Pozostały po niej tylko kąśliwe uwagi cudzoziemców o karłach, które udają olbrzymy, zabawnie przeglądające się w popularnych miejscowych powieściach fantastycznych, w których miniona wielkość urastała do kosmicznych wymiarów. Po uważnym obejrzeniu skarbcza Wizner poszedł razem z pielgrzymami do środka świątyni.

Niedaleko wejścia, przy bocznej kaplicy, stała gablota z kilkudziesięcioma świeczkami. Połowa z nich jarzyła się elektronicznym płomieniem. Napis pod spodem głosił: „Palące się świece – widowym znakiem twojej modlitwy”. Pod spodem przybita była tablica z cennikiem i szczelina na monety. Wizner wrzucał monety tak długo, aż wszystkie świeceki zapaliły się. Zadowolony poszedł dalej. Główny kościół był niemal pusty, za to kaplicę Naszej Pani wypełniali ludzie zwróceny w stronę obrazu Matki Boskiej. Wielu z nich nosiło widoczne ślady przeróżnych ułomności, a co najmniej kilkanaście osób dotkniętych było różnymi stadiami choroby Bierregaarda. Na ścianach ciemnej kaplicy, obok skromnych wotów wyglądających jak srebrne i złote łyzy, wisały drewniane i metalowe kule i protezy.

Wizner powędrował szerokimi schodami wyżej, przeszedł ciemnym korytarzem ze spłowiałymi malowidłami. Spojrzał w dół ponad balustradą na wiernych modlących się przed obrazem Naszej Pani, a potem wstąpił do kaplicy Miłosierdzia Jezusowego i siedział przez chwilę w ławce, zastanawiając się nad czymś. Szklane drzwi rozsunęły się i do środka wkroczyła grupa starszych osób, kierowana przez księdza w sutannie. Ludzie uklękli w ławkach i zaczęli się modlić. Wizner opuścił

pomieszczenie. Zszedł w dół i dostrzegł inne schody, prowadzące do Sali Rycerskiej. Wisiały tam obrazy przedstawiające historię klasztoru splecioną z historią Rzeczypospolitej. Kiedy wyszedł na zewnątrz, zmierzchało już. Poza obronnymi murami klasztoru majaczyły stacje drogi krzyżowej. Obszedł górą mury klasztorne, aż do miejsca, gdzie stał pomnik papieża z twarzą proroka, wpatzonego w dal, z uniesioną prawą ręką i lewą trzymającą piuskę. Usiadł przy nim na ławce i poczekał, aż zapadła ciemność.

* * *

Tego dnia Wizner wynajął dom stojący samotnie pod lasem, zmienił twarz i paszport. Patrząc w lustro, naciskał przełącznik programatora i obserwował, jak biomorf w ciągu dwóch sekund zmienia kształt jego kości policzkowych, podbródka, czoła, a także, co było najzabawniejsze i najdziwniejsze, wygląd i barwę włosów. Twarze mógł wybierać tylko sekwencyjnie i jak zawsze skrzywił się, kiedy zobaczył w lustrze Steve'a McQuinna. Niewielu już pamiętało o tym aktorze, ale i tak głupi żart technika, który dokonał wyboru domyślnych ustawień biomorfa, doprowadzał go za każdym razem do wściekłości. Biomorf zaczął na nim pasożytować trzy lata temu i zadomowił się już idealnie, wypierając jego własne tkanki. Nie odczuwał od dawna jego dyskretnej obecności.

Wreszcie dotarł do twarzy, którą miał zamiar wykorzystać. Była bardziej pociągła, z wystającym nieco za mocno nosem i bardziej miękkim zarysem ust.

Czekało go kilka dni przyzwyczajania się do nowego wyglądu i nazwiska.

Tę dziewczynę znalazł w małym kościółku na przedmieściu Claromontany. Kłęcząca w trzeciej ławce od tyłu, po lewej stronie, i modliła

się. Wyglądała bardzo dziwnie, jakby nie należała do tego świata. I dlatego zwrócił na nią od razu uwagę.

Pod prawą ścianą stało kilka monitorów, z których patrzyły na nich postacie kaznodziei. Przekonywali do czegoś zawzięcie. Przy każdym z telewizorów leżała para słuchawek. Nagranego kazania można było posłuchać po wrzuceniu monety. Wizner nie był pewien, jaki był status tego właśnie kościółka. Po wprowadzeniu demokratycznego zarządu Kościoła Katolicki rozpadł się na setki sekt, a te nieustannie kłóciły się ze sobą o świątynie, których i tak nie były w stanie utrzymać.

Dziewczyna miała jakieś dwadzieścia pięć lat. Pojechała na swoje zaniedbane osiedle sześciopiętrowych bloków brudnym autobusem. Było już niemal ciemno, wiał mroźny wiatr. Zanim wyciągnęła klucze z torebki, rozejrzała się nerwowo, jakby wyczuwając, że ktoś za nią idzie. Weszła do środka. Wizner podszedł do wejścia i bez trudu otworzył prymitywny mechaniczny zamek drzwi samouczącym się kluczem. Słyszał jeszcze kroki w górze klatki schodowej. Nie było windy. Pobiegł cicho schodami w górę, dość szybko, by dostrzec, za którymi drzwiami znika dziewczyna. Przeszedł obok drzwi i zapamiętał jej nazwisko: Anna Mroczek.

Kilka następnych dni obserwował Annę; kupił też parę nielegalnych baz danych mieszkańców dzielnicy, w której mieszkała. Dowiedział się o niej całkiem sporo, począwszy od wykształcenia, a skończywszy na danych medycznych.

Piątego dnia napisał do niej odręczny list. Kupił ozdobną kopertę, zaadresował, używając swojego ulubionego, tego samego od lat wiecznego pióra, i oddał list w biurze wysyłkowym. Wypindrzona kobieta przy kontuarze popatrzyła na niego podejrzliwie, kiedy wręczał jej kopertę.

– To jest list?

– Tak. – Uśmiechnął się szeroko. – To tylko list.

Następny dzień spędził w domu, słuchając muzyki. Był już wieczór, w szyby okien siekł znów deszcz. Przeglądał duży album zawierający zestawienie dzieł sztuki przeniesionych z Watykanu do „Królowej Niebios”, kiedy zabrzączał wideofon. Ściszył muzykę, odłożył album na stolik i sięgnął po srebrny tablet wideofonu. Nie włączył obrazu.

– Dobry wieczór – usłyszał kobiecy głos.

– Dobry wieczór.

– Nazywam się Anna Mroczek. – Mówiła bardzo zdecydowanie i wyraźnie, ale Wizner wyczuł za tym napięcie. – Czy pan Zarembski?

– Tak, to ja.

– Napisał pan do mnie list. To pan, prawda?

– Tak. Napisałem do pani list.

Milczała chwilę.

– Bardzo dziwny list. Zresztą... teraz już nikt listów nie pisze. Dziękuję panu. Był... bardzo piękny. Nigdy nikt do mnie nie napisał takiego listu.

– To ja pani dziękuję. – Wizner zaśmiał się nerwowo. – Bardzo się cieszę, że zdecydowała się pani do mnie zadzwonić. Bałem się, że może się pani poczuć urażona.

– Nie, skądże – powiedziała szybko.

– Przepraszam. Przepraszam, że panią śledziłem.

– Tak? Wydawało mi się, że ktoś za mną chodzi. – Roześmiała się. – Bardzo tego nie lubię.

– Jeszcze raz przepraszam. To się już nie powtórzy.

– To dziwne, prawda? Że od kilku lat myśli pan o mnie, a ja nic o tym nie wiem.

– Tak. To dziwne – potwierdził w zamyśleniu Wizner. – Każdy jest pociskiem poszukującym celu.

Zaległa kilkusekundowa cisza.

– To mi się nie podoba. Ja nie jestem... pociskiem. Wolałabym też nie być nigdy celem.

– Oczywiście. To było niedobre porównanie – zgodził się Wizner.

Dopiero dwa tygodnie później spotkali się po raz pierwszy.

* * *

Anna była wyraźnie podenerwowana i zaraz po przyjsciu Wiznera wyszła do łazienki. Stanął przy oknie i spojrzał z wysokości trzeciego piętra na podwórko, po którym wiatr rozwiewał papiery ze śmietnika i nieuprzątnięte liście. W kącie pokoju tanie sony pokazywało bajkę dla dzieci. Wizner patrzył przez chwilę nieuważnie na filmik, w którym goniły się małe pingwiny, a potem podszedł do półki. Zapełniały ją stosy pożółkłych komiksów. Zobaczył też stertę nieużywanych już kostek wideo z pomarańczowymi naklejkami. „Czterej pancerni i pies”, „Krzyżacy”, „Stawka większa niż życie”, „Potop”, „Ogniem i mieczem”. Pełny wybór.

– Przepraszam. – Anna wróciła z łazienki. – Patrzysz na moje straszliwie stare i niemodne filmy?

Wizner skinął głową, a potem wskazał na sony.

– Oglądasz bajki dla dzieci?

– Tak. Dziwi cię to? Świat jest teraz taki okrutny, a ja czasem lubię sobie pooglądać bajki dla dzieci. Tylko te dobre, gdzie nie ma przemocy.

– Cóż, wydaje mi się to trochę dziwne – powiedział ostrożnie Wizner.

– Co?

– To, że oglądasz bajki.

– Dlaczego? To zupełnie zwyczajne. Zresztą dorośli powinni oglądać bajki, na które patrzą dzieci. Musimy wiedzieć, czy dzieci nie są straszone i karmione okrucieństwem.

– Ty przecież nie masz dzieci, prawda?

– Lubię bajki. – Anna spojrzała na niego ponuro. – Proszę, usiądź.

Usiedli w fotelach po przeciwnych stronach stolika.

– Nie oglądam wyłącznie bajek – powiedziała, ożywiając się. – Lubię też filmy historyczne. Na przykład „Krzyżacy”. Zawsze do oczu napływają mi łzy, kiedy polscy rycerze śpiewają „Bogurodzicę”. „Czterech pancernych i psa” obejrzałam w całości piętnaście razy. A książkę przeczytałam sześć. Pewne rzeczy po przeczytaniu książki wyjaśniły mi się.

– Tak? – Wizner jeszcze raz spojrzał na półkę z filmami, książkami i komiksami.

– Tak. Mam też całą kolekcję „Asteriksa”.

– To niesamowite – odparł Wizner. – A gdzie pracujesz?

Znów spochmurniała.

– Nigdy nie kryłam się z tym, że jestem katoliczką. Kiedy pracodawcy pytają, czy jesteś wierzący, większość ludzi mówi, że są agnostykami. A ja zawsze mówiłam wprost, że jestem praktykującą katoliczką, mimo że teraz tak trudno o pracę. I wyobraź sobie, że mimo to pracę dostałam. Można powiedzieć, że zawdzięczam to złośliwości, bo zatrudniono mnie w biurze hurtowni środków antykoncepcyjnych.

– Och – powiedział Wizner.

– A ty? Gdzie ty pracujesz?

– Przez kilka lat prowadziłem różne interesy w Argentynie. Wróciłem pięć lat temu. Nie mogę powiedzieć, że zajmuję się w tej chwili czymś bardzo konkretnym. Na szczęście nie jest to konieczne. – Roześmiał się.

– Jest ci z tym dobrze?

– Nie. Niezupełnie.

– Może Bóg przeznaczył już dla ciebie jakieś zadanie, a ty o tym po prostu jeszcze nie wiesz?

– Bóg? Moi rodzice byli katolikami. Bardzo religijnymi. Ja... nie jestem taki. Jednak to, że ty wierzysz, jest dla mnie pociągające. To tak, jakbym patrzył w swoją przeszłość i przypominał sobie rzeczy, o których dawno przestałem myśleć. Także dlatego chciałem się do ciebie zbliżyć.

Patrzyła przez chwilę na bajkę. Była nieobecna. Trudno mu było to pojąć, ale odeszła w głąb tej śmiesznej dziecięcej historyjki. Jej twarz rozjaśniła się i poweselała. Wizner czekał cierpliwie i patrzył na nią z zainteresowaniem.

– Zagramy w kości? – Spojrzała na niego, zmieniając nagle temat.

– W kości? – zdumiał się Wizner. – Nigdy nie grałem w kości. Kiedyś, bardzo dawno temu, grywałem w szachy.

– Nie umiem grać w szachy. Ale bardzo lubię grać w kości. W tej grze każdy ma takie same szanse.

– Nie wiem. Nic od ciebie nie zależy. Wszystko zależy od przypadku. To mnie przeraża. – Roześmiał się. – Czuję się bezbronny.

– W tej grze jesteśmy równi. Nie jest ważne, czy jesteś mądrzejszy ode mnie czy nie. Tak powinno być. Dawno przestałam zwracać uwagę na to, czy ktoś jest mądry. Tak naprawdę liczy się tylko, czy ktoś jest dobry, czy zły.

Wyciągnęła z szafki stolika pudełko z kośćmi. Za oknem zawył wiatr.

* * *

Po zadokowaniu „Niepokalanego Poczęcia” pasażerowie jeszcze przez kilka minut siedzieli w przeciążeniowych fotelach, przyzwyczajając się do stabilnego, sztucznego ciężenia „Królowej Niebios”. Wreszcie pozwolono im odpiąć pasy i zaczęli gramolić się niepewnie po trapie ku sufitowi promu. Anna zaraz po wyjściu zaczęła rozglądać się za toaletą. Dostrzegła ją i podbiegła chwiejnym, nerwowym krokiem w jej stronę. Wizner poszedł

odebrać bagaże. Sam czuł się niedobrze po locie. Kilkunastu pasażerów, którzy przylecieli razem z nimi, czekało na obsługę. Anna wróciła z toalety i spojrzała na Wiznera pytająco. Wysoko nad ich głowami, tuż pod sklepieniem hali przylotów, pracowali robotnicy, stojąc na podestach zawieszonych na stalowych linach. Słysząc było odgłosy ich rozmów, śmiechy i uderzenia narzędzi o metal. Do pasażerów podjechał odkryty elektryczny busik. Kierowca w granatowym uniformie ze złotymi guzikami poprosił o zajęcie miejsc. Przejechali oświetlonym rześcicie tunelem kilometr i zatrzymali się w holu, na środku którego stała fontanna otoczona modną sztuczną roślinnością. Hol wysypany był drobnym białym żwirem i Wizner poczuł się, jakby umieszczono go na dnie wielkiego akwarium. Wzięli ze sobą walizki wrzucone na wózki i ciągnąc je po białych marmurowych chodnikach, poszli do swoich pokoi.

Wizner nie spodziewał się, że Anna tak łatwo zgodzi się z nim polecieć. Spojrzała tylko na niego uważnie i stwierdziła:

– To musi dużo kosztować.

– Tak. O wiele więcej ludzi chce się dostać na „Królową Niebios”, niż sprzedaje się biletów. Dlatego musiałem odkupić bilety po dużo wyższej cenie. W przeciwnym razie czekalibyśmy jakieś trzy lata.

– Dobrze. W takim razie jedźmy – powiedziała po prostu.

Stał więc teraz pod prysznicem, prychającym gorącym obłoczkiem mikroskopijnych kropelek wody, cieszył się, że siła odśrodkowa przyciska go do podłogi, i próbował się umyć. Potem poszedł do pokoju Anny tuż obok.

Siedziała w czarnym skórzanym fotelu, wstrząsana falami dreszczy. Była blada, na jej czole pojawiły się krople potu.

– Co się stało? – Wizner podszedł do niej szybko.

– Jeeestem chora – wyjąkała. – To naaagle przyspieszyło. Tooo choroooba Bierregaaarda. – Zamilkła na chwilę wyczerpana, a potem wyrzuciła z siebie szybko: – Przepraszam, żeee ci nie powiedziałam wcześniej...

Zamachała rękoma.

– Wyyyjdź.

Następnego dnia Anna czuła się dużo lepiej. Obejrzeliby część zbiorów etruskich i muzeum sztuki sakralnej, a potem przeszli do wielkiej sali, w której zgromadzono relikwie zebrane z kościołów ze wszystkich części świata. Przechodzili przed oszklonymi, podświetlonymi gablotami zawierającymi szczątki świętych. Anna patrzyła rozszerzonymi źrenicami na bladoróżowe pasemka ścięgien przyczepionych do kości szczęk, goleni, palców.

– To tak, jakbyśmy mogli popatrzeć w przyszłość – powiedziała. – Kiedyś na powrót przyobleczemy się w nasze ciała. Zmartwychwstaniemy. A tu Bóg odsłonił przed nami wąską szczelinę, przez którą widzimy początek tego, co się stanie.

– Sztuczki – wzruszył ramionami Wizner.

– Nie wierzysz w to, prawda? – Popatrzyła na niego ponurymi, błyszczącymi oczami. – A jednak papież powrócił do życia.

Po samobójczej śmierci kolejnego z czterech papieży-demokratów, którzy zreformowali i zdecentralizowali Kościół, stało się coś dziwnego. Oto publicznie pojawił się ich konserwatywny poprzednik. Ogłoszono, że w cudowny sposób została przywrócona ciągłość sukcesji apostoelskiej – dzięki temu, iż ostatni prawowity papież powstał z martwych. Jednocześnie wszystkie demokratycznie podjęte decyzje zostały anulowane i uznane za niebyłe. Wywołało to wrzawę, powszechne oburzenie i falę najdziwniejszych spekulacji. Wysunięto przypuszczenie, iż jest to spisek

wstecznych hierarchów, pragnących zatrzymać nieuchronnie zachodzące zmiany, a rzekomo cudownie przywrócony życiu papież jest tylko zręcznie przysposobionym sobowtórem i marionetką w rękach spiskowców. Ukazało się mnóstwo książek specjalistów i pseudospecjalistów od inżynierii genetycznej, udowadniających, iż rzekome zmartwychwstanie jest – bądź też nie jest – zwykłym efektem jej zastosowania.

Od dawna wiszące w powietrzu zamierzenia urzędników Federacji poczęły też przyoblekać się w ciało uchwał. Powołana przez Federację Rada Mędrców przypomniła i udokumentowała po raz pierwszy w tak kompletny sposób odpowiedzialność Kościoła powszechnego za ludobójstwo Indian i holokaust. Rada stwierdziła z ubolewaniem, że demokratyczne zmiany, które zachodziły ostatnio w Kościele, dawały nadzieję na odcięcie się od fatalnych zaszłości, nieprzystających ciężać nad dniem dzisiejszym Kościoła, jednak najświeższe zdarzenia unicestwiły owe nadzieje. W związku z tym, pisali Mędracy, należy wspomóc nurt demokratyczny w Kościele, a Federacja powinna przejąć na siebie ciężar zarządzania Kościołem lub też Kościołami, które już zaczęły się wykształcać, łącznie z wszelkimi kościelnymi zasobami, dopóki lokalne wspólnoty wiernych nie będą w stanie same podjąć się tego zadania. Tuż po opublikowaniu raportu Rady Mędrców Watykan rozpoczął wielką przeprowadzkę na „Królową Niebios”. Rozpętało to kolejną burzę, jednak ospała i powolna biurokracja Federacji nie zdążyła zareagować w żaden sposób.

– Myślę, że to musiało się stać. Przecież Pan Jezus obiecał nam, iż siły piekielne nie zniszczą nigdy jego Kościoła.

– Siły piekielne? – zdziwił się Wizner.

– Tak. W dzisiejszych czasach coraz więcej ludzi daje się opętać szatanowi. Ja spotkałam trzech.

– Żartujesz sobie ze mnie? – Spojrzał na Annę. Wpatrywała się w głąb gabloty.

– Nie. – Potrząsnęła energicznie głową. – Co najmniej trzech.

Musi w to wierzyć, pomyślał Wizner. Musi też naprawdę wierzyć w to, iż te szczątki są zwiastunem nowego życia, niezwykłą, straszliwą kładką prowadzącą w przyszłość, zwornikiem między życiem, śmiercią i życiem nowym, lepszym niż to, które znała. Być może bez tego nie mogłaby istnieć. Ale dla niego te szczątki były tylko odrażające.

– Chciałbym, żeby moje ciało po śmierci zostało spalone, a prochy rozsypane z samolotu, gdzieś w wysokich górach – powiedział i roześmiał się cicho.

Tym razem Anna wzruszyła ramionami.

– To nie ma znaczenia. Ale jeśli tego pragniesz, to niech tak się stanie.

Milczała chwilę.

– Martwisz się, prawda?

Na Wiznera spoglądało oko męczennika zawieszone w szklanym naczyniu oprawionym w srebrną puszkę. Oko spoczywało w lekko mętym płynie, a metalowa tabliczka głosiła, że należy do katolickiego powstańca poległego w obronie wiary w Meksyku, podczas prześladowań Kościoła.

– Czym? – zapytał.

– Tym, że zachorowałam. Pamiętaj, że ja nie mogę przegrać. To inni grają w gry, które łudzą wielkimi wygranymi. Moja gra jest bezpieczna – powiedziała spokojnie Anna.

Oko w naczyniu patrzyło na niego drwiąco. Wzdrygnął się.

* * *

– Mam wrażenie, że już kiedyś pana widziałem. Czy nie jest pan aktorem? – zapytał profesor Kristian Nederlof. Siedział w swoim

wytwornym gabinecie, wiele tysięcy kilometrów od Wiznera, bawiąc się czarnym wiecznym piórem i patrząc mu prosto w oczy. Każda minuta rozmowy z nim kosztowała pięć tysięcy pięćset nowych dolarów.

– Nie. Nie jestem. – Wizner nie potrafił powstrzymać lekkiego grymasu.

– Przepraszam, mam jeszcze jedno pytanie: czy jest pan katolikiem?

– Nie – odpowiedział Wizner. – Moi rodzice byli niewierzący. Ja też jestem niewierzący.

– Rozumiem, że pan nie jest dotknięty chorobą Bierregaarda? Nie widzę żadnych symptomów choroby.

– Chora jest pewna młoda kobieta.

– Skąd pochodzi?

– Z Europy Wschodniej.

– I jest zapewne katoliczką?

– O ile wiem, tak.

Nederlof uśmiechnął się z satysfakcją.

– To bardzo dziwne, ale choroba Bierregaarda dotyka przede wszystkim katolików. W czasach podboju Ameryki Indianie zapadali masowo na choroby przywiezione przez Europejczyków. Ci ostatni byli na nie uodpornieni. Indianie wierzyli, że Europejczycy są chronieni przed zarazą przez swojego Boga i przechodzili na katolicyzm. A potem AIDS. Wielu katolików uważało, że jest karą za grzeszne życie prowadzone przez homoseksualistów. A teraz – proszę bardzo. Jakby sam Bóg brał za to wszystko odwet na swoich wyznawcach.

– Nie znam się na religii – powiedział sucho Wizner. – Po prostu próbuję robić to, co do mnie należy. Interesuje mnie, który z ośrodków ma najlepsze wyniki w leczeniu tej choroby. Profesor Jens Vincent wymienił trzy miejsca. Klinikę Chudakova w Petersburgu, ośrodek Moyera w Południowej Afryce i klinikę de Villiersa pod Paryżem.

Nederlof skrzywił się, słysząc o Vincencie.

– Jens ma słabość do Francuzów. Naprawdę, trudno to wytłumaczyć. Moyer uzyskuje trzykrotnie więcej całkowitych wyleczeń niż Vincent i czterdzieści procent więcej niż Chudakov. To są najnowsze dane.

– A zatem Moyer. Pan wybrałby Moyera?

Nederlof roześmiał się.

– Och, gdyby Bóg dotknął mnie swoim palcem, wybrałbym Moyera. Jeśli mogę o to zapytać – czy jest pan emocjonalnie związany z tą kobietą?

Wizner uśmiechnął się szeroko.

– Nie. To tylko pewna skomplikowana gra.

Nederlof pokręcił w zastanowieniu głową.

– A jednak jest pan chyba aktorem.

* * *

Anna bardzo cieszyła się z przyjazdu papieża. Trzy tygodnie wcześniej postarała się o dwie przepustki i namówiła Wiznera, by poszedł razem z nią przywitać gościa, który miał kolejny raz zstąpić na Ziemię z „Królowej Niebios”.

Wizner, patrząc na jej wychudłą i bladą twarz, zastanawiał się, czego Anna może oczekiwać od tego spotkania.

Udali się do alei prowadzącej do klasztoru na pięć godzin przed planowanym przejazdem papieskiego samochodu. Anna była bardzo osłabiona i Wizner prowadził ją pod rękę. Wziął ze sobą składany plastikowy stołek, przewidując, że może się przydać. Dotarli aż do samych metalowych barierek oddzielających jezdnię od chodnika, na którym stał już tłum. Ludzie, widząc słaniającą się młodą kobietę, robili im miejsce. Na barierkach zawieszony był biało-żółty materiał. Po półgodzinie Anna

poczuła się gorzej i skorzystała ze stołeczka Wiznera. Wiatr ustał i zrobiło się nieco cieplej.

Opiekunowie grup wiernych intonowali religijne pieśni. Anna zaczęła śpiewać i wyglądało, że jej dolegliwości zelżały. Śpiewała z zapalem, lekko fałszując; co jakiś czas jej głos załamywał się. Wizner odczuwał rodzaj uniesienia i rozdwojenia, jak zawsze w takich okolicznościach. Przejazd papieża opóźniał się. Znów zrobiło się chłodniej. Wyjął z podręcznej torby stalowy termos, nalał do kubka herbaty i poczęstował Annę. Spojrzała na niego w górę, potrząsnęła przecząco głową i po raz pierwszy od czasu, kiedy się poznali, uśmiechnęła się do niego. Wizner odwzajemnił jej uśmiech. Od lewej strony dobiegły skandowane głośno okrzyki. Podniosły się ręce wymachujące chorągiewkami. Wypił herbatę i postawił termos na ziemi.

Pojawił się czarny samochód ochrony i Wizner poczuł, jak jego serce przyspiesza. Nałożył ciemne okulary. Anna podniosła się niepewnie, chwytając go za ramię i wspinając się na palce. Oceniał, że samochody jadą z szybkością piętnastu kilometrów na godzinę. Fala okrzyków wzmogła się, a potem ich ogarnęła. Widział już dokładnie samochód z przejrzystą klatką, a w niej człowieka w bieli, odwróconego akurat do nich lekko przygarbionymi plecami. Człowiek ten podnosił obie ręce w geście pozdrowienia. Minął ich i zaczął się oddalać. Gdy był niecałe sto metrów od nich, Wizner pchnął z niespodziewaną siłą Annę ku ludziom po prawej. Padając, krzyknęła zaskoczona.

Wiwatujący odruchowo cofnęli się, odsłaniając widok. Wizner przycisnął się do stalowej barierki i sięgnął pod połę jesionki. Kierowca drugiego samochodu ochrony, jadącego za papieżem, zobaczył zamieszanie po prawej stronie alei i nacisnął pedał gazu, ale w tej samej chwili oślepił go biały blask. Samochód papieski znikł w kuli ognia, a stojący blisko

niego ludzie zaczęli płonąć i straszliwie krzyczeć. Wszyscy w pobliżu rzucili się w panice do ucieczki. Po kilkunastu sekundach wiatr rozwiął dym, ukazując pusty chodnik, na którym, dygocząc, siedziała młoda dziewczyna. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem, prawą nogę miała wykręconą w nienaturalny sposób. Wokół niej leżało trochę pogubionych przedmiotów – torebki, czyjeś okulary, buty na wysokich obcasach i chorągiewki. Wśród rozpraszających się ludzi nie było człowieka o twarzy tego, który strzelał.

* * *

Wizner i Ludwig spotkali się na ulicy. Było wczesne popołudnie i pierwsze wiosenne zapachy mieszały się z odorem spalin.

– Jestem, zgodnie z umową. – Ludwig nie wyglądał dobrze. Był blady, miał podkrążone oczy.

– Wiesz, kto to jest?

Ludwig obejrzał się za siebie.

– Tak. Na pewno musisz wiedzieć? – Odczekał chwilę. – Walter Wład Satan.

– Kto? – Uliczny hałas był taki, że Wizner niemal go nie słyszał.

– Walter Wład Satan! – Przechodzący obok mężczyzna obejrzał się na nich. – Pieprzone, idiotyczne nazwisko!

Och nie, pomyślał Wizner. Musiał zmienić własne nazwisko na to właśnie. Stara tradycja, rewolucjoniści lubią to imię. Tak jak Tomas Garrido Canabal, gubernator meksykańskiego stanu Tabasco, którego bojówki, czerwone koszule, niszczyły i profanowały kościoły i zabijały księży. Miał trzech synów i nadał im imiona: Szatan, Lucyfer i Lenin.

– Gdzie go znajdę?

Ludwig wzruszył ramionami.

– Nie musisz go daleko szukać. Ma tutaj siedzibę swojej firmy. Future Trends. Podobno często tu bywa. Może nawet dziś się z nim spotkasz? – Skrzywił się kwaśno i podał mu karteczkę z wydrukowanym adresem.

Wizner spojrzał na adres. To kilka przecznic stąd!

– Muszę już iść. Żegnaj.

Uścisnęli sobie ręce. Dłoń Ludwiga była zimna, śliska i mokra jak zawsze. Odwrócił się na pięcie i za chwilę zniknął za rogiem. Po dziesięciu minutach Wizner był na miejscu. Stały tu, jeden przy drugim, siedmiopiętrowe szklane biurowce, wszystkie podobne do siebie i zimne. Wśród tablic zawieszonych przy wejściu nie zobaczył nazwy firmy. Wszedł do środka. Recepcjonista, młody chłopak z jasnymi włosami, obrzucił go obojętnym spojrzeniem.

– Szukam firmy Future Trends. Miała być tutaj, pod tym adresem.

– Tak, była. Do wczoraj. Pakowali się od rana. Wywieźli wszystko i zamknęli biura. Urzędowali na czwartym piętrze.

– A czy zna pan szefa firmy? Walter Wład Satan.

– No, słyszało się o nim co nieco. Jakieś dziwne plotki. Podobno czasem bywał tu u nas, ale, dziwna rzecz, nigdy go nie widziałem.

– Czy mogę zobaczyć pomieszczenia, które zajmowała FT?

– Musiałby pan postarać się o pozwolenie od administratora budynku.

Wizner położył przed chłopakiem banknot, sto euro.

– Tu są kamery. Jesteśmy nagrywani – zafrasował się recepcjonista.

– Ktoś to wszystko przegląda? – Wizner położył obok drugi banknot.

Banknoty znikły z kontuaru.

– Tu ma pan klucze. Zajmowali całe piętro. Tam nic już nie ma, wyczyścili wszystko dokładnie. Niech pan tam za długo nie będzie, dobrze?

Wizner obejrzał pomieszczenie za pomieszczeniem. Rzeczywiście, zabrano wszystko. Pozrywano nawet tabliczki z drzwi. Nie został ani jeden

mebel oprócz tych zabudowanych w ścianach. Kilka większych sal, rząd oszklonych boksów. Pokój na końcu korytarza, który mógł pełnić rolę gabinetu.

Została tam na ścianie jedna korkowa tablica, przypięto do niej zdjęcie. Przedstawiało czyjeś zwęglone, skurczone zwłoki. Leżały na chodniku wśród jakichś poczerniałych, spalonych resztek.

Wizner podarł fotografię i wrzucił do muszli w łazience.

Szybko opuścił budynek. Podmuchy zimnego wiatru przypominały, że do prawdziwej wiosny jeszcze daleko. Zatrzymał taksówkę i podjechał na strzeżony parking na obrzeżach miasta, gdzie stał jego wiśniowy canibal.

Skierował się na południe. Chciał jak najszybciej dostać się tam, gdzie było już cieplej. Zatrzymał się jeszcze w małym miasteczku, dwadzieścia kilometrów poza granicami stolicy, przy jakichś opuszczonych halach fabrycznych.

Zamknął drzwi samochodu, rozejrzał się i przeszedł piechotą dwieście metrów dzielących go od czerwonej budki komunikacyjnej stojącej na chodniku. Wybrał numer ośrodka pomocy społecznej w Claromontanie i poprosił panią Annę Mroczek. Po chwili zobaczył ją na małym wyświetlaczu wideofonu. Siedziała w fotelu na kółkach, przyciskając do siebie skrzyżowane chude ręce. Nogi okryte miała brązowym, brzydkim kocem, ubrana była w ciemnozielony, gruby sweter. Wizner zobaczył, jak przenosi wzrok na ekran, nie poruszając głową.

– To ty – powiedziała niewyraźnie. Spokojny i obojętny wyraz jej twarzy nie zmienił się.

– Tak. Widzimy się po raz ostatni. Słuchaj mnie uważnie.

– Zabiłeś go. Widzisz, co się stało?

– Tak. Słyszałem. Znów zmartwychwstał i ma się dobrze. Zatem nic się takiego wielkiego nie wydarzyło, prawda?

– Zabiłeś wielu innych ludzi. Poparzeni. Ciągłe słyszę, jak krzyczą! Modlę się za ciebie. Chociaż jesteś diabłem.

Westchnął cicho.

– Nie, to nie ja. Posłuchaj mnie, jedna z fundacji zajmujących się leczeniem choroby Bierregaarda wylosowała ciebie. Zostaniesz wysłana do ośrodka Moyera w Johannesburgu. Mają doskonałe wyniki w leczeniu tej choroby. Dziewięćdziesiąt pięć procent wyleczeń.

Twarz Anny pozostawała nieruchoma. Nie miał pewności, że go usłyszała ani że patrzyła jeszcze na niego.

– Czy rozumiesz mnie?

– Modlę się za ciebie – powtórzyła.

Przerwał połączenie. Oparł się o ścianę budki i przymknął oczy.

Po przeciwnej stronie ulicy zatrzymała się bagażówka. Wizner szedł wolno do swego samochodu, kiedy od tyłu nadjechał jeszcze jeden samochód, srebrny ford vampire. Mężczyzna siedzący na tylnej kanapie wyciągnął z torby pistolet automatyczny z tłumikiem i przeładował go. Uchylił okno. Wizner przystanął i odwrócił się, widząc, jak samochód niemal zatrzymuje się na jego wysokości. Wtedy padł pierwszy strzał. Leżąc już na chodniku, widział, jak mężczyzna z pistoletem wysiada z samochodu i podbiega do niego. Próbował się podnieść. Mężczyzna strzelił drugi raz z bliska, w tył głowy. Ciało Wiznera znieruchomiało. Strzelec schował broń i pospiesznie przeszukał kieszenie marynarki Wiznera. Znalazł klucze od samochodu i szybkim krokiem podążył do canibala. Tymczasem z tyłu bagażówki wyskoczyło jeszcze dwóch rostrych mężczyzn z noszami. Podbiegli do leżącego, załadowali go na nosze i zniknęli we wnętrzu auta. Canibal, prowadzony przez pierwszego z mężczyzn, ruszył z piskiem opon. Za nim podążył vampire. Bagażówka odjechała po kilku minutach w przeciwnym kierunku.

Białe słońce już zachodziło. Skądś zjawiała się dziewczynka z dużym brązowym kundlem na smyczy. Pies zatrzymał się przy czerwonej plamie na chodniku, obwąchał ją, zaskomlał i zaczął chleptać.

– Kaja! – Dziewczynka skrzywiła się ze wstrętem i szarpnęła smycz. – Zostaw!

Odciągnęła opierającego się psa i ruszyła dalej.

JERUZALEM

Rzekłem do mego Ojca:

Od tej chwili zwać cię będę Ojcem, a ty nazywaj mnie synem, aby zaczęło się pisać Pismo, które już przed wiekami było.

On zaś odpowiedział:

Dobrze, jeśli tego chcesz, niech tak będzie.

Rzekłem: Niech stanie się świat, jakim go znamy, niech prawa tego świata będą i lud pośród niego wolny w tym, co dobre i złe, tak aby mogło dokonać się Odkupienie.

I stał się świat i prawa jego. Lud, wolny w tym, co dobre i złe, powstał i obrócił się przeciwko swemu Stworzycielowi.

I rzekłem do Ojca:

Ześlij mnie do mego ludu, aby stało się Nowe Jeruzalem.

Ojcze mój, jak straszliwie cierpiałem! Pot i krew zalewały moje ciało, ból nie do zniesienia dławił oddech i wzywałem w duchu nadejścia ciemności. Ale ciemność nie nadchodziła i wciąż widziałem wokół siebie nijakie, głupkowate twarze gapiów, szydercze twarze moich prześladowców i obojętne żołnierzy.

Gdzież moi uczniowie, których tak umiłowalem, gdzie lud, który łaknął był mego słowa i chleba? Gdybym ujrział choć jedną twarz oddaną mi i przyjazną... wytrwałbym. Ale pojąłem wtedy, w tej chwili największego cierpienia, że nie są go godni i inaczej trzeba z nimi poczynać.

– Ojczy, obróć złość moich prześladowców przeciw nim i wyzwól mnie!
– krzyknąłem wielkim głosem.

Gwoździe wysunęły się z mego ciała, rany zasklepiły i stanąłem twardo tuż przy krzyżu. Patrzyłem teraz na nich z gniewem, widziałem zdumienie malujące się na ich tępych twarzach, z trudem kryjących swe zwierzęce powinowactwa. Oto jakiego cudu trzeba wam było!

– Ojczy, ukarż moich dręczycieli i ześlij na nich zagładę!

Niebiosa rozwarły się i jasność ogarnęła ziemię. Gapię, moi sędziowie i kaci krzyczeli ze strachu, a potem upadli i wili się w boleściach. Niektórzy błagali:

– Panie, byliśmy ślepi i głusi, odpuść nam, nie zsyłaj na nas śmierci!

Jednak serce moje było sprawiedliwe i oddawali ducha w bólu i ponizeniu, tak że mój gniew nasycił się pomstą.

Obszedłem całą górę, karmiąc swe oczy widokiem spustoszenia.

Ciemne chmury zakryły niebo i nadeszła burza. Deszcz obmywał moje rozgorączkowane ciało, pełne pamięci męki, a ja dumałem nad losem mego ludu.

Dzieło zbawienia nie dokonało się jeszcze. Szczęście wspólne dalej leżało mi na sercu i o niczym innym nie myślałem – mimo doznanego zawodu. Wszedłem w ciało cezara panującego w stolicy światowładnego imperium. Nie objawiałem zrazu swej istoty otaczającym mnie doradcom, wodzom, dostojnikom, urzędnikom i służbie, choć przecież dostrzegali dziwną zmianę w imperatorskim zachowaniu.

Patrzyłem. Czytałem listy zarządców prowincji, dowódców legii, poborców podatkowych, donosicieli, szefów tajnych służb. Wreszcie pewnego upalnego dnia objawiłem swoją istotę. Byli zmieszani i zdziwieni, widziałem, że nie wierzą we mnie, aż poraziła ich niebiańska światłość i padli przede mną na kolana, i łkając, prosili, bym im przewodził i rozkazywał, ja, prawdziwy Syn Boży.

Przemówiłem do nich.

– Przyszedłem, by spełniło się Królestwo Boże na wszystkiej ziemi, by wszystkie ludy sławiły imię Wszechmogącego, w szczęściu i radości spożywając owoce Jego łaski. Porzućcie pychę i ułomną mądrość, porzućcie bogactwa i małe troski, pójdźcie za mną, a wejdziecie do Królestwa Niebieskiego na ziemi. Odtąd miłość i wzajemna dobroć będą prawem i budulcem Królestwa. Nie ma już niewolnika i pana, wszyscyście równi przed boskim majestatem, nie ma już bogatego i biednego, głupiego ani mądrego, silnego ani słabego, bo są tylko ci, którzy wierzą we mnie, a inni pójdą na zatracenie.

Wielu nie mogło pojąć tego, co się stało, i szemrano, że cesarz oszalał i ogłosił się bogiem. Było tak, że ci, którzy przedtem mieli wiele rozwagi i rozumu, stawali się nierozumnymi szaleńcami, a ci, którzy nosili znaki szaleństwa, zadziwiali mądrością i podejmowali ochoczo moją naukę.

Pierwszym był Korneliusz, prefekt pretorianów, o twarzy okrutnej i szpetnej. Czytałem jego myśli, bo przypadł mi do serca.

Przybył do mnie i rzekł:

– Panie, pozwól, bym był najpokorniejszym z twoich sług, rozkazuj, a będę narzędziem twoich boskich myśli.

– Cieszą mnie te słowa, Korneliuszu, wielkie żniwa przede mną i moim narodem i trzeba wiele pracy, by podołać wyzwaniu. Potrzebuję twojego silnego ramienia i twoich bystrych oczu, nie nadeszła jednak jeszcze pora.

Zwołałem uczonych mężów i kapłanów Miasta, by ich oświecić. Mieli w sobie obłudę i kłamstwo, z ustami pełnymi gładkich słów kłaniali mi się nisko i uśmiechali przymilnie, lecz skrywali nienawiść i pogardę. Wytraciłem chytrą zgraję co do jednego. Wezwałem uczniów tychże i przedstawiłem im swoją naukę. Tak samo jak tamci wzgardzili mną, więc przepadli bez wieści. Kazałem przywołać uczniów tych ostatnich i przekonałem się, że wielu otworzyło swe uszy na moje słowa. Tych oszczędziłem, choć pełno w nich było pogańskiego jadu. Dałem im objawienie obleczone w kształt Pisma, by nauczali o nim po krańce ziemi.

Zebrałem senatorów i powiedziałem:

– Od dzisiaj nie ma już pana i niewolnika i to, co należy do pana, należy też i do niewolnika. Bogactwo z mojej łaski dzierżone będzie przez pana, tak że nie będzie już niedostatku i niesprawiedliwości.

Oburzyli się na to senatorowie, poczęli spiskować przeciwko mnie. Próbowali zadać mi śmierć, jednak ich sztylety obracały się przeciwko nim i marnie poginęli. Poruszyli się też niewolnicy i biedni, kiedy doszły do nich wieści o Odkupieniu. Zabijali panów i rabowali bogactwa, nie pojmowali, że moje bogactwa trwonią, zmierzając do nędzy. Wezwałem Korneliusza i powiedziałem:

– Czyń, co do ciebie należy.

Korneliusz skłonił się nisko i poszedł ze swymi żołnierzami, niosąc śmierć buntownikom. Tak też i senatorowie, i wielcy możni zaczęli pojmować moją naukę. Ci, którzy ocaleli, przyszli do mego pałacu i bijąc pokłony, składali mi dary i ogłaszali się moimi uniżonymi sługami.

Aż dotąd lud stolicy czcił pogańskie bożki w ich starych świątyniach, oddając się szatanowi i jego pomocnikom. Rozkazałem zburzyć te siedziby zła, a kiedy ich mury się waliły, bezbożni złorzeczyli mi i ogłaszali nadejście końca świata. Lud, poduszczony przez pomocników piekła,

podniósł bunt i Korneliusz znów musiał użyć swojej siły i bezwzględności. Ogień pożarów nie dogasł jeszcze, a ja myślałem już o prowincjach imperium, które czekają na Radosną Nowinę, i o tych nieznanym obszarach lądów, gdzie barbarzyńskie plemiona żyły w mrokach grzechu. Nie chciałem nadużywać swej mocy czynienia cudów, pragnąłem, by sam mój lud włączył się w dzieło zbawienia, by weszło mu ono w ciało i krew, i w samo sedno duszy, a nie mogło to dokonać się lepiej niż przez budowanie Królestwa jego własnymi rękoma.

Moi słudzy słowem i mieczem szerzyli Naukę Bożą. Wielu pogan odrzuciło moją naukę, wiele ludów powstawało przeciwko moim namiestnikom. W całym państwie powstał zamęt, a barbarzyńcy, wykorzystując to, uderzyli na nasze granice, paląc, mordując i grabiąc.

Na Wschodzie Eliusz Severus, dowódca legii syryjskiej, podniósł bunt. Wkrótce wszystkie wschodnie prowincje przyłączyły się do niego, ogłaszając mnie uzurpatorem, szaleńcem i wrogiem ojczyzny.

Severus zebrał wielką armię i ruszył na Zachód, zamierzając pokonać mnie i objąć władzę. Wysłałem przeciw niemu swe wojska.

Mogłem porazić całe wojsko Severusowe totalną zagładą, mogłem też zesłać śmierć na samego Severusa. Mogłem zstąpić na świetlistym obłoku, przerazić ich objawieniem mojej boskości i tak zmusić do uległości.

Jednak nie uczyniłem tego.

Czytałem tylko dochodzące do mnie raporty. Jak już rzekłem, nie chciałem nadużywać swej boskości. Cóż warta byłaby wiara oślepionych wyraźnymi dowodami mej niezwykłej mocy? Niech wierzą lepiej w to, czego nie widzieli, tu czekała ich próba wierności. Błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Błogosławieni ci, którzy oddali życie za wiarę we mnie. We krwi, pocie i znoju winna była gruntować się moja nauka, mój święty Kościół, gdyż nie ma lepszego spoiwa i budulca.

Moje wojska doznały wielu klęsk, cofały się w ciężkich i zaciekłych bojach, jednak ostatecznie szala zwycięstwa przechyliła się na moją stronę i cieszyłem się moją cierpliwością i powściągliwością.

Odparłem najazd, a Severus, pokonany i upokorzony, popełnił samobójstwo.

Lud, wygłodzony i wymęczony wojnami, prowadzony żelazną ręką przez moich apostołów, bardziej był teraz skory do zmiany wiary i błędnych przyzwyczajęń. Wszędzie powstawały świątynie nowej wiary, wszędzie moi kapłani głosili Radosną Nowinę i chwałę Jedynego. Kiedy moc Pisma starła z powierzchni ziemi zewnętrzne znaki pogańskiego wszeteczeństwa, nadszedł czas na głębszą i ważniejszą zmianę – w samym rdzeniu dusz. Nowa wiara była jak wierzchnie odzienie noszone dla niepoznaki. W kręgu rodziny i przyjaciół nadal trwały stare zwyczaje i przesady. By wykorzenić to zło, powołałem Tajną Radę, która z kolei stworzyła sieć donosicieli. Tajna Rada czuwać miała nad czystością życia obywateli, nad tym, by przyjęli do swoich serc naukę miłości i braterstwa.

Działalność Rady nie była krępowana żadnymi ustawami; mając na względzie dobro społeczności i bliźniego jako cel swój najwyższy, nie mogła być spętana niedoskonałymi prawami ludzkimi. Wielka rzesza ludzi pracowała dniem i nocą, prowadząc Królestwo Boże ku coraz większej doskonałości. Państwowi informatorzy spełniali rolę nieocenioną, w znacznej mierze dzięki nim urzeczywistniała się zasada równości i sprawiedliwości – zarówno zarządca dóbr ziemskich Królestwa, jak i podległy mu pracownik byli poddani ustawicznej czujności sług pańskich i dzięki jednemu donosowi role ich mogły się łatwo odwrócić. Nikt nie był pewny dnia ani godziny i tylko wielka gorliwość w służbie i ufność pokładana w łaskawość Wszechmogącego stanowiły pewne zabezpieczenie.

Olbrzymia lawina donosów i raportów zadławiła cesarską administrację, dlatego też zaczęła się ona rozrastać niepomrotnie i zyskiwać coraz większe znaczenie. Obawiałem się, by członkowie Tajnej Rady nie popadli w grzech pychy, i utworzyłem kilka innych ciał, które miały kontrolować się nawzajem i badać stan dusz obywateli. A tu już i nowe niezmiernie zadania zaprzętały moją uwagę.

Wprawdzie trwała żwawo budowa Królestwa Bożego w granicach imperium, ale liczne ludy barbarzyńskie w puszczech Germanii, w śnieżnych krainach Północy, w piaskach Arabii, w Persji, na niezbadanych obszarach Afryki, Indii, w dalekich Chinach, a także w innych, nieznanym jeszcze zakątkach świata czekały w mękach grzechu na nadejście Odkupiciela.

Armia imperatorska stale rosła w siłę, lecz przez to ogromne podatki i bieda przytłoczyły wszystkich obywateli. Doszły do tego wydatki na rosnącą administrację, tak że w końcu całe prowincje zaczęły przymierać głodem. Nie przejąłbym się tym bardzo – wszak budowa Królestwa Niebieskiego warta była każdych wyrzeczeń, a i odrywała słabe dusze ludzkie od niskich, marnych celów. Cóż, kiedy w końcu odbiło się to na sumie wpływających podatków. Niedożywieni i przemęczeni pracowali coraz gorzej mimo zabiegów Tajnej Rady i kilku podobnych jej wspomóżycielek, z coraz mniejszym zapałem albo, lepiej powiedzieć, z zapałem coraz lepiej udawanym. Jeszcze raz trzeba mi było stanąć wobec słabości i małości mego ludu.

Z drugiej strony zmysły ludzkie, jakimi przystroiłem moją boską istotę, były niedoskonałe i ułomne. Nie byłem nawet w stanie przejrzeć wszystkich donosów napływających choćby z samej tylko stolicy! Musiałem w ogromnej mierze polegać na moich współpracownikach. A ci nie byli doskonali i chociaż często doświadczałem mej boskości – musiałem

od czasu do czasu wzmagać w nich słabnącego ducha – to zdarzało się, że błądzili i stawali się wrogami Pisma. Karałem ich przykładnie, ale skoro w moim najbliższym otoczeniu zdarzali się odstępcy, to jak mogło być na krańcach imperium? Nie mogłem się przecież uobecnić wszędzie naraz, a gdybym nawet to uczynił, czy nie ucierpiałaby na tym powaga i dostojeństwo Pisma? Czy miałem być krzakiem gorejącym przy każdym obywatelu? A może mieczem Damoklesowym zawieszonym nad wszystkimi głowami?

W pewnym sensie byłem nim – poprzez moje służby w różnych tajnych służbach. Jednakże każdy z nich był tylko ułomnym człowiekiem, a ja pragnąłem doskonałości i absolutnej pełni. Jak można było osiągnąć ową wymarzoną doskonałość w państwie, w którym wieści z jednego jego krańca do drugiego docierały w miesiąc, a żołnierze uzbrojeni byli w miecze, proce i włócznie?

Wszystko to trzeba było zmienić. Królestwo Boże potrzebowało nowych, potężnych środków, aby zdławić swoich licznych wrogów i wydajniej kontrolować umysły obywateli. Tych nowych środków dostarczać miała nauka i to ona miała zastąpić działanie mojej boskiej woli. Dałem więc swemu ludowi światło wyższej wiedzy, wkrótce zaczęły powstawać fabryki, do których spędzono tłumy wieśniaków, a też nowe miasta, drogi, maszyny i wszystko uległo zdumiewającemu przeobrażeniu.

A pośrodku wszystkich przeobrażeń byłem ja, nowy Prometeusz, boski Odkupiciel.

Nastał czas dziwnego pomieszania; wielkie masy ludzkie przemieszczały się z miejsca na miejsce, całe narody ginęły z głodu lub w wyniku wyniszczających wojen, moi doradcy przychodzili do mnie ubrani w peruki, kontusze, garnitury, mundury polowe, fraki, długie, kolorowe płaszcze, suknie, moja gwardia uzbrojona była w pistolety maszynowe,

muszkiety, szable, halabardy, a cały świat stawał się zawrotnym wirowaniem.

Zdawało mi się, że każdy z ludzi jest rozdwojony w sobie i ma dwa oblicza: jedno dla mnie, pobożne i skupione, pełne miłości i najczystszej oddania; i drugie, niewidoczne, mroczne i nieodgadnione, którego tylko się domyślałem jako możliwej przeciwności tego pierwszego. Jak miałem odkryć, czy to drugie oblicze istnieje naprawdę? Jak miałem przebić się przez maskę, która jedno stanowiła z twarzą? Schodziłem do lochów, gdzie przesłuchiowano odszczepieńców i heretyków, gdzie w męczarniach wydobywano z nich ich najskrytsze grzeszne tajemnice, a potem oczyszczano ogniem. Lecz nie odnalazłem tego, czegom szukał.

Ogarnęła mnie rozpacz i trwoga, rozwiesiłem się boskim płomieniem przy każdym mieszkańcu ziemi, zajrzałem każdemu w oczy i zobaczyłem, że wszystkie przeczą memu istnieniu, więc poczułem się najbardziej samotnym z ludzi. Rozpacz i gniew targnęły moim sercem, stałem się wielkim pożarem trawiącym cały zapadający się wszechświat, byłem teraz tym, czym na początku – rozżarzoną, gorejącą pustką.

SIEĆ I MŁOT

Gliwice /Glewitz, 20 listopada

Młodszy inspektor Urzędu Kontroli Oprogramowania Rajmund Zielesny leżał ciągle w łóżku i słuchał zamówionej na ósmą rano muzyki Bacha. Za hermetycznym oknem hotelowego pokoju padał brudny śnieg i blade światło wpadające do środka wprawiało go w lekko melancholijny, acz przyjemny nastrój. Nie lubił zaczynać dnia od gorączkowego miotania się między łazienką a kuchnią i czerpał teraz przyjemność z ulotnej chwili beztroski. Wreszcie wstał, umył się (w hotelu woda była całkiem czysta, wcale nie cuchnęła) i zjadł śniadanie w hotelowej restauracji. Odświeżony mocną kawą, wrócił do swojego pokoju i zamknął drzwi na klucz, po czym usiadł w fotelu przy stoliku i ściągnął zawieszoną u sufitu maskę interfejsu. Maską przyłgnęła do jego twarzy z cichym młaśnięciem. Poczł mrowienie na skórze całej głowy, a potem zobaczył przed sobą półkę z korespondencją. Po lewej stronie leżała paczka zawinięta w czerwony papier pakowy z napisem „Centrala”. Zielesny rozwinął ją i znalazł się w gabinecie swojego szefa, Gabriela Ficka.

– Dzień dobry – powiedział do niego szef, palcami zaczesując swoje rzadkie włosy do tyłu. – Mam nadzieję, że twoja praca na Śląsku przebiega

pomyślnie.

– Zebrałem już trochę materiału, mam zamiar dzisiaj rozpocząć przegląd tych śmieci.

– Dobrze, możesz to pociągnąć. Ale mam dla ciebie coś ekstra. Pracujemy nad tym już od kilku dni, cała sekcja nielegalnych gier. Wydaje mi się, że to coś szczególnie interesującego.

– Czy ma to związek z moją obecną lokalizacją?

– Nie, to sprawa o zasięgu znacznie większym. Mamy sygnały z Niemiec i Włoch, tam też się to pojawiło. I w Grecji, to ostatnia informacja.

– Fick spojrzął na blat stolika, na którym porozrzucone bezładnie papiery zaszeleściły i poprzesuwały się. Złapał kartkę, która zawisała przed nim trzy cale nad blatem. – Gra o najwyraźniej ujemnej całce wypłat po wszystkich trajektoriach. Bardzo niebezpieczna, stworzył ją ktoś bardzo sprytny. Jeśli znajdziesz trochę czasu, to spojrzysz na to.

No tak, pomyślał Zielesny, a już myślałem, że ten mój wyjazd to będzie plaża.

– OK. Zobaczymy.

– Dołączyłem do paczki z grą trochę informacji, które już zdobyliśmy. Zapoznaj się z nimi.

– Jasne, szefie.

– Dobra, muszę już kończyć. Spróbuj coś z tego wydusić, wiesz, to może być cholerna afery. I nie przebywaj za dużo na otwartym powietrzu.

Obraz szefa zniknął. Zielesny uśmiechnął się – szef wiedział, że miejscowi nie używają zwrotu „być na świeżym powietrzu” – i wysłał zwrotny plik z zapisem rozmowy. Obejrzał jeszcze raz półkę. Obok paczki z napisem „Centrala” leżała teraz druga, znacznie większa. Pulsowała fioletowym światłem i nie była oznaczona. Zielesny popatrzył na nią z niechęcią. Nie lubił nagłych, dodatkowych zadań, które odrywały go od

tego, co właśnie robił. Przeniósł wzrok na niższą półkę. Leżało tam kilka małych paczek owiniętych w zielony papier. Były w nich nielegalne gry, które zebrał w lokalnej sieci w ciągu kilku ostatnich dni. Rozwinął jedną, oznaczoną napisem „Ekogra”.

Znalazł się w pokoju z dużym prostokątnym stołem pośrodku. Przy stole siedziało kilka osób. On sam nazywał się teraz Stanisław Krasny i był reprezentantem rządowego Biura Koordynacji przy Urzędzie Studiów Strategicznych. Był też, o czym obecni nie wiedzieli (taką miał przynajmniej nadzieję), agentem Stowarzyszenia Odpowiedzialnych. Zielesny poczuł ukłucie niepokoju, bo w grze zero, jak ludzie z branży nazywali pierwotną, nieprzekształconą rzeczywistość, był jednym z kilku reprezentantów Zielonej Ciszy na Europę Środkowowschodnią. Głos miał w tej chwili generał Wilga.

– Nie powinniśmy mieć co do tego żadnych złudzeń. Już od kilku lat służby specjalne Niemców penetrują intensywnie teren Śląska. Nasz wywiad uważa za pewne, że prędzej czy później Niemcy będą usiłowali przejąć nad nim kontrolę, wykorzystując swoją przewagę ekonomiczną, a w razie potrzeby także militarną. Tak więc uważam, że sytuację ekonomiczną i ekologiczną regionu należy rozpatrywać w tym kontekście. Katastrofa ekologiczna ma różnorodne implikacje. Na przykład od dłuższego już czasu więcej niż sześćdziesiąt procent poborowych z Górnego Śląska nie nadaje się do służby z powodu znacznego obniżenia sprawności umysłowej i fizycznej.

– W innych regionach kraju występują podobne problemy – powiedziała pani minister ochrony zasobów.

– Nie w takim natężeniu i nie obejmują tak dużych skupisk ludzkich. – Generał poprawił okulary. – Sytuacja na razie się pogarsza i w ciągu najbliższych lat nie będzie nas stać na powstrzymanie degradacji. Wobec

tego uważam, że należy zauważyć także i pozytywne strony tego problemu – i wykorzystać je. Po pierwsze, trzeba podjąć badania nad wpływem długotrwałego przebywania w środowisku toksycznym na psychikę, trzeba poznać zmiany biologiczne, jakie zachodzą w organizmie, i skutki tych zmian zarówno w aspekcie indywidualnym, jak i społecznym. Zebrane dane mogą okazać się niezwykle cenne w okresie powojennym, jeśli wojna będzie odbywać się z użyciem chemicznych środków bojowych. Po drugie, znaczne skażenie tego terytorium może okazać się skutecznym czynnikiem odstrasającym. Będą mieć mniejszy apetyt na kęs, który może ich przyprawić o ból żołądka.

Krasny poczuł, że blednie.

– Czy to znaczy – powiedział – że ma tu być poligon doświadczalny wojny chemicznej?

Generał spojrział na niego chłodno.

– Mówię o sytuacji takiej, jaka ona jest. Nie możemy obrazać się na rzeczywistość, musimy próbować wpływać na nią w sposób dla nas możliwie najlepszy. Jesteśmy biednym i małym krajem, musimy wykorzystać każdy nasz atut.

– A co z ludźmi?

Wilga wzruszył ramionami.

– Są pewnie w swojej masie bardziej zadowoleni z życia niż reszta. Naprawdę niewielu z nich zastanawia się jeszcze nad takimi rzeczami. Większość tych, którzy byli wystarczająco przedsiębiorczy, już dawno wyjechała.

– Więc może powinniśmy rozluźnić kontrolę polityczną nad obszarem, którego parametrów środowiskowych nie potrafimy już kontrolować?

Zebrani spojrzeli z wrogością na Krasnego.

– Czy pojmuje pan, co pan mówi? – Generał patrzył na niego zmrużonymi oczyma. – Takie słowa nie powinny padać z ust prawdziwego patrioty.

Krasny poczuł, że błędnie jeszcze silniej. Zielesny przez chwilę zastanawiał się, czy ta emocja jest autentyczna, jego własna, czy też jest tylko elementem środowiska psychicznego gry, narzuconego mu z zewnątrz.

Doszedł do wniosku, że to jednak gra.

* * *

Krzysztof Melle zdenerwował się, kiedy usłyszał dobiegający spoza słuchawek dziewczęcy głos.

– Będzie pan musiał na chwilę przerwać.

Zaklął i przez moment manipulował jeszcze wstęgami wielobarwnych wykresów, po czym ściągnął maskę i odwrócił się. W drzwiach stała uśmiechnięta dziewczyna w granatowym ubraniu roboczym.

– O co chodzi? – warknął.

– Przyszłam naprawić awarię. Muszę wymienić jeden z modułów.

– Nie zauważyłem żadnej awarii.

– Dostaliśmy sygnał z kontrolki. Moduł trzy-trzy-cztery jest uszkodzony.

– Dziewczyna nie przestawała się uśmiechać.

Melle zaklął jeszcze raz i odsunął wysięgnik z maską na bok. Zawieszona na elastycznym przewodzie, wyglądała jak wielka meduza.

– Proszę, może pani zaczynać.

Podeszła do ściany i położyła na podłodze czarną skórzaną torbę. Jej ruchy wydały się Mellemu niezwykle lekkie. Odkręciła jedną z płytek pokrywających ścianę i wetknęła w otwory kontrolne końcówkę miernika. Melle nie przestawał na nią patrzeć. Rodziło się w nim coś dziwnego, czego

nigdy dotąd nie doświadczył. O Boże, pomyślał, przecież ona zaraz sobie pójdzie!

– Właśnie, to ten moduł! – Serwisantka wysunęła ze ściany małą szufladkę. Wyjęła z niej czerwoną kostkę, wrzuciła do torby, z której wyciągnęła inną i włożyła na miejsce starej.

– No i gotowe, może pan dalej pracować. – Uśmiechnęła się do niego.

Patrzył z rosnącą paniką, jak zawiesza torbę na ramię i rusza w kierunku drzwi.

– Przepraszam, że panu przeszkodziłam.

– Och, to nic... – wykrztusił Melle.

– Do widzenia – powiedziała i uśmiechnęła się po raz ostatni.

– Do widzenia.

Och, jak ona wygląda, pomyślał, rozdziawiając usta. Siedział tak przez chwilę po jej wyjściu, a potem nałożył z powrotem maskę.

„Kim jest ta dziewczyna? Jak się nazywa, gdzie mieszka?” – zapytał Sieć.

„Nie wiem, o kim mówisz” – odpowiedziała Sieć. „Sprecyzuj pytanie”.

„Przed chwilą była tu dziewczyna z wydziału napraw. Musisz wiedzieć, o kogo chodzi. Wymieniła jeden z modułów”.

„Wiem. Zadaj pytanie”.

„Jak ona się nazywa?”

„Nie wolno mi odpowiadać na takie pytania. Dane personalne są zastrzeżone. Przykro mi”.

To przecież oczywiste, chyba zwariowałem, pomyślał Melle.

„Chyba zwariowałem, zakochałem się w niej, błagam cię, pomóż mi ją odnaleźć, przecież mogę jej już nigdy nie zobaczyć, w wydziale napraw pracują tysiące osób!”

„Możesz spróbować przesłać jej list. Nie jest to zabronione. Przekażę go jej, a jeśli będzie chciała, to prześle odpowiedź”.

Napisał kilkanaście wersji listu, w końcu wysłał list następującej treści:

„Droga nieznajoma!

Spotkaliśmy się dzisiaj i nie mogę przestać myśleć o Pani. Wymieniała Pani moduł w moim systemie. Błagam, niech mi Pani prześle jakąś informację o sobie. Muszę się z Panią spotkać!”.

Potem próbował wygenerować trójwymiarowy model kobiety, ale wyniki go nie zadowoliły. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, jakie miała włosy. Był jednak pewien, że były piękne. Co parę minut pytał Sieć, czy przekazała już jego list, ale ta ciągle przeczyła i przypominała mu monotonicznie o obowiązkach.

Kiedy zdejmował maskę po dniu wczasy, zobaczył siedzącego na brzegu szafy bożka miłości. Miał postać pyzatego amorka. Amorek mrugnął do niego, uśmiechnął się trochę szyderczo i powiedział:

– Strzał w dziesiątkę, co?

Melle nie odpowiedział. Wybiegł w pośpiechu z pokoju. Przyszło mu do głowy, że może przecież przypadkiem spotkać dziewczynę gdzieś na mieście.

* * *

Zielesny kończył pisać raport na temat przejranej właśnie gry. Była oczywiście nielegalna, inaczej nie zawracałby nią sobie głowy – nie była zarejestrowana i nie zawierała żadnych danych o autorach. Właśnie te dwie cechy kwalifikowały ją jako oprogramowanie nielegalne, co powinno pociągnąć za sobą dochodzenie. Jednakże w Sieci pojawiała się takie mnóstwo nierejestrowanych gier, że wszczęcie postępowania w większości przypadków nie było fizycznie możliwe. Wobec tego Urząd Kontroli

Oprogramowania zajmował się wyłącznie takimi produktami, które były wyraźnie szkodliwe społecznie lub godziły w bezpieczeństwo państwa.

Sporządzenie raportu opiniującego software należało do obowiązków Zielesnego.

Wszystkie możliwe warianty zachowania bohaterów gry prowadziły po krótszym lub dłuższym czasie do biologicznej zagłady regionu. Zielesny w swoim raporcie zasugerował, że mogła powstać na zamówienie którejś z miejscowych grup ekologicznych. Miała też wyraźnie antypolskie akcenty, a więc mogła być inspirowana przez ekstremalne kręgi mniejszości niemieckiej. Zielesny spakował raport, wysłał go do Centrali, a potem zszedł do hotelowej restauracji na obiad. Był tam umówiony z Joachimem Lernem, miejscowym pracownikiem Urzędu Kontroli Oprogramowania. Znał go od dawna i wiedział, że to trochę dziwny gość, znał jednak doskonale zasoby lokalnej sieci i miewał czasem niezłe pomysły.

Przez okna przenikało światło wczesnego popołudnia. Restauracja była prawie pusta i od razu zauważył Lerna siedzącego za stolikiem przy oknie i dłubiącego w nosie. Opanował wyraz niechęci na swojej twarzy i podszedł do stolika.

– Cześć. Jak się masz?

Lern popatrzył na niego swoimi szklistymi oczyma. Nic nie odpowiedział. Zielesny poczuł, że coś jest nie w porządku.

Usiadł i zamówił dwa obiady.

– Czy coś się stało?

Patrzył na wielką, łysą, trzęsącą się głowę. Ile on mógł mieć lat? Pięćdziesiąt? A może trzydzieści pięć?

Lern wyciągnął serwetkę z podstawki i zaczął się nią bawić. Złożył ją kilkakrotnie, przedarł w dwóch miejscach i utworzoną w ten sposób skomplikowaną trójwymiarową figurę ustawił na stoliku. Był to aktualny

znak rozpoznawczy członków Zielonej Cisy. Zielesny zdumiał się. Spojrzał na Lerna, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

– Podążamy w górę lub w dół i nikt nie zna pewnej drogi. Jaka jest twoja droga? – zapytał cicho.

– Moja d-d-d-roga prowadzi w dół – wyjąkał Lern.

To był zwykły bełkotliwy głos Lerna. Zielesny zdziwił się, tak jakby ujrzany przed chwilą znak mógł być sygnałem, że w skórze Joachima siedzi ktoś inny. Jednak ten ktoś, jeśli tam był, na razie milczał.

– Jak ci mogę pomóc?

Mężczyzna po drugiej stronie stolika przymknął oczy.

– Gra. Nowa gra. Droga prowadzi przez nową grę.

– Jaka gra?

– Już wiesz.

Tak. Zielesny już wiedział. Była to gra, o której mówił dzisiaj rano jego szef.

– Musisz na siebie uważać. Nie wyglądasz dobrze – powiedział Zielesny.

– Najlepiej, jeśli przerwiesz jej badanie.

– Nie. Niemożliwe. Przerwać niemożliwe.

Nadszedł kelner z obiadem. Joachim Lern rzucił się na posiłek, jakby nie jadł od kilku dni.

– W takim razie – powiedział Zielesny – chciałbym móc liczyć na twoją pomoc. Spotkamy się na tej samej drodze.

* * *

Melle nie spotkał oczywiście dziewczyny. Błąkał się po mieście przeszło dwie godziny, po czym, zziębnięty i przemoczony, bo zaczął padać śnieg z deszczem, pojechał tramwajem do domu.

Często wieczorem, gdy zapominał o matczynych objęciach Sieci (niech będzie błogosławione zapomnienie, które niesie ze sobą zapamiętała i szaleńcza praca), zaczynał odczuwać lęk. Ów lęk narastał stopniowo i kiedy nie brał jeszcze środków antydepresyjnych, był niemal nie do zniesienia, tak że nieraz wybiegał z domu i zaczynał przypadkowo spotkanych ludzi. Udawał żebraka, prosił ich o pieniądze, a czasami o chwilę rozmowy. Gdy kładł się do łóżka, zwykle długo nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok. Na krześle w kącie pokoju, kiedy otwierał lub zamykał oczy, widział bożka lęku. Był ubrany w szary płaszcz z kapturem, a jego kościste dłonie, przypominające szpony, leżały na złączonych kolanach. Bożek lęku nigdy nic nie mówił, tylko siedział i patrzył na niego, czekając. Melle nie wiedział dokładnie, na co tamten czeka, i napełniało go to przerażeniem. Najstraszniejsze było to, że nie mógł dostrzec twarzy bożka, albo raczej widział ją bardzo niedokładnie. Więc przewracał się na drugi bok i krzyczał ze strachu. W końcu, kiedy był już dostatecznie wyczerpany, wyobrażał sobie, że spada na niego ogromny stalowy młot, który miażdży go jednym cudownym uderzeniem. Wyobrażał sobie, jak jego czaszka pęka i to, co zadaje mu taki ból, ten skłębiony chaos nie do opanowania, przestaje istnieć. Ogromny młot spadał raz za razem, aż Melle, uspokojony i odprężony, zasypiał.

Tego wieczoru nie odczuwał lęku. Napełniała go melancholia, która była przyjemna w porównaniu ze zwykłym stanem lękowym. Czekał na słodkie i niepewne jutro. Na krześle siedział amerek i machał bosymi stopami.

– Dobranoc, dobranoc, życzę ci słodkich snów. – Bożek miłości uśmiechnął się do niego.

Odwzajemnił jego uśmiech i zamknął oczy. Wiedział, że dzisiaj zaśnie bez kłopotów.

* * *

Zielesny wrócił do siebie i zamknął drzwi na klucz. Nowa gra, którą przesłał Fick, niepokoiła go. Jeśli zdołała opętać tak wytrawnego gracza jak Lern, to musiała być rzeczywiście niebezpieczna. Usiadł w fotelu przy oknie i włączył się w Sieć. Patrzył przez chwilę na pulsującą fioletowym światłem paczkę, po czym wszedł do gry.

Znalazł się w niewielkim pokoju, na którego środku stał niski stolik przykryty białym obrusem. Obejrzał się i za sobą zobaczył drzwi obite skórą. Na stoliku leżał pistolet. Podszedł i podniósł broń. Był to zwykły pistolet P-10 kalibru dziewięć milimetrów, czternastostrzałowy, taki, jakich używała teraz policja. Obok leżała karteczka. Nerwowy charakter pisma, rozmazana kropla niebieskiego atramentu: „Weź mnie!”. Sprawdził magazynek. Był pełny. Ostra amunicja. Włożył broń do wewnętrznej kieszeni marynarki, a potem otworzył drzwi.

– Witamy pana w naszej grze – powiedziała do niego dziewczyna z olśniewającym uśmiechem. Miała drobne, równe zęby. Siedziała za biurkiem w pokoju przypominającym sekretariat. Po jej prawej stronie były drzwi z napisem „Mu”.

– Proszę, niech pan usiądzie. – Wskazała ruchem głowy krzesło przed biurkiem.

Odniósł wrażenie, że wie, kim jest i po co wszedł do gry, co na samym jej początku nie wróżyło nic dobrego i było nieprzyjemnym zaskoczeniem.

– Od kogo dowiedziała się pani, kim jestem? – zapytał, idąc za podszeptem intuicji.

Dziewczyna oblizwała językiem górną wargę. Wyglądała piekielnie zmysłowo i wyzywająco.

– Od Mu. Mówił, że pan przyjdzie.

– Od Mu? A kim jest Mu?

– Nie zna pan Mu? To wspaniały człowiek. Z całą pewnością bardzo go pan polubi.

– Być może. Ale proszę mi powiedzieć, kim on jest – odparł Zielesny.

– Och, on tu wszystkim rządzi. Wszyscy tu jesteśmy jego podwładnymi. Kochamy go – tak chyba można powiedzieć.

Zacząła rozpinać guziki swojej bluzki. Wstała i przeciągnęła się. Zielesny patrzył z rosnącym niepokojem na jej nazbyt płynne, nienaturalne ruchy. Rzuciła bluzkę na podłogę i zaczęła zdejmować spódniczkę. Spojrzała na niego namiętnie, z wyraźnym apetytem. Było w niej coś dzikiego i zwierzęcego. Była już naga. Odrzuciła włosy do tyłu i z wyszczerzonymi zębami zaczęła ku niemu szybko iść.

– Stój! – krzyknął Zielesny. Zerwał się z krzesła, które poleciało gdzieś w bok, zrobił krok w tył, wyszarpując jednocześnie pistolet z kieszeni. Krzyknął jeszcze raz i strzelił z odległości pół metra.

Runęła na niego, zbijając go z nóg, zadziwiająco masywna, i wbiła zęby w jego prawe ramię. Upadli oboje na podłogę pokrytą czerwonym dywanem; teraz dopiero go zauważył. Złapała Zielesnego wpół i przywarła do niego. Poczuł, jak zęby miażdżą jego mięśnie, wrzasnął z bólu. Słyszał jej charczenie, nie mógł poruszyć prawą ręką i dlatego nie potrafił wprowadzić kodu wyjścia. Pistolet leżał pod ścianą, widział go ponad czerwienią włochatego dywanu. Podciągając się lewą ręką i wrzeszcząc, powłókł siebie i ją, chwycił broń lewą dłonią i wymierzył z bliska w jej twarz. Spojrzała w wylot lufy, jakby nie rozumiejąc, i zacisnęła jeszcze mocniej swoje potwornie wydłużone szczęki, a on miał wrażenie, że za chwilę odgryzie mu rękę. Zamknął oczy i strzelił dwukrotnie; coś mokrego i śliskiego chlasnęło go w twarz. Czuł, że uścisk słabnie. Nie otwierając oczu, wyszedł z gry.

Siedział w fotelu, cały dygocząc. Był zlany potem. Odgłos wystrzałów ciągle huczał mu w uszach. Uspokój się, myślał, to takie prymitywne chwytły. Atawistyczny lęk przed kobietą. Seks i okrucieństwo. Podniecenie i przerażenie. Szereg drzwi, które kryją za sobą kolejne niespodzianki. Być może gra nie jest wcale aż tak niebezpieczna, skoro jej autorzy odwołują się do takich niewybrednych chwytów. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł pot z czoła. Miał nieokreślone poczucie winy.

To tylko mój zawód, badanie gier. Próbuje robić to, co należy, pomyślał. To jedyny sens życia.

* * *

Melle od razu po rozpoczęciu pracy zapytał Sieć o nieznajomą.

„Nie rozumiem pytania” – odpowiedziała Sieć.

Zdenerwował się. Sieć bywała irytująco pedantyczna i mimo pozorów inteligencji niedomyślna.

„Chodzi mi o dziewczynę, która wczoraj przyszła usunąć awarię w jednym z bloków”.

„Wczoraj nie było żadnej awarii i nikt nie przyszedł, by ją usunąć” – odpowiedziała trochę głupkowato Sieć.

„Co ty wygadujesz! Była tu wczoraj! Wymieniła jeden z modułów. Nie chciałaś podać mi jej danych personalnych. Poprosiłem cię, byś przekazała jej mój list”.

„To nieprawda. Nic takiego się nie wydarzyło”.

Zaklął. Połączył się ze swoim koordynatorem. Łucki był jego dobrym znajomym i mógł z nim rozmawiać całkiem swobodnie.

– Cześć. Mam do ciebie ciekawą sprawę.

Łucki był jak zwykle w świetnej formie.

– Czołem! Jestem do usług.

Melle opowiedział mu całą historię.

– Ta durna Sieć oznajmia mi dzisiaj, że o niczym nie wie. Przecież nie zwariowałem!

– Kto wie? – zachichotał Łucki. – Ja sam nie jestem pewien swoich zmysłów. Wiesz, żyjemy w tak sztucznym świecie, że coraz trudniej odróżnić zdarzenia nierealne od rzeczywistych. Złapałem wczoraj fantastyczną grę. Mówię ci, coś zupełnie niewyobrażalnego. Oczywiście gra jest nielegalna, nie wiadomo, kto ją wysmażył, ale jest to prawdziwe dzieło sztuki. Chcesz ją?

– Nie teraz. Mam co innego na głowie. Możesz mi pomóc?

– Jasne, zawsze możesz na mnie liczyć.

– Co mogło się stać z tą cholerną Siecią?

– W zasadzie Sieć jest tak skonstruowana, że tego typu sytuacje są wykluczone. To znaczy utrata informacji tak istotnej jak rejestracja awarii. Jeśli występuje awaria, sama Sieć wysyła komunikat do sekcji napraw.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że uległem halucynacji?

– Szczerze mówiąc, nic innego nie przychodzi mi do głowy. Mogło być w ostateczności tak, że sam kazałeś Sieci wytworzyć tę iluzję i potem ukrywać to przed tobą. To jest do pomyślenia.

– Ale przecież sam musiałbym zapomnieć, że wydałem Sieci takie polecenie! – wściekł się Melle.

– Cóż, zawsze umiałeś dobrze sam siebie oszukiwać. – Łucki znów zachichotał idiotycznie. – Niczego innego nie potrafię wymyślić.

– Nie podoba mi się twoje wyjaśnienie. A może Sieć próbuje mnie oszukać?

– Sieć? Oszukać ciebie? Chyba rzeczywiście zwariowałeś! Naczytałeś się powieści fantastycznych? Wyobrażasz sobie, że Sieć jest smokiem, który porwał twoją ukochaną i teraz próbuje cię przekonać, że tej ukochanej

nigdy nie było, aby ją gdzieś powolutku w spokoju schrupać? Naprawdę, dawno mnie tak nie ubawiłeś! Mówię ci, wejdź lepiej w tę nową grę, to jest zabawniejsze niż bajki o smokach i dziewicach.

– Myślisz, że ona jest dziewicą? – zapytał nieprzytomnie Melle.

– Kto? – Łucki był zdezorientowany.

– Nie, to zupełnie niemożliwe. To prawda, że Sieć potrafi tworzyć bardzo realistyczne hologramy, ale to nie było to. Ona tu była, czułem zapach jej perfum.

– To o niczym przecież nie świadczy, dobrze o tym wiesz. Nie mogę w tej chwili dłużej z tobą gadać, umówmy się na piwo po pracy, co ty na to? Przy okazji opowiem ci o tej nowej grze. To się nazywa „Ścieżka chwały” czy coś w tym sensie.

Melle się wymówił. Zbyt był zajęty swoimi myślami, a poza tym Łucki zraził go swoim sceptycyzmem i ironią. Trochę później żałował tego – rozmawiał przecież z Łuckim za pośrednictwem Sieci, któż mógł więc ręczyć, że Sieć, jeśli mimo wszystko chciała go wprowadzić w błąd, nie zniekształciła tego, co mówił koordynator? I zaraz potem szydził sam z siebie, ze swoich idiotycznych neurotycznych podejrzeń.

Wieczorem, kiedy zasypiał, ujrzał siedzącego na krześle bożka miłości. Amorek patrzył na niego z lekką naganą w oczach.

– Ona naprawdę istnieje, możesz mi wierzyć.

Zanim zasnął, zdążył jeszcze pomyśleć, że powinien uszkodzić Sieć.

* * *

O szóstej czterdzieści Zielesnego obudził telefon. Na dworze było jeszcze ciemno. Zwlókł się z łóżka i stwierdził z przygnębieniem, że boli go głowa.

– Słucham, Zielesny.

– Mówi inspektor Zachradny. Jest pan pracownikiem Urzędu Kontroli Oprogramowania?

– Tak.

– Wczoraj spotkał się pan z Joachimem Lernem?

– Tak jest.

– Popełnił samobójstwo. Proszę pana, by zechciał pan przyjechać tu, do jego mieszkania. Posłałem po pana samochód. To kwadrans drogi od hotelu.

Zielesny przetarł końcami palców powieki.

– Dobrze, zaraz zejść na dół – powiedział głucho.

Poszedł do łazienki umyć twarz, a potem ubrał się i wyszedł przed hotel, gdzie czekał już na niego wóz policyjny.

Lern mieszkał na piątym piętrze. Zielesny wjechał tam brudną i odrapaną windą razem z ponurym wysokim policjantem, który go przywiózł.

– Witam pana. – Inspektor Zachradny podał mu rękę na przywitanie. Wyglądał jak bezradny, zmęczony człowiek, który długo czuwał przy łóżku śmiertelnie chorego. Jego młoda twarz była blada. – Pomyślałem, że powinien pan tu przyjechać. Pan był chyba ostatnim człowiekiem, który z nim rozmawiał.

W pokoju było zimno, przez otwarte okno wiało przenikliwym chłodem. Zachradny dostrzegł spojrzenie Zielesnego.

– Wyskoczył właśnie tym oknem. Dwie godziny temu. Zginął na miejscu.

Po mieszkaniu kręciło się jeszcze dwóch pracowników policji. Mieli ze sobą ręczne rejestratory i zaglądali do każdego kąta. Na stole przy fotelu leżała maska interfejsu z przewodem wetkniętym w ścianę.

– Czy ktoś już to sprawdzał? – Zielesny wskazał na przedmiot.

– Nie. Czekaliśmy na pana.

Zielesny usiadł w fotelu i naciągnął maskę. Program nie był zakończony, znalazł się od razu w środku. Otaczała go absolutnie czarna pustka, unosił się w niej nieważko. Słyszał niewyraźne, pomieszane szeptem, które tworzyły dobiegający zewsząd szum. Wokół niego, kołysane słabymi podmuchami ciepłego wiatru, zawieszane były szczątki zabawek: połamany koń na biegunach, pluszowy miś z oderwanymi kończynami, zgnieciony blaszany wóz strażacki – wszystko świecące własnym, dziwnym światłem, które nadawało przedmiotom pewną nadzwyczajną lekką przezroczystość. Próbował złapać misia, który był najbliżej, ale nie dosięgnął go. Światło zaczęło powoli przygasać i Zielesnego ogarnął chłód. Kiedy wszystko zgasło, wyszedł z gry.

– Ma pan dziwny wyraz twarzy. Co pan tam zobaczył? – zapytał Zachradny, gdy Zielesny ściągnął maskę.

Ten milczał przez chwilę.

– To gra, o której mówił mi wczoraj Lern. Już ją trochę poznałem.

– A więc będziemy mieli kłopoty?

– Chyba tak. To nielegalne oprogramowanie, nie wiemy, kto jest jej autorem i czy istnieją jakieś nieujemne rozwiązania. Obawiam się, że może być nawet bardziej niebezpieczne niż ten Czarny Mór sprzed pięciu lat.

– Ach tak. Pracowałem już wtedy w policji. W samych Gliwicach popełniło samobójstwo przeszło trzysta osób. Ale przecież od tego czasu już chyba ktoś coś wymyślił?

– A co tu można wymyślić? Gry z łatwością rozprzestrzeniają się poprzez Sieć, a działania Sieci nie można przerwać. Bardzo trudno złamać kod dobrze napisanej gry, chyba że otrzyma się klucz od autora. Próbuje się więc zidentyfikować producentów i dystrybutorów, co nie jest proste, a równolegle zahamować multiplikację aplikacji i rozgryźć jej kod, co jest

jeszcze trudniejsze. Co jakiś czas ludzi ogarnia zbiorowa histeria. Tak było i wtedy, gdy nie istniała Sieć. Katastrof nie uda się nigdy wyeliminować, można tylko starać się ograniczać ich zasięg.

– To są katastrofy, które wywołują ludzie.

– Tak. Ale klęski tego rodzaju też zawsze występowały. Kiedy dopadniemy autora, to go pan aresztuje. Ale w tej chwili gra zaczęła już żyć własnym życiem, jej rozprzestrzenianie podlega wyłącznie regułom statystyki, nie zależy już od woli żadnego człowieka.

– A ludzie tak często próbują rozwiązywać problemy, które nie mają rozwiązania.

– To jest bardzo ludzkie. Zresztą nie możemy powiedzieć już w tej chwili, że ten problem nie ma rozwiązania. To wymaga trochę czasu, badań.

– Zielesny zamyślił się.

– Miał pan taki dziwny wyraz twarzy, gdy wyszedł pan z gry. Nie wyglądał pan na pochłoniętego rozwiązywaniem nawet najbardziej wymyślnej łamigłówki.

– Tak – westchnął Zielesny. – To nie wygląda jak te programy, z którymi mieliśmy dotychczas do czynienia. W pierwszej chwili wydawało mi się, że to dość prymitywny kawałek softu. Dzisiaj zmieniłem zdanie. To coś bardziej wrednego. Całkiem fachowa symulacja, jak w tych najnowszych symulacjach wojskowych.

Jeden z dwóch ludzi badających mieszkanie podszedł do nich z wymiętym papierem w ręku. Na ekranie rejestratora zawieszono przy jego biodrze migające trójwymiarowe obrazy wnętrza i zbliżenia przedmiotów.

– Znalazłem to w kuchni.

Zachradny wziął kartkę do ręki.

– Jedno zdanie: „W salonie, gdzie kobiety krążą dokoła”. Co pan o tym myśli?

Zielesny wzruszył ramionami i powtórzył cicho:

– „W salonie, gdzie kobiety krążą dokoła”...

Kiedy wrócił do hotelu, nie miał dość odwagi, by ponownie wejść do gry. Zamiast tego uruchomił jedną z lokalnych symulacji, które zdążył złapać, zanim dostał przesyłkę z Centrali. Miała prostą i zabawną fabułę.

Była jesień 1939 roku. Niemcy, posługując się sporządzonymi wcześniej listami osób przeznaczonych do osadzenia w obozach koncentracyjnych, rozpoczęli aresztowania. Był powstańcem śląskim i ostrzeżony przez krewnego, który miał kontakt w gestapo, próbował uciec do Francji. Opłaciwszy przemytnika, przeszedł granicę sowiecką. Nie został tam przyjaźnie przyjęty. Listopadowa noc była mroźna. Obrabowany do bielizny, bosy, stał, dygocząc, i spoglądał ku drewnianym chałupom na skraju wsi. Niebo było przejrzyste i upstrzone jasnymi gwiazdami. Poruszały się. Kiedy zaczął im się dokładniej przyglądać, urosły nieco. Wydawało mu się, że wyglądają jak maleńkie, obracające się zabawki.

* * *

Melle uległ wreszcie namowom Łuckiego i w domu rozpakował „Ścieżkę chwały”. Wchodząc w nią, myślał o dziewczynie, która zniknęła w tak tajemniczy sposób.

– Witamy w naszej grze – powiedział do niego starszy, dystyngowany pan ubrany w czarny garnitur, otwierając żelazną furtkę. – Mam na imię Ernest. Proszę do środka. – Skłonił się lekko i zaprosił go gestem ręki.

Melle wszedł.

– Być może będziemy mogli pomóc panu w pańskich poszukiwaniach – powiedział Ernest.

– O czym pan mówi? – zdumiał się.

– Mówię o dziewczynie, której pan szuka. Jakie to szczęście być zakochanym!

Wokół były równo przycięte trawniki i grupy dębów, wszystko na terenie nieco pofałdowanym.

Nie słuchał gładzenia starca. Jego uwaga o dziewczynie wzbudziła w nim niepokój. Tego typu gry mogły kryć nieprzyjemne niespodzianki. Zdarzało się, że fragmenty przetworzonej fabuły, zawierające informacje osobiste, znajdowały się w ogólnodostępnym kolektorze danych, skąd każdy mógł je pobierać.

– Wiesz, gdzie ona jest? – zapytał, podnosząc trochę głos. Stary go drażnił.

– Tak, proszę pana. – Ernest roześmiał się. – Jest właśnie u nas.

Minęli zagajnik i zobaczył jezioro w dolince. Chmura, która zasłaniała dotąd słońce, nagle zniknęła i znaleźli się w słonecznym, upalnym krajobrazie. Na piaszczystym brzegu jeziora, pod kolorowym parasolem, siedziała dziewczyna w stroju kąpielowym. Melle spojrzał rozszerzonymi oczyma na starca.

– Tak – powiedział tamten. – To może być ona.

Podeszli bliżej.

– Czy to ona? – zapytał gospodarz.

Dziewczyna siedziała na krześle z wysokim oparciem. Miała na nosie słoneczne okulary i wydawało się, że śpi.

– Czy to ona? – dopytywał się niecierpliwie Ernest.

Melle patrzył na nią. Było mu duszno, słyszał ciągle natarczywy głos starca. Ernest podszedł do siedzącej i zdjął jej okulary.

– Co ty robisz?! – krzyknął z oburzeniem Melle.

– Chcę panu tylko pomóc. Czy to ta kobieta, w której się pan zakochał?

Przetarł oczy. Wydawało mu się, że widzi znacznie gorzej niż normalnie. Może było to wynikiem jakiegoś błędu w grze? Było gorąco i czuł spływający po plecach pot.

Dziewczyna spała nadzwyczaj twardo. To nie mógł być zwykły sen.

– Jest ładząco podobna. Tak, to właściwe słowo – ładząco. Ale to nie ona.

– Prawdziwa miłość nigdy się nie myli – powiedział starzec.

Melle nie dostrzegł, w jaki sposób w ręce tamtego znalazł się młot. Ernest wziął zamach, stęknął i uderzył w skroń dziewczyny, która trafiona z potworną siłą spadła z krzesła na ziemię.

Melle patrzył na to z przerażeniem.

– Co ty zrobiłeś?!

Ciałem kobiety wstrząsały drgawki, wokół jej głowy szybko rosła czerwona plama.

– Chciałem dobrze – obruszył się starzec. – Skoro to nie ta, to lepiej ją wyeliminować, by nie przeszkadzała nam w dalszych poszukiwaniach, nieprawdaż? A może to tamta? – Wskazał ruchem głowy.

Obok przechodziła dziewczyna ubrana w taki sam żółty kostium kąpielowy. Też miała okulary słoneczne i była bardzo podobna do pierwszej.

– Jakieś cholerne draństwo – powiedział roztrzęsionym głosem Melle.

– Błogosławieni, którzy szukają, a nie znajdują – rzekł Ernest – albowiem nie doświadcza ich trucizna rozczarowania. W każdym razie, kiedy będziesz szukał, to wybierz tego, kto trzyma gałązkę bzu.

Melle wyszedł z gry. Czuł się źle. Nie miał nawet siły, by zadzwonić do Łuckiego i powiedzieć mu, co myśli o tym szajście, który mu polecił.

* * *

Po południu Zielesny wyszedł na miasto. Spacer nastroił go źle; kiedy wrócił do hotelu, było już ciemno i poczuł się samotny, rozbity. Założył maskę i połączył się z Leonem Sternem. Przyjaźnili się już od czasów szkolnych i mimo że Stern mieszkał i pracował od lat w Stanach, często kontaktowali się ze sobą. Zastał Leona w jego mieszkaniu w Los Angeles. Nie powiedział mu od razu o grze, mówili przez chwilę o jakichś błahostkach. Dobry nastrój Sterna udzielał mu się stopniowo. Usiedli przy niskim stoliku ze szklanym blatem.

– Właściwie to chodzi mi o kawałek softu, nową nielegalną symulację – powiedział wreszcie Zielesny. – Nazywają ją „Ścieżka chwały” albo „Lody pistacjowe”, naprawdę nie wiem dlaczego.

– Wiedziałem, że masz jakiś problem – zaśmiał się przyjaciel. – Znam to, dostałem dwa dni temu.

– Znasz? – zdziwił się Zielesny. – To ułatwia sprawę. Właściwie jest to teraz moja działka, może nie powinienem zawracać ci tym głowy, ale wyczuwam tam coś dziwnego.

Stern uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie bawiłem się tym długo. Wydłubałem szereg zabawnych problemów matematycznych, rodzaj metamatematycznych rebusów. Rozwiązałem kilka z nich i dostrzegłem w tym pewną prawidłowość, ale musiałbym poświęcić więcej czasu, żeby zobaczyć, gdzie to prowadzi. A czasu nie mam, ślęczymy teraz nad „Golemem”.

Stern siedział, albo raczej wpołleżał niedbale w wielkim, miękkim fotelu. Był ubrany w błękitny szlafrok i ruchami złocistej pałeczki wywoływał fantomy nagich dziewcząt, które snuły się po pokoju, jakby zatopione w lunatycznym transie. Rozpraszało to uwagę Zielesnego, więc włączył filtr.

– Ze mną było zupełnie inaczej – powiedział, kiedy udało mu się już opróżnić pokój Sterna. – Dość koszmarnie wizje.

– Tak, wiem o tym. Ta gra dostraja się błyskawicznie do typu psychofizycznego gracza i usiłuje nim manipulować.

– Właśnie. I robi to dość sprytnie.

Stern wzruszył ramionami. Jego pokój wypełniły teraz wielkie zielone żaby z czerwonymi oczami i łapami. Nadymały się i skakały po dywanie i meblach.

– W miarę sprytnie.

Zielesny poczuł znów to ukłucie starej zazdrości. Wiedział, że jest znacznie mniej bystry niż Stern, ten należał do kilkunastu najtęższych mózgów. Nie bez powodu wybrano go do projektu „Golem”. Zawiść Zielesnego była więc zupełnie irracjonalna. Zdawał sobie też sprawę z tego, że przerażająca inteligencja przyjaciela ograniczała się do pewnych tylko dziedzin, poza którymi wydawał się bardzo naiwny i nieporadny. A może było to tylko złudzenie wynikające z braku wymiernych kryteriów? I kiedy uwagi Sterna wydawały mu się idiotyczne i przesadzone, nigdy nie mógł być pewien, że jego osobiste przekonania w starciu z opiniami tamtego mają jakikolwiek sens. Leon należał już do innej rasy i Zielesny czasem dziwił się, że mogą jeszcze ze sobą porozumiewać się tak dobrze.

– Zaraz po wejściu do gry miałem wrażenie, że oni – autor lub autorzy, gra, czy ja wiem co – już wszystko o mnie wiedzą i będą mogli zrobić ze mną to, co zechcą. Bardzo nieprzyjemne uczucie.

– Miałeś tylko takie wrażenie czy pewność?

– Wrażenie. Bardzo wyraźne, choć nie mogę sobie przypomnieć niczego, co mogłoby to wrażenie racjonalnie uzasadnić.

– To jedna z funkcji gry – wytwarzanie w graczach złudnych wrażeń. Stwarzanie pozorów istnienia drugiego dna. Wydaje ci się, że jesteś w

centrum zainteresowania manipulatora. Że wie o tobie wszystko, a sam jest dysponentem wiedzy, która może nadać życiu jakiś sens. Ludzie pragną tajemnic tego rodzaju. To zupełnie normalne. Potrzeba religii, przekroczenia doświadczenia potocznego, które jest przecież przygnębiające. To realizuje się czasem w bardzo prymitywny sposób. Wiara w latające talerze. Trójkąt bermudzki. Są też bardziej wysublimowane sposoby wychodzenia ponad codzienną doczesność: sztuka, nauka, ale nie każdego na nie stać. Wiesz, że dla mnie jedynie ważnym sposobem jest nauka; chociaż różni kretyni bełkocą, że właśnie nauka jest wrogiem tajemnicy, ja uważam ją za jedyny pewny instrument zbliżenia się do niej. Sztuczki hochsztaplera, który stworzył tę grę, nie bardzo mnie interesują.

– Musisz jednak przyznać, że jest technicznie niesamowita. Powiedziałbym, że sprawia wrażenie stworzonej nie przez człowieka, ale...

Zielesny zaczerwienił się.

– Uważaj na siebie – zaśmiał się Stern. – Widzę, że bierzesz to zbyt poważnie. Co do technicznej perfekcji, to muszę ci powiedzieć, że te rzeczy, nad którymi tu teraz siedzimy, mogłyby niejednego przyprawić o zawrót głowy, a jakość „Lodów pistacjowych” pozostawia wiele do życzenia.

No tak, pomyślał ze złością Zielesny, właściwie dlaczego tej gry nie mógłby stworzyć któryś z tych zarozumiałych, nadętych facetów? Nieraz zabawiali się podobnymi sztuczkami i kto wie co roi im się w ich przemądrzałych głowach bezsennymi nocami.

– Jest to jednak pewien problem. Mniejsza z tym, że soft jest nielegalny. Jest niebezpieczny. Wszystko wskazuje na to, że może spowodować śmierć wielu ludzi. Całą falę samobójstw. Podejrzewam nawet, że autorowi o to właśnie chodziło.

– Tak, to jest pewien problem. Ale spójrz na to z innej strony. Liczba osób, które popełnią samobójstwo w wyniku gry, jest nieznacząca w porównaniu z liczbą zabitych w wypadkach drogowych. Jest do pominięcia, jeśli weźmie się liczbę osób umierających z tego powodu, że poświęcamy za mało pieniędzy na badania medyczne. Jest dużo ważniejszych problemów niż gry, nawet te, które powodują ileś tam ofiar.

– Autorzy tych gier są mordercami.

– Wszyscy jesteśmy mordercami. Ludzie, którzy zatracają się w grach, wiedzą, czym ryzykują. To rodzaj hazardu. Albo narkotyku. I to z tych mniej niebezpiecznych, bo znów prawdziwe narkotyki zabijają bez porównania więcej ludzi.

– Czy ty sam mógłbyś wypleść podobną symulację?

– Nie, ja nie jestem tym okropnym wampirem, którego chcesz znaleźć. Naprawdę nie mam na to czasu.

– A czy wśród twoich znajomych jest ktoś, kto mógłby to zrobić?

– Zaczynasz prowadzić tu śledztwo? – Stern wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Żaby w pokoju zaczęły uganiać się za wielkimi złotymi muchami. – Nie znam nikogo takiego. Chociaż właściwie był ktoś taki. Ale on już od dwóch lat nie żyje.

Sceptycyzm i swoista pogoda ducha przyjaciela dobrze wpłynęły na nastrój Zielesnego. Pożegnawszy się z Leonem, wszedł do gry z dużą pewnością siebie.

Znalazł się na podwórku jakiegoś pałacyku o białych ścianach. Był upał. Stał przed zaciemnioną niszą. W jej wnętrzu siedział na łóżku grubas w białych długich szatach i w turbanie na głowie. Na widok Zielesnego zarechotał i Zielesnemu wydało się, że zna skądś ten śmiech. Odwrócił się. Na środku podwórka, pośród klombów kwiatowych, był basenik wyłożony błękitnymi kafkami.

– Witam cię. Proszę, podejdź tu bliżej i usiądź.

Zielesny usiadł na brzegu drugiego łóżka, stojącego pod ścianą.

Gospodarz dźwignął się, nieco sapiąc, i napełnił małą filiżankę herbatą.

– Proszę, napij się.

Zielesny wziął filiżankę i skosztował napoju. Bardzo lubił zieloną herbatę, a ta była doskonała.

– Bezbłędne wrażenia smakowe – powiedział na pół do siebie.

Grubas usadowił się z powrotem na swoim łóżku. Stęknął z zadowoleniem.

– Chciałbyś na pewno spotkać się z Mu.

Zielesny uporczywie usiłował przypomnieć sobie, skąd zna ten głos.

– Tak, bardzo chciałbym spotkać Mu.

– Każdy chciałby spotkać Mu. Ale Mu nie z każdym chce gadać. Nie każdy na to zasługuje. Czy ty zasługujesz na to, żeby móc gadać z Mu?

– Tak, zasługuję na to. – Zielesny czuł, że herbata działa na niego dziwnie, stał się lekki, nieważki i obojętny wobec przyszłości. I nagle przypomniał sobie. Ten herbaciarz był podobny do jego kolegi z podstawówki – czerwonego na twarzy Łoja, z którym tak szczerze i zwierzęco, jak to tylko dzieci potrafią, się nienawidzili. Jego chwilowa lekkość i spokój zniknęły, poczuł się tak jak wtedy – elementarna dzikość, spontaniczna nienawiść poza wszelką rozumową kontrolą. Czuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

– Nie wątpię, że zasługujesz na to, przecież znam cię – powiedział grubas. – Ale mimo to najpierw będziesz musiał przejść pewien test. Albo powiedzmy inaczej – weźmiesz udział w zabawie. Klasycznej, starej i dość prostackiej zabawie. Bo po co wszystko nadmiernie komplikować?

Klasnął w dłonie i Zielesny znalazł się w innym świecie. Czyjeś silne ręce pchnęły go do przodu i za jego plecami opadły z hałasem stalowe

kraty. Nim rozejrzał się wokół siebie, zaczął biec, jakby kierowany inną wolą niż jego własna. Znajdował się w dość ciemnym korytarzu oświetlonym światłem elektrycznych pochodni. Po obu stronach szeregi dużych bloków szaroniebieskiego kamienia przesuwały się szybko w tył. Zatrzymał się na krawędzi uskoku. Trzy metry niżej zobaczył kamienną posadzkę. Odwrócił się, przykucnął, zsunął, zawisł na chwilę na palcach i zeskoczył na niższy poziom. Ruszył przed siebie. Kamienny blok, po którym przebiegał, zadygotał. Długim susem osiągnął następny. Kiedy zatrzymał się i odwrócił, blok runął w dół, z hukiem odsłaniając wejście na kolejnym niższym poziomie. Zeskoczył jeszcze raz; tym razem wysokość była znacznie większa i przy upadku krzyknął, czując w nogach dotkliwy ból. Nie mógł jednak zatrzymać się choć na chwilę. Wbiegł na jasno oświetlony podest. Płyta, którą nadepnął w biegu, drgnęła. Zdezorientowało go to i za późno zauważył, że za podestem zaje otwarta studnia. Nie mogąc powstrzymać pędu, odbił się niezręcznie, zbyt szybko, i nie zdołał nawet dotknąć rękoma przeciwległego brzegu. Odbił się z jękiem od ściany poniżej i runął w dół. Studnia nie była głęboka, obracając się w locie głową w dół, zobaczył wystające z jej dna metalowe ostrza. Zwinął się w kłębek i zaraz potem poczuł, jak ostrza wbijają się w jego ciało.

Krzyczał jeszcze, kiedy ręce znowu pchnęły go naprzód i za jego plecami opadły z hałasem stalowe kraty. Czuł ciągle w sobie ten przeraźliwy ból, ale mimo to starał się myśleć. Ciało ciągle nie poddawało się jego woli. Znów biegł tym samym ciemnym korytarzem, rzucając krótkie spojrzenia na przesuwane się kamienne rzędy. Zatrzymał się na krawędzi pierwszego uskoku. Przed chwilą doświadczył strasznego, śmiertelnego upadku, a teraz odgrywał niemal identyczną scenę. Zeskoczył dwa metry niżej. Znów nie mógł wrzucić kodu wyjścia i przypomniał sobie z ulgą, że skrócił czas automatycznego zakończenia sesji z dziesięciu do

pięciu minut. Poczł dygotanie gruntu pod stopami. Jednym susem przeskoczył na następny blok. Poprzedni upadł z ogłuszającym hukiem. Zeskoczył niżej i krzyknął z bólu, chyba głośniej niż za pierwszym razem. Nie miał jednak czasu, by się zatrzymać choć na chwilę. Teraz był już przygotowany na to, że płyta podestu nie jest stabilna. Odbił się silnie we właściwym miejscu i przeskoczył studnię. Przed nim podnosiła się wolno krata. Świetnie, pomyślał. Znów czyjaś wola pchnęła go do przodu. Wspiął się na niewysoki występ i pocwałował dalej. Zobaczył teraz przed sobą szereg błyszczących gilotyn, które zamykały dalszą drogę. Opadały nierytmicznie, jakby ich ruchami sterował generator liczb przypadkowych. Biegł prosto ku pierwszej z nich i patrzył z przerażeniem na jej ostrze. Skoczył w prześwit w chwili, kiedy ostrze właśnie zaczynało opadać, i zaraz zrozumiał, że nie ma szans, by przejść drugą gilotynę. Zrobił ku niej krok i w tym momencie zadziałał czasowy wyłącznik.

* * *

Melle poruszał się jak w półśnie, odpowiadał nieprzytomnie na pytania ludzi, z którymi musiał rozmawiać, i nieustannie mylił się w pracy. Wreszcie wstał, wyjął z torby przyniesiony z domu łom i podszedł do ściany. Podważył pierwszą z brzegu płytkę, wyszarpnął jeden z modułów, walnął w niego kilkakrotnie z całej siły, po czym wbił z powrotem w głąb i zakrył dziurę. Wrócił na miejsce, ale nie założył maski interfejsu. Serce waliło mu jak młot. I oto już po kwadransie drzwi jego pokoju otworzyły się i ukazała się w nich serwisantka, ta sama co poprzednim razem. Patrzył na nią ze zdumieniem.

– To pani?

– Co pan zrobił? Uszkodził pan umyślnie Sieć! – powiedziała surowo dziewczyna, patrząc na niego nieprzyjaźnie.

– Tak, zrobiłem to! – Melle wstał z fotela. – To pani, to wprost niewiarygodne!

– Dlaczego pan to zrobił? Będzie musiał pan pokryć koszty naprawy. – Pokręciła głową i podeszła do ściany, by usunąć uszkodzony moduł.

– Zrobiłem to, bo miałem nieprzytomną nadzieję, że znów się tu pani zjawi! Przystawałem już wierzyć, że pani w ogóle istnieje!

– Nieprzytomną nadzieję? Nie rozumiem nic z tego, co pan mówi – powiedziała serwisantka, ale jednocześnie przerwała pracę i zaczęła na niego patrzeć uważnie.

Melle ucieszył się z tego jak szalony i zrobił nawet krok w jej stronę.

– Myślałem już, że pani naprawdę nie istnieje, że była pani halucynacją, wytworem Sieci, albo że Sieć z jakichś niezrozumiałych powodów specjalnie ukrywa panią przede mną. Próbowałem jakoś skontaktować się z panią, ale Sieć stwierdzała, że pani nigdy się tu nie pojawiła, że nie było tu nigdy żadnej usterki.

– Tutaj? Ach tak, byłam tu parę dni temu. – Dziewczyna sprawdziła coś w swoim notesie zawieszonym przy pasku. – To, że Sieć nie pamiętała o mojej naprawie, jest zupełnie zrozumiałe. Jest to związane właśnie z uszkodzeniem, które usunęłam.

– Ale przecież zaraz po pani odejściu Sieć pamiętała o uszkodzeniu!

– Oczywiście. Czerpała tę informację z pamięci krótkoterminowej. W nocy dane o zdarzeniu powinny były zostać przemieszczone do pamięci długoterminowej, ale adres tej pamięci zmienił się, bo wymieniłam moduł. To właściwie moja wina, bo powinnam była podać nowy adres. Nie miało to jednak dużego znaczenia, bo dane przechowywane w tym module nie były funkcjonalnie istotne. A zresztą i tak nie przepadły. Zostały przekazane, jak wszystkie, do wyższej warstwy i po jakimś czasie powinny

pojawić się na powrót i w warstwie tego terminala. Gdyby pan zapytał o to Sieć dzisiaj, uzyskałby pan prawdopodobnie właściwą odpowiedź.

– To wspaniale, że posłano znów panią. Musiałem znów panią zobaczyć, nie wiem, jak to wyrazić... Musiałem.

– Mam na imię Elżbieta – powiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się do niego.

* * *

Zielesny od dwóch dni nie rozmawiał z nikim. Schodził tylko na posiłki do restauracji, a potem zamykał się w swoim pokoju i albo leżał na łóżku wpatrzony w sufit, albo wchodził do gry.

– Jestem już bardzo blisko – mówił do siebie. Miał wysoką gorączkę i majaczył, a z drugiej strony wiedział, że jest silny i niezwykle mądry. Nie czuł żadnego strachu. Był letni pogodny wieczór, leżał pod płótem gdzieś na wiejskiej drodze i umierał. Głowę trzymał uniesioną, opartą o płót. Była to dość niewygodna pozycja, ale nie miał siły, by ją zmienić. Przed nim było pole z łanami pszenicy, makami i chabrami; za polem, na skraju lasu, paliły się dwa czołgi. Skąd wzięła się ta kobieta? Pochyliła się nad nim. Płakała. Chciał powiedzieć – nie płacz, masz taką piękną twarz, jestem szczęśliwy, że widzę cię w takiej chwili – ale tylko jęknął. Kobieta przypominała mu kogoś. Matkę, a może jego pierwszą ukochaną? Prawą ręką przytrzymywał swoje wnętrzności i bardzo się tego wstydził. Strzelanina znów wzmogła się i kobieta zniknęła.

Siedział teraz na drewnianym krześle. Przed nim była biała zasłona. Stał za nią człowiek, mężczyzna. Widział jego sylwetkę rysowaną silnym światłem padającym z tyłu. Był szczupły, średniego wzrostu.

– Chciałeś spotkać się ze mną – powiedział mężczyzna. Miał głos zarozumiałego trzydziestolatka.

Zielesny zrozumiał, że znalazł tego, kogo szukał. Chciał wstać z krzesła i zerwać zasłonę, by go zobaczyć, ale nadal nie mógł się poruszyć.

– Zabiłeś Lerna – rzekł cicho.

– Tak, zabiłem Lerna. Zabiłem też wielu innych ludzi.

Głos mężczyzny był energiczny i ironiczny. Energiczny i dziarski jak głos faceta reklamującego pastę do zębów. Ironiczny jak głos niezwykle inteligentnego szaleńca. Musiał być człowiekiem inteligentnym i wrażliwym. Zielesny wyobraził sobie swego rozmówcę jako kogoś bystrego, pełnego życia i nieustannie zmierzającego do osiągnięcia nowej, wyższej równowagi. I zbyt inteligentnego, by zadowolić się czymkolwiek. I tu było pęknięcie.

– Myślisz o mnie – powiedział z satysfakcją mężczyzna. – To dobrze. Lubię absorbować uwagę ludzi, to zwiększa intensywność mojego istnienia. Nie ma większej rozkoszy niż ta, jaką dostarcza panowanie nad umysłami i ciałami innych ludzi. Niż zabawa nimi. Czuć w ręku ich ciepłe wnętrza, pulsowanie ich myśli i namiętności, ich przerażenie. Grać nimi, kierować ich tam, gdzie mi się podoba. Zwykła przemoc nie jest tak podniecająca jak to.

– Zabiłeś Lerna. Jesteś zwykłym mordercą. – Zielesny patrzył z napięciem na ciemną sylwetkę. Jego myśli nie układały się w linie proste. Kołowały wokół kilkunastu naraz obrazów, jakby umysł tamtego pobudzał i zawirowywał jego własny.

– Dlaczego uczepiłeś się tego Lerna? To był taki mało ciekawy gość. Zabiłem go właściwie dlatego, że mnie nudził. Był niedorozwinięty, chociaż miał pewien talent do gier. No, nie dość duży.

Cień zaśmiał się.

– Przecież też odczuwałeś niechęć do niego. Nieprawda?

– Tak – przyznał Zielesny. – Ale ty go zamordowałeś.

– Może oddałem mu przysługę. Nigdy nie był szczęśliwy, pomogłem mu tylko zrozumieć, kim jest i ku czemu zmierza. Przyspieszyłem tylko to, co było nieuchronne. Ale dlaczego staram się usprawiedliwić? To śmieszne. To gra, w której jestem Mu. Ja ustalę reguły gry. Stawką jest życie. Nie jest to duża stawka, nieprawdaż?

– Życie jest niezwykle. Jest czymś wielkim – powiedział cicho Zielesny.

– Życie jest wielkie? – Mu wybuchnął złośliwym śmiechem. – Jesteś głupcem prawiącym banały. Prawdopodobnie też cię zabiję. Tak jak innych.

Umysł Zielesnego przenikało ciemne światło.

– Ty przecież już nie żyjesz – szepnął wolno, właściwie tylko do siebie. Wyciągnął gwałtownie rękę przed siebie i zacisnął palce na zasłonie. Po chwili ją puścił.

– A jeśli nawet byłoby to prawdą, to jakie miałyby znaczenie? Dla ciebie istnieję teraz bardziej niż ktokolwiek inny. I ode mnie zależy, czy będziesz żył. Spotkamy się jeszcze. Jeszcze raz. Przygotuj się do tego spotkania. Jeśli zawiedziesz mnie, zabiję cię. Tak jak Lerna.

Światło za zasłoną zaczęło gasnąć. Muzyka, pomyślał Zielesny, muzyka. Nie cierpię muzyki Szopena.

* * *

Po kolacji Melle odprowadził Elżbietę do jej mieszkania. Teraz leżał obok niej w łóżku i pieścił drżącymi palcami jej ciało. W pokoju nie było całkiem ciemno, światło z ulicy wpadało do środka i Melle podziwiał błyszczące, uważne oczy dziewczyny.

– Kochasz mnie? – zapytała.

W drugim pokoju coś się poruszyło. Melle znieruchomiał. Po prostu wiedział. Czuł, jak wszystko odpływa, odchodzi. Elżbieta też zaczęła się oddalać.

– Czy coś się stało? – zapytała.

Melle odwrócił głowę. W półotwartych drzwiach sypialni stał bóg depresji.

– Widzisz go?

– Kogo?

Nie widziała. Albo udawała, że nie widzi. Albo widziała swojego własnego boga, który nie był jego bogiem. Nie miało to w sumie żadnego znaczenia – jeśli nawet go widziała, to nie chciała się do tego przyznać i w ten sposób oddalała się od niego. Oddalała się. Oddalała. Była już bardzo daleko. A on był teraz sam, tym bardziej, że przedtem wydawało mu się, że nie jest sam. Tymczasem tak naprawdę każdy człowiek jest zawsze sam ze swoim bogiem.

– Nie martw się – powiedziała Elżbieta. – To nieważne. To się przecież zdarza, na pewno następnym razem będzie dobrze.

Jak ona nic nie rozumie! – pomyślał. Przypomniawszy sobie starca z młotem w ręku. Przymknął oczy. Strasznie bolała go głowa. Wyobraził sobie, że spada na niego ogromny stalowy młot i jednym cudownym uderzeniem zgniata go.

– Nie martw się – powtórzyła Elżbieta i zamruczała. Wydawało mu się, że zasnęła. Wstał ostrożnie z łóżka, tak by jej nie zbudzić, ubrał się i wyszedł. Zbliżał się ranek. Na wschodzie niebo nabierało ceglastej barwy. Tak wygląda piekło, pomyślał ze zdziwieniem.

* * *

Szedł ulicą swojego rodzinnego miasta. Był środek styczniowej nocy, wiał zimny wiatr. Wiedział, że śni i że wie dokładnie, co się zaraz stanie, a miało się stać coś okropnego. Zatrzymał się przed witryną sklepu rzeźniczego. Jest środek nocy, nikt mnie tu nie widzi, pomyślał. Bo w

środku były dwa trupy kobiet, które kiedyś znał. Jakim cudem mogły się znaleźć w tak dziwnym miejscu? Czuł, że wie, choć nie mógł sobie tego przypomnieć. Jeden z trupów, nagi, leżał na ladzie, drugi, ubrany, na podłodze, był oparty plecami o ścianę. Przypatrzył się temu siedzącemu na podłodze. Jego twarz miała rysy jednocześnie obce i bardzo znajome. Wydawało mu się, że ta kobieta kochała go kiedyś. Słyszał ciche stukanie. Chciał teraz odwrócić się i przyjrzeć drugiemu trupowi, ale nagle oczy pierwszego otworzyły się i spojrzały na niego błagalnie, a jednocześnie jego głowa kręciła się przecząco, jakby prosząc go, by nie odchodził. Stukanie nasilało się. Martwe, zimne oczy były przepełnione miłością i Zielesny, wychodząc równocześnie ze snu, poczuł przerażenie, bo przypomniał sobie, skąd wzięły się tu oba trupy. Unosił się teraz swobodnie nad ziemią i zapominał szybko o śnie. Nie czuł ciężaru swojego ciała. Był lekki i wszystko traciło znaczenie.

– To nasze ostatnie spotkanie – powiedział do niego Mu. Stał znów za białą zasłoną, ze światłem padającym z tyłu. – Musisz odnaleźć właściwe słowa. Musisz odnaleźć klucz.

Zielesny siedział przykuty do krzesła, nie mogąc poruszyć nawet palcem.

– Czy czujesz, jak czas przestaje istnieć? – zapytał Mu.

Zielesny usiłował z trudem przypomnieć sobie o czymś bardzo ważnym. To było naprawdę bardzo ważne.

– Nie będę czekał długo – powiedział Mu. – Nie mamy dużo czasu.

Zielesny zaczął zastanawiać się, kim jest. Widział siebie siedzącego na krześle przed białą zasłoną, na którą padał cień stojącego człowieka. Biały materiał poruszył się lekko. Był oddzielony od siebie. Dobrze jest być oddzielnym od siebie. Nie odczuwasz wtedy swojego bólu i lęku ani samotności. Możesz powiedzieć do samego siebie – widzę, że masz

kłopoty, ale nie martw się, znam cię dobrze i postaram się ci pomóc. Dopiero wtedy, kiedy stajesz się obcy samemu sobie, możesz siebie zaakceptować i pokochać, i dzięki temu pokochać i zaakceptować świat. Nie lękaj się, jestem przy tobie.

– Dlaczego milczysz? Nie podoba mi się to – w głosie Mu zabrzmiała groźba. I wtedy Zielesny przypomniał sobie i zrozumiał. Zaczął mówić.

*Idźmy więc, ty i ja,
Kiedy wieczór na niebie rozpostarty trwa
Jak pacjent eterem uśpiony na stole;
Idźmy przez jakieś wyludnione uliczki,
Gdzie mamroczące zacisze
Bezsennych nocy w pokojach na godziny
I knajp ze skorupami ostryg w trocinach:
Uliczki ciągną się jak nudna dysputa
Z podstępłą intencją,
Aby cię wpędzić w nękające kwestie...
Och, nie – „Co to?” – nie pytaj,
Idźmy już i złożmy wizytę.
W salonie, gdzie kobiety krążą dokoła,
Rozmowa wokół Michała Anioła. [\[1\]](#)*

Mężczyzna ukryty za zasłoną usiadł na podłodze i ukrył twarz w dłoniach. Zielesny poczuł, że odzyskuje władzę nad swoim ciałem. Jednocześnie ogarnął go paniczny strach. Uciekał długim tunelem, który stopniowo zniknął, a kiedy zniknął zupełnie, zaczął spadać w czarnej pustce. Wreszcie odzyskał przytomność umysłu i wyszedł z gry.

* * *

– Ranki nie zawsze przynoszą ulgę – powiedział do niego bóg depresji. I miał rację.

Bowiem ranek nie przyniósł mu ulgi. Padał mokry śnieg. Wszystko było zbyt płaskie i oczywiste i było zbyt dużo światła. Co prawda światło sprawiło, że bóg depresji zniknął, ale Melle czuł bez przerwy jego obecność. Nie poszedł do pracy. Kilkakrotnie dzwonił telefon, ale nie podnosił słuchawki. Patrzył przez okno na opadające płatki śniegu.

– Niedługo święta – powiedział do siebie i zaśmiał się ironicznie. Ból głowy nie ustawał. Postanowił wyjść. Wziął ze sobą duży młot. Ból pulsował w rytm jego kroków. To dobrze. Patrzył na przechodzących ludzi. Denerwowali go. Byli tak pewni siebie. Czy pewność siebie nie jest największym grzechem? A przecież ich uśmiechy już ześlizgują się w przedśmiertny grymas. To już niedługo, strzeżcie się! Kilkanaście kroków przed sobą zobaczył człowieka w długim, czarnym płaszczu. W jednym ręku trzymał walizkę, a w drugim gałązkę bzu. Człowiek uśmiechnął się do siebie, a potem ruszył w stronę taksówki.

Gałązka bzu! Melle zrozumiał, że to ten. Zacisnął palce na trzonku młota i pobiegł.

* * *

– Trudno w to wprost uwierzyć, ale wydaje się, że rzeczywiście „Lody pistacjowe” uległy wszędzie samolikwidacji! – powiedział szef.

Zielesny był w doskonałym humorze.

– To w dużym stopniu sprawa przypadku. No i intuicji – dodał szybko.

– Zasłużyłeś na dużą premię.

– No myślę – mruknął Zielesny.

- Więc mówisz, że Lern był bliski rozwiązania?
- Tak. Policja znalazła w jego mieszkaniu kartkę z fragmentem poematu. Domyślał się, że to coś ważnego, ale chyba nie czytywał wieczorami Eliota
- powiedział Zielesny.
- Autor gry musiał być wielbicielem tej poezji.
- Zielesny wzruszył ramionami.
- Chyba tak. W każdym razie to podziałało. Klucz. Hasło.
- Kiedy wracasz? Chciałbym pogratulować ci osobiście.
- Za dwie godziny mam samolot.
- Nie będę ci przeszkadzał. Czekaamy na ciebie w centrali!
- Do zobaczenia.

Rozłączyli się. Zielesny ogolił się, spakował swoje rzeczy, wypił w restauracji filiżankę kawy. Kiedy wyszedł z hotelu, padał mokry śnieg. Obok była kwiaciarnia. Zobaczył na wystawie bukiet fioletowego bzu.

Jakie to wspaniałe i dziwne, pomyślał. Bukiet bzu w środku zimy. Wszedł do kwiaciarni.

Sprzedawczyni była młodą, ładną dziewczyną. Uśmiechnął się do niej.

Teraz, gdy bzy rozkwitają,

Ma w swym pokoju bzów wazon

I rozmawiając kwiat w palcach skręca.

„Ach, przyjacielu, ty nie wiesz, ty nie wiesz,

Czym jest życie, choć je trzymasz w rękach”:

(Wolno skręca bzu gałązkę)

„Pozwalasz, niech odpływa, od ciebie odpływa,

A młodość jest okrutna i nie ma skrupułów,

Uśmiecha się do chwil, których nie pojmuje”.

Ja się, rzecz jasna, uśmiecham

I dalej herbatę smakuję.

„Jednak w ten zmierzch kwietniowy, co budzi wspomnienia

Życia pogrzebanego i wiosnę paryską,

Czuję niezmierny spokój i ten świat oceniam

Jako wspaniały i młodzieńczy, mimo wszystko”. [2]

Dziewczyna była zdziwiona, ale odwzajemniła jego uśmiech.

– Chce pan kupić bez?

– Tak, proszę mi sprzedać jedną gałązkę.

Zapłacił, podziękował i wyszedł. Przez chwilę stał przed kwaciarnią i wdychał zapach bzu, na który spadały płatki śniegu. „Jako wspaniały i młodzieńczy, mimo wszystko”, powiedział do siebie cicho. Ruszył do taksówki.

– Proszę na lotnisko – rzucił do taksówkarza. Ten kiwnął głową, a potem dostrzegł za plecami Zielesnego coś, co go przeraziło. Zielesny chciał się odwrócić, by też to zobaczyć, ale nie zdążył.

WYLĘGARNIA

Niewelt patrzył, mrużąc oczy, na drgające od gorąca powietrze nad szosą. Ziewnął.

– Znów jesteś niewyspany? – spytała Kamila.

Spojrzał na nią. Jej oczy błyszczały za podłużnymi szklami przeciwsłonecznych okularów. Nie dostrzegł w nich nagany. Jego partnerka nie miała nigdy o nic pretensji, przyjmowała go dokładnie takim, jakim był, z pogodną obojętnością, nie wymagając niczego i niczego się nie spodziewając. Był jej za to nieskończenie wdzięczny i czuł się w obecności dziewczyny odprężony i spokojny.

– Jasne, że się nie wyspałem. Wiesz, jak nie cierpię poniedziałków.

Uśmiechnęła się. Prowadziła samochód pewnie i ostrożnie; patrzył z przyjemnością na pociągłą, opaloną twarz, która tak rzadko ujawniała emocje. Miała krótko ostrzyżone włosy, a jej ubranie pachniało dobrym proszkiem do prania, co przypomniało mu o jego niezmienianej od tygodnia koszuli. Na półeczce z przodu leżało kolorowe czasopismo. Niewelt je przejrzał. Był to magazyn dla dziewczyn. Prócz reportażu z ośrodka opieki nad narkomanami można było tam przeczytać o tym, jak należy pielęgnować pupę, by wyglądała atrakcyjnie, jakie kolory dżinsów będą najmodniejsze tej jesieni i co zrobić, by wygrać konkurs piękności. Niewelt

zatrzymał się na chwilę nad artykułem o marzeniach erotycznych nastolatek. Kamila zerknęła w jego stronę.

– Znalazłeś coś ciekawego?

– O tak! Wiesz, o czym marzą skrycie dziewczyny?

Zaśmiała się.

– Kupujesz coś takiego? Zdziwiasz mnie.

– Nie, nie kupuję. Zostawiła to dziewczyna, którą wczoraj podwoziłam.

Niewelt odłożył czasopismo na półkę i przeciągnął się.

– Przypuszczam, że wiesz już wszystko na temat tych zakładów?

– A ja przypuszczam, że nawet nie zajrzałeś do tych dokumentów, które dostaliśmy?

Wzruszył ramionami.

– Coś tam czytałem. Zakłady w Sohrau należą do Siemens. Produkcja sieci neuronowych oraz oprogramowania. Zatrudniają dwadzieścia pięć osób. W ostatnich dwóch miesiącach miały tam miejsce trzy śmiertelne wypadki. No i teraz ta katastrofa. Dwie osoby zostały ciężko ranne. Coś zupełnie niezwykłego jak na tego typu fabrykę.

– Wiesz, jak zginęli ci trzej pracownicy?

– Nie, nie doczytałem.

– Pierwszy został rozjechany przez kursującą na terenie fabryki kolejkę. W jego krwi stwierdzono znaczną zawartość alkoholu. Drugi w niewyjaśnionych okolicznościach zatrzasnął się w hermetycznej komorze, która w cyklu produkcyjnym wypełniana jest wodorem, i udusił się. Trzeci uległ śmiertelnemu porażeniu prądem elektrycznym. Dyrektor zakładów, Robert Ingram, skarżył się swoim zwierzchnikom na rozluźnienie dyscypliny i nieprzestrzeganie podstawowych zasad bezpieczeństwa przez część jego pracowników. Twierdzi, że to, co się zdarzyło w zeszłym tygodniu, potwierdza jego opinię.

– Do diabła, jakim cudem brak dyscypliny mógł spowodować zawalenie się dwóch wielkich hal?

Zatrzymali się na parkingu przed piętrowym budynkiem administracyjnym zakładów. Dyrektor Ingram był uprzedzony o ich przybyciu.

– Państwo jesteście z Inspekcji Przemysłowej?

Pewny siebie, łysiejący, inteligencja przeciętna, brzydka brodawka na lewym policzku, otyły i ociężały – oczy Niewelta rejestrowały obraz dyrektora ze znużeniem i niechęcią.

– Tak. – Kamila z rozbawieniem, które łatwo było pomylić z uprzejmym zdziwieniem, patrzyła, jak Ingram schyla się lekko, podrywa jej dłoń ku górze i całuje.

– Usiądźcie państwo na chwilę. Poprosimy głównego inżyniera i kierownika laboratorium selekcji.

Dyrektor nacisnął klawisz na biurku i wezwał dwóch pracowników.

– Rozumiem, że ci dwaj faceci są tu poza panem najważniejsi? – Niewelt z zainteresowaniem oglądał kolekcję okazałych czapek sowieckich oficerów. Ułożone były na półce zawieszanej nad szklanym trójwymiarowym projektorem przypominającym akwarium. W jego środku tętniło sztuczne życie kolorowych ludzików najnowszego „Dziecięcego świata zabaw Siemens’a”.

Dyrektor uśmiechnął się, pokrywając zaskoczenie tonem Niewelta.

– Można tak powiedzieć. – Ingram myślał przez chwilę o czymś przykrym. – Mieliśmy już tu policję, prokuratora i ludzi z urzędu ochrony pracy. Nie doszukali się żadnych niedociągnięć z naszej strony.

– Dawno jest pan dyrektorem tych zakładów? – zapytał Niewelt, odrywając wzrok od czapek.

– Od trzech lat. – Dyrektor spochmurniał.

Nieciekawy typ, pomyślał Niewelt. Czuł, jak wycieka z niego energia i ogarnia go znużenie. Tacy ludzie jak Ingram powodowali, że z całą mocą odczuwał bydlęcą stronę człowieka. Patrzył na zestaw odruchów warunkowych dyrektora, widział jego myszkuje oczy i nie słyszał tego, co tamten mówił. Na szczęście rozmowę podjęła Kamila.

Do gabinetu weszło dwóch mężczyzn.

– Główny inżynier Stanisław Ryglewicz, kierownik laboratorium Ryszard Wizner.

Ryglewicz – niski, korpulentny wesołek, natura otwarta i bezproblemowa. Wzrok Niewelta zatrzymał się na Wiznerze.

– Myślę, że powinniśmy zobaczyć hale, które uległy zniszczeniu. – Kamila wstała i przywitała się z przybyłymi.

– Są już właściwie całkowicie wyremontowane – zagruchał Ryglewicz.
– Za tydzień wznawiamy produkcję. Trwa jeszcze naprawa linii montażowej i testy konstrukcji, ale nie ma już żadnych widocznych śladów zniszczeń.

– Mimo to prosimy, by oprowadzili nas panowie po obu halach.

Niewelt patrzył z zaciekawieniem na Wiznera. Był szczupły, miał wystające kości policzkowe i smutne spojrzenie. Kiedy ich oczy się spotkały, Niewelt poczuł, jak powraca jego ciekawość. Patrzył w głąb ciemnej studni, na której dnie połyskiwało coś niepokojącego. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Tak, bardzo prosimy, by oprowadzili nas panowie po tych halach. – Niewelt poderwał się z fotela i zachichotał. Wszyscy prócz Kamili poczuli się nieswojo. Była przyzwyczajona do tego, że wybuchał swoim denerwującym chichotem w najmniej odpowiednich momentach.

W hali słychać było burczenie automatów, które przykucnęły przy taśmie montażowej. Ich metalowe kadłuby trwały pochylone nieruchomo

nad elementami maszyn. Co jakiś czas któryś z automatów przechodził w inne miejsce.

– Jak mogło dojść do tego, że zawaliły się wsporniki hali? – zapytała dziewczyna.

– Nie wykryliśmy żadnych wad konstrukcyjnych ani materiałowych. – Ryglewicz zatrzymał się przy monitorze naklejonym na żelbetowym słupie i przejrzał szybko kilkanaście trójwymiarowych wykresów. – Przepraszam. W czasie wypadku liczniki zarejestrowały znaczne zwiększenie poboru mocy. Wydaje się, że powodem zniszczenia hal były silne drgania mechaniczne, które wywołały rezonans całej konstrukcji.

– Właśnie taką przyczynę podają wszystkie raporty. – Kamila spojrzała na Niewelta.

– Czy w poprzednich wypadkach, wtedy, kiedy zginęli ludzie, pobór mocy także wzrósł? – Niewelt zadał to pytanie bez specjalnego zapędu.

– Tak. Jednak wzrost był kilkadziesiąt razy mniejszy niż ostatnim razem.

Obejrzeliby jeszcze drugą halę, która wyglądała identycznie, a potem rozmawiali przez godzinę w gabinecie dyrektora i przeglądali zdjęcia. Niewelt dwukrotnie tracił zainteresowanie rozmową i podchodził do projektora światów, przyglądając się, jak ludziki bawią się na oświetlonej blaskiem zachodzącego słońca plaży. Budziło to konsternację wśród obecnych, ale Kamila panowała nad sytuacją. Kiedy wracali do Katowic, zdrzemnął się. Miał sen. Był małym chłopcem i patrzył, jak jego suczka rodzi małe pieski.

– Wiesz, mam, widziałem, skąd one wychodzą! – powiedział z entuzjazmem.

Jego matka nie powiedziała nic, spojrzała tylko na niego z tą samą wrogą dezaprobatą jak wtedy, kiedy użył słowa „sutki”, a ona powiedziała surowo: „Nie używaj takich wyrazów”. Tak właśnie powiedziała – nie

„brzydkich”, ale „takich”. „Dlaczego?” Był zdziwiony i zmieszany. „Dlatego że to grzech” – powiedziała ściszym głosem. Poczł się zawstydzony.

– Jesteśmy juź na miejscu – obudził go głos Kamili. Dziewczyna była tak samo świeża jak rano.

– Ciągle cię podziwiam, Kamilo – powiedział szczerze i ziewnął.

* * *

Wizner był niespokojny i kiedy jego żona razem z dwójką dzieci wyszła do miasta, zamknął się w swoim pokoju i uklęknął przed krzyżem wiszącym na ścianie nad jego łóżkiem. Przymknął oczy i złożył ręce do modlitwy. Przez długi czas nie nadchodziły żadne słowa, widział tylko obrazy, które budziły w nim niepokój i lęk, widział szyderczą, wyjątkowo nieznośną twarz człowieka z Inspekcji Przemysłowej (czy aby na pewno ta para, która ich dzisiaj odwiedziła, była z Inspekcji Przemysłowej? Miał co do tego poważne wątpliwości). Wreszcie niezdarnie, trując się i potykając o własną wrażliwość, która szeptała, że słowa to nie dość i nie tak, jak należy, zaczął składać zdania.

„Panie, nie znam Twoich zamysłów, ale staram się służyć Ci tak, jak najlepiej potrafię. Wiem tylko, że grzech, jakkolwiek długo by się panoszył, wreszcie zostanie przez Ciebie zwyciężony. Świat jest pełen występku, ale Ty przyjdiesz i ukazesz wszystkim światło prawdy. Czy wybrałeś mnie, niegodnego i pełnego złych myśli, abym otworzył Ci bramę? Oświeć mnie, wyznacz właściwą chwilę. Czy juź nadeszła? Czy juź pora, abym uwolnił Twojego anioła? Proszę Cię, Panie, oświeć mój słaby umysł”.

Potem w jego umyśle zaległa cisza. Znów nie było słów. Nie było też żadnych zrozumiałych obrazów. Kolorowe, pulsujące plamy, rozwijające się spiralne wzory. Wielkie, czerwone, wschodzące słońce.

* * *

Samochód Niewelta zepsuł się i tego dnia musiał pojechać z katowickiego urzędu do Sohrau pociągiem. Był piękny słoneczny dzień i Niewelt czuł się wspaniale. Gwizdał jakąś wesołą melodię.

Jak zawsze sprawił to przypadek. Był tak pochłonięty swoimi myślami, że przez dobre kilka minut nie zauważył dziewczyny siedzącej przy oknie po drugiej stronie przedziału.

W kwiecistych, obcisłych spodniach z dominującym kolorem ciemnowiśniowym i jednolicie ciemnozielonej bluzce z miękkiego materiału, pojawiła się nagle w polu jego uwagi jak migoczący płomień. Miała pomalowane na niebiesko powieki i drobne usta. Patrzył przez chwilę na jej ładne stopy w czarnych bucikach na szpilkach, potem poszukał piersi ukrytych w fałdach luźnej bluzki. Wyczuła, że patrzy na nią, i rzuciła mu niechętnie spojrzenie. Niewelt oderwał od niej wzrok. Przestał gwizdać. Melodia przemieniła się i przeniosła do wnętrza jego głowy. Czuł mrowienie na całej powierzchni skóry, muzyka wzmagająca się i unoszą go w górę. Och, pomyślał, och...

Spojrzał znów na dziewczynę. Jej spojrzenie było wyzywające, trochę bezczelne, takie, jakie lubił. Na wysuwanym stolyczku przed nią leżało kolorowe czasopismo kobiece. Znów popatrzyła na niego z dezaprobatą. Niewelt usiłował opanować potęgujący się w jego głowie, zagłuszający wszystkie myśli przypływ. Wyjął z teczki pióro i notes. Zastanawiał się przez chwilę, patrząc na przesuwany się za oknem letni krajobraz. Miał dostatecznie dużo czasu. Wreszcie napisał: „Tylko ból, jaki odczuwam, patrząc na Panią – bo tak Pani jest odległa i nieznajoma – usprawiedliwia moją zuchwałość”. Przyjrzał się krytycznie zdaniu, które napisał. Nikt teraz tak nie pisał i nie mówił, było to pretensjonalne i właściwie w złym smaku (muzyka była coraz głośniejsza). Jednakże całkowicie prawdziwe.

Śmieszne i znakomite. Nie był pewny, czy dziewczyna zrozumie dobrze znaczenie słowa „zuchwałość”, więc na następnej stronie notesu przepisał zdanie, zamieniając „zuchwałość” na „bezczelność”, chociaż ten drugi rzeczownik wydawał mu się odrobinę zbyt wulgarny. Wyrwał kartkę z notesu, wstał i stawiając kroki w rytmie pulsującej melodii, podszedł do dziewczyny i położył liścik na leżącym na stoliczku czasopiśmie. Zdążył przeczytać kilka tytułów na pierwszej jego stronie i napełniło go to obrzydzeniem. Nie oglądając się, wrócił na swoje miejsce. Dziewczyna podniosła karteczkę i przeczytała. Spojrzała na niego. W tych jej lekko beczelnych oczach było zdziwienie. Niewelt pochylił się znów nad notesem. „Czy słyszy Pani tę muzykę? Czas, który tak nagle stał się litościwy? Bo muzyka jest czasem, który stał się łaskawy i litościwy”. Podszedł znów do niej, ale teraz nie wrócił na swoje miejsce. Położył drugi list na tym samym miejscu i usiadł naprzeciwko. Siedziała bez ruchu, patrząc na niego podejrzliwie. Niewelt wziął kartkę, musnął jej brzegiem dłoń dziewczyny i położył obok, na siedzeniu.

– Czy jest pan niemową? – zapytała.

„Nie. Jestem nieśmiały”. – Posłużył się jeszcze raz notesem.

– Akurat! Właśnie widzę, jaki pan nieśmiały! – Zaśmiała się kpiąco. Z tonu jej głosu wniósł, że jest bardzo pewna siebie.

Założył nogę na nogę i z uśmiechem, z przechyloną głową przypatrywał się migotliwemu, zmiennemu płomieniowi. Czekał teraz na jej ruch. Dźwięki dobiegające z zewnątrz stały się cichsze niż te rozlegające się w środku głowy i jego umysł znów przeskoczył w inne miejsce. Widział ciemny pokój pełny papierosowego dymu. Był małym chłopcem i siedział razem z Felicją pod stołem nakrytym ceratą. Milczeli oboje i patrzyli sobie w oczy. Oczy Felicji błyszczały, tak samo jak teraz oczy tej dziewczyny. Felicja miała związane z tyłu ręce.

Wrócił na chwilę.

– Dlaczego pan na mnie tak patrzy? – zapytała.

Niewelt potrząsnął tylko przecząco głową. Przymknął oczy. Patrzył teraz z fascynacją na księdza w czarnej sutannie stojącego na ambonie. „Młodzież jest coraz wyższa i głupsza!”

Szamotał się z wściekłością, przygnieciony ciężarem Zbyszka, czując na twarzy jego zdyszany, odrażający przez swoją bliskość oddech. Było gorąco, przetarł czoło chustką.

– Dlaczego pan na mnie tak patrzy?

„Przypomina mi Pani o czymś. Nie potrafię się temu oprzeć. Dokąd Pani jedzie?”

Przez chwilę zastanawiała się.

– Wsiadam w Pless.

„Zatem muzyka wkrótce ucichnie i światło przygaśnie. Jeśli zjawi się Pani w sobotę o czternastej na stacji kolejowej w Pless, to usłyszę muzykę jeszcze raz. Bardzo tego pragnę”.

Dziewczyna milczała. Zarumieniła się lekko. Wsiadła na stacji i szybko poszła w swoją stronę, a kiedy pociąg ruszył, muzyka w głowie Niewelta zamilkła. Nie zabrała żadnej z karteczek. Leżały na półeczce i kanapie. Zebrał je starannie, złożył i schował do kieszeni. Dopiero potem zaczęły drżeć mu ręce. Zaciśnął dłonie w pięści i uderzał tyłem głowy o ścianę wagonu. Przestał dopiero wtedy, kiedy wszedł konduktor. Ze spokojem podał mu bilet. Na dworcu w Sohrau podarł wszystkie świstki i wyrzucił do kosza na śmieci.

* * *

Niewelt wszedł do pracowni Wiznera, gwizdząc coś pod nosem. Był w świetnym humorze.

– Lubi pan pracować popołudniami? – zapytał Wiznera, który patrzył na niego z osłupieniem. Kierownik laboratorium siedział przy konsoli operatorskiej. Na stoliku obok leżała maska wizyjna. Na dużym ekranie przed konsolą odbywał się właśnie powolny proces budowania jakiejś złożonej, trójwymiarowej struktury.

– Bardzo często pracuję w nadgodzinach. – Wizner sięgnął po paczkę syntetycznych papierosów i zapalił.

– Ja też uważam, że praca jest najważniejsza – zaśmiał się Niewelt. – Dowiedziałem się, że będzie pan dzisiaj pracował po południu, i przyjechałem, by porozmawiać z panem.

– O czym? – Kierownik nie wyglądał na zachwyconego.

– O pańskiej pracy, oczywiście. Muszę powiedzieć, że dotąd nie zrozumiałem dobrze, co tutaj wyprawiacie. – Rozejrzał się po pracowni i zobaczył w kącie krzesło. Przyniósł je i postawił obok stolika naprzeciw fotela Wiznera.

– Proszę pytać. Co chciałby pan wiedzieć?

– Sieci neuronowe i wszelkiego rodzaju mikroukłady elektroniczne nie są waszym głównym produktem? Produkujecie też oprogramowanie?

– Tak. Wytwarzamy aktywne moduły programowe.

– Hodowla informacji, tak to czasem nazywają?

Wizner skinął głową.

– Laboratorium selekcji dysponuje pięcioma dużymi środowiskami sprzętowymi. Są to właściwie bardzo szybkie pamięci operacyjne, obsługiwane przez najszybsze dostępne obecnie procesory. Wprowadza się do nich zarodkowe procedury o interesujących nas cechach. W każdym przypadku uruchamiany jest generator czynnika losowego. Zmienia on fragmenty kodu procedur zarodkowych – jest to odpowiednik czynników mutagennych w środowisku naturalnym. Procedury zarodkowe oddziałują z

otoczeniem, z innymi procedurami, z produktami swego działania i czasami same z sobą. Odbywa się coś w rodzaju naturalnej selekcji, w wyniku której powstają bardzo złożone struktury. Rozwijające się w ten sposób programy współzawodniczą o wielkość zajmowanej przestrzeni i dostępne zasoby, czyli dostępną moc obliczeniową.

– To jakby model ewolucji naturalnej?

– Właśnie tak. Środowiska sprzętowe można porównać do powierzchni Ziemi kilka miliardów lat temu. Procedury zarodkowe do prostych związków organicznych, od jakich startowała ewolucja. Mutacje są u nas symulowane generatorem czynnika losowego. Prawa fizyki, narzucające porządek przebiegowi zdarzeń, staramy się odtworzyć założonymi regułami transformacji kodu programów. Nie ma nic szczególnego w tym, że w rezultacie udaje się wygenerować dynamiczne, złożone struktury, zawierające więcej informacji niż procedury zarodkowe. Zdziwiająca jest to, że udało się stworzyć narzędzia śledzenia owych struktur i że przy ich pomocy daje się wyodrębnić podstruktury, które są użyteczne i mogą być wykorzystane w różnych dziedzinach. To jakby hodowla prymitywnych organizmów w retortach. Trzymając się tego porównania, można powiedzieć, że po jakimś czasie bada się pod mikroskopem, co tam w środku się wykluło, i prawie zawsze udaje się znaleźć jakieś komórki czy organy, które można amputować i wszczepić już działającym hybrydom. W ten sposób powstają bardzo złożone systemy. Te najbardziej obiecujące i niezwykle poddaje się wielokrotnie bardzo podobnej procedurze, jakiej podległy wejściowe procedury zarodkowe, otrzymując w ten sposób struktury o kolejne rzędy wielkości bardziej złożone niż poprzednie. Może pan teraz zrozumieć, dlaczego w żargonie nazywamy całe sprzętowe oprzyrządowanie, przy którego wsparciu przebiega ta sztuczna ewolucja, wylęgarniami.

– Fascynujące! – Niewelt wyglądał na bardzo zadowolonego. – Ale pewnie tak stworzone obiekty nie dają się w pełni kontrolować?

– To prawda. Zakres naszej kontroli nad funkcjonowaniem rośliny czy bakterii jest mniejszy niż nad prostą maszyną, ale też nie jesteśmy w stanie sprawić, by prosta maszyna, taka, której działanie całkowicie rozumiemy, była w stanie odtwarzać funkcje tych pierwszych. A najważniejsze jest to, że przecież bardzo rzadko potrzebna nam jest całkowita kontrola nad działaniem wykorzystywanych przez nas struktur. Nie można, ale i nie trzeba wyczerpywać rozumienia roślin, by móc je z powodzeniem i pożytkiem uprawiać.

– Pięknie pan to powiedział! – Niewelt przez sekundę wahał się, czy Wizner dostrzegł słabą nutę szyderstwa w jego głosie. – Ile osób zajmuje się tu wylęgarniami?

– Pięć. Jedna osoba dla każdego środowiska.

– To musi być piekielnie trudna praca?

Wizner pokręcił przecząco głową.

– Praca jest w dużym stopniu zautomatyzowana. Środowisko jest skanowane przez wyspecjalizowane programy śledzące.

Niewelt popatrzył na ekran. Barwna struktura rozlała się już na prawie cały ekran.

– Dlaczego środowiska nie są połączone? Przecież przez połączenie ich zasobów można by uzyskać lepsze warunki rozwoju tych zarodkowych struktur?

– To prawda. Istnieje jednak próg komplikacji ewoluujących struktur. Nawet ma swoją nazwę, próg Stocka. Po przekroczeniu określonej wielkości zasobów rozwijające się struktury zmieniają się tak szybko i w tak złożony sposób, że znane nam metody śledzenia okazują się

nieprzydatne. Po prostu przestajemy zupełnie rozumieć, co dzieje się w wylęgarni.

– Czy wie pan, z czym mi się to wszystko kojarzy? Pewien facet, John Horton Conway z Uniwersytetu Cambridge, wymyślił grę o nazwie „Game of Life”. Czy słyszał pan o tym?

– Oczywiście. To jest elementarz – skrzywił się Wizner.

– Właśnie. Opis gry pojawił się w artykule Martina Gardnera w „Scientific American” w październiku 1970 roku. Było to też coś w rodzaju symulacji życia. Czy dobrze rozumiem? Wszystko odbywa się na dwuwymiarowej planszy podzielonej na kwadraty. Na początku niektóre kwadraty są zapalone. To warunki początkowe, odpowiednik czynnika losowego. Conway wymyślił bardzo proste reguły, według których w następnym cyklu obliczeniowym dany kwadrat albo pozostaje zapalony – „przeżywa”, albo gaśnie – „ginie”, albo też zapala się, czyli „ożywa”. To chyba można porównać do tego, co u was pełni rolę praw fizyki, prawda?

Wizner zaciągnął się i skinął potwierdzająco głową.

– Przy tak prostych założeniach udawało się uzyskiwać bardzo złożone, dynamiczne struktury, które wzajemnie na siebie oddziaływały i wykazywały pewną stabilność. Niektóre uzyskały nawet swoje własne nazwy. Różni badacze „Game of Life” dopracowali się intuicyjnego rozumienia procesów, które rozwijały się na dużych planszach pomiędzy tymi świetlnymi twórcami. Niektórzy z nich spekulowali na temat tego, czy na dostatecznie wielkich planszach nie mogłyby powstać twory tak złożone, że przypominałyby myślące istoty. Istoty myślące o sensie życia i o swoim twórcy.

– To prawda. Tę grę można potraktować jako bardzo prymitywny model naszego projektu. – Wizner patrzył na Niewelta z nieruchomą twarzą.

– Jak pan sądzi, czy ci pierwsi badacze mogli mieć rację? Czy uda się kiedyś wyhodować w podobny sposób jakiegoś rodzaju świadomość?

– Być może. – Wizner zdusił papierosa w popielniczce. – Nawet gdyby tak się kiedyś stało, nie potrafilibyśmy niczego o nich się dowiedzieć. Struktury, które powstają w wylęgarni, są naprawdę bardzo skomplikowane. Umiemy śledzić tylko ich najprostsze funkcje, a i to metodami dającymi wyłącznie przybliżone pojęcie o tym, co naprawdę tam zachodzi. Niewiele wiemy, a poza tym nie ma wielu punktów stycznych naszego świata i świata wylęgarni. Takie żyjące w wylęgarni istoty nie umiałyby „wyjrzeć” na zewnątrz. Żadne „zewnątrz” dla nich by nie istniało. Nie, to nie do pomyślenia.

– Nawet w czasie długich, bezsennych nocy?

Wizner wzruszył ramionami. Odwrócił wzrok od Niewelta i zaczął patrzeć na kolorowy ekran. Wielka ośmiornicowata struktura zaczęła pękać na dziesiątki mniejszych.

* * *

Niewelt czekał na Kamilę przy stoliku kawiarni na katowickim rynku. Zapadał już wieczór. Zastanawiał się nad tym, co może oznaczać jego doskonałe samopoczucie. Powietrze było nagrzane, pachnące latem i mokrym brukiem, bo przed chwilą spadł mały deszczyk. Zjadł dużą porcję lodów, spojrzął na zegarek i wyciągnął z teczki gazetę. Jego uwagę przyciągnął artykuł o wychowaniu seksualnym dzieci. Autorka była rzeczniczką bardziej nowoczesnego podejścia. Wspominała z rozbawieniem, że była zdziwiona, kiedy dowiedziała się, że plemniki nie przechodzą po prześcieradle od tatusia do mamusi. Stwierdziła, że należy o wszystkim rozmawiać z dziećmi w sposób naturalny i nieskrępowany. Mali chłopcy bawią się niewinnie swoimi siusiakami, gdy oddając mocz, robią

wzorki w śniegu. Jest też rzeczą zupełnie zwyczajną niekrycie się ze swoją nagością przed dziećmi. Przypominała sobie z melancholią, jak była zakłopotana, kiedy jej syn, jeszcze niemowlak, miał wzwód. Który był przecież tylko odruchem fizjologicznym. Zaproponowała też inny sposób mówienia dzieciom o tym, jak plemniki przechodzą od tatusia do mamusi. Można po prostu powiedzieć, że tatuś włożył swojego siusiaka do cipki mamusi.

Niewelt podarł gazetę i wyrzucił do kosza. Wtedy nadeszła Kamila.

– Cześć. Długo czekasz na mnie?

– Och, nie. – Widok Kamili w jej starej, lekko wytartej kamizelce sprawił mu ulgę. Poczł teraz, że bardzo ją lubi. Wieczór był przyjemny, przed kawiarnią zapaliły się lampy.

– Rozmawiałeś z Wiznerem?

– Tak. Ale on nie jest bardzo rozmowny. A jak tobie poszło?

– Przesiedziałam trzy dni przy terminalu. Przejrzałam kilka bibliotek. Efekt progowy Stocka.

– Znam to. Możesz iść dalej.

– Najnowsze odkrycie. Po przekroczeniu progu Stocka powstają metastruktury, które wymykają się spod kontroli. Podzielenie środowiska na mniejsze moduły powoduje rozpad tych struktur, ale nie ulegają one całkowitemu zniszczeniu. Jeśli składowe środowiska nie są całkowicie zerowane, to po ponownym połączeniu metastruktury się odtwarzają. Zachowują całą gamę swoich charakterystyk. Tak jak człowiek, który zapada w sen, a potem budzi się na powrót.

– Podoba mi się to porównanie. Stajesz się poetką, Kamilo! Co się dzieje z twoją rzeczowością?

– To nie moje porównanie. Tak napisał autor tego odkrycia. Jakiś Amerykanin, nie pamiętam nazwiska.

– Szkoda, naprawdę szkoda. – Niewelt roześmiał się. – Gdybyś jeszcze od czasu do czasu miewała przyływy poetyckiego natchnienia, to zakochałbym się w tobie.

Kelner przyniósł drugą kawę.

– Myślę, że ten Amerykanin nie jest prawdziwym odkrywcą efektu – powiedział Niewelt, patrząc, jak Kamila nabija sobie fajkę.

– Wizner? – Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

Niewelt kiwnął głową i zachichotał z zadowoleniem.

* * *

W sobotę pojechał pociągiem do Pless. Nie był pewien, czy nieznajoma zjawi się na stacji, i, prawdę mówiąc, było mu to dość obojętne. Czuł, że ma już Wiznera w ręku, i planował szybkie zakończenie całej sprawy. Wyobrażał sobie, jak poprowadzi go na sznurku, potulnego i oszołomionego, aż na miejsce kaźni. Odczuwał przy tym rozkosz i wdychał głęboko powietrze. Jednak w miarę zbliżania się do Pless coraz częściej przypominał sobie twarz dziewczyny. Kiedy pociąg zaczął hamować, wyszedł z przedziału i podszedł do drzwi. Pociąg zatrzymał się.

Była. Siedziała na ławce, czytając gazetę. Ubrana tak samo jak ostatnim razem. Niewelt wyskoczył z pociągu i podszedł do niej.

– Dzień dobry – powiedział.

Podniosła wzrok.

– Ach, to pan. Odzyskał pan głos?

– Cieszę się, że pani przyszła.

Chwycił ją za ramię.

– Chodźmy, pociąg zaraz odjeżdża.

– Dokąd chce pan jechać? – Szła z nim bez entuzjazmu.

Wsiedli do wagonu.

– Nie wiem. – Niewelt uśmiechnął się. – Dokądkolwiek.

– Zachowujesz się dziwnie.

Zastanawiał się przez chwilę nad tym, że zwróciła się do niego przez „ty”. Uznał to w końcu za pomyślną okoliczność. Pociąg ruszył.

– Nie byłem pewny, czy przyjdiesz – powiedział do niej cicho.

– Właściwie to przypadek, że się tu znalazłam.

Uśmiechnął się lekko.

– Dokąd chcesz jechać?

– Chciałem, żebyśmy znaleźli się choć przez chwilę znów w tej samej sytuacji, siedząc naprzeciw siebie w wagonie jadącego pociągu. Aby grała znów ta muzyka.

– Słyszysz muzykę?

Potrząsnął głową ze smutkiem.

– Nie, w tej chwili nie słyszę muzyki. Wiesz, cierpię na obsesję mijającego czasu. Cierpię, myśląc o tym, że tamta chwila już się nie powtórzy. Ale to banalne uczucie.

Dziewczyna nie wyglądała na zanedo znudzoną.

– Jak się nazywasz?

Wzruszył ramionami.

– Oczywiście dowiesz się, ale nie chciałbym o tym mówić już teraz. Niech ta chwila jeszcze trwa. Nic jeszcze o sobie nie wiemy, prawda? To takie przejmujące i piękne.

Spojrzała przez okno.

– Znam ten las. Jest tu bardzo pięknie.

Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce w lesie. Niewelt zobaczył napis na budyneczku stacji. Radostowice.

Jak wszystko dobrze się układa, pomyślał ze zdziwieniem.

– Byłaś już w tym lesie?

– O tak.

– Wyjdźmy tu. Teraz już wiem, że jechaliśmy tu po to, byś pokazała mi ten las.

Roześmiała się. Wysiedli z pociągu. Gdy odjechał, zrobiło się pusto i cicho. Minęli stary budynek stacji – za uchylonymi drzwiami Niewelt dojrzał wysoki kaflowy piec – a potem poszli asfaltową drogą w głąb lasu. Ciepłe powietrze nasycone było parą i leśnymi zapachami.

– Skąd znasz ten las? Zbierałaś tu maliny?

– Nie. – Znów się zaśmiała. Miała bardzo dźwięczny głos. – Jagody.

– Opowiem ci o czymś – powiedział Niewelt. Asfaltowa droga skończyła się, szli teraz wysypaną żwirem polną drogą biegnącą sosnowym lasem. – Pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, częściej przebywałem w towarzystwie dziewczynek niż innych chłopców.

– To chyba nie będzie ciekawa historia.

– Być może. Staralem się je zrozumieć, choć szło mi to dość kiepsko. Wszystko widziały trochę inaczej i trudno było się z nimi bawić.

– Trzeba było bawić się w doktora.

Niewelt milczał przez chwilę zrażony jej dowcipem.

– Nie potrafię już sobie dokładnie przypomnieć, jak to było za pierwszym razem, ale zdarzyło się kiedyś, że z jedną z moich koleżanek wpadliśmy na dziwny pomysł. Mieliśmy spory kawałek sznura. Zabawa polegała na tym, że wiązaliśmy się, najpierw ona mnie, potem ja ją. Trzeba było związać partnera tak, aby nie potrafił się uwolnić ani poruszać rękoma i nogami.

Weszli w jakąś boczną ścieżkę. Po obu jej stronach rosły wysokie rośliny o drobnych ciemnozielonych liściach. Dziewczyna milczała.

– Byliśmy małymi dziećmi. Siedzieliśmy pod stołem, ona skrępowana, zupełnie bezradna, a ja siedziałem naprzeciw niej i patrzyłem na nią, na jej

bezsilność i poczucie zupełnego podporządkowania, które w niej narastało. Było mi dobrze. Znacznie później dowiedziałem się, że kochankowie niekiedy praktykują wiązanie partnera dla osiągnięcia pełniejszej satysfakcji. Robiłem to wiele razy jako dziecko, ale kiedy zacząłem dojrzewać, przestałem.

– Wstrętny mały lubieżnik.

– Kiedyś, znacznie później, zrobiłem to z dorosłą kobietą.

Weszli na śliczną polanę porośniętą wysoką, kwitnącą trawą. Wokół rosły sosny, jak smukłe kolumny w zielonej świątyni. Niewelt był zachwycony.

– Piękne miejsce!

– I jak było z tą kobietą?

– Kiedy ją związałem, oczekiwała, że zrobię coś nadzwyczajnego, ale ja tylko przyglądałem jej się, a potem ją rozwiązałem.

Zatrzymali się. Dziewczyna patrzyła na Niewelta z uwagą. Był trochę zmieszany.

– Wyśmiała mnie. Do dziś pamiętam to bardzo dobrze. Znienawidziłem ją. Upokorzony i zawstydzony, zrozumiałem, że nie umiałem spełnić jej oczekiwań.

– Biedaku... – Dziewczyna była teraz nad nim górą. Pewna siebie, czuła trochę litości i trochę pogardy. Niewelt widział to z całą wyrazistością.

– Chcesz? Możesz mnie związać, jeśli sprawi ci to przyjemność – powiedziała nagle.

Popatrzył na nią nieufnie.

– Nie będę się z ciebie śmiała, przysięgam. Proszę, zrób to.

Podszedł do niej i musnął jej wargi swoimi ustami. Potem delikatnie odchylił jej ręce do tyłu i stanął za nią. Ściągnął pasek od spodni i związał jej ręce. Pasek nadawał się do tego doskonale, był elastyczny i dawał się

pewnie i wygodnie zapinać. Kiedy skończył, ucałował jej szyję. Odchyliła głowę w bok, czuł zapach jej bujnych włosów.

– Jesteś wspaniała – szepnął. – Usiądźmy na trawie.

Patrzył z przyjemnością, jak mimo związanych rąk siada zgrabnie. Usiadł naprzeciw niej.

– Jest tak cicho – powiedziała.

Wysokie sosny wokół nich zaszumiały miękko. Niewelt patrzył na nią z zachwytem. Widział, jak ta jej ordynarna przewaga i pewność siebie topnieją stopniowo, jak w jej oczach pojawia się coś głęboko ukrywanego, starszego niż najstarsza modlitwa. Była bezradna i zdana na jego łaskę, choć przed minutą nie wiedziała, że może tak być, że świat może być właśnie taki. Przysunął się do niej i pocałował ją.

– Nie zawiodę cię – szepnął.

* * *

Na korytarzu, przed pracownią, w której majstrował coś Niewelt, czekali dyrektor Ingram, Ryglewicz, Wizner i pani prokurator. Kamila przywitała się z nimi i weszła do środka.

– Już jesteś! – ucieszył się Niewelt.

Pokój był dość duży. W ścianie naprzeciw drzwi zamontowano manipulator mechaniczny na wysięgniku. Na podłodze wymalowano białą linię, rozdzielając w ten sposób przestrzeń na dwie części. W tekturowym pudle położonym na podłodze skomlał czarny szczeniak.

– Skąd wzięłeś tego pieska?

– Prawda, że miły? – Niewelt był z siebie bardzo zadowolony. – Do tej pory używałem szczurów laboratoryjnych, ale szczeniak powinien zrobić dużo lepsze wrażenie.

Kamila rozejrzała się po pokoju. Trochę zdezorientowana, nie wiedziała dokładnie, co zamierza zrobić Niewelt. Słyszał w urzędzie z ekstrawaganckich pomysłów. Na stoliku obok konsoli stała butelka mleka i plastikowy spodek, o stół wsparto długi drewniany kij. Kamila zaczęła pieścić szczeniaka.

– Jaki milutki.

Na ścianie koło drzwi zobaczyła brunatne plamy, jak ślady krwi.

– Co to jest?

Niewelt rozejrzał się nieprzytomnie. Dostrzegł plamy.

– Ach, to. To zostało po szczurach. Czy możesz ich poprosić do środka?

Kamila wyszła na korytarz. Czuła się trochę głupio, a wzmianka o szczurach ją zaniepokoiła.

– Zechcą państwo wejść.

Niewelt przywitał ich, stojąc tuż przed białą linią, z rozwartymi ramionami i uprzejmym uśmiechem na twarzy.

– Dzień dobry państwu. Zacznę od rzeczy absolutnie najważniejszej. Otóż pod żadnym pozorem proszę nie przekraczać linii, którą namalowałem na podłodze. Proszę też nie stać w pobliżu drzwi.

Ingram i Ryglewicz stanęli w jednym kącie pokoju, w pobliżu konsoli, Wizner, pani prokurator i Kamila w drugim. Niewelt opuścił ręce i podszedł do stolika.

– Najpierw kilka słów wyjaśnienia. Wszyscy państwo znają efekt progowy Stocka. Polega on na tym, że po przekroczeniu pewnej wielkości zależnej od mocy i pojemności środowiska traci się możliwość śledzenia procesów, które przebiegają w wylęgarni. Dlatego zwykle unika się takich sytuacji. Podobne stany są po prostu nieproduktywne z naszego punktu widzenia. Przy przekroczeniu progu Stocka następuje zwiększenie poboru mocy, dość ściśle zależne od wielkości łączonych środowisk. Zapewne z

ciekawością przyjmą państwo fakt, że zwiększenie poboru mocy, które nastąpiło w państwa zakładach w czasie wypadków, jakie miały tu miejsce – z wyjątkiem ostatniego – daje się bardzo dobrze wytłumaczyć, przyjąwszy, że środowiska, którymi tutaj dysponujecie, zostały połączone.

– Jest to sprzeczne z procedurą produkcyjną – wtrącił Ingram.

– Ale teoretycznie jest to możliwe?

– Tak, teoretycznie tak. Nie ma automatycznych zabezpieczeń, ponieważ próg Stocka daje się wyznaczyć dla zadanych środowisk tylko w przybliżeniu, a w pewnych sytuacjach korzystne jest maksymalne zbliżenie się do tego progu.

– Zatem możliwe jest, że w czasie zwykłej pracy zostaje przekroczony próg Stocka? – zapytała Kamila.

– Tak. Jest to możliwe, choć mało prawdopodobne. W każdym razie nie prowadziliśmy w naszych zakładach tego typu eksperymentów.

Niewelt nie był zadowolony z pytania Kamili.

– Zapewne wiedzą też państwo, że odkryto niedawno, iż społeczność obiektów, która przekroczyła próg Stocka, wykazuje pewne ciekawe własności. Otóż można ją scharakteryzować całym zespołem mierzalnych wielkości, których znaczenia nie rozumiemy, ale które są stabilne. Powiedzmy, że nazwiemy je kolorem, zapachem i wrażliwością. Te nazwy nie mają żadnego znaczenia. Powiedzmy, że środowisko, w którym wyhodowano taką społeczność, po przekroczeniu progu Stocka zostało na powrót podzielone na części składowe, a następnie znów połączone, bez zerowania stanów części składowych. Okazuje się, że wielkości, o których wspomniałem, zachowują się. Charakter połączonego środowiska, taki, jaki uformował się przy pierwszym połączeniu, pozostaje niezmienny. Powiem jeszcze inaczej. Środowisko z gotującym się w nim bulionem złożonych, samomodyfikujących się fragmentów kodu może być

porównywane do biosfery we wczesnym etapie rozwoju. Ale może też być porównane do umysłu. Kiedy fragmenty tego umysłu są rozdzielane, to jego świadomość niknie. Jednak wszystkie te cechy, które składały się na ów umysł, są zachowane i po powtórny połączeniu świadomość pojawia się na nowo, być może nawet z pamięcią tego, co stało się wcześniej.

– Ale do czego pan zmierza? – spytał Ryglewicz. Był już zmęczony tym, że tak długo sam nic nie mówił.

– Ktoś połączył wszystkie wasze wylęgarnie. Przechowują one pamięć tego pierwszego połączenia.

– Skąd pan może o tym wiedzieć? – Wizner był blady. – Żeby zmierzyć te zachowujące się własności, trzeba najpierw dokonać połączenia środowisk i w tym momencie nie daje się udowodnić, że połączenie, które właśnie się dokonało, nie było tym pierwszym.

– To prawda. Przyjmijmy jednak, że było tak, jak powiedziałem. Ktoś połączył środowiska i odkrył, że wykazują one pewne niezwykle własności. Trudno cokolwiek powiedzieć o tym, co dzieje się w połączonych środowiskach, ale komuś mogło się wydawać, że zdobył na ten temat jakąś intuicyjną, głębszą wiedzę. Mógł też spróbować porozumieć się, jeśli to właściwe słowo, z tym, co wyewoluowało w wylęgarni w inny sposób. Na przykład łącząc środowisko z systemem kierowania zakładami.

– To absurdalne. – Dyrektor nerwowo zerkał na czerwone plamy na ścianie.

– Owszem, to może wydawać się absurdalne, ale mamy tu do czynienia z człowiekiem, którego sposób myślenia odbiega nieco od przeciętnej.

– Sugeruje pan, że w ten sposób doszło do wypadków? – Pani prokurator ożywiła się.

– Tak jest. Co więcej, uważam, że człowiek, który to zrobił, ma zamiar połączyć wylęgarnię z siecią ogólnokrajową.

– Nie rozumiem, po co miałyby to robić?

Niewelt się uśmiechnął. Ingram nudził go tak samo jak podczas pierwszego spotkania.

– Obawiam się, że trudno byłoby mi to panu w tej chwili wyjaśnić. Wytłumaczenie istnieje, ale wymaga pewnej ilustracji. Proszę spojrzeć na ten manipulator. Na jego chwytaku, a także u nasady wysięgnika zamontowano czujniki optyczne, chwytak wyposażony jest także w czujniki dotykowe. Przez ostatnie kilka dni przeprowadzałem eksperymenty, łącząc układ sterujący manipulatora z wylęgarnią. Teraz połączę wszystkie środowiska.

Niewelt nacisnął przycisk na konsoli.

– Łączenie trwa około trzydziestu sekund. – Popatrzył na zegarek. – Po trzydziestu sekundach stałe parametry wylęgarni stabilizują się. – Odczekał chwilę. – A teraz łączę obwody manipulatora z wyjściem wylęgarni.

Nacisnął inny przycisk. Na końcach zwartych palców manipulatora i u nasady wysięgnika zajarzyły się rubinowe punkty. Kamili wydawało się, że chwytak przesunął się o milimetr. Niewelt nalał mleka do plastikowego spodeczka.

– Gorąco tu – powiedział Ryglewicz. – Zaszło mi w gardle.

– Proszę się napić. – Niewelt wręczył mu butelkę z resztą mleka. Postawił spodek na podłodze, wyciągnął z pudła psiaka i postawił go obok spodka. Ryglewicz i szczenię zaczęli pić, obaj bardzo spragnieni. Piesek trząsał się i mruczał, chłepcząc z miseczki. Niewelt wziął kij i zaczął przesuwać spodek ku białej linii.

– Bardzo ciekawy eksperyment – powiedział Ingram. Był zirytowany i zniecierpliwiony idiotycznym widowiskiem.

– Nie jest to eksperyment z dziedziny nauk ścisłych – stwierdził Niewelt.
– Ale wydaje mi się, że zapewnia wystarczająco dużą powtarzalność

wyników.

W momencie, gdy spodek przekroczył białą linię, Kamili znów wydawało się, że manipulator lekko drgnął. Nie miała czasu, by się nad tym zastanowić, bo kiedy piesek, drepcząc za odsuwającym się spodkiem, znalazł się kilkanaście centymetrów za linią, wysięgnik manipulatora wystrzelił z nasady i uderzył w szczeniaka. Rozległ się dźwięk, który był raczej odgłosem powietrza wybijanego z wnętrza zwierzaka niż piskiem. Chwytek ze zwartymi palcami miał średnicę około trzech centymetrów. Uderzenie rąbnęło zwłokami pieska o ścianę koło drzwi, zostawiając czerwoną plamę. Manipulator cofnął się do poprzedniej pozycji.

– Udało się! – Niewelt patrzył z zadowoleniem na Wiznera.

Ryglewicz odłożył butelkę na stolik i rozglądał się ze zdziwieniem wokół siebie. Dopiero po chwili zauważył drgające ciało i zbladł.

– Wylęgarnia? – wybełkotał Ingram.

– Panie Wizner, to pan zabiegał o to, by połączyć zakłady z siecią ogólnokrajową linią o większej przepustowości? – zapytał Niewelt.

Wizner stał nieruchomo. Wydawało się, że nie słyszy pytania.

Patrzyli na niego.

– Czy myślicie, że jestem mordercą? – powiedział nagle drętwym głosem. – Przecież to jest zupełnie nie tak. To jest jakaś idiotyczna sztuczka, nie wierzę, nie wierzę. To jest idiotyczne.

Szybkiem krokiem przekroczył białą linię.

„Ufam Ci całym moim sercem, Panie mój, ufam Ci, oddaję Ci całego siebie. Wiem, że jesteś dobry, że jesteś nieskończony, oto staję wobec Ciebie zupełnie bezbronny i odsłonięty, zdany całkowicie na Twoją łaskę, a moja pycha topnieje”.

Ciało Wiznera miało kilkadziesiąt razy większą bezwładność niż ciało szczeniaka, dlatego kiedy manipulator przebił jego prawy bok, uderzenie

tylko wstrząsnęło Wiznerem. Niewelt nie mógł powstrzymać nerwowego chichotu, widząc go nadzianego na wysięgnik manipulatora. Wizner krzyknął i złapał wysięgnik, usiłując utrzymać równowagę, ale nie udało mu się i zaczął obracać się wokół osi manipulatora. W pierwszej sekundzie po uderzeniu nie czuł bólu. Stwierdził tylko ze zdziwieniem, że wpychany jest w świat przedmiotów niekontrolujących własnego stanu. Było to wrażenie niezmiernie przykre.

Kiedy Niewelt sięgał ręką do przycisku odłączającego manipulator od wylęgarni, wysięgnik manipulatora cofnął się gwałtownie, uwalniając ciało Wiznera. Ten upadł z jękiem, a potem próbował wpełznąć z powrotem za białą linię. Niewelt dotykał już przycisku, kiedy manipulator uderzył jeszcze trzykrotnie, miażdżąc głowę rannego. Rubinowe punkty zgasły. Ingram, najbardziej obryzganym krwią, osunął się na podłogę. Błady jak ściana Ryglewicz podszedł do konsoli i wprowadził hasło umożliwiające zerowanie środowisk.

– To wszystko. – Niewelt podał pani prokurator chusteczkę, kiedy przestała wymiotować.

* * *

Niewelt znowu siedział przy stoliku kawiarni na katowickim rynku. Ubrany był w jasny garnitur i świeżą koszulę, założył nawet krawat. Zrobił to dla Kamili, miał się z nią widzieć po raz ostatni. Było przedpołudnie i rynek nie był bardzo zatłoczony. Pił drugą szklankę swojego ulubionego napoju czereśniowego i czytał gazetę. Potem odłożył ją i patrzył na przechodzących ludzi. Było ciepło, ale nie za gorąco. Siedział całkowicie odprężony i czuł się jak rozleniwiony, odpoczywający kocur obserwujący wróble. Kamila wysiadła z tramwaju i szybkim krokiem podeszła do kawiarni.

– Cześć. – Usiadła naprzeciw, patrząc na jego garnitur i krawat. – Przepraszam cię, ale wyrwałam się tylko na chwilę. Mogę się przysiąc tylko na kwadrans. Nie, nie zamawiaj niczego.

Wyciągnęła z torebki błękitną kulę z płaską plastikową podstawką, przez chwilę manipulowała przy niej, a potem postawiła ją na stoliku.

– Co to jest? – Niewelt był zaintrygowany.

– Budzik.

Milczeli przez kilkanaście sekund, patrząc na siebie.

– Masz dużo pracy? – zapytał.

– Od cholery. Ten facet, z którym teraz pracuję, drażni mnie. Nadęty bubek.

Nabiła fajkę i zapaliła.

– Przykro mi, że cię wywalili. Mój raport był neutralny.

Niewelt uśmiechnął się cierpko.

– Nieumyślne spowodowanie śmierci. Co za głupcy. Nie potrafili nawet zrozumieć, jakim zagrożeniem był ten człowiek.

– Mogło to skończyć się dla ciebie jeszcze gorzej – powiedziała Kamila. Przypomniała sobie, jak wybuchnął wtedy śmiechem. Nie wspomniała o tym w swoim raporcie dla komisji śledczej.

Niewelt wzruszył ramionami.

– Nie chciałeś skomentować tego, co się tam zdarzyło. To ci nie pomogło.

– Nie ukrywałem niczego. Wszystkie fakty komisja poznała.

– Ale nie przedstawiłeś swojej interpretacji tych faktów.

Niewelt bawił się szklanką. Położył ją, a potem wziął do ręki budzik. U spodu, na dłuższym boku podstawki, miał kilka przycisków i wyświetlacz. Odłożył kulę na swoje miejsce.

– Chcesz wiedzieć, jaka jest moja interpretacja?

Kamila pociągnęła lekko dym z fajki. Skinęła głową.

– Wizner był przekonany, że zetknął się z wielkim dobrem, ale pomylił się. Bardzo się pomylił.

– Przecież to, co się działo, musiało mu dać do myślenia.

– Ufał. Wierzył. Wbrew wszystkiemu. W końcu nie miał wyjścia, powierzył siebie temu, co miał za nieskończenie dobre. Może nawet do ostatniej chwili nie zmienił zdania. – Niewelt zachichotał i Kamilę przeszył dreszcz.

– Co masz na myśli?

– Mógł sądzić, że okazał się niegodny, że wierzył i ufał nie dość mocno i dlatego spotkała go kara.

Znów milczeli.

– Wyjeżdżasz?

– Tak. Chcę sobie zrobić dłuższe wakacje. Chciałbym wreszcie pojechać do Paryża.

– A co potem?

– Jeszcze nie wiem.

Pomyślał o pociągach jadących w niewiadomych kierunkach i poczuł się gorzej.

Błękitna kula na stoliku zrobiła się nagle przezroczysta. W środku kuli były czerwone sztuczne róże. Ich płatki rozwierały się i zamykały, a cały bukietik się obracał. Pozytywka wygrywała melodię, która wydawała mu się znajoma. To właśnie ta melodia! – pomyślał ze zdziwieniem. Poczuł wzruszenie, zrozumiał, że będzie mu brakować Kamili.

– Muszę już iść. – Dziewczyna posprzątała swoje rzeczy do torebki. Spojrzała na niego jeszcze raz. Wydawało mu się, że jej oczy są trochę bardziej wilgotne. Wstała, a potem szybko podeszła i pocałowała go w policzek.

– Uważaj na siebie, Kamilo – szepnął. – Nigdy za bardzo nie ufaj nikomu. I niczemu.

– Trzymaj się – powiedziała i pobiegła do tramwaju.

Niewelt dopił sok czereśniowy. Siedział przez chwilę, myśląc o Kamili, a potem znów wziął gazetę. Jego wzrok padł na krótką notkę na drugiej stronie. Informowała, że w lesie pod Radostowicami znaleziono zwłoki młodej kobiety, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Przyczyną jej śmierci było prawdopodobnie uduszenie.

Zamknął oczy. Widział najpierw Wiznera obracającego się na wysięgniku manipulatora jak na rożnie, a potem poczuł wijące się pod nim ciało. Jęknął uderzony falą bólu, który nie był rzeczywisty, choć sprawił, że stracił na chwilę przytomność. Otworzył z wysiłkiem oczy i rozwarł zaciśnięte pięści. Wokół niego był świat pełny pastelowych barw i delikatnych kształtów. Fala odpływała. Po kilkunastu sekundach ból minął zupełnie i Niewet odzyskał swój doskonały nastrój. Patrzył na przechodzące kobiety i pomyślał, że Kościół nie nauczał, jak mężczyzna powinien poznawać kobietę. Zapewne wychodził z założenia, że sztuka podrywania, tak czy owak, należy do dziedziny diabła i trzeba mu ją zostawić. Uśmiechnął się do swoich myśli. Zapłacił, wstał od stolika i poszedł swoją drogą, zostawiając gazetę na blacie.

ŚPIOCHY W ULRO

Nad łóżkiem Alaina Garetta stali pielęgniarka i lekarz. Garrett już nie oddychał. Pościel zalana była krwią z ostatniego krwotoku. Jeszcze dwie godziny temu Garrett poczuł się lepiej, wstał i o własnych siłach poszedł do toalety. Kiedy wrócił stamtąd, przykląkł przy łóżku i tak zastała go siostra.

– Wyglądał, jakby się modlił przed śmiercią – dziewczyna powiedziała to z jakąś beztroską zadumą. Widziała już bardzo wiele śmierci.

Ale młody lekarz dopiero zaczynał swoją karierę i przejął się zgonem pacjenta. Był to dopiero jego drugi nieboszczyk. Podeszedł do płaskiego ekranu zawieszzonego w nogach łóżka i włączył go. Sprawdzał jeszcze raz dane Garetta.

– Nie miał żadnej rodziny. W każdym razie nikt go nie odwiedzał – stwierdziła pielęgniarka.

Oczy doktora nagle zaokrągliły się ze zdziwienia.

– Do diabła, przecież on jest zakwalifikowany do drugiej kategorii!!!
Niech siostra spojrzy!

Podeszła szybko.

– To przecież niemożliwe. W ostatniej chwili zmienili mu kategorię?

– Dla nas nie ma znaczenia, kiedy to się stało. Możemy mieć kłopoty.
Wózek, stan gotowości dla zespołu operacyjnego – powiedział szybko

lekarz. – Musimy zdążyć!

* * *

Pierre Jorrick wrócił do swojego domu w dwudziestej szóstej dzielnicy o trzeciej po południu. Zrobił sobie obiad – od kiedy nie musiał już poświęcać większości czasu na zarabianie, nie jadał na mieście i gotował obiady w domu – a potem się zdrzemnął. Gdy się obudził, za oknem było już ciemno. Pomyślał ze złością o czekającym go grudniowym wieczorze. Usiadł przy terminalu i przejrzał pocztę. Nie robił już tego od tygodnia, więc zebrało się trochę różnych śmieci. Przeglądał nagłówki plików, które nadeszły. Było tam zawiadomienie o zaległościach w opłatach za ogrzewanie i energię elektryczną, kolejny numer miesięcznika okulistycznego, reklama wczasów w Afryce Południowej po specjalnych cenach promocyjnych, siedem kolejnych numerów „Paryskiego Przewodnika Kulturalnego”, najświeższe wydanie „Amatora broni krótkiej”, potwierdzenie z banku o wpłacie na konto Jorricka stu tysięcy franków i list bez określenia nadawcy, o nagłówku „Do kolekcjonera osobliwości”. Prawdę powiedziawszy, bardzo mizerny ruch. Tak jednak było od czasu, kiedy Nowa Francja po puryfikacji oparła wymianę informacji na własnej sieci. Jorrick zastanawiał się przez chwilę nad ostatnią wiadomością. Nie potrafił wpaść na to, kto mógłby być nadawcą listu. W każdym razie tytuł napełniał go niepokojem.

Rozkodował treść.

Szanowny Panie Jorrick!

Potrzebuję Pańskiej pomocy. Udało mi się zdobyć pewne informacje o Pana dokonaniach w niedalekiej przeszłości. Sądzę, że moglibyśmy przydać się sobie nawzajem. Proszę skontaktować się z

Robertem Hochfeldem. Zapewniam całkowitą dyskrecję. Oczywiście, pieniądze nie mają żadnego znaczenia. Myślę o Pańskiej kolekcji. Jest zastanawiająca. To na razie tyle.

ACHILLES

Serce Jorricka zaczęło bić szybciej. Wstał od terminala i zaczął krążyć po pokoju. Zacisnął pięści aż do bólu. „Dużo myślę o Pańskiej kolekcji. Udało mi się zdobyć pewne informacje o Pana dokonaniach w niedalekiej przeszłości”.

Jorrick warknął. Chodził teraz jeszcze szybciej, zwierając i rozwierając dłonie.

Juliette, jego siostra o jasnoniebieskich, niewinnych oczach.

Zadzwoń do Hochfelda. To jedyny człowiek, do którego może mieć zaufanie. Jorrick poczuł się bardzo źle. Był opuszczoną, samotną istotą w świecie zamieszkanym przez dzikie bestie. Wyszczrzył zęby i warknął jeszcze raz. Achilles. Nie kojarzył nikogo z tym imieniem.

Podszedł znów do terminala i jeszcze dwukrotnie przeczytał krótki list. Potem zszedł do piwnicy, otworzył kluczem, który zawsze nosił ze sobą, masywne metalowe drzwi i wszedł do niskiego pomieszczenia, na którego środku stał obrotowy fotel. Starannie zamknął za sobą drzwi i usiadł. Czuł ogromne napięcie i niepokój. Byli tu i patrzyli na niego. Wszyscy życzyli mu śmierci. Włączył muzykę, „Cztery pory roku” Vivaldiego. Przymknął oczy i słuchał. Po kilku minutach nadeszło uczucie odprężenia, jakiejś zuchwałej, szalonej i lekkomyślnej radości. Obracał się powoli w swoim

fotelu i patrzył im wszystkim prosto w oczy, wszystkim swoim przeklętym wrogom, w zmętniałe oczy, które spoglądały na niego zza szklanych ścian.

* * *

– Jesteś cholerną indywidualistyczną mendą – powiedział Antoine Candelas do Michela Himmla. – Wszystkich starasz się zdenerwować. Widzisz, do cholery, ja sobie piję spokojnie piwo, a ty musisz zamawiać to cholerne martini. I ciągle łazisz do tych przeklętych burżuazyjnych knajp.

– Nie lubię piwiarni. Nie lubię tego smrodu i wrzasku. Nie macie innych wzorów? Po co na siłę małpować nazistowskich Szwabów? – Himmel, jasnowłosa i błękitnooki, jakby był jednym z klonów, patrzył drwiąco w oczy przyjaciela. Ale ten nie przejmował się jego ironią.

– I co z tobą zrobimy, kiedy wypatroszymy wreszcie tego pajacowatego prezydenta? – Candelas zdmuchnął pianę z kufła. – Co mamy zrobić z takimi dupkami jak ty, którzy nie wiedzą dokładnie, czego chcą? Gdyby wszyscy byli tacy, to już dawno nad pałacem prezydenckim powiewałaby flaga Mahometa. To my załatwiliśmy Arabów, a ci ciągle kręcą nosami. Co jeszcze musi się stać, żeby cię otrzeźwić? Zrozum, teraz wszystko się zmieniło. Nic już nie będzie takie samo. Te wszystkie bzdurne dekoracje są już przestarzałe i nikogo nie obchodzą.

Może on ma jednak rację? – pomyślał Himmel. Czym właściwie się różnimy, ja i on? Rzeczywiście, dekoracje zostały zdmuchnięte, po tym jak atomowe eksplozje unicestwiły Lyon i Tuluzę, a kilka ekstremistycznych muzułmańskich grup wezwało do obalenia Republiki. Kiedy kilkaset tysięcy ludzi w jednej chwili smaży się w piekielnym ogniu, subtelne rozróżnienia idą w ką.

Westchnął.

– Nie mogę znieść tych durnych klonów. To głupi pomysł. Czy wszyscy w końcu mamy być podobni do siebie? Ja nigdy nie poddam się takiej kuracji. To przecież idiotyczne. Niby ma to nam zapewnić bezpieczeństwo, taki genetyczny certyfikat kulturowego bezpieczeństwa. Rozwijamy tę technologię, ale przecież ktoś inny też może to wykorzystać i w prosty sposób wprowadzić tu swoich.

Candelas wzruszył ramionami. Zmrużył chytrze oczy.

– Źle rozumiesz. Klony to nie był pomysł techniczny, tylko polityczny. Ja też myślę, że to nie jest skuteczne. I tak wpuszczamy do nas tylko prześwietlonych na sto sposobów. To na razie wystarczy. Kto wie co może się stać? Na razie byli potrzebni. Ale teraz, kiedy wyczyściliśmy kraj, to kto wie... Myślisz, że klony drażnią tylko ciebie? Po prawdzie modyfikacji poddają się ci głupsi. Chcą wiedzieć, co mają myśleć, być podobni do wzorca i widzieć wyraźnie, kogo w razie zadymy prać po mordzie. Posłuchaj, oni przecież mają też kilka zalet. Nie pyskują za dużo, są posłuszni... Mają wszystkie te zalety, których ty w ogóle nie posiadasz. Są uważani przez niektórych przywódców partii za niezbędny element naszego ruchu. Ale wszystko się zmienia.

Candelas zamyślił się. Patrzył przez chwilę tępo na kobietę siedzącą przy sąsiednim stoliku.

– Być może tacy jak ty też są potrzebni. Ktoś odwali za was brudną robotę, a wy powleciecie się i tak za nami.

– Brudną robotę odwalą klony – powiedział Himmel. – Zrobią wszystko, co każe im Fablon. Czasem mam wrażenie, że wszczepiają im do mózgownic umiłowanie naszego wodza.

– No jasne, że wszczepiają, a co ty sobie wyobrażasz? Przecież oni są właśnie po to, żeby kochać wodza i wykonywać jego rozkazy! Gdyby nie

było zdeterminowanych i gotowych na wszystko ludzi, to ładnie byśmy dzisiaj wyglądali.

– Fakt. Ale teraz ktoś powinien zająć się nimi. Włóczą się po mieście, nie mają zajęcia i zaczynają być niebezpieczni. Lubię porządek i spokój, to dlatego wstąpiłem do Ruchu, nie chcę, żeby w moim kraju ktoś mówił mi, co mam myśleć i co robić. Ale klony? Mam być traktowany tak jak klony? A może nawet gorzej niż oni?

– Cholera, kto powiedział, że masz być od nich gorzej traktowany? Jesteś stuprocentowym Europejczykiem, no nie? Posłuchaj starego przyjaciela – nie chcę, żebyś wylądował na śmietniku, przecież znamy się od tylu lat i dlatego możemy ze sobą rozmawiać szczerze, no nie? Jeszcze raz mówię ci, że nie tylko ty krzywisz się na klony. Może rzeczywiście trzeba będzie ich trochę przetrzebić? Ale mamy jeszcze inne sprawy. Ta afera ze zdechlakami i ze śpiochami. Czuję, że już niedługo coś z tym trzeba będzie zrobić. Pamiętaj, Michel, nie musisz chodzić co dzień na musztrę i paradować co niedzielę przed trybuną, na której stoi Fablon, ale i ty może będziesz musiał udowodnić, że naprawdę jesteś z nami. Rozumiesz?

Candelas mówił coraz bardziej niewyraźnie. Najwidoczniej wypił już za dużo. Himmel wiedział jednak, że nawet kiedy gada niejasno, to należy go słuchać uważnie. Nie był byle kim w partii i co najmniej kilka razy w miesiącu spotykał się albo z samym Fablonem, albo którymś z jego zauszników. Od zawsze trzymał rękę na pulsie.

– Jasne, jasne, byle nie z klonami. Wszystko, tylko nie klony, Antoine.

Himmel pożegnał się, zostawił na stoliku kilka banknotów i wyszedł z knajpy. Była pierwsza w nocy. Poszedł nieco chwiejnym krokiem w stronę metra. Przypomniawszy sobie o duszyczce wędrującej w ciemnym tunelu ku miejscu tymczasowego spoczynku i przyspieszył kroku. Na peronie stało

kilkanaście osób. Po dwóch minutach nadjechała kolejka. Himmel usiadł w środku wagonu. Na przodzie pojawił się wysoki, chudy narkoman.

– Jestem bezdomny, nie mam co jeść, przeszedłem właśnie odwyk. Proszę, w imię Boga, w którego wierzycie albo i nie, wspomóżcie mnie.

Chłopak był blady, poruszał się z lunatyczną powolnością, zatrzymywał przy każdym z pasażerów i mamrotał swoją mantrę z melodyjnym wdziękiem. Starszy jegomość z laską wrzucił monetę do jego czapki.

– Dziękuję. – Narkoman skłonił się niezgrabnie i podszedł do Himmla.

Gdybym nosił mundur, tak jak ta cała zgraja bojówkarzy Fablona, nie odważyłby się podchodzić do mnie, pomyślał ponuro Himmel. Natręt był wysoki i wzbudzał w nim poczucie zagrożenia i wściekłość. Wstał z siedzenia i uderzył ćpuna z całej siły w twarz, potem w żołądek, a kiedy tamten ukląkł, trzymając się za krwawiący nos, pchnął go butem na podłogę.

– Takie śmieci jak ty pójdą do pieca – syknął ze złością.

– Bandyta! – krzyknął starszy pan.

Wszyscy patrzyli teraz na niego.

Dupki. Dobrze wiem, że chcielibyście się pozbyć takich odpadków, ale jesteście dupkowatymi hipokrytami.

Wyskoczył z wagonu. Mieszkał niedaleko. Minał ciągle nieczynny sklepik warzywny na rogu, z oknami zabitymi dyktą. Należał przedtem do jakiegoś Algierczyka. Dość długo dawali mu spokój. Potem przyszli po niego, zatłukli swoimi długimi pałkami i zostawili na chodniku. Himmel otworzył drzwi wejściowe magnetycznym kluczem i znalazł się w wąskim, ciemnym korytarzu. Wbiegł po schodach na piętro i stanął przed drzwiami swojego mieszkania. Lokum składało się z dwóch niewielkich pokoi, z których jeden spełniał zarazem funkcje kuchni, oraz z łazienki.

Wszedł do środka, zamknął wewnętrzne okiennice, a potem szybko rzucił z siebie ubranie i całkiem nagi wskoczył do kołyski.

Miękka, lekko wilgotna skóra zamknęła się na nim zewsząd. Przez chwilę panowała ciemność. Po kilku sekundach zaczął znów widzieć. Poruszył rękoma i podgiął nogi, zamachał niezdarnie wielkimi skrzydłami, które rzucały strzępiasty cień na ściany tunelu. Złapał rytm i wolno, miękko pchając powietrze, wynurzył się z tunelu. Pod nim rozciągał się pulsujący kolorowymi światłami dwuwymiarowy labirynt, wyglądający jak ogromna żywa mapa. Poruszył głową i po wskazaniach wyświetlanych w okularze zorientował się w kierunkach świata. Poszybował na północ, tam, gdzie widział ostatnio duszyczkę swojego zdechlaka. W szpitalu, kiedy tamten dusił się swoją krwią, zmienił mu kategorię z piątej na drugą. Teraz, gdy mózg zdechlaka tkwił już w swojej szklanej trumience w katakumbach, jego symboliczna reprezentacja wędrowała w labiryncie Hadesu na wyznaczone mu miejsce. Himmel już dawno spenetrował kwartał, gdzie przebywali dwójkowcy. Nie było tam nic specjalnie ciekawego, ich milieu było dość ubogie, jeden pokój roboczy bez możliwości samodzielnych kontaktów z otoczeniem. Klitka urzędnika, po godzinach pracy wyłączano im wizję.

Himmel był zainteresowany kwartałem dla kategorii zerowej. Nie wiedział nawet, gdzie go szukać.

Zobaczył swojego zdechlaka. Naga, skulona postać w półprzezroczystej różowej bańce. Bańka posuwała się wolno, przepychając się przez elastyczny korytarz o mniejszej od niej średnicy.

– Mamy cię, zdechlaczku – mruknął do siebie Himmel. – Teraz nadamy ci najwyższy priorytet i zobaczymy, gdzie sobie powędrujesz, duszyczko.

Nigdy nie mógłby tego zrobić, gdyby nie dostał zastrzeżonych uprawnień od Candelasa. Tak, stanowczo była to nadzwyczaj ciekawa i

niebezpieczna znajomość.

* * *

Prezydent VIII Republiki Adalbert Gautier z uśmiechem podjechał na swoim elektrycznym wózku do wchodzącego do gabinetu ministra spraw wewnętrznych Manfreda Audouze'a. Audouze odpowiedział wymuszonym uśmiechem.

– Nie jest pan w dobrym nastroju, jak widzę. Co pana trapi?

– Do diabła, nie jestem w dobrym nastroju już od dwóch lat, panie prezydencie.

Minister usiadł na sofie. Spojrzał na twarz Gautiera. Jaki on jest już stary...

– I cóż słyhać u naszych sojuszników z Ruchu Odrodzenia? Rozmawiał pan z Fablonem?

– Tak. Mimo wszystko ten człowiek ciągle mnie zaskakuje. Góruje inteligencją nad wszystkimi swoimi współpracownikami, chociaż kiedy słyszy się, co gada w mediach, to ma się wrażenie, że to kompletny idiota.

– Ludziom bardzo podoba się to, co on mówi. Jest ciągle młody, energiczny, dynamiczny. Tak, dynamiczny. – W chaosie, jaki nastąpił po atomowych zamachach, w czasie pogromów i wzajemnych mordów, Fablon, dowódca lokalnej milicji w Marsylii, wyrósł na ludowego bohatera, zbawcę narodu, i prezydent wiedział, że do tej pory wszystko, co mówi, przyjmowane jest przez dużą część opinii jak świętość. – Czy ma pan ze sobą ostatnie raporty o aktywności bojówek Ruchu Odrodzenia?

– Tak, oto one. – Audouze wręczył prezydentowi plik kartek w plastikowej okładce. – Zaczęli ściągać z prowincji broń. Wbrew zawartemu porozumieniu. Fablon chce wygłosić przemówienie do narodu w przyszłym tygodniu. Chce wystąpić przeciwko marnotrawieniu środków na

podtrzymywanie życia psychicznego zmarłych ludzi z elit. Elity, które są już za życia strupieszale, jeszcze po śmierci wywierają swój zgniły wpływ na sprawy Republiki – coś w tym sensie. Ruszmy do katakumb i zrobmy z tym porządek, tak jak przedtem zrobiliśmy porządek z Arabami. Co pan o tym myśli?

Prezydent uśmiechnął się.

– Pozornie jest to wymierzone przeciwko urzędowi prezydenta Republiki. Przecież powszechnie wiadomo, że na działanie prezydenta ma duży wpływ Rada Prezydencka, a większość Rady stanowią najwyżsi urzędnicy państwowi, którzy, niestety, odeszli już od nas ciałem. To bardzo nie spodoba się naszemu kochanemu Lambertowi. Właśnie dzisiaj mam się z nim spotkać. Oczywiście, on będzie wiedział już o wszystkim, ale będę musiał z nim o tym porozmawiać.

– Zastanawiam się, w jaki sposób powinniśmy zareagować na to, że ruchowcy sprowadzają broń do Paryża?

– Jeśli policja natknie się na jakiś transport broni, to powinna oczywiście skonfiskować go, zgodnie z prawem i zawartymi porozumieniami.

– No tak. – Audouze zastanawiał się przez chwilę nad tym, co powiedział prezydent. – Doniesiono mi o spotkaniu generała Vavina z Fablonem. Niestety, nie wiadomo, o czym rozmawiali. Generał Vavin starał się utrzymać to spotkanie w tajemnicy.

– Właśnie miałem rozmawiać z panem o tej sprawie. Wydałem już polecenie odwołania generała Vavina z funkcji dowódcy okręgu paryskiego. Zastąpi go generał Robertson. Generał Vavin będzie musiał wyjechać z kraju.

– Myślę, że to dobra decyzja. Bardzo niepokoi mnie szum wokół mózgowców. Fablon zbija na tym kapitał. Dla bezpieczeństwa Republiki ma to ogromne znaczenie. Mniejsza już o tych mózgowców świadomych,

których mózgi są jeszcze całkowicie sprawne. Zapewnienie im pewnego komfortu psychicznego pochłania co prawda rzeczywiście ogromne kwoty, a oni są i tak ciągle niezadowoleni. Ten Lambert...

– Tak, tak, słyszałem to już wiele razy, Audouze. Ale niech pan pamięta i o tym, że i ja, i pan znajdziemy się najpewniej w ich położeniu i wtedy zaczniemy widzieć wiele spraw zupełnie inaczej – powiedział spokojnie Gautier.

Audouze milczał przez chwilę. Zdał sobie sprawę z nieprzyjemnego faktu, że przecież prezydent jest już w pewnym sensie bliżej mózgowców niż jego.

– Tak, to prawda. Chciałem tylko powiedzieć, że nasze prace nad zastosowaniem mózgow w stanie śpiączki wegetatywnej są już bardzo zaawansowane. Nasze oprogramowanie pocisków inteligentnych pozostaje ciągle w tyle za oprogramowaniem Amerykanów. Zastosowanie mózgow w stanie śpiączki do sterowania pociskami może zniwelować nasze opóźnienie.

Prezydent skrzywił się.

– Jest pan pewien, że ci fachowcy od śpiączki nie robią z nas idiotów?

– Absolutnie nie. Mamy już dowody na to, że potencjał mózgow w stanie śpiączki jest ogromny. Niepodważalne dowody. Chodzi już tylko o udoskonalenie kontroli nad stanami tych nieświadomych umysłów. Tymczasem Fablon chce to wszystko rozwalić. Zdechłaków i śpiochów, jak to on nazywa.

– Co za język! Czy podczas rozmowy z panem używa takiego samego języka jak ci jego bojówkarze?

– Potrafi doskonale porozumieć się ze swoimi ludźmi, ale ze mną rozmawiał zupełnie inaczej. Mógłbym nawet powiedzieć, że mnie oczarował. – Audouze roześmiał się.

– Nadszedł już czas, żebym spotkał się z nim osobiście. Wie pan, powinniśmy chyba pozwolić mu na wygłoszenie tego przemówienia telewizyjnego.

Gautier pomyślał o tym, jak zareaguje na to Lambert. Miał z nim przecież rozmawiać po południu. To nie będzie przyjemna rozmowa.

* * *

Hochfeld przybył do Paryża samolotem z Berlina o piętnastej dwadzieścia. Widok Paryża przypomniawszy mu czasy sprzed czterech lat, kiedy jedna z radykalnych frakcji Ruchu potrzebowała usług ludzi takich jak on i Jorrick.

Do dwudziestej trzeciej dzielnicy podjechał metrem. Zapadł już zmierzch. Z Jorrickiem miał spotkać się na Placu Europy. Wyszedł ze stacji metra i ruszył ponuro wyglądającą ulicą. Większość lamp na Placu Europy była zniszczona. Dalej na południe dwudziesta trzecia dzielnica była ciągle morzem ruin. Przed wojną domową zasiedlona prawie wyłącznie przez muzułmanów, stanowiła niemal wydzielone terytorium, na które nie miała wstępu policja. Teraz stała się ulubionym miejscem ćwiczeń i patroli bojówek Fablona, przeczesujących teren w nadziei na znalezienie kogoś, kogo można by zlinczować.

Hochfeld stanął przy nieczynnej fontannie. Plac był zupełnie pusty. Jorrick chyba do reszty zwariował, pomyślał Hochfeld. To miejsce bardzo mu się nie podobało.

Nie spodobało mu się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył zbliżającą się do niego grupę pięciu klonów. Właściwie nie byli bardzo do siebie podobni i pogardliwa nazwa, jaką ich obdarzano, niezbyt do nich pasowała. Może wstąpili do Oddziałów Pomocniczych milicji niedawno i nie zdążono ich dostatecznie przerobić? Trzej najstarsi chłopcy mieli na sobie mundury

bojówki Ruchu. Mundury były jednak podniszczone i brudne, a oni sami nie przypominali zdyscyplinowanych milicjantów.

Najmłodszy roześmiał się głupkowato. Był wyraźnie upośledzony i Hochfeld zdążył się zdziwić, że jego kumple jeszcze go nie zabili.

– Czy ten człowiek wygląda na Araba, bracia? – zapytał radośnie jeden z trzech ubranych w mundury. Stali może cztery metry od niego.

– Wygląda! – wrzasnął najmłodszy klon.

Hochfeld odwrócił się do nich wolno lewym bokiem. Miał przy sobie tylko nóż.

– Co, nie chcesz z nami rozmawiać? – Inny z umundurowanych wyciągnął pistolet. – Masz jakieś dokumenty?

Pytający powiedział to z tak ogromną obojętnością, że Hochfeld zrozumiał, iż nie spodziewa się otrzymania jakiegokolwiek odpowiedzi.

To koniec.

Strzał był zadziwiająco cichy. Klon z pistoletem w dłoni runął na ziemię. Hochfeld spojrzał w kierunku, skąd strzelono.

Było dość ciemno, ale Jorrick miał doskonały, koci wzrok i był świetnym strzelcem. Pociągnął za spust jeszcze cztery razy, a potem podszedł wolno do ciał. Jeden z leżących podniósł się z ziemi i zaczął uciekać. Jorrick trafił go w plecy.

– Masz tu wóz?

– Tak, zaraz za rogiem.

Ten spokojny, cichy głos Jorricka...

– Spływajmy stąd. To parszywe miejsce.

– Dlaczego? – Jorrick spojrzał na niego ze zdziwieniem.

Hochfeld zaklął pod nosem.

– Dobrze, chodźmy do samochodu.

Jorrick wyciągnął z bagażnika małą skórzaną walizkę.

– Poczekaj jeszcze chwilę na mnie.

Zabrał walizkę ze sobą. Hochfeld czekał. Po trzech minutach usłyszał przeraźliwy krzyk. Wzdrygnął się. Najwidoczniej któryś z klonów jeszcze żył.

– Gdzie cię podrzucić? – zapytał Jorrick, kiedy jechali już do centrum miasta. – Gdzie się chcesz zatrzymać?

Hochfeld wzruszył ramionami.

– Jest tak jak zawsze, Pierre. Wystarczy, że wiem, pod jakim numerem telefonu cię złapać, prawda?

– Jasne, jasne! – Jorrick roześmiał się. – Myślę, że dopadniemy tego drania, co? Nie da nam rady, co?

Chłopiec, który cieszy się na myśl o czekającej go przygodzie.

Hochfeld nie mógł przestać myśleć o zawartości walizki, która spoczywała w bagażniku samochodu Jorricka.

* * *

Były prezydent Republiki, Gustave Lambert, pogрузzył się w ponurych myślach. Wino, które pił wraz ze swoimi dwoma gośćmi, miało podły smak. Za oknem rozciągał się widok na plażę z kilkoma palmami i morze. Wszystko to było utopione w jasnomiodowym słonecznym blasku, który napęniał Lamberta obrzydzeniem.

Siedzieli w pokoju pięć na pięć metrów i Lambert z niechęcią przypomniał sobie po raz tysięczny o tym, jaki jest koszt utrzymania tej tandetnej iluzji.

– Fablon ma wygłosić w przyszłym tygodniu przemówienie telewizyjne, w którym chce na nowo określić rolę Ruchu Odrodzenia – cicho powiedział były prezydent.

– Pragmatyzm, zdecydowanie, zdrowy, młody nacjonalizm, zgniłe elity, zagrożenie amerykańskie. Wnioski: wytłuc mózgowców – rzucił jeden z towarzyszy Lamberta. Małe, sprytne oczy wpijały się w jego twarz.

– Tak. Chyba rzeczywiście chce nas wykończyć. Ale i bez niego musimy przecież działać jak najszybciej. Inaczej skończymy już niedługo jako śpiochy w głowicach pocisków jądrowych. Ten dureń Audouze naprawdę wierzy, że ich zachowanie będzie można kontrolować.

– A my wierzymy, że będziemy mogli kontrolować zachowanie Audouze’a. I że będziemy potrafili wykorzystać potencjał mózgów śpiochów. – Drugi gość, były minister obrony, przechylił się w fotelu. – Czy to nie to samo?

– Nie – odrzekł Lambert. – Nie, ponieważ my wiemy, jak to wygląda. I nie mamy nic do stracenia. Zresztą, jeśli uda nam się zrealizować nasz plan, będziemy mogli niedługo sprawdzić osobiście, o czym myślą nasze śpioszki.

Wzdrygnął się nagle. Pociemniało mu przed oczyma. Zobaczył wirujące ciemne plamy.

– Widzicie to samo? – spytał cicho.

– Co?

Milczał. Tak, musi się spieszyć. Przekonał się już, że tam nie ma nic oprócz ciemności. Naprawdę nie miał nic do stracenia. Było to coś najstraszliwszego – ciemność, w której roztapia się umysł. Wiedział dokładnie, że zrobi wszystko, by opóźnić choć trochę nadejście tej chwili.

– Przez moment nic nie widziałem. Wy też?

Goście skinęli potakująco.

– Pomyśleć, że jakość naszego widzenia zależy od dokładności jakiegoś technika! – parsknął Lambert.

Drzwi do pokoju otworzyły się i stanął w nich jakiś nieznamy mężczyzna. Trzymał się obiema rękami za gardło i patrzył na nich nierozumiejącymi, wybałuszonymi oczyma.

– Kim pan jest? – zapytał eksprezydent. Był wściekły.

– Kim jestem? Boże, ja żyję!

– Co to za idiota?

– Kim pan jest? – powtórzył Lambert i wstał. – Przeszkadza nam pan. Proszę wyjść.

– Nazywam się Alain Garrett. Ja... och, wydawało mi się, że umarłem!

Przybysz znów złapał się za gardło i zaczął szlochać.

– Jeszcze tego brakowało! Zaczynają nam tu przysyłać jakichś kretyńców! Wiadomo, że musiałeś zdechnąć, żeby się tu znaleźć! Nie wiesz, gdzie jesteś?

Alain Garrett spojrział na mężczyznę, który podniósł się z fotela. Dwaj pozostali zaczęli stopniowo zniknąć, a obok pozostałego, na którego twarzy malowała się złość i okrucieństwo, ukazał się ogromny czarny pies. Pies dyszał szybko i patrzył na Gareta swoimi błyszczącymi jak guziki oczyma.

– Wynoś się! – syknął mężczyzna.

– Błagam, proszę mi powiedzieć, co się ze mną stało? – Garrett mówił przestraszonym głosem. – Co mam zrobić, co się stało?

Mężczyzna szepnął coś do psa. Pies skoczył i rozerwał gardło Gareta, który padł do tyłu. Wtedy pokój, mężczyzna i pies znikli i Garrett, krzycząc ze strachu, podniósł się na kolana. Gardło miał całe. Zewsząd otaczała go ciemność. Trwała jednak tylko chwilę, potem zobaczył nienaturalnie płaskie przedmioty – łóżko, stolik z krzesłem, monitor terminala. Patrzył z przerażeniem, jak na płaskie powierzchnie przedmiotów wpełzają trójwymiarowe tekstury, kładąc cienie, półtony i delikatne różnicowania kolorów.

* * *

Michel Himmel był spocony z podniecenia. Już od trzech dni śledził powolną wędrówkę duszyczki zdechlaka po labiryncie Hadesu i wiedział już, że są blisko celu.

Co kilka minut przepływały nad nimi, niczym wielkie czerwone ryby, obiekty kontrolne. Himmel dokonywał wtedy rzutowania swej reprezentacji na reprezentację zdechlaka. Czuł, jak macki kontrolerów badają kształt duszyczki, a kiedy procedury sprawdzające stawały się zbyt szczegółowe, wycofywał się bezpiecznie z Hadesu, zostawiając za sobą znacznik adresu.

Wreszcie byli na miejscu. Zdechlak niespodziewanie odzyskał świadomość, właśnie wtedy, gdy Himmel zrzutował się na niego. Wszystko wokół wybuchnęło światłem i Himmel zobaczył oczami zdechlaka pokój, w którym siedziało trzech mężczyzn.

Cholera, pomyślał Himmel. Ja ich znam! To przecież Lambert, prefekt policji i minister gospodarki, obrony i czegoś tam jeszcze.

– Kim pan jest? – zapytał Lambert.

– Kim jestem? Boże, ja żyję! – Himmel poczuł, jak z jego ust wydobywają się słowa zdechlaka.

Zmienił reprezentację. Błyskawicznie pompował informację o otoczeniu. Już zawsze będzie mógł tu trafić, bez żadnego kłopotu. Zobaczył naraz chyba z dziesięć obiektów kontrolnych, które nadlatywały zewsząd, z góry, z dołu, z każdej strony. Musiały coś wywęszyć.

Wycofał się.

Leżał przez chwilę w kołysce bez ruchu. Czuł się wspaniale. Dotarł do najbardziej strzeżonego miejsca Hadesu.

Cholera, muszę tam jeszcze zerknąć jeden raz, choć na chwilę.

Zmienił nieco odstęp i wskoczył w poblizze miejsca, gdzie był poprzednim razem.

Szybował teraz nad równomiernie oświetloną płaszczyzną. Płaszczyzna wysłana była tysiącami ciemnych, podłużnych kształtów. Zafrapowany obniżył wysokość lotu. W tysiącach prostokątnych otworów, niczym w gigantycznej bombonierce, leżały ludzkie szkielety. Himmel zastanawiał się, dlaczego projektant Hadesu wybrał taką właśnie reprezentację, kiedy usłyszał ciche, szeleszczące szepty.

– Szszszóstyyyy...

– Śśśmieeeech. Chcę śmieeeechu...

Całkiem wyraźny, bliski, choć cichy głos.

– Dzień dobry, dzień dobry, dobry wieczór, dobranoc, dobranoc...

– Witamy cię. Czekaliśmy, czekaliśmy na ciebie, na wszystkich. Dobranoc.

Himmel już wiedział, gdzie jest. Szybował właśnie nad kwartałem śpiochów. Zdziwił się, ponieważ nie sądził, że śpiochy potrafią formułować jakiegokolwiek znaczące zdania. Ich mózgi były już przecież pozbawione świadomości.

– Czego chcesz? – głos był natarczywy i całkiem wyraźny. – Czego tutaj chcesz?!

Himmel zobaczył, że szkielety spoczywające w dole zmieniają reprezentację. Przybrały kształty ryb z dużymi, zębatymi szczękami. Ryby rzuciły się ku niemu i zanim zdążył wycofać się z Hadesu, kilka z nich zatopiło w jego ciele swoje ostre ząbki. Himmel gwałtownie rozrzucił na boki skórę kołyski i wyskoczył z niej jak oparzony. Upadł na podłogę i pocierał dłońmi bolące miejsca. Zaklął. Najwidoczniej nie trafił na duszyczki, które miały powędrować do nieba.

* * *

Marcel Fourier, inżynier elektroniki medycznej, pracujący w Narodowym Centrum Kardiologii, wrócił właśnie z pracy i zabierał się do lektury popołudniowych wiadomości, kiedy usłyszał brzęczyk karty komunikacyjnej. Wyciągnął ją z kieszeni koszuli i spojrzał na wyświetlacz. Zobaczył, jak Kaczor Donald wywija koziółki, potem zatrzymuje się, spogląda na niego i śmieje, klekocąc dziobem.

– Cześć, Fourier!

Fourier nie lubił takich żartów. Wyłączył wizję, nie chciał, żeby żartowniś widział jego twarz.

– Nie rozłączaj się, Fourier, mam dla ciebie cholernie ważną informację – powiedział ktoś bardzo poważnie głosem Kaczora Donalda i zaraz zaśmiał się znów. – Pamiętaj, powinieneś zachować spokój, jeśli chcesz, żeby to wszystko skończyło się dobrze. Za chwilę do twoich drzwi zadzwoni listonosz i przyniesie ci paczkę. Nie otwieraj jej, dopóki nie powiem ci tego, co mam do powiedzenia.

Fourier usłyszał dzwonek do drzwi.

– Mam dla pana paczkę – powiedział listonosz. – Proszę tu potwierdzić odbiór.

Przesyłka była niewielka. Fourier potrząsnął nią. Coś zagrzechotało w środku.

– Jak widzisz, wszystko się zgadza – mówił dalej Kaczor. – Jesteś bardzo ciekaw, co jest tam w środku, prawda? Powstrzymaj się przez moment. Mam do ciebie pewną prośbę. Myślę, że po zastanowieniu spełnisz ją. Gdyby stało się inaczej, to w następnej paczce znajdziesz nie dłoń, a głowę swojej córki.

Donald zaklekotał dziobem i zamilkł.

Fourier upuścił pudełko na podłogę. Zawiesił połączenie i wybrał numer mieszkania córki. Nikt nie odpowiadał. Patrzył przez chwilę na leżącą na

podłódze paczkę. Była owinięta w cienki papier w kolorowe motylki i przewiązana zieloną wstążką.

Fourier podniósł ją ostrożnie i wziął nożyczki. Przeciął wstążkę i zaczął otwierać.

* * *

Fablon siedział naprzeciw dziennikarza z dłońmi splecionymi na brzuchu. Miał szeroką, szczerą i ruchliwą twarz bufona i megalomana.

– Wielu naszych czołowych polityków uważa, że stanowi pan zagrożenie dla ładu konstytucyjnego Republiki i że działalność Ruchu Odrodzenia powinna zostać zakazana, ponieważ zmierza pan do ograniczenia praw obywatelskich i ustanowienia dyktatury – powiedział dziennikarz.

– Oto jest logika tak zwanych demokratów. – Fablon uśmiechnął się szeroko i rozłożył ręce w geście bezradności. – Co ja na to mam powiedzieć? Jak można bronić wolności obywatelskich i jednocześnie wzywać do zakazania działalności najprężniejszej, najżywotniejszej i najbardziej demokratycznej siły w Republice? To raz. A dwa – czy to nie my właśnie, Ruch Odrodzenia, udowodniliśmy czynem nasze przywiązanie do demokracji, czy to nie my obroniliśmy wolności naszych obywateli?

Fablon przestał się słodko uśmiechać. Spojrzał na dziennikarza surowo.

– Gdzie by teraz byli ci wszyscy zawszeni demokraci, gdyby nie zdecydowana akcja Ruchu Odrodzenia?!

Jego głos podniósł się do wrzasku.

– Te głupie dupki latałyby teraz do meczetów i wychwalały zalety i przewagi islamu nad chrześcijaństwem! Oto gdzie byśmy tu wszyscy byli!

Dziennikarz, lekko przestraszony wściekłością Fablona, cofnął się w głąb fotela.

– Nikt nie kwestionuje zasług Ruchu Odrodzenia w rozwiązaniu kwestii arabskiej. Jednak wielu niepokoi pańska postawa wobec pewnych osobistości, bardzo nieraz zasłużonych dla Republiki.

– Nie będę owijał w bawełnę. Oczywiście, wiemy wszyscy, że chodzi nam o osoby zmarłe, których mózgi utrzymuje się sztucznie, i to nakładem gigantycznych kosztów, w stanie świadomości. Ponosimy je w momencie, kiedy nasza sytuacja ekonomiczna jest więcej niż zła. Co gorsza, mózgowcy, których większość pochodzi z wyższych klas, wywierają decydujący wpływ na życie Republiki. Stanowią coś na kształt rady nieboszczyków. Oto jak absurdalna jest sytuacja Republiki. Powinni nią rządzić ludzie młodzi, silni, zdrowi, którzy będą w stanie sprostać wymaganiom nowych, niebezpiecznych i trudnych czasów, a tymczasem rządzi nami oligarchia zdechłaków. Nie poszanowaliśmy najbardziej elementarnych praw natury, nie uszanowaliśmy majestatu śmierci. Tak naprawdę to ja przecież współczuję tym biednym ludziom skazanym na nędzną wegetację w tym okropnym świecie złudzeń. Powinni już dawno spoczywać w spokoju. Nie darmo pisano kiedyś na nagrobkach – niech spoczywa w spokoju. Ja powtórzę to samo – niech oni wszyscy spoczywają w spokoju i niech dadzą szansę młodym!

– Czy jest pan za eksterminacją mózgowców? – Dziennikarz wydawał się ośmielony tym, że Fablon ściszył głos.

– Śmierć od początku rodzaju ludzkiego zrównywała wszystkich. Istnienie mózgowców niszczy tę elementarną sprawiedliwość – rzekł dostojnie Fablon.

– Ani słowa o klonach – powiedział do siebie w zamyśleniu prezydent Gautier. – Ani jednego słowa.

Wyłączył telewizor i wezwał pielęgniarkę, który pomógł mu ułożyć się w kołysce. Bardzo nie lubił odwiedzać Hadesu, a jednak musiał

skontaktować się z Lambertem.

Może jednak powinien zacząć myśleć o Hadesie inaczej. Przecież lada dzień może się również tam znaleźć. W głębi duszy pragnął, aby po śmierci o władnęła nim nicość. Cóż, kiedy ludzie na jego stanowisku nie należeli tylko do siebie. Ich nagłe zniknięcie mogło zachwiać stabilnością politycznego układu. Zbyt wielu miało ważne interesy, by takim jak on po prostu pozwolić odejść. Już od wieków bywało, że ogłoszenie śmierci władcy odwlekano dla różnych przyczyn, jak długo tylko się dało.

Uśmiechnął się.

Kiedyś następca tronu tracił wolność wyboru małżonki, bo wybór dyktowała racja stanu. Współcześni władcy utracili możliwość wyboru nicości.

* * *

Komisarz Andre Saint-Clair pożegnał się z żoną i poszedł otworzyć drzwi garażu. Ten dzień rozpoczął się dla niego źle. Obudził się kilkanaście minut wcześniej niż zwykle. Miał straszny sen. Widział twarz swojej żony zalaną krwią, z wyłupionymi oczyma. Jednak teraz zapomniał już o koszmarze. Jak co dzień od tej chwili zaczynał już myśleć o pracy. Była godzina siódma czterdzieści pięć. Saint-Clair, podnosząc drzwi garażu, przypomniał sobie białą dłoń młodej kobiety znalezionej w lodówce Marcela Fouriera. Policję zawiadomiła była żona Fouriera, zaniepokojona zniknięciem córki, z którą utrzymywała regularny kontakt. Okazało się, że Fourier od czterech dni nie był już w pracy. Także jego sąsiedzi stwierdzili, że od kilku dni go nie widzieli. Policja po wejściu do mieszkania Fouriera dokonała tego dziwnego odkrycia. Zaraz po przyjeździe do komisariatu przejrzał pobieżnie pocztę, która nadeszła do jego skrzynki w ciągu nocy.

Nie znalazł tam niczego szczególnie interesującego. Zabrzęczał służbowy wideotelefon. To był François Chavot z działu identyfikacji.

– Dzień dobry, komisarzu. Mamy już właścicielkę naszej rączki. To rzeczywiście córka Fouriera, Nicolette Fourier. Znaleźliśmy ją w naszej kartotece. Mamy jej odciski palców. Była zamieszana dwa lata temu w jakąś aferę z narkotykami. To jej dłoń.

– Dziękuję panu, Chavot. Czy ona żyła, kiedy obcinano jej dłoń?

– Najprawdopodobniej tak. Chyba że stało się to zaraz po zgonie.

Saint-Clair poszedł do swoich inspektorów.

– Cześć. Słyszeliście już o Nicolette Fourier? Co wy na to?

Pascal Rounier, pochylony nad ekranem swego terminala, spojrzął na Saint-Claire'a.

– Nadeszły właśnie wyniki badań mieszkania Fouriera. Ślady krwi na stole w kuchni i w tekturowym pudełku. To była krew Nicolette Fourier. Wygląda to tak – na dwa dni przed swoim zniknięciem Fourier dostaje paczkę, w której znajduje dłoń córki. Jeszcze następnego dnia idzie do pracy, potem znika. Jego zniknięcie niewątpliwie związane jest z przesyłką. Pytanie brzmi: dlaczego następnego dnia po otrzymaniu paczki Fourier poszedł jeszcze do pracy?

Saint-Clair przypomniał sobie dzisiejszy sen i nagle zrozumiał, co go wywołało. Dziesięć dni temu w dwudziestej trzeciej dzielnicy znaleziono zwłoki pięciu klonów. Wszyscy mieli wyłupione oczy. Być może był to następny przypływ. Cztery lata temu znaleziono jedenaście ciał pozbawionych gałek ocznych. Byli wśród nich wyżsi funkcjonariusze Ruchu Odrodzenia, nawet jeden z zastępców przewodniczącego Fablona. Potem to się urwało.

– Wysyłamy zdjęcia Fouriera i jego córki do prasy i telewizji. Ja jadę teraz z Rounierem do Centrum Kardiologii. Juin, skontaktuj się z nimi i

powiedz, o co nam chodzi. Niech przygotują wszystkie informacje o Fourierze, w szczególności o tym, co robił w ostatnim dniu pracy.

Saint-Clair wyszedł z Rounierem na dziedziniec komisariatu. Był pochmurny dzień, zaczynał padać drobny deszcz.

– Pamiętasz, Rounier, tych gości z wydłubanymi oczami sprzed czterech lat? I teraz tych pięciu.

– Cholera, jasne, że pamiętam. Mam cholernie dobrą pamięć. – Rounier zaśmiał się chrapliwie.

– Dzisiaj śniła mi się taka twarz.

– Tak? Czyja?

Saint-Clair zawahał się chwilę.

– Nie wiem. Jakaś nieznana osoba. Mężczyzna.

Wsiadli do samochodu.

Komisarz przymknął oczy i przywołał obraz żony. Był zupełnie wyraźny.

* * *

Tego dnia Lambert był w świetnym humorze. Znajdował się właśnie w sali gimnastycznej i cieszył się doskonałą sprawnością swojego wirtualnego ciała, sprawnością, o której nie mógł nawet marzyć wtedy, gdy jeszcze żył. Ubrany w jaskrawopomarańczowy dres do ćwiczeń z przewiewnego fiteksu, biegł górską ścieżką. Całe otoczenie składało się z dość topornych modeli. Naturalistyczne wymodelowanie tak olbrzymiej przestrzeni byłoby potwornie kosztowne, a przy szybkości, z jaką poruszał się Lambert, wręcz niemożliwe. Całkiem dobrze wyglądało niebo, ale to nie sprawiało trudności technikom. Tym razem kanciastość otoczenia nie drażniła Lamberta. Nie denerwowało go nawet to, że kiedy przyspieszał, mógł przez mgnienia oka widzieć to, co zakrywały sobą kontury skał, co nadawało

wszystkiemu pewnej dziwnej rozciągłości. Za to powietrze – świeże, pełne nieprawdopodobnego aromatu, na który składał się zapach rozgrzanej kosodrzewiny, trawy, mchu i skał – było doskonałej jakości. I najważniejsze, że tak doskonale odczuwał istnienie swojego własnego organizmu. Biegł, oddychał, czuł, jak bije jego serce, czuł zapach swojego potu, który smakował mu tak wspaniale, kiedy mieszał się z zapachem świeżego powietrza. Tak, naprawdę żył. Zresztą taki był przecież cel tych ćwiczeń. Lambert wbiegł na przełęcz. W dole, przed nim, leżała dolina z dwoma górskimi jeziorami. Dalej, za nimi, wznosiła się następna ściana górską.

Wtedy zjawił się obok niego mężczyzna. Był ciągle oszołomiony. Jego garnitur i krawat nie pasowały zupełnie do sali gimnastycznej.

Lambert uśmiechnął się.

– Dzień dobry panu, panie Moers. Bardzo się cieszę, że pana spotykam.

Lambert zmienił dekoracje na prostsze. Musiał teraz bardziej skoncentrować się na rozmowie ze swoim gościem. Znaleźli się na olbrzymich schodach w kolorze zielonym. Zaczęli wbiegać truchtem na górę.

– Ja wcale nie chcę biec – wydyszał Moers. Było widoczne, że jeszcze nie ćwiczył.

– Panie Moers, jest pan jednym z konstruktorów Hadesu, prawda? Jak to wspaniale się ułożyło. Oto może pan trwać po śmierci dzięki swemu geniuszowi i dzięki pracy całego swojego życia. Czy to nie jest piękne?

– Coś tu źle działa, ja wcale nie chcę biec! – wysapał Moers i wskoczył trzy stopnie wyżej.

– Nie, wcale nie. Wszystko tu działa znakomicie, panie Moers. Naprawdę jestem bardzo zadowolony. Tyle tylko, że pan musi robić to, czego ja sobie życzę.

Lambert przyspieszył. Moers był już cały zlany potem.

– Widzi pan, panie Moers, świat z tego miejsca wygląda zupełnie inaczej. Pewne rzeczy tracą znaczenie, inne zyskują. Ale obaj już wiemy, jak to wygląda po tej stronie, prawda? Jesteśmy po tej samej stronie i powinniśmy sobie nawzajem pomagać.

Biegli teraz w długim, krętym tunelu, na którego ściany składały się podłużne pasy zieleni, czerwieni i żółci. Tunel wznosił się ostro w górę. Bardzo prosta symulacja, pomyślał Lambert.

– Muszę panu wyznać, że poczyniłem tu pewne zmiany, które nie są zgodne z pierwotnymi zamiarami konstruktorów. Zakładali oni zbyt wielką autonomię i niezależność poszczególnych lokatorów, uniemożliwiali tym samym wytworzenie się jakiejś więzi społecznej pomiędzy nami, mieszkańcami Hadesu. Byliśmy izolowani i bezbronni. Teraz stanowimy już pewną grupę, z którą muszą liczyć się ci, którzy podejmują decyzje tam, na górze, jeśli tak mogę powiedzieć.

Wijący się tunel zaczął pękać na pierścienie, których wzajemna odległość rosła. Moers krzyknął, kiedy musiał skoczyć w rozwierającą się pomiędzy dwoma pierścieniami fioletową otchłań.

– Muszę też przyznać, że cieszę się tutaj pewnym autorytetem – mówił dalej Lambert. Wydawało się, że wysiłek nie ma na niego żadnego wpływu.

– Na pewno zna pan wielez problemów, które nas tu trapią. Rząd coraz bardziej ogranicza środki przeznaczone na rozwój technik obsługujących Hades, co automatycznie ogranicza naszą przestrzeń życiową. To przecież tak, jakby ktoś wynalazł aparat, który umożliwia widzenie niewidomemu, a potem demontował część po części tego aparatu, nie bacząc na to, że ów niewidomy na powrót traci stopniowo wzrok. Krótko mówiąc, bardzo liczymy tu na pana, panie Moers. Chcemy rozwiązać kilka naszych spraw. Na przykład śpiochy. Wiele mówi się o wielkim potencjale, który tkwi w

tych na pół martwych mózgach. Przypuszczamy, że moglibyśmy mieć z nich sporo pożytku. A jednak nie mamy żadnych możliwości kontaktu ze śpiochami. Motywuje się to tym, że nie znamy ich wpływu na umysły mózgowców. Myślę, że to tylko pretekst. Rząd chce najpierw zbadać wszelkie możliwości wykorzystania ich w celach militarnych. Czy nie sądzi pan, że to absurd? Jak można wpaść na podobnie szalony i odrażający pomysł?

– Nic o tym nie słyszałem – wykrztusił Moers. – Czy możemy trochę zwolnić?

– Wierzę panu, możliwe, że chciano to przed panem ukryć, jest pan przecież zbyt rozsądny, by popierać podobne zamierzenia. Mam jednak nadzieję, że poprze pan nasze starania tutaj?

Moers zamachał rękami i upadł niezręcznie na kolejny uciekający pierścień. Podniósł się na kolana i stanął, ciężko dysząc.

– Nie, nie, nie podoba mi się to wszystko, co pan mówi. Mam wrażenie, że dostałem się do domu wariatów. Sądzę, że powinniśmy dać spokój tamtym zmarłym. Ich świadomość jest nieodwracalnie ograniczona. Nasze początkowe zamysły były zupełnie inne, Hades miał być tylko czasowym miejscem pobytu dla ludzi, których szanse na powrót do normalnego życia są znaczne.

– Życie zawsze przerasta nasze oczekiwania – powiedział Lambert. – Ale proszę pamiętać, że teraz jest pan naprawdę po naszej stronie. Znalazł się pan tu, tak czy inaczej. Już pan wie, jak to wygląda. Zapewniam pana, że mógł pan trafić znacznie gorzej. Mimo wszystko mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia. Mamy dużo czasu.

Otoczenie nagle się zmieniło. Znaleźli się w wielkiej hali, w której mieściło się muzeum rzeźby. Zaczęli wolno iść wśród białych marmurowych posągów.

Moers złapał powoli oddech. Uśmiechnął się.

– Przepraszam pana – powiedział. – Sam pan chyba rozumie, ta sytuacja jest dla mnie zupełnie nowa. Jestem oszołomiony i niezbyt dokładnie rozumiem, co się wokół mnie dzieje. Być może niewłaściwie pana zrozumiałem. – Roześmiał się. – Nawet mnie pan w pewnej chwili przestraszył!

– Naprawdę? – spytał z niedowierzaniem Lambert.

– Tak, naprawdę! Te okropne biegi, myślałem, że umrę z braku tchu!

Obaj wybuchnęli śmiechem.

Przystanęli przed wielkim posągami z czarnego marmuru. Przedstawiał piękną nagą kobietę. Kobieta dotykała swoich piersi i wyglądała tak, jakby przeglądała się w lustrze.

– Jesteś piękna – powiedział cichym głosem Lambert. – Widzi pan, jaka ona jest piękna? Ten świat tutaj także ma swoje powaby.

Lambert podszedł do posągu i dotknął jego uda. Kobieta oderwała swoje spojrzenie od lustra i popatrzyła na Lamberta. Potem z senną i wdzięczną powolnością zeszła z postumentu, objęła zdębiałego i śmiesznego w tej chwili Moersa i złamała mu kręgosłup.

* * *

Saint-Clair i Rounier siedzieli w gabinecie kierownika pracowni programowej Narodowego Instytutu Kardiologii, profesora Guillaume'a Frosta.

– Pamięta pan zachowanie Fouriera w ostatnim dniu jego pracy? – zapytał Rounier.

Profesor Frost skrzywił się.

– Marcel zawsze był ponurakiem. Z nikim nie rozmawiał. Od czasu, kiedy się rozwiódł, zamknął się w sobie. Czasem mówił tylko o swojej

córcie. Tak, tego ostatniego dnia zachowywał się jak zwykle. Może był trochę roztargniony. To roztargnienie przypłacił prawdopodobnie życiem jeden z naszych pacjentów.

– O czym pan mówi? – Saint-Clair aż pochylił się do przodu.

– Badamy właśnie oprogramowanie, które kontrolowało pracę rozrusznika serca Emila Moersa. Pan Moers zmarł przedwczoraj w wyniku dziwnego zachowania się software’u kontrolnego. Fourier w ostatnim dniu pracy przesłał nową wersję Moersowi, chociaż nie przewidywał tego plan konserwacji.

– Fourier zajmował się modyfikacją programów tego typu?

– Och nie, pracował przy kontroli dystrybucji nowych wersji. Muszą panowie wiedzieć, że już od dość dawna każdy z naszych podopiecznych posiada zindywidualizowaną aplikację, dostosowaną do jego cech psychofizycznych i trybu życia, jaki prowadzi. Fourier uruchamiał gotowe procedury modyfikacyjne i zmienione obiekty przesyłał odbiorcom.

– Pomylił się? Przesłał nie to, co trzeba?

– Nie, to jest niemożliwe. Nowa wersja, która jest dostarczana odbiorcy, zostanie odrzucona przez obiekty kontrolne poprzedniej, jeśli nie spełnia ściśle określonych warunków. Warunki te jednoznacznie identyfikują software danego odbiorcy. Następuje wtedy odrzut. Zastąpienie programu odbiorcy innym, nieprzeznaczonym dla niego, jest całkowicie wykluczone. Tylko w wypadku pomyślnej identyfikacji stara wersja zastępowana jest nowszą, która dodatkowo musi być bezpośrednim potomkiem poprzedniej.

– A jednak, że tak powiem, pacjent zmarł?

– To prawda. Jest to tym bardziej dziwne, że, według naszej dotychczasowej wiedzy, obiekty przesłane przez Fouriera nie różnią się niczym od tych, które zastąpiły. Ale ciągle badamy program, który spowodował śmierć pana Moersa. To nie jest proste oprogramowanie. Nie

kontroluje tylko pracy serca. Kiedy już wszczepiamy coś do organizmu, to chcemy dać pacjentowi jak największe korzyści. W rzeczywistości to oprogramowanie jest złożonym i subtelnym rozszerzeniem jego układu nerwowego.

– Nie będzie miał pan nic przeciwko temu, by przyjrzał mu się także nasz specjalista z wydziału ochrony systemów?

– Oczywiście nie. Będzie musiał pan tylko przedstawić mi nakaz prokuratora. Takie są przepisy.

– Dostanie go pan.

Kiedy Saint-Clair i Rounier wychodzili z budynku Narodowego Instytutu Kardiologii, deszcz już nie padał.

– Wracamy do komisariatu, Rounier.

Saint-Clair wyjął z kieszeni swoją kartę komunikacyjną i poprosił o połączenie z Jakiem Bruhatem z wydziału ochrony systemów.

– Cześć, Jacques, będę miał dla ciebie soft obsługujący rozrusznik serca. Myślę, że ktoś doczepił do niego jakieś świństwo. Człowiek, który to dostał, zmarł z powodu niewłaściwego działania programu. Faceci z Narodowego Instytutu Kardiologii nic jeszcze nie znaleźli.

– Może jest tam jakiś błąd? – spytał Bruhat i uśmiechnął się złośliwie.

– Żartujesz. Inżynier, który zaktualizował oprogramowanie, zniknął dzień później.

– Dobra. Kiedy dostanę to чудо?

– Muszę jeszcze załatwić zgodę prokuratora. Za godzinę, w porządku?

– OK.

Saint-Clair pomyślał z niechęcią, że będzie musiał porozmawiać z Emilem Moersem. Bardzo nie lubił rozmawiać ze zmarłymi.

* * *

Hochfeld spojrział w głąb wystawki, gdzie przy stole siedziały figury inżyniera Eiffela i Edisona, a potem odwrócił się i podszedł do balustrady. Wiał chłodny wiatr, było wczesne przedpołudnie. Jorrick patrzył na Sacre Coeur, przesłonięte lekką mgiełką, widmowe.

– Złapałem Achillesa – powiedział Hochfeld. – Namierzyłem go.

– To świetnie! – Jorrick uśmiechnął się szeroko. – Wiedziałem, że ci się uda. A więc możemy się teraz do niego dobrać?

– To zdechłak. Otrzymywałeś listy z Hadesu. Nazywa się Gustave Lambert. Mówi ci coś to nazwisko?

– Cholera – powiedział Jorrick. – Wysoko mierzymy. Dlaczego zależało mu na Moersie?

Hochfeld wzruszył ramionami.

– Dlaczego zdechłakowi może zależeć na czymkolwiek? Co prawda Lambert nie jest byle jakim mózgowcem. Ma wpływy i forszę. I jest bardzo dobrze strzeżony. Nic mu nie możemy zrobić. Przynajmniej na razie nic nie przychodzi mi do głowy. Możemy tylko czekać na jakiś sprzyjający zbieg okoliczności.

– Jeśli nie jesteśmy mu już potrzebni, to nas zlikwiduje. – Jorrick zaśmiał się nerwowo.

– Jasne – powiedział Hochfeld. – Ciekawe, jak będzie chciał to zrobić? Wynajmie płatnych morderców?

Jorrick parsknął śmiechem. Para starszych ludzi, wyglądających na amerykańskie małżeństwo w podróży po Europie, spojrzała na niego ze zdziwieniem. Jorrick poczuł dreszcze. Było zimno.

* * *

Himmel wracał ze swojego cotygodniowego spotkania z Candelasem na piechotę. Był bardziej pijany niż zwykle; jego harówka w banku coraz

mocniej dawała mu się we znaki i poważnie myślał o kolejnej zmianie pracy. Odbył już nawet kilka rozmów z różnymi bubkami do spraw pracowniczych w przeróżnych firmach. Ale tego dnia upił się nie tylko z powodu swojej pracy.

– No widzisz? Nie tylko ty miałeś dosyć klonów! – Candelas był jak zwykle w świetnym humorze. – Fablon nie jest taki głupi! Już od dłuższego czasu wiedział, że Oddziały Pomocnicze razem ze swoją paranoiczną ideologią równości posuwającą się do wymuszania nawet fizycznego podobieństwa to ślepy zaułek. Pluskwy są podobne. Ten sojusz z rządem jest przecież chwilowy. Wspólnie musimy pozbyć się klonów. Potem się zobaczy.

Himmel mijał się co chwila z patrolami wojskowymi. Co prawda na ulicach nie spotykało się już klonów, bowiem wszyscy zostali aresztowani po wspólnym oświadczeniu Fablona i prezydenta Republiki, jednak ciągle od jedenastej wieczorem do szóstej rano obowiązywała godzina policyjna. Było wpół do jedenastej i ulice zaczynały powoli pustoszeć.

Nie było już Arabów, nie było żadnych kolorowych. Nie było już i klonów; tych, których nie zabito podczas obławy, wywieziono do obozów odosobnienia.

Miasto robiło się coraz bardziej puste, a jednak Himmel nie czuł się przez to pewniej i bezpieczniej. Pomyślał, że właściwie będzie to trwało już zawsze. Pustka i zimno. Poczul się zdradzony i oszukany. Ale dlaczego? Ci chłopcy z milicji, którym obiecywano, że teraz wszyscy będą równi, że będą nawet podobnie wyglądać, mieć podobne oczy i nosy, a nawet portfele. Niektórych znał. Tam, w środku, w głowie, każdy z nich był inny. Nie lubił ich stadnego instynktu, który kazał im się ubierać tak samo i tak samo wyglądać, ale się zdziwił, kiedy się okazało, że mogą zniknąć

wszyscy w ciągu jednej nocy. Czy cały świat był oszustwem wymierzonym przeciwko niemu? Nie. On, Michel Himmel, nikogo przecież nie obchodził.

Po powrocie do domu od razu wskoczył do kołyski. Zobaczył w dole migotliwy kolorowy labirynt Hadesu, pulsujący światłami reprezentacji światłowodowych magistrali. Obniżył lot i skierował się ku kwartałowi kategorii zerowej. Dysponował już dokładną mapą Hadesu i dotarcie tam nie stanowiło problemu.

Odnalazł swojego pupila. Sprawdził aktywność jego fal mózgowych i stwierdził z zadowoleniem, że tamten śpi.

– Dobrze, mój zdechlaczku. Zobaczymy, o czym marzysz.

W pierwszej chwili był zaskoczony wyrazistością snu. Tamten spał i jednocześnie prowadził ożywiony dialog z jakąś osobą o zamglonych kształtach.

– Oni wszyscy są przecież jak zwierzęta. Nie mogę ich traktować tak samo jak siebie.

Osoba zbliżyła się i roześmiała głośno.

– Uważasz, że postępuję niewłaściwie? Przecież wiesz, jak tu wygląda. My obaj wiemy, że tam nie ma już naprawdę nic. Oni są po prostu zwierzętami, dopóki nie rozplyną się jak mgła. Ich cierpienie jest zupełnie przezroczyste. Tak, właśnie tak to wygląda. Miliard tych zwierząt może urodzić się i umrzeć, a wszystko to jest absolutnie przezroczyste i bez znaczenia.

Himmel czuł się dobrze w tym śnie. Dobrze i bezpiecznie, jak poczwarka w okrywie cudzych myśli, za które nie ponosił żadnej odpowiedzialności.

Postać o niewyraźnych kształtach poruszyła się.

– Nie mogę, nie mogę się poddać! Zajrzałem tam, jest tam tylko ciemna otchłań bez dna!

Himmel zaczął odbierać jego niepokój. Serce tamtego, a raczej to, co je udawało, bo przecież to prawdziwe serce już dawno rozpadło się w proch, zaczęło gwałtownie bić.

Postać o niewyraźnych kształtach zaczęła powoli odwijać bandażę ze swojej twarzy. Kiedy odwijała ostatni zwój, pochyliła lekko głowę.

Zdechłak odwrócił się, aby nie patrzeć, ale ciągle widział to samo. Postać podniosła głowę i obaj, śpioch i Himmel, spojrzeli w jej puste oczodoły.

Himmel powoli wycofał się z Hadesu. Podniecające uczucie wszechmocy sprawiało, że jego ciałem co chwila wstrząsały dreszcze.

* * *

Po obiedzie, o czternastej piętnaście, Saint-Clair zjawił się w wydziale ochrony systemów u Jacques'a Bruhata.

– Masz już ten program? – Saint-Clair był bardzo niecierpliwy.

– Tak, tak, ale dostarczyli mi chyba kopię.

Bruhat siedział przy stole operatorskim z głową schowaną w kokonie sprzętowego uruchamiacza. Po chwili uwolnił się z niego i spojrzał przekrwionymi oczami na komisarza.

– Muszę dostać oryginał – powiedział, wystukując numer pracowni programowej Narodowego Instytutu Kardiologii.

Zgłosił się Frost.

– Posłaliśmy panu dokładną kopię tego programu – powiedział Frost lekko obrażonym tonem.

– W jaki sposób uzyskaliście tę kopię?

– Rozmnożyliśmy program, używając procedury powielającej Berlina.

– Rozumiem. Wolałbym jednak otrzymać oryginał – powiedział uprzejmie Bruhat. Saint-Clair wiedział, że nie udało się nigdy nikomu

wyprowadzić Bruhata z równowagi.

– Dobrze – niechętnie zgodził się kierownik pracowni.

Po minucie Bruhat znów wsadził swoją rozczochraną głowę do uruchamiacza.

– Tak, to jest naprawdę oryginał – mruknął z zadowoleniem. Poznał już bardzo dobrze ten nowy debugger i był pewny, że jeśli cokolwiek przylepiło się do programu, będzie w stanie to znaleźć.

Bruhat widział przed sobą owalny, jajowaty kształt, który tworzyły zewnętrzne protekcyjne warstwy programu. Warstwy miały fakturę grubego szarego papieru. Bruhat rozwarł je delikatnie i z przyjemnością patrzył na błyszczące rubinowo wrzeciono głównego programu. Uruchomił funkcje sprawdzające sumy kontrolne, mimo że nie spodziewał się znaleźć czegokolwiek już na tym poziomie. Zresztą z całą pewnością zrobili to już faceci z Instytutu. Wstęgi sum kontrolnych przewinęły się płynnie. Bruhat zaczął obracać ręcznie wrzeciono, ale nie zauważył niczego szczególnego. Mógłby teraz wykonać szereg szybkich przekrojów, ale obawiał się, że pluskwa, o ile gdzieś tu tkwiła, może zareagować na tak gwałtowną ingerencję autodestrukcją. Dokonał podziału pól widzenia; patrzył teraz na program jednocześnie z obu przeciwległych stron. Nie znalazł niczego.

– Cholera, obawiam się, że możemy jej nie dopaść – zamruczał.

– Tam musi coś być – Saint-Clair starał się mówić spokojnie, by nie urazić Bruhata.

Bruhat spoglądał ciągle z obu stron na program; wiedział dobrze, że dostatecznie sprytnie wykonana pluskwa mogła skryć się po przeciwnej stronie programu, kiedy wyczuwała zbliżanie się sprzęgu uruchamiacza. Nie słyszał jednak o takiej, która potrafiła to zrobić przy jednoczesnym podniesieniu dwu sprzęgów, umieszczonych na przeciwległych końcach. Musiałaby wtedy dokonać sztuczki bardzo wyrafinowanej.

– Patrzę teraz na program jednocześnie z obu stron – powiedział Bruhat do Saint-Claira. Był bardzo podniecony i komisarz słuchał go cierpliwie. – Wyobrażasz to sobie? Podchodzisz do wielkiego kamienia, zwierzę dostrzega cię i kryje się za nim. Podchodzisz teraz jednocześnie z obu przeciwnych kierunków, A i B. Zwierzę dostrzega cię, jak nadchodzisz z kierunku A, i kryje się po stronie B. Dostrzega równocześnie, jak podchodzisz z kierunku B, i kryje się przed tobą za głazem po stronie A. W rezultacie nie widzisz go.

Saint-Clair zaczął powoli tracić cierpliwość.

– Nie rozumiem tego – powiedział ponuro.

– Ja też – odpowiedział radośnie Bruhat i włączył, bez przekonania, jeszcze dwa sprzęgi, ustawione w osi prostopadłej do dwu pierwszych.

Nie zauważył niczego szczególnego, więc zostawił tylko jeden sprzęg, tak aby widzieć wszystko jak najwyraźniej. Zaczął znów obracać powoli program i ustawiać na chybił trafił pułapki. Ustawił ich kilkadziesiąt i wprowadził program w powolny ruch wirowy. Przy takiej liczbie pułapek nie mógł kręcić nim szybciej.

– Nie łapie się – szepnął do siebie.

Została mu ostatnia szansa. Zerwał wszystkie pułapki, uwolnił maksymalnie wiele zasobów uruchamiacza i zaczął wprowadzać program w ruch wirowy. Stopniowo jego kontury zamazały się. Osiągnął maksymalną prędkość. I wtedy ją zobaczył. Wypłynęła powolutku zza zamglonego konturu programu – płaski, cienki jak żyłotka szafirowy dysk. Bruhat opuścił na pluskwę siatkę procedur konserwujących i wyłączył uruchamiacz.

– Mamy ją.

– Co?

– Pluskwę. Piękna, dorodna pluskwa, która zabiła Moersa.

– Świetnie. Dziękuję ci, Bruhat. Teraz mogę już porozmawiać z Moersem.

Saint-Clair wrócił pospiesznie do komisariatu.

– Rounier, będę musiał odwiedzić Moersa. Czy mówiłeś już o tym z sędzią śledczym?

– Tak. Powiedział, że uzyska obligatoryjne połączenie z Moersem zaraz na drugi dzień po tym, jak zdobędzie pan niezbite dowody popełnienia przestępstwa.

– Cholera, zatem będziemy musieli poczekać do jutra. Połącz mnie z sędzią, pogadam z nim. I przygotuj na jutro te graty do połączeń z Hadesem.

* * *

Saint-Clair siedział już przy biurku, na którym Rounier ustawił ich trochę przestarzały terminal. Był we wściekle złym humorze. Znow pokłócił się z żoną i próbował uspokoić, zanim zacznie rozmowę z Moersem. Pociągnął łyk gorącej herbaty, odstawił szklankę i włączył terminal. Zobaczył twarz Moersa. Nie widział go całkowicie wyraźnie, co spowodowane było złą jakością terminala. Mimo to stwierdził, że Moers też nie jest w dobrym humorze.

– Dzień dobry, panie Moers. Bardzo mi przykro z powodu tego, co się panu przydarzyło.

– Mój adwokat powiedział, że nie mogę odmówić składania zeznań.

– Tak, to prawda. Byłbym jednak zdziwiony, gdyby nie chciał pan ze mną rozmawiać. Według wszystkich dostępnych nam danych został pan zamordowany. Rozumiem, że pański adwokat przekazał panu szczegóły.

– Myślę, że tak.

– W programie, który obsługiwał pański stymulator, ktoś umieścił pluskwę. Zrobił to najprawdopodobniej pracownik Narodowego Instytutu Kardiologii, Marcel Fourier. On i jego córka zniknęli. Sądzymy, że ktoś porwał córkę Fouriera i szantażem zmusił go do wmontowania pluskwy w pana program. Plan powiódł się, pan znalazł się w Hadesie. Czy nie chce pan dowiedzieć się, kto jest pańskim zabójcą?

Moers odwrócił głowę. Nie patrzył na Saint-Claira. Ekran terminala miał dużą bezwładność, poruszająca się głowa Moersa zostawiła za sobą lekką smugę. Nie widzę wyraźnie twoich oczu, odwróć się, pomyślał Saint-Clair.

– To przecież wasza sprawa, czy nie tak?

– Może nam pan pomóc. Kto mógł chcieć pańskiej śmierci?

Moers poprawił okulary na nosie.

– Nie wiem.

– Dlaczego nie chciał pan z nami rozmawiać? Czy ktoś groził panu, już po tym, co się stało?

– Nie, nikt mi nie groził.

Moers mówił cicho i niewyraźnie.

– Dlaczego nie chciał pan z nami rozmawiać?

Moers spojrzał na Saint-Claira ze złością.

– Z tego miejsca świat wygląda zupełnie inaczej niż stamtąd. Nie rozumie pan tego? Nie obchodzi mnie ta pańska dziwna teoria o moim rzekomym zabójstwie.

Nie wyglądało na to, że Moers będzie kontynuować rozmowę.

Saint-Clair pomyślał, że trafił na złą chwilę.

– Dobrze. Rozumiem pana. Gdyby jednak chciał mi pan o czymś powiedzieć, to proszę się ze mną skontaktować.

Kiedy Rounier wszedł do gabinetu, Saint-Clair siedział ciągle przed włączonym terminalem i pił drobnymi łykami herbatę.

– I co?

Komisarz wzruszył ramionami.

– Nic. Zero. Chociaż właściwie bardzo dużo. Myślałem, że tam ludzie już się niczego nie boją. Moers był cholernie wystraszony. Ciekawe dlaczego, prawda?

Wracał do domu z ogromną niechęcią. Nie miał ochoty widzieć się z Catherine. Wojna z kobietą, którą kiedyś kochał, wyczerpywała go całkowicie. Usiłował przypomnieć sobie stare czasy, ale zobaczył tylko mgłę. Kiedy walczyli i zadawali sobie coraz dotkliwsze ciosy, jego umysł dniem i nocą wznosił nieprzenikliwy, twardy mur, który odciął go już od przeszłości.

Miał ogromną ochotę, by spędzić noc w barze, chociaż nigdy dotąd tego nie robił.

Nie zrobił tego i tym razem.

O trzeciej w nocy obudził go brzęczyk karty komunikacyjnej.

Był zupełnie oszołomiony. Zakaszłał i podniósł się z łóżka. Cholerna karta, gdzie ona jest? Zapalił lampkę nocną i zobaczył, że leży na ziemi. Schylił się po nią i włączył odbiór.

– Słucham, Saint-Clair.

Na ekraniku zobaczył ściągniętą strachem twarz Moersa. A przynajmniej tak mu się zdawało, bo jego karta komunikacyjna jeszcze gorzej odbierała obrazy z Hadesu niż terminal w komisariacie.

– Muszę mówić szybko. To Lambert. On to zorganizował. Potrzebował mnie tu, w Hadesie, bo próbuje zdobyć nad nim całkowitą kontrolę, nad wszystkimi, którzy tu są, nawet nad śpiochami. Już zmusił mnie, bym dokonał pewnych zmian charakterystyk Hadesu. Boże, on potrafi mnie dopaść nawet tutaj! Kiedy przestanę mu być potrzebny, unicestwi mnie!

Resztki senności opuściły Saint-Claira.

– To, co pan mówi, brzmi... nieprawdopodobnie. Muszę mieć fakty, dowody.

– Znajdzie pan fakty. Jeśli mi pan uwierzy, pomogę panu.

Mikrogłośniczek karty komunikacyjnej Saint-Claira nie był przystosowany do przenoszenia dźwięków o dużym natężeniu. Saint-Clair usłyszał dziwny modulowany lekko dźwięk. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że to nieludzki, potworny wrzask, który trwał, trwał i trwał bez końca. Głowa Moersa w okienku karty spłaszczyła się i rozciągnęła na boki, a potem pękła, zalewając całe okienko cynobrową plamą. Wrzask ucichł.

– Moers!

Milczenie.

Saint-Clair miał nieprzyjemne wrażenie, jakby był przed chwilą świadkiem miniaturowej śmierci w plastikowym pudełku. Takiej śmierci mimo tego koszmarnego wrzasku nie można było brać poważnie.

Do pokoju weszła Catherine. Miała zasną, naburmuszoną twarz.

– Co to za odrażające hałasy? Urządzasz sobie jakieś głupie zabawy po nocy?

Saint-Clair poczuł się źle. Usiadł na łóżku i wybrał numer Rouniera.

Usłyszał najpierw, jak Rounier przeklina.

Catherine syknęła ze złością i wyszła, trzaskając drzwiami.

– To ja, Saint-Clair. Przed chwilą rozmawiałem z Moersem.

– Co? Z Moersem?

Rounier nie mógł pozbierać myśli. Plątał mu się język.

– Słuchaj mnie. Rozmawiałem przed chwilą z Moersem. Powiedział, że to sprawka Lamberta.

– Co? Lamberta? Jakiego Lamberta?

– Tak, tak, do cholery, tego Lamberta, którego obaj znamy, rozumiesz? Mówił, że Lambert chce kontrolować Hades i po to go ściągnął do siebie. Połącz się z Jakiem Bruhatem i powiedz mu, że za godzinę ma być u siebie, w wydziale ochrony systemów. A my spotkamy się w komisariacie za... za pół godziny.

– Cholera – powiedział Rounier. Już się obudził.

* * *

Wieczorem Pierre Jorrick obejrzał jeszcze raz zdjęcia, które dostarczył mu Hochfeld. Spokojna uliczka na przedmieściu. Dom ogrodzony niewysokim płotem. Pojawia się Saint-Clair i unosi drzwi garażu. Saint-Clair otwiera bramę. Saint-Clair wyjeżdża przed dom. Saint-Clair zamyka drzwi garażu. Saint-Clair zamyka bramę. Saint-Clair odjeżdża sprzed swego domu. Nie. Nie odjeżdża.

– Opuszcza dom zawsze o tej samej porze. Od wielu lat. Jest punktualny jak zegarek – powiedział mu Hochfeld.

– Lubię punktualnych ludzi – odpowiedział wtedy Jorrick.

– Musisz to zrobić jutro.

Siedzieli na ławeczce przy fontannie Medyceuszy.

– Wygląda na to, że nasz Achilles ma kłopoty. Potrzebuje znów naszych usług. Nasze akcje idą w górę – stwierdził spokojnie Hochfeld.

Jorrick przygotował broń i poszedł wcześniej spać.

Obudził się wypoczęty i w dobrym nastroju.

O godzinie siódmej trzydzieści pięć zaparkował samochód pięćdziesiąt metrów od domu Saint-Claira. Ruch był niewielki. Jorrick był nieskończenie spokojny – widział wszystko z doskonałą jasnością, ręce miał ciepłe i suche, ale jednocześnie inną swoją częścią odczuwał niezmiernie, wyczerpujące napięcie.

Dlatego też, kiedy była już siódma pięćdziesiąt, a Saint-Clair wciąż się nie pokazywał, poczuł się bardzo źle. Czekał jeszcze pięć minut, a potem wyszedł z samochodu i poszedł szybko w kierunku domu komisarza. Już na jego wysokości przeszedł przez jezdnię i zbliżył się do metalowej furtki. Nie była zamknięta. Podeszedł po schodkach do drzwi wejściowych i otworzył je kluczem magnetycznym, który dostał od Hochfelda razem ze zdjęciami. Dręczące go napięcie znikło. Zamykając za sobą drzwi, wyjął z kieszeni płaszcz a pistolet. Pamiętał rozkład pomieszczeń w domu. Przeszukał wszystkie na parterze i nie znalazł nikogo. Potem wszedł na piętro. Już na schodach usłyszał szum wody w łazience.

Dobrze.

Sprawdził wszystkie pokoje, a potem poszedł do łazienki. Catherine Saint-Clair stała pod prysznicem, odwrócona do niego bokiem. Zauważyła go natychmiast, odwróciła głowę i skamieniała. Jorrick pchnął drzwi i wszedł do środka.

– Gdzie jest Saint-Clair? – Celował w jej serce.

Catherine otworzyła szeroko usta i w tej chwili Jorrick strzelił.

* * *

Późnym popołudniem Saint-Clair wrócił wreszcie do domu. Ostatnią noc spędził, włócząc się po knajpach, potem miał okropny dzień – razem z Bruhatem przeglądali raporty z połączeń Lamberta ze światem zewnętrznym. Nie znaleźli niczego interesującego. Za to sędzia śledczy powiadomił ich, że mogą mieć problemy z dalszym dostępem do raportów związanych z Lambertem.

Saint-Clair czuł się fatalnie i chciał zdrzemnąć się choć chwilę. Wszedł na piętro i zauważył, że drzwi łazienki są szeroko otwarte.

To, co zobaczył, było zbyt nierzeczywiste i koszmarne, by mógł uwierzyć swoim oczom. Stał przez chwilę w wejściu, a potem zamknął za sobą drzwi i poszedł wolno do sypialni. Ogarnęła go fala słabości, był straszliwie ciężki i niezdarny. Poczł ostry ból w mostku. Położył się na wznak na łóżku i zasnął. Spał około piętnastu minut. W swoim śnie bez marzeń przypomniał sobie nagle o czymś i zerwał się na nogi z bijącym gwałtownie sercem. Poszedł szybko do łazienki.

Na podłodze, zalanej krwią, leżała Catherine. Saint-Clair podniósł ją i nie patrząc jej w twarz, zaniósł do sypialni. Kiedy położył ją na łóżku, odezwał się brzęczyk jego karty komunikacyjnej.

– To ja, Bruhat. Mamy coś! Dwóch cholernie podejrzanych facetów. Do diabła, wygląda to tak, jakby ktoś ich nam wystawił! Myślę, że w ciągu kilku godzin będziemy mieli namiary co najmniej na jednego z nich.

– Dobrze – powiedział Saint-Clair. – Będę zaraz u ciebie.

Potem polecił, aby przysłano do jego domu ekipę śledczą.

* * *

– Czy naprawdę czuje się pan dobrze, komisarzu? – Rounier patrzył badawczo na twarz Saint-Claira.

Była już pierwsza w nocy i komisarz nie wyglądał zbyt dobrze. Bruhat prześledził cały łańcuszek połączeń i dał im adres tego hotelu – razem z fotografią faceta, który nazywał się Robert Hochfeld i przyleciał niedawno do Paryża z Niemiec. Zdjęcie zgadzało się dość dobrze z rysopisem człowieka, którego widziano w towarzystwie Nicolette Fourier tuż przed jej zniknięciem.

Wydawało się, że Saint-Clair nie usłyszał pytania. Nad wejściem do hotelu palił się niebieski neon z napisem „Auberge de Joie”.

Młoda, ładna recepcjonistka podniosła wzrok znad książki i spojrzała na nich ze znużeniem.

– Dobry wieczór – powiedział Rounier i pokazał jej policyjną legitymację. – Gdzie mieszka pan Robert Hochfeld?

– W pokoju trzydzieści sześć, na trzecim piętrze.

– Klucz – powiedział Saint-Clair i wyciągnął rękę ku dziewczynie.

Recepcjonistka wstukała hasło i pobrała zapasowy klucz.

– Zostań tu – rzucił do Rouniera Saint-Clair i ruszył szybko do windy.

Rounier patrzył za nim z niepokojem.

Winda pachniała tanim plastikiem. Kiedy zbliżała się do trzeciego piętra, Saint-Clair wyciągnął z kabury pistolet i odbezpieczył go. Wszedł na korytarz, rozejrzał się, podszedł do drzwi pokoju trzydzieści sześć i wsunął klucz w szczelinę zamka.

Szczęk zamka obudził Hochfelda. Odruchowo sięgnął po leżący obok pistolet, zerwał się i wymierzył w kierunku snopa światła, które poraziło jego oczy. W tej samej chwili pocisk z pistoletu Saint-Claira przebił mu brzuch. Komisarz wszedł do pokoju, zapalił światło i zamknął za sobą drzwi. Hochfeld leżał, jęcząc, na łóżku. Broń wypadła mu z dłoni.

– Robert Hochfeld – powiedział Saint-Clair. – Muszę mieć nazwisko i adres twojego współnika.

Hochfeld patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma. Czuł, że umiera. Przeklęty Jorrick. To przez niego. Dał mu dokładne namiary komisarza, a on tak się wygłupił.

– Jorrick. Pierre Jorrick, rue Le Pen dziewiętnaście.

Saint-Clair zastanawiał się przez trzy sekundy, czy Hochfeld powiedział mu prawdę, a potem strzelił mu prosto w twarz.

* * *

– Nazywam się Andre Saint-Clair – powiedział policjant do mikrofonu umieszczonego obok dzwonka. – Przyszedłem bez broni. Chcę z tobą porozmawiać.

Cisza. Po chwili drzwi otworzyły się na oścież. Saint-Clair nie zobaczył nikogo. Przekroczył próg, wyciągając przed siebie puste ręce. Drzwi wejściowe zatrzęsły się za nim. Widząc otwarty pokój, Saint-Clair wszedł do niego. Z prawej usłyszał głos Jorricka.

– Dzień dobry. Miło mi, że się zjawiłeś. Jednak miałem rację. Wiedziałem, że to cię wykończy. A Robert uważał, że popełniłem błąd.

Jorrick stał z boku z wycelowaną w Saint-Claira bronią.

– Przypuszczam, że nie mamy wiele czasu – powiedział do komisarza. – Czego chcesz?

– Chcę dostać się do Lamberta.

– Do Lamberta? – zdziwił się Jorrick. – Jak chcesz dostać się do Lamberta?

– Ty mi pomożesz. Zrobisz to, tak czy inaczej. Ale nie możesz uszkodzić mózgu. W ten sposób znajdę się tam, gdzie jest już Lambert.

Jorrick uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Jasne, możesz na mnie liczyć. Ale nic nie zrobisz Lambertowi. Nie rozumiem, dlaczego chcesz się z nim spotkać.

– Czy to ma dla ciebie znaczenie?

– Niewielkie. Pewnie byłoby dla mnie lepiej, żeby Lambert przestał istnieć. Już naprawdę. Ale, jak powiedziałem, nie sądzę, że uda się to zrobić. Ani tobie, ani mnie.

Milczeli przez chwilę.

– To wszystko – powiedział Saint-Clair i utkwiał wzrok w podłodze.

Jorrickowi wydawało się, że czuje zapach jego potu.

Boisz się. Przyszedłeś tutaj, jesteś całkiem bezbronny i boisz się. Mam cię, jesteś zdany całkowicie na moją łaskę.

Jorrick doświadczył jeszcze raz tego fantastycznego, niesamowitego uczucia, które poznał po raz pierwszy tyle lat temu.

Saint-Clair stał przed nim, śmierdział strachem i nienawiścią i oddychał płytko.

– Mamusia musi wyjść na chwilę – powiedziała do Jorricka jego mama, kiedy miał sześć lat. – Uważaj na swoją siostrzyczkę, dobrze? Mamusia zaraz wróci.

Uśmiechnęła się do niego, a Jorrick kiwnął głową.

Stał przy łóżeczku swojej rocznej siostry. Juliette patrzyła na niego jasnoniebieskimi oczami, które przypominały mu błyszczące guziczki. Była taka malutka i bezbronna. Jorrickowi nagle wydało się zupełnie niemożliwe i nie do uwierzenia, że to malutkie zwierzątko, które bezmyślnie wodziło za nim oczkami, może być czymś takim samym jak on. To niemożliwe. Pochylał się nad nią, a ona sapała i bulgotała. Była raczej bliżej świata ślimaczków i mrówek niż świata, w którym przebywał on sam. A jednak wszyscy uważali, że Juliette jest tym samym, czym jest on.

Nie.

Było to jak wielkie olśnienie czy objawienie, choć wtedy oczywiście tak tego nie mógł określić. I wtedy też zobaczył to pęknięcie pomiędzy swoim światem a światem wszystkich innych ludzi. W jego świecie nie było żadnej odpowiedniości między nim a jego siostrą. W jakimś innym znaczeniu nie było też odpowiedniości pomiędzy nim a wszystkimi innymi ludźmi. Nagle poczuł, jak to, co wywołało w nim ten przyjemny, przenikający dreszczem zawrót głowy, zawładnęło nim i kieruje jego ruchami, poczuł, że traci zupełnie panowanie nad sobą i musi robić to, co każe mu robić ta nieprzewyciężona, oszłamiająca siła.

Teraz, kiedy Jorrick strzelił do Saint-Claira i patrzył, jak jego ciało dygocze na podłodze, doznawał dokładnie tego samego uczucia. Wiedział już od dawna, że wszyscy ci, którzy byli od niego słabsi i nie mogli się przed nim obronić, nie zasługiwali na to, by nazywać ich ludźmi.

Laurent Pellet, dowódca grupy specjalnej, która otoczyła dom Jorricka, nie mógł pojąć, dlaczego Saint-Clair chciał za wszelką cenę wejść do domu Jorricka sam, bez broni. Saint-Clair powiedział mu, że Jorrick jest bardzo niebezpieczny i że postara się przekonać go, by się poddał. Pellet nie wierzył w to ani przez moment. Nie wierzył, by ktoś taki jak Jorrick mógł chcieć się poddać. Nie wierzył także w to, że komisarz jest tak naiwny, by sądzić, że tamten to zrobi. Kiedy Pellet usłyszał odgłos strzału, wydał rozkaz do ataku. Jego ludzie zdetonowali granaty ogłuszające, a potem wdarli się do środka przez główne drzwi wejściowe, drzwi z tyłu domu, a także z dachu, przez dwa okna na piętrze.

* * *

Saint-Clair miał wrażenie, że zanurza się w głębokiej wodzie. Był coraz głębiej i głębiej. Wreszcie osiadł na samym dnie. Usłyszał głos Jacques'a Bruhata.

– Andre, słyszysz mnie? Czy mnie słyszysz? Muszę cię już opuścić. Jesteś na miejscu.

Saint-Clair poczuł na nowo ciężar swojego ciała. Nie było to dokładnie to ciało, do którego przywykł. Było to tylko jego przybliżenie.

– Och – powiedział Lambert. – Jest pan. Myślę, że zrobił pan głupstwo. Cóż, jest to zgodne z moimi planami. Hochfeld i Jorrick zrobili to, czego od nich oczekiwałem. I oni, i pan staliście się niebezpieczni. Umiarkowanie niebezpieczni. Uznałem, że dobrze będzie, jeśli wystąpicie przeciwko sobie. Mógł ich pan zlikwidować, mogło być i odwrotnie. Stało się lepiej,

niż planowałem. Przykro mi z powodu tego, co stało się z pańską żoną. Jorrick był oczywiście psychopata. Chociaż trzeba przyznać, że dopiął swego. Jest pan przecież tutaj z powodu swojej żony, prawda?

Saint-Clair patrzył na Lamberta w milczeniu. Patrzył na człowieka, który spowodował, że znalazł się na dnie gigantycznego słoja wypełnionego wodą. Było tu tak cicho. Wszystkie dźwięki wydawały mu się przygłuszone.

– Jest pan tutaj i co zamierza pan robić dalej? – Lambert zaśmiał się nieprzyjemnie.

Komisarz odwrócił się i zobaczył za sobą drzwi.

– Tak – powiedział Lambert. – To są drzwi, za którymi może pan spotkać się ze śpiochami. Ale odradzam to. Niektórzy ludzie sądzili, że w ich mózgach drzemie jakaś niezwykła siła. Rzekomo pewne badania na to wskazywały. Ja też w to wierzyłem. Przekonałem się na własnej skórze, że to bzdura. Byłem tam i ledwo wyszedłem z tego cało. Być może drzemie tam jakaś siła, ale jest to wyłącznie siła destrukcyjna – ponura, mordercza agresja. Zniszczy każdego, kto się tam znajdzie. Moers pomógł mi stworzyć te drzwi. Zupełnie niepotrzebnie. Te drzwi tak naprawdę prowadzą donikąd. Niestety. Nie mogę w tej chwili powstrzymać pana od przekroczenia ich progu, jednak jeśli pan tam wejdzie, to jest pan do końca zgubiony. Niech pan tego nie robi. Niech pan zostanie po naszej stronie.

Saint-Clair otworzył drzwi. Była za nimi czerń gęsta jak smoła. Lambert zaklął.

Saint-Clair wszedł w czerń, ostrożnie stawiając kroki. Grunt był twardy, nierówny. Drzwi za nim zatrzasnęły się z hukiem. Stał przez kilkanaście sekund bez ruchu. Czy zdawał sobie dobrze sprawę z tego, co działo się ostatnio wokół niego? Nie, nie wiedział nawet jasno, czego chciał, dostając się tutaj. Teraz, kiedy już tu był, poczuł ogromne znużenie i cała jego

nienawiść skurczyła się. Ciemność wokół niego rozjaśniła się. Znalazł się w wilgotnym podziemnym korytarzu. Ucieszył się, że drażniąca, nieprzyjemna obecność Lamberta znikła. Bruhat mówił, że to, co zobaczy w kwartale śpiochów, będzie w dużym stopniu projekcją jego własnego umysłu, ponieważ przestrzeń, w której przebywają, jest sformowana tylko najbardziej ogólnie, z zachowaniem wyłącznie podstawowych parametrów czasu i przestrzeni. Było to najtańsze rozwiązanie, a przecież śpiochy nie potrzebowały niczego lepszego. Saint-Clair zastanawiał się, skąd zna ten ciemny, wilgotny korytarz. Jeśli to, co mówił Bruhat, było prawdą, to musiał go już kiedyś widzieć. Szedł powoli przed siebie i kiedy zobaczył pierwsze kości, uświadomił sobie, gdzie jest.

Leżały poukładane po obu stronach korytarza; czaszki i piszczele tworzyły wysoki, zwarty mur, wzmocniony w wielu miejscach zaprawą. Czaszki, o kolorze solonych orzeszków ziemnych, tworzyły czasem wzory.

Dawno temu, gdy był dzieckiem, zwiedził ze swoimi rodzicami katakumby. Od dawna już nie istniały – w czasie wojny podziemia zostały opróżnione z kości.

Wtedy usłyszał ciche, szepczące głosy. Nie mógł ich rozróżnić przez długi czas. Poczul strach. Głosy milkły, a potem znów napływały wzmożoną falą. Ktoś krzyknął.

– Znalazłem się tu tylko przez pomyłkę! Dlaczego mnie zabiliście?! Nazywam się Alain Garrett! Dlaczego ja tu jestem?!

– Tak, dlaczego on tu jest? – powiedział inny głos. – Dlaczego my tu wszyscy jesteśmy? Czy jesteśmy tylko twoim snem?

Jakaś kobieta zaczęła szlochać.

Saint-Clair przestawał widzieć wyraźnie. Jego umysł tracił swoją autonomię. Zdążył zrozumieć, że tutaj nikt nie jest tylko sobą. Poczul, jak

tysiąc cudzych umysłów, zamąconych i pełnych nieukierunkowanej agresji, wchodzi do jego własnego umysłu.

– Och, nareszcie mamy kogoś. Kogoś – powiedział jeden z nich. – Och, nareszcie moja nienawiść znalazła jakiś przedmiot.

Ten, który to powiedział, roześmiał się głośno.

Saint-Clair ze zdumieniem i przestraczem stwierdził, że po tym ostatnim zdaniu zapadła pełna nieobecność, jakby zobaczył płomyk, który nagle błysnął i zaraz zgasł, i że to jednostkowe istnienie było tak kruche i chwilowe.

Jednakże zaraz zastąpiło je tysiąc innych.

– Dzień dobry, dzień dobry!

– Opowiedz mi o sobie! Pamiętasz całe swoje życie? Ja pamiętam. Pamiętam swoją pierwszą kobietę, pamiętam szczególnie dobrze pewien letni, ciepły ranek; spadł deszcz i z nagrzewającej się ziemi podnosiły się smugi pary. Dżdżownice wychodziły spod ziemi i pełno ich było, samochody rozjeżdżały je na asfalcie. Czułem ich świeży zapach. Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Zobaczył przed sobą dziecko, które bawiło się porozrzucanymi kośćmi.

– Mamo? Mamusiu, chcę, żebyś do mnie wróciła, mamo!

– Dlaczego ty tu jesteś? Dlaczego tu jesteś? Po co?

Nie umiał już odpowiedzieć na żadne pytanie. Sam był już tylko pytaniem, chociaż wszystkie te głosy ciągle wyjadały jego umysł, żywiły się jego sensem i napełniały wyjedzoną pustkę nienawiścią.

Wreszcie nie było w nim nic poza tym uczuciem. Unosiło go jak wezbrana rzeka. Był teraz dziką, nieopanowaną siłą. Właśnie on nadał jej kierunek. Był lawiną, która zawróciła ku drzwiom i rozwalila je na kawałki. Za drzwiami nie było już Lamberta. W środku owalnego pokoju, na białym postumencie, spoczywał przezroczysty pojemnik opleciony siecią

przewodów. Rzucili się ku niemu, on, oni wszyscy, i rozszarpali mózg Lamberta na strzępy.

* * *

Lambert obserwował ze złośliwą satysfakcją, jak dogasał umysł Saint-Claira.

– Pozbywam się go, spełniając jego najgłębsze marzenia – mruknął do siebie. Kiedy śpiochy zasymilowały ostatni fragment umysłu Saint-Claira, Lambert wyłączył mapę ich kwartału.

Pomimo tej drobnej przyjemności nie czuł się zwycięzcą. Jego wysiłki, by zwiększyć swoją władzę, uwieńczone zostały pewnym sukcesem, ale czuł już, że nie zdąży. Jego własny umysł stawał się coraz bardziej ociężały. Powoli, krok za krokiem, nadchodziła ciemność, której tak się bał. Nie mógł jej powstrzymać. Ze zdziwieniem stwierdził, że boi jej się teraz jakby mniej. Był tak bardzo zmęczony. Czasami, w głębokim śnie, tęsknił do zwodniczych szeptów śpiochów. Odczuł nagle z całą dotkliwością, że naprawdę jest zamknięty w więzieniu.

Wtem zobaczył na ścianie przed sobą rozkwitający czerwienią napis: „Pozdrowienia od Hochfelda, Jorricka i Saint-Claira oraz od kilku innych przyjaciół. Czekaemy!”.

Napis trwał tylko kilka sekund, potem rozprysnął się w tysiąc błyszczących kawałków, które opadły na podłogę i zgasły.

Lambert zmartwiał. Patrzył ze zdumieniem na pustą już ścianę.

Po jakimś czasie doszedł do wniosku, że to było tylko jakieś koszarne przywidzenie. Czy wszystko w tym świecie, w którym teraz istniał, nie było tylko przywidzeniem?

Mimo to nie odzyskał już spokoju.

* * *

Była już druga w nocy, kiedy Michel Himmel wylazł ze swojej nory. Postanowił przejść się trochę i rozprostować kości. Po ostatniej rozprawie z Ruchem Odrodzenia miasto wróciło do równowagi i ulice pulsowały odwiecznym barwnym rytmem. Himmel patrzył z przyjemnością na mijanych ludzi. Tak dobrze jest żyć i cieszyć się tym, że się żyje. Tym bardziej, kiedy człowiek spoglądał przed chwilą w głąb mrocznej studni. Himmel chichotał ciągle na wspomnienie żartu, który sprawił Lambertowi. Zapewne mógł on uważać, że to, co zobaczył, było tylko przywidzeniem. Himmel przepełniony był poczuciem mocy. Miał wielką władzę, której nie zamierzał w żaden sposób wykorzystywać. Po co miałby to robić? Mógł patrzeć z góry na konwulsje dobra i zła i dawać czasami tym, na których patrzył, niejasne, mylące tropy, wieloznaczne znaki. Był więc podobny do Tego, Który Wszystko Widzi. Wiedział jednocześnie, że przecież widział tak naprawdę bardzo niewiele, że sam mógł być igraszką w cudzych rękach, a to, co wydawało mu się, że zobaczył, mogło być tylko ciemnym odłamkiem jego własnej duszy.

Te przyjemne marzenia przerwał brzęczyk karty.

– Witaj, chłopie! – Candelas był trzeźwy, co nie było zwykłe o tej porze. – Dawno się nie widzieliśmy! Musimy się jutro spotkać. To znaczy dzisiaj w południe. Pamiętasz? Kiedyś dostałeś ode mnie przepustkę. Taką mocną przepustkę tam, gdzie niewielu ma dostęp. Rozejrzałeś się? To dobrze. Będziemy potrzebowali twojej wiedzy. Przechodzimy do następnego etapu.

Michel zmartwił. Bał się nawet myśleć o tym, czego może chcieć od niego Candelas. Wstąpił do najbliższego baru i pił aż do świtu.

ŻABI KRÓL

1. Berlińczycy

Wilhelm Daffner siedział do nich bokiem. Krótko ostrzyżone srebrzyste włosy pokrywające jego wielką głowę dobrze pasowały do czarnego munduru. Przed nim, na niskim szklanym stoliku, stała butelka z sokiem pomarańczowym i pusta szklanka.

– Zakładam, że nie wiecie więcej niż przeciętni mieszkańcy Centrum. Informowaliśmy ich, że mamy przejściowe – zaakcentował ironicznie – kłopoty w nawiązaniu łączności ze Strefą B. Trwa to już od pół roku i jest uciążliwe i niepokojące dla tych, którzy mają tam jeszcze krewnych i różne interesy. Podkreślamy bez końca, że sytuacja jest zupełnie inna niż w przypadku Strefy A i D, z którymi utraciliśmy kontakt po otrzymaniu tragicznych doniesień o gwałtownym rozszerzaniu się zarazy. Słyszeliście o tym. Zakłócenia w łączności. Dziwne komunikaty. I w tym nie tak bardzo mijamy się z prawdą.

Daffner spojrział z uwagą na ich twarze. Po kolei, jakby mobilizując ich gotowość do skupienia się. Pochylił się do stolika i napełnił szklankę sokiem. Ociężałość jego ruchów wskazywała, jak bardzo jest znużony.

– Naprawdę otrzymaliśmy dziwne, niezrozumiałe informacje. Jakość przekazu była bardzo zła, potem całkiem zaniknął.

Włączył projektor ścienny i przerzucił przez chwilę zasoby serwera Wydziału Wywiadu Zdalnego.

– Oto kilka wiadomości, jakie dotarły do nas, zanim łączność została przerwana na dobre. Spójrzcie: „Oto nadszedł dzień sądu, trwóście się i radujcie, bo Pan jest sędzią surowym i światłem świata!”. Albo: „Tak długo czekaliśmy na powtórne przyście, bracia najmilsi, i teraz chcielibyśmy podzielić się z wami naszą radością. Ale jest ona niepodzielna, wymagająca i zazdrosna, cóż zatem możemy wam powiedzieć? Chwalcie i oczekujcie Wielkiego Przybysza, bowiem On jest mądrością, wybawieniem i sensem i On także i wam kiedyś przyniesie spokój. Amen”. Ostatni komunikat: „Porzuciłem wszelką nadzieję. Wszystkich tu ogarnia obłęd. Na Boga, zróbcie coś, bo czeka nas coś straszliwego! Kixmöller”. Christof Kixmöller to jeden z naszych pracowników w Kattowitz.

Riks znał Kixmöllera. Przypomniawszy sobie jego zaaferowaną gębę i obwisłe, żółte policzki. Wielokrotnie się kontaktowali. Także osobiście. Ten jego odrażający zwyczaj dłubania w nosie podczas rozmowy...

Daffner westchnął i wbił wzrok w napisy.

– Wysłaliśmy do Oberschlesien już sześć ekip. Kamień w wodę, choć byli to najlepsi fachowcy. Dokładni i chłodni jak lód. Znaliście ich. Norbert Hertell. Barbara Nowicka. Alfred Rinsche. Rimarzik. Georg Kutbay. To nie jest takie proste, wysłać kogokolwiek gdzieś poza Centrum. Samo w sobie stwarza to ogromne ryzyko. Procedura przygotowania organizmu do spotkania z wirusami innej strefy jest piekielnie kosztowna, tak samo jak przeniesienie przez barierę strefową. Jest wielu ludzi w urzędzie, którzy uważają, że powinniśmy machnąć już ręką na Strefę B. Postawić na niej krzyżyk. Po tym wszystkim, co się stało, nie możemy pozwolić sobie na

dalsze straty, powiadają. Nie zgadzam się z tymi opiniami. Wiemy, co stało się w Strefach A i D, ale nie wiemy nic o tym, co się dzieje w Strefie B. Być może będzie to miało najwyższe znaczenie dla naszego własnego przetrwania. Dlatego chcę podjąć jeszcze jedną próbę. Udało mi się przekonać kierownictwo wydziału, że powinniśmy. Mamy teraz o wiele większe szanse. Opracowaliśmy w miarę pewny i bezpieczny sposób transferu powrotnego. Jeśli będą kłopoty z konwencjonalnymi środkami łączności, zabierzemy was z powrotem do Centrum.

– To jeszcze nikomu się nie udało.

Remi Czarnecki zawsze mówił cicho, ledwo otwierając usta, tak że Daffner w pierwszej chwili go nie zrozumiał.

– Jak pan widzi, włożyliśmy w to naprawdę wiele wysiłku.

Czarnecki kiwnął głową. Miał smutną, długą twarz z głęboko osadzonymi zielonymi oczyma.

– Czy będziemy uzbrojeni?

Riks po raz pierwszy widział Falkenburga. Jego mocny, zdecydowany i spokojny głos, pasujący do krępego i silnego ciała, spodobał mu się. O Falkenburgu krążyły w wydziale niesamowite plotki.

– To jeszcze nie zostało rozstrzygnięte. Czy chciałby pan tam być uzbrojony?

Daffner spojrzał na Falkenburga z nagłym zainteresowaniem.

– Nie, nie chciałbym być uzbrojony. Ale sytuacja jest bardzo niejasna. Na podstawie tych danych trudno powiedzieć, czy byłby to atut.

– To prawda. – Daffner się zafrasował. – Niektóre pomiary wskazują na to, że czas w Oberschlesien rozsynchronizował się. Czas własny Strefy może różnić się od czasu berlińskiego o kilkadziesiąt lat. Nasz zespół ekspertów ciągle pracuje nad wybraniem optymalnego wariantu

zachowania. Na razie musicie odpowiedzieć na pytanie, czy podejmujecie się tego zadania.

Popatrzył pytająco na Czarneckiego.

– Tak – powiedział cicho Czarnecki. Nie zmienił nawet pozycji. Siedział wbity głęboko w fotel, z wyciągniętymi przed siebie chudymi, długimi nogami. Riks pamiętał Remiego z czasów, kiedy nie był tak flegmatyczny i obojętny. Po misji w Afryce Południowej, z której Riks przywiózł go w lodówce, Remi bardzo się zmienił.

Falkenburg czekał na Riksa. W jego wzroku nie było niezdecydowania. Było coś innego. Oczekiwał na odpowiedź, jakby Riks był starszy stopniem, jakby należał mu się ze strony Falkenburga szacunek. Jakby Riks, który wcale się tak nie czuł, był kimś ważniejszym od niego.

– Tak. – Twarz Riksa skrzywił mimowiedny grymas.

Falkenburg odczekał pół sekundy.

– Tak.

2. *Kattowitz*

Riks wypadł z tunelu całkiem oszołomiony. Stał, ściskając teczkę, i nic nie widział. To było idiotyczne. Szczękał zębami i mrugał oczyma, usiłując coś zobaczyć. Twardo uderzył o podłoże, jakby zeskoczył z pierwszego piętra; program sterujący transferem musiał mieć kłopoty.

Ale żył.

Żył, było mu straszliwie zimno i dostał dreszczy. Ciągłe nie widząc, zrobił trzy chwiejne kroki do przodu.

Najpierw zaczął słyszeć, dopiero potem przejrzał. Światło było zbyt jaskrawe, porażające oczy. Odbijało się od śniegu, zmrożonego, ostrego. Stał w potokach światła i rozglądał się wokół siebie.

Znalazł się na środku jeziora pokrytego lodem i śniegiem. Słońce stało wysoko nad lasem czerniejącym na wprost niego. Z lasu ku środkowi jeziora wybiegał wąski drewniany most, aż do wysepki porośniętej drzewami. Po lewej zobaczył wędkarzy nad przerębiami, za nimi szosę i dalej osiedle niskich domów. Program przenoszący wybrał puste i pewne miejsce.

Ruszył w stronę szosy. Śnieg był płytki i nie utrudniał marszu. Przeszedł w bezpiecznej odległości od wędkarzy i wdrapał się po wale na drogę. Nie był ubrany ciepło, jego lekki płaszcz nie chronił od zimna. Mimo to szybki marsz rozgrzał go i nie odczuwał już dreszczy. Mijające go samochody nie wydawały się szczególnie różne od tych, jakie produkowano w Centrum. Był niewielki ruch, być może trafił na dzień świąteczny. Nauczył się na

pamięć starej mapy Kattowitz i teraz porównywał ją z tym, co widział. Zmiany były znaczne. Miejsce dużej dzielnicy mieszkaniowej zajmował park. Kościół Świętego Krzyża na Wzniesieniu Szachistów razem z przyległym cmentarzem zniknęły zastąpione rozległym klasycystycznym pałacem i polem golfowym. Ludzie, których mijał, byli ubrani całkiem zwyczajnie i nie zwracali na niego uwagi. Minął Wzniesienie Szachistów i zbliżał się do starego centrum Kattowitz. Wyszedł na dawny Plac Przemysłowy. Na jego środku, tam gdzie niegdyś wznosił się surowy pomnik generała Otterbecka, był teraz inny monument. Na granitowym postumencie tkwiła istota nieprzypominająca wyglądem człowieka.

Stała w niezdnym rozkroku na dwóch nogach, z długimi, żabimi przednimi odnóżami wyciągniętymi w górę. Jej szeroki, bezzębny pysk skierowany był w dół; patrzyła wybałuszonymi, ogromnymi oczyma (może był to rodzaj okularów) na ludzi podchodzących z szacunkiem do jej stóp. Płaska głowa łączyła się z tułowiem bez pośrednictwa szyi. Całe ciało istoty, a szczególnie jej wielki, obwisły brzuch, pokrywały pomarszczone fałdy ubrania lub skóry. Musiała odbywać się tu jakaś uroczystość. Do postumentu podchodziły matki z dziećmi, ubranymi w jaskrawe, czerwone, żółte i zielone futerka, i składały wiązanki kwiatów.

Po raz pierwszy doświadczył uczucia dojmującej obcości. Położył teczkę na ziemi i potarł nerwowo dłonie. Wokoło przechadzało się kilkunastu ludzi w szarych mundurach. Byli uzbrojeni i uśmiechali się przyjaźnie do podchodzących.

Opuścił plac i zorientował się, że w pobliżu powinien być dworzec. Przeszedł szybko przez zasypany śniegiem park i znalazł się przed betonową płytą dworca głównego. W środku ogarnęło go przyjemne ciepło i szum ludzkich głosów. Rozejrzał się i dostrzegł pod ścianą rząd kabin z ciemnego szkła. Wszedł do jednej z nich. Zamknął za sobą drzwi i usiadł w

fotelu. W środku panował półmrok. Obrzydliwe uczucie obcości tego miasta trochę zelżało. Pewnie dlatego, że to zaciemnione, ciepłe, izolowane wnętrza kabiny dostarczyło mu złudnego poczucia chwilowego bezpieczeństwa.

Na wprost niego migotał żółty napis: „Proszę podać numer identyfikacyjny...”. Odetchnął głęboko, wyjął z teczki swoje mikro i położył je na kolanach. Widział przed sobą kilka gniazd komunikacyjnych nieznanego typu. Teraz wszystko zależało od tego, jak poradzi sobie z nimi Huginn. Otworzył pokrywę mikro. Wyświetlacz zajarzył się przyjemnym chłodnym błękitem. Uruchomił program.

Szybkość i pewność działania Huginna zawsze go zaskakiwała i wprawiała w podziw. Huginn zgłosił na wyświetlaczu mikro gotowość i natychmiast przywarł do wszystkich siedmiu gniazd naraz. Pisnęły cicho i zaraz zamilkły – program cofnął się i już wiedział, które z nich otworzy się w następnej mikrosekundzie. Wizerunek Huginna i symbole gniazd zastąpił schemat wejść i Riks zobaczył, że Huginn atakuje wszystkie siedem jednocześnie. Wszedł jak w masło. Mrugający żółty napis zniknął, zamiast niego pojawiło się zaproszenie: „Proszę wybrać usługę”. Ale Huginn korzystał już z ośmiu tysięcy pięciuset czterdziestu siedmiu usług Powłoki naraz i wyświetlacz pulsował czerwonym wskaźnikiem nasycenia transmisji danych.

Trwało to kilkanaście sekund, potem Huginn zawył i zalał wyświetlacz ostrzegawczą czerwienią. Riks nie próbował nawet dowiedzieć się, jakie niebezpieczeństwo odkrył Huginn. Zamknął pokrywę mikro i przerwał połączenie z Powłoką. Schował mikro do teczki, zrobił głęboki wdech i wyszedł z kabiny. Z peronu walił właśnie tłum pasażerów. Wmieszał się weń i opuścił szybkim krokiem dworzec. Znow złapały go dreszcze. Skręcił w skwer, przystanął przy ławce i postawił na niej teczkę. Wokół nie było

nikogo. Wyciągnął mikro i odnalazł mapę Kattowitz z zaznaczonymi adresami tajnych mieszkań. Przyjrzał się lokalizacji czerwonych punktów. Speerstraße 20, mieszkanie numer 8. Dobre miejsce.

3. Tajne mieszkania

Po kwadransie przeprogramowanym przez Huginna kluczem otworzył drzwi do pięciopiętrowej kamienicy w spokojnej części miasta. W korytarzu minął się ze starszą kobietą, która uśmiechnęła się do niego, jakby go poznała. Ciarki przebiegły mu po plecach. Czyżby zainstalowany w Powłoce przez Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy demon był tak doskonały, że zadbał nawet o jego fizyczne podobieństwo do poprzedniego lokatora? Mieszkanie na parterze. Jeden duży pokój, kuchnia, łazienka. Stare, dobre miejsce, idealne dla agenta Urzędu Bezpieczeństwa. Okna pokoju wychodziły na park, który pogrążał się właśnie w miękkim mroku zimowego wieczoru. Siedział na wielkim, wygodnym łóżku i patrzył w okno. Odkurzacz mruczał cicho i co chwila łypał na niego czerwonymi oczkami. Podszedł do staromodnej dębowej szafy i znalazł odzież w kilku rozmiarach, także idealnie pasującą na niego.

Nie mógł wyjść z podziwu dla ludzi, którzy zaprojektowali ten system.

Same tajne mieszkania były tylko jego drobną częścią. Stworzony przez najświetniejszych speców Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy miał zapewniać azyl jego agentom niezależnie od jakichkolwiek okoliczności. Zobaczył teraz na własne oczy, jaka potęga zaprogramowanej inteligencji za nimi stała.

Od dawna było wiadomo, że agent wchodzący we wrogie sobie środowisko będzie potrzebował pewnego schronienia. Oczywiście Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy dysponował współpracownikami zakotwiczonymi

wszędzie, na własnym terytorium, jak i na terytorium wroga (jakże przecież łatwo terytorium własne zmieniało się w terytorium wroga i odwrotnie!) – instalował tam ich przez całe lata. Jednakże w pewnych okolicznościach, takich jak te właśnie, agent musiał wejść w środowisko w biegu, zaraz po wylądowaniu. Mógł być oczywiście przejęty przez rezydentów zainstalowanych tam wcześniej, jednak czasami było to niebezpieczne i niepewne, a niekiedy wręcz niemożliwe. Tak jak w tym wypadku. Otworzył mikro i sprawdził datę. Ósmy grudnia 2107 roku. Czas Oberschlesien rozsynchronizował się o pięćdziesiąt lat. Jasne, że w tej sytuacji nie mogło być mowy o tym, by jakiś miejscowy pracownik Urzędu mógł go przejąć.

I tu objawił się geniusz projektantów i programistów Wydziału Planowania. Przygotowane schronienie przetrwało w doskonałym stanie mimo upływu czasu i prawdopodobnych przemian, jakim podlegała w ciągu tych pięćdziesięciu lat społeczność Strefy B.

Tajne miejsca zakwaterowania były tylko jednym z elementów, i to mniej ważnym, systemu osłonowego. Jego zasadniczą część stanowił zamaskowany proces zainstalowany w Powłoce. Śledził on najważniejsze parametry społecznego środowiska, tworzył ich modele, zbierał ogólnodostępne dane. Utrzymywał też w stanie gotowości odpowiednie środki materialne, które mogły okazać się niezbędne po przybyciu pracownika Urzędu. Jednym z nich były zapasowe mieszkania. Osłona miała dbać o to, by odpowiednia ich liczba zawsze była do dyspozycji Urzędu. Kreowała fikcyjnych właścicieli, wynajmowała lokale rzeczywistym mieszkańcom, jeśli uznała, że jest to niezbędne działanie maskujące. Zarządzała zasobami finansowymi przedsięwzięcia, zlecała remonty i reperacje pustostanów. Tuż przed przybyciem agenta na miejsce potrafiła wytworzyć wokół możliwych do wykorzystania w danym momencie lokali informacyjny parasol, który miał stworzyć wrażenie, iż są

one przez daną osobę zasiedlane już od długiego czasu. Dodatkowo proces miał wpisać w Powłokę pozorne ślady historii osoby, pod którą skryć się miał przybywający na miejsce agent. Wszystkie te cele mogły być osiągnięte skutecznie tylko wtedy, gdy demon reprezentujący proces był dostatecznie złożony i inteligentny, by umieć rozeznać się w zmiennym środowisku społecznym i kulturowym docelowego obszaru.

Riks przejrzał dane mieszkania i stwierdził, że jest zamieszkane przez Georga Gonschewskiego.

Gonschewski był prawnikiem, miał czterdzieści dwa lata, tak jak on. Również wszystkie cechy fizyczne zapisane w kartotece Gonschewskiego były zgodne z jego cechami. Gonschewski był rozwiedziony od pięciu lat. Riks popatrzył na zdjęcie pani Karoline Gonschewski. Miła, niska brunetka. Gonschewski nie mieszkał chwilowo w Kattowitz, znalazł pracę w firmie wydawniczej w Wien. Zdziwił się. Czy Huginn nie popełnił jakiejś pomyłki? Wien był poza strefą izolacyjną obejmującą Oberschlesien, zatem Gonschewski nie mógł tam pojechać! Riks wiedział jednak, że wytworzenie tych danych nie było tylko sprawą Huginna. Program wykorzystywał w tym celu całą moc demona Powłoki zainstalowanego przez Urząd. To właśnie ten demon czuwał nad zachowaniem spójności wszystkich danych pomiędzy sobą i ze światem realnym, otulany przez lokalny sektor Powłoki. Mógł mieć tylko nadzieję, że proces wywiązał się z tego zadania jak należy. Gonschewski właśnie wrócił po czterech latach z Wien – Riks znalazł w gazetach jego ogłoszenie o poszukiwaniu pracy. Dwójka dzieci. Dwunastoletni Heinz i siedmioletnia Edith. Uśmiechnięte buzie dzieciaków, za nimi mamusia w fioletowym kapeluszu, pochylona i szepcząca coś do ucha Edith, która trzyma bukietik konwalii. Obecne miejsce zamieszkania Karoline – Breslau. Riks skrzywił się. Czy demon zwariował? Przecież Breslau także nie należał do strefy izolacyjnej obejmującej Oberschlesien!

Zsynchronizował zegarek. Było już po siedemnastej. Przebrał się i poszedł do banku, gdzie bez problemów dostał kartę płatniczą na nazwisko Gonschewski. Na razie wszystko działało. Kupił trochę żywności i wrócił do mieszkania. Zjadł kolację i przejrzał jeszcze raz kartotekę Gonschewskiego.

Od dwudziestego roku życia był członkiem bractwa strzeleckiego. Działał aktywnie w Förderverein für Weltraumforschung. Riks znalazł zawiadomienie o zebraniu oddziału stowarzyszenia w następny piątek. Zatem już jutro. Przejrzał plan zebrania. Pierwszy punkt przewidywał wybór zastępcy prezesa koła. Następny referat brata Arnolda Grönke na temat aktualnych doniesień o spotkaniach z Przybyszami. Jakieś kółko szaleńców.

Przerzucił się na lokalne serwisy informacyjne. Ani śladu wzmianki o stacji transferowej. Istniały więc dwie możliwości: albo stacje transferowe, które umożliwiały zwykłą komunikację między strefami, już nie istniały, zniszczone lub uszkodzone, albo też zostały utajnione. Patrzył teraz nierozumiejącym wzrokiem na tytuły pierwszoplanowych kolumn. „Rząd krajowy podejmuje delegację Przybyszów”. „Jakie będą przyszłoroczne wakacje? Rozmowa z porwanym przez wehikuł Obcych”. „Implanty. Tajemnica długowieczności cielesnej”. „Co Przybysze sądzą o miłości i seksie? Nina Schaarenberg odkrywa karty”. „Zakupy w stylu międzyplanetarnym. Nowa sieć Hanaska”. „Czy uczeni i filozofowie są jeszcze potrzebni? Jutro bez wysiłku”.

Polecił Huginnowi, by wyszukał informacje na temat strefy izolacyjnej. Nie znalazł żadnych. Przecierał palcami oczy, kiedy Huginn wydał ostrzegawczy pisk. Drgnął. Program odłączył się od Powłoki i projektor ścienny zgasł. Na ekranie mikro zobaczył napis: „Próba przejęcia kontroli. Alarm trzeciego stopnia”.

Przez pięć sekund trwał w osłupieniu. Tak, to oczywiste, użył haseł, które uruchomiły jakiś mechanizm zaczepny. Obudziły jakiegoś demona czulego na słowa takie jak „strefa izolacyjna”. Choć wydawało się to niepojęte ze względu na ogrom przedsięwzięcia, to taki proces musiał istnieć i kontrolować całość komunikatów Powłoki.

Zamknął mikro, wsunął stopy do butów i włożył płaszcz, po czym zgasił światło w pokoju. Czuł, jak tłucze mu się serce. Schylił się i zasznurował buty. Cisza. Szybkie kroki na korytarzu. Otworzył okno i wyskoczył. Zaczął biec w głąb parku.

– Stój!

Oślepiające światło na wprost. Skoczył w bok, między niskie drzewa.

– Stój!

Głosy z kilku stron. Znow złapał go snop światła. Dwa strzały, jeden po drugim. Zatrzymał się i podniósł ręce do góry. Ludzie w szarych mundurach podeszli do niego. Jeden z nich wyszarpnął mu mikro, dwaj inni wykręcili jego ręce do tyłu i skuli kajdankami. W jasnym prostokącie okna swojego tajnego mieszkania zobaczył jeszcze sylwetkę patrzącego w ich stronę człowieka.

4. Doktor Ponto

Przywieziono go do wysokiego budynku pogrążonego w ciemności. Budynek, wraz z kilkoma piętrowymi pawilonami, otoczony był dwumetrowej wysokości ceglanym murem. Policjanci, czy kim byli umundurowani ludzie, nie rozmawiali z nim i wyglądali na znudzonych. Wymieniali ze sobą półgłosem niezrozumiałe dla niego uwagi; ktoś zapytał, czy mały Fred jest już zdrowy, ktoś inny poskarżył się na swoją żonę. Wprowadzono go do holu na parterze. Przywitał ich strażnik siedzący za konsolą.

– Dawno nikogo nie przytachaliście. Co to za jeden?

– Nazywa się Georg Gonschewski. Prawnik. Właśnie przyjechał z Wien. Musiało go dopaść w podróży, w Wien był chyba jeszcze czysty. Patrz, co przy nim znaleźliśmy.

Policjant podał strażnikowi mikro Riksa.

– Lepiej schowaj od razu do depozytu. Ponto będzie znów się wściekał.

– Jasne, jasne. Doktor Ponto powinien zaraz tu być. Zawiadomiłem go. Wiesz, że się skurczybyk ucieszył?

Strażnik zarechotał.

– Zawiadamiają go, że ma lecieć do roboty wieczorem, a ten się, cholera, cieszy jak głupi. Dobra, zaprowadźcie tego nawiedzonego na drugie piętro, do siedemnastki. Tam jest włączone ogrzewanie. Miejcie go na oku, dopóki nie przybędzie Ponto, wiecie, jaki on jest szybki do pisania raportów.

Dwóch mundurowych poprowadziło Riksa szerokimi schodami w górę. Wnętrze budynku sprawiało wrażenie starego, zaniedbanego szpitala. Olejowe lamperie, tanie, niedostateczne oświetlenie. Wysokie sklepienie odbijało echo ich kroków.

Na drugim piętrze jeden z mężczyzn otworzył kluczem drzwi z judaszem.

– Wejść tutaj i rozgość się.

W środku był stolik z krzesłem i łóżko. Pokój nie miał okna.

– Zdejmijcie mi kajdanki.

– Poczekaj, chłopie, najpierw pogada z tobą doktor Ponto. Zaraz tu będzie.

Usiadł na krześle, a policjanci zostali na zewnątrz. Nie zamknęli nawet drzwi, pozostały uchylone, i słyszał ich ściszone głosy. Po kilkunastu minutach na korytarzu zastukały szybkie kroki.

– Mamy gościa? Jest w środku? – głos przybysza był energiczny.

– Tak jest, panie doktorze.

Wysoki mężczyzna z jasną bródką i niebieskimi oczyma zdjął brązowy płaszcz i rzucił go na łóżko.

– Jestem Ponto. Peter Ponto. Nazywają mnie tu doktorem, ale żaden ze mnie doktor. Jestem po prostu zarządcą tego ośrodka, rozumie pan. Praca administracyjna.

– Zdejmijcie mi kajdanki.

Ponto usiadł na łóżku i założył nogę na nogę.

– Nie będzie się pan wygłupiał? Po co pan uciekał?

– Dlaczego zostałem zatrzymany?

Doktor skrzywił się.

– Nie został pan zatrzymany. Jitschin, chodźcie no tu i zdejmijcie kajdanki panu Gonschewskiemu! Więc nie został pan zatrzymany.

Otrzymaliśmy sygnał, który wskazywał, że może pan potrzebować naszej pomocy. Zjawiliśmy się na miejscu tak szybko, jak było to możliwe, i okazało się, iż sygnał był prawdziwy. Dlaczego pan uciekał?

Ponto patrzył na Riksa z zaciekawieniem.

– Przestraszyłem się. Ktoś włamywał się do mojego mieszkania. Strzelano do mnie.

– Nie strzelano do pana. Mógł pan się znajdować w stanie wstrząsu, oszołomienia. Ci policjanci zostali specjalnie przeszkoleni, jak postępować w takich przypadkach. Mogli co prawda pana nieco przestraszyć tą strzelaniną, ale przecież nigdy nie strzelaliby do pana! No i udało im się pana zatrzymać, prawda?

Ponto uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Czy to długo potrwa, panie Ponto? Chciałbym już iść do domu – poskarżył się Jitschin.

– Myślę, że wszystko przebiegnie sprawnie, sierżancie. Na razie wyjdźcie i poczekajcie jeszcze trochę na zewnątrz – powiedział z dobrodusznym wyrazem twarzy doktor. – Czuje się pan już lepiej?

– Nadal nie rozumiem, dlaczego mnie aresztowano. Czy chcecie mnie tu trzymać?

– Nie jest pan aresztowany. Mam nadzieję, że już jutro będzie mógł pan stąd odejść. Czuje się pan dobrze?

– Tak. Ale jestem zmęczony podróżą i ostatnimi wypadkami.

– Podróżą z Wien?

– Tak. Przyjechałem dzisiaj z Wien.

Ponto kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Jak pan dostał się tutaj z Wien?

Rzeczywiście, jak mógł dostać się tu z Wien, skoro było to fizycznie niemożliwe?

– Dlaczego zadaje mi pan takie pytania? Dlaczego zabraliście mnie tutaj? Żądam, abyscie oddali mi moje mikro!

– Mikro? Ma pan na myśli ten dziwny, płaski przedmiot? Obawiam się, że nie będzie już długo istniał.

– Co to znaczy? To moja własność, nie możecie jej zniszczyć!

– Przecież pan wie, powinien pan wiedzieć, że wszystkie przedmioty pochodzące od Przybyszów ulegają dość szybkiej anihilacji. A ten przedmiot z pewnością pochodzi od Przybyszów. Nie został wyprodukowany w Rzeszy, nie figuruje też w globalnym rejestrze produktów. Pan dostał ten przedmiot od Przybyszów, rozumie pan?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

W oczach Ponto Riks widział coraz żywsze zainteresowanie.

– Czy chce pan powiedzieć, że nie wie pan niczego o Przybyszach?

– Nie wiem niczego o Przybyszach. Dlaczego zabraliście moje mikro?

– To „mikro”, jak pan mówi, może jeszcze istnieć najwyżej kilka godzin. Musimy je zbadać, zanim ulegnie rozpadowi. Jitschin! Chodźcie tu. Przykro mi, to jeszcze trochę potrwa. Zawiadomcie Höpkena, niech się tu zaraz zjawi i uruchomi laboratorium. Musimy zrobić badanie na implant.

Jitschin wydał jęk zawodu i jego szeroka twarz posmutniała.

– No już, pospieszcie się, to szybciej skończymy. Höpken to nasz laborant. Przypuszczam, że Przybysze wszczepili panu implant. To dlatego nic pan o nich nie wie i nie pamięta pan o spotkaniu z nimi. Oni często tak postępują. Już od długiego czasu nie mieliśmy żadnego przypadku. Kiedyś cały ten budynek pełny był ludzi. Widzi pan, pomagamy wam w odnalezieniu się po spotkaniu z Przybyszami. Tacy ludzie są zagubieni i zdezorientowani. Często tracą pamięć, nie pamiętają bardzo wielu rzeczy. Musimy pomagać im w odzyskaniu sprawności społecznej. Z drugiej strony i my coś zyskujemy. Przybysze zwykle w miejsce wiedzy tracone przez

ludzi wstawiają inną. Rodzaj przekazu, posłania, opowieści. Sztuczne wspomnienia o wydarzeniach, które nigdy nie miały miejsca. Jest to jedna z nielicznych możliwości kontaktu z nimi. Uzyskania o nich jakiejś wiedzy, która przecież ma dla nas podstawowe zupełnie znaczenie. Przekazy Przybyszów tworzą tę wciąż żywą i uzupełnianą Świętą Księgę naszej cywilizacji. Cieszę się, że pan do nas trafił. Może to być dla pana uciążliwe, ale może też okazać się dobroczynne.

– Dlaczego pan sądzi, że spotkałem się z Przybyszami?

Ten budynek jest tak stary, archaiczny. Data w aktualnych serwisach informacyjnych. Każdy może zmienić datę. Może w ogóle nie doszło do desynchronizacji między strefami? Może w którymś momencie powiedzieli tu sobie – teraz liczymy czas inaczej? Teraz zaczynamy spotykać się z Przybyszami i nic innego nas nie obchodzi? Może wprowadzili tylko inny kalendarz, związany z jakimś ważnym dla nich wydarzeniem?

– Przecież pan powiedział, że nic nie wie o Przybyszach. Każde dziecko na świecie zna Przybyszów. Zawdzięczamy im wszystko. Dzięki nim jesteśmy nieśmiertelni.

– Nieśmiertelni? – Riks otworzył szeroko oczy.

Ponto uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Sam pan widzi! Miał pan spotkanie z Przybyszami! Będzie pan we wszystkich jutrzejszych dziennikach!

– Doktorze Ponto, Höpken jest już gotowy, mówi, że można zejść do laboratorium.

Jitschin sapał ciężko, musiał biec po schodach.

– Zejdźmy na parter, tam jest laboratorium. Na szczęście Höpken ma dzisiaj dyżur i zaraz będziemy mieli to z głowy.

Laborant, ruchliwy starszy człowiek w białym fartuchu, kazał się Riksowi rozebrać, a potem usadził go w kabinie aparatu pomiarowego.

Badanie trwało kilka minut.

– Dane trzeba będzie przetworzyć – zaskrzeczał. – Wyniki będę miał jutro rano.

– Dziękuję panu. – Ponto był zadowolony. – Poproszę pana, panie Gonschewski, by przenocował pan u nas dzisiaj. Na wszelki wypadek. Nie wiemy, co zrobili z panem Przybysze. Musimy mieć pewność, że nie stanie się panu nic złego. Tu będzie pan miał dobrą opiekę.

– Nie mogę odmówić?

– Taka jest procedura. Myślę, że jutro porozmawiamy jeszcze i będzie mógł pan wrócić do siebie.

Kiedy Jitschin zamykał z zewnątrz drzwi na klucz, Riks poczuł się niedobrze. Mikro. Tam było wszystko. Może powinien był działać zupełnie inaczej? Ci policjanci nie mogli stanowić poważnej przeszkody. A w mikro miał już całą masę informacji. Czy mogli ją jednak zinterpretować prawidłowo bez dłuższego kontaktu z mieszkańcami Strefy B? I jeśli sytuacja nie była tak groźna, to czemu sześć poprzednich ekip przepadło?

Po pierwsze, nie należy lekceważyć niebezpieczeństwa. Na razie traktują mnie jak łagodnego czubka. Jakie mogli robić badania? Po drugie, mikro. Huginn blokuje fizycznie dostęp do informacji po pierwszej próbie włamania.

Na szczęście w środku był wyłącznik światła. Riks położył się do łóżka. Gdzieś poniżej ktoś biegał, stukając głośno obcasami po marmurowej posadzce. Śmiech.

Czuł, jak ogarnia go poczucie wielkiej obcości i samotności. Falkenburg. Ten pewnie nie miewał takich uczuć. Wyglądał na chłodnego i precyzyjnego jak zegarek. Czarneżki. Gdzie teraz byli? Lepiej byłoby, gdyby któryś z nich wrócił razem ze swoim mikro.

Piętro niżej ktoś ciągle biegał w chłodnej, obszernej i pustej przestrzeni ciemnych korytarzy. Riks zapadał już w otchłań snu, kiedy znów zobaczył zabiego potwora. Ocknął się z łomocącym sercem i musiał czekać długo na nadejście snu.

5. Czarnezi

Ponto wszedł do pokoju Riksa razem z Jitschinem. Ten drugi miał ze sobą duży zielony ręcznik i przybory toaletowe.

– Naprzeciwno jest łaźnia, poczekam na pana, a potem pójdziemy na śniadanie.

Riks wyszedł z Jitschinem na korytarz i wziął od niego ręcznik i przybory. Łaźnia miała wielkie okna zbrojone drutem. Podszedł do koryta z jasnobrązowych kafelków i odkręcił wypolerowany mosiężny kurek, z którego pociekła wąskim strumykiem prawie wrząca woda. Twarz w lustrze. Twarz Gonschewskiego, prawnika z Wien, który miał spotkanie z Przybyszami, czy kimkolwiek by oni byli. Riks uśmiechnął się na tę myśl. Promienie porannego słońca rozpraszające się miękko na szybach okien nastrojały go optymistycznie.

– Cztery lata temu był tu ruch, powiadam panu! – Ponto się rozmarzył. Weszli do obszernej stołówki na parterze. – Skoczcie do kuchni i przynieście coś do zjedzenia, Jitschin. Dla mnie też, nic jeszcze dzisiaj nie jadłem. I wy możecie coś przekąsić.

– Dziękuję, panie doktorze. Stara o mnie dba, nie powiem, zawsze robi mi coś rano do żarcia.

Usiedli przy stoliku obok okna.

– Cała sala pełna, mnóstwo ludzi! Ruch, gwar, kłócili się ze sobą, dochodziło do rękoczynów! Po spotkaniach z Przybyszami ludzie zwykle bywają podnieceni i nerwowi. Musieliśmy tu mieć sporą obstawę. Teraz

kontakty z Przybyszami są sporadyczne. Ciekawe dlaczego? Jak pan uważa?

– Nic nie wiem o Przybyszach – ostrożnie przypomniał Riks.

– Taaaak.

Ponto rozejrzał się z roztargnieniem.

– Tosty z szynką i serem, bułki, masło, dżem ananasowy, kakao.

Jitschin postawił przed nimi parującą tacę, a sam usiadł przy sąsiednim stoliku.

– Dziękuję wam – powiedział z opóźnieniem Ponto. – Pan wie bardzo dużo o Przybyszach. Znacznie więcej niż ja albo na przykład Jitschin, chociaż ja zajmuję się Przybyszami od piętnastu lat. Pan był ich gościem.

– Nic o tym nie wiem.

Riks zabrał się do jedzenia. Rozmowa z Ponto frapowała go dzisiaj. Czuł pewną absurdalną lekkość i śmieszność sytuacji.

– Nic pan nie wie o Przybyszach. To najlepszy dowód na to, że pan był ich gościem. Miał pan ze sobą przedmiot, który nazywał pan „mikro”. To dowód materialny. To znaczy w pewnym sensie materialny, bo już nie istnieje.

– Zniszczyliście moje mikro?!

– Proszę się nie denerwować. Ono uległo samoistnemu rozkładowi. Nie przyczyniliśmy się do tego. Tak jest ze wszystkimi przedmiotami, które pochodzą od Przybyszów. Dlatego właściwie nie można podać materialnych dowodów ich istnienia, rozumie pan?

– Mikro nie pochodziło od żadnych Przybyszów. To był zwykły produkt, jeden z wielu wytwarzanych w Rzeszy.

– Nie ma go w katalogu produktów. Nasi inżynierowie go nie rozpoznali.

– To dla mnie niepojęte.

– Niech się pan nie martwi. Jestem tu po to, żeby panu pomóc. Ma pan szczęście. Kiedyś, kiedy był tu cały tłum, nie mieliśmy tyle czasu dla każdego, kto zetknął się osobiście z Przybyszami.

– Robiliście mi wczoraj jakieś badania. Po co? Co one wykazały?

– Tak. Rozmawiałem już z Höpkenem. Potwierdził moje przypuszczenia. Ma pan implant w czaszce.

– Czy mógłbym zobaczyć zdjęcia? Analizy?

– Jasne. Ale nic pan z tego nie zrozumie. Jest pan przecież prawnikiem, prawda? Trochę nietypowy implant. Materia nieorganiczna. Jestem cholernie ciekaw, co też panu wszczepili. Zapewne kontroluje to częściowo funkcje pańskiego mózgu.

– Implanty. Rozumiem.

Ostrożnie. Bądź ostrożny.

– Czy kiedykolwiek próbowaliście usuwać takie implanty?

– Tak, oczywiście. Całkowity brak powodzenia. Nie przywracało to poprzedniego stanu umysłu pacjenta. Same zaś implanty znikwały po kilku godzinach. Nie mogły istnieć poza obrębem organizmu człowieka-nosiciela. Ulegały anihilacji tak samo jak to pańskie „mikro”.

Riks wytarł serwetką usta.

– Proszę mi powiedzieć, kim są Przybysze?

– Naprawdę niczego pan nie pamięta?

– A co miałbym pamiętać?

Ponto westchnął, jakby zmuszano go do tłumaczenia czegoś nazbyt banalnego i oczywistego.

– Goście z kosmosu. Istoty z innej planety, której nazwy nie poznaliśmy i pewnie nigdy nie poznamy. Przybyli w krytycznym momencie historii i ocalili nas przed nieuchronną katastrofą. Oddajemy im cześć, taką samą, jaką kiedyś, w prymitywnych i barbarzyńskich czasach, oddawaliśmy

Bogu. To znaczy jako społeczeństwo. Ja na przykład mam do tego stosunek racjonalny. Mówię, że przybyli, ale może obserwowali nas od dawna? Niektórzy uważają, że właśnie tak było.

– O jakim krytycznym momencie pan mówi?

– Mówię o tajnej wojnie biologicznej, która została najprawdopodobniej rozpoczęta przez Azjatów.

– Tak, to pamiętam. – Riks wziął słoik z dżemem i spojrzął na datę przydatności do spożycia. Zgadza się. Brak niespójności. – Przypuszczaliśmy, że zaatakowali nas Azjaci. Na granicy między Niemiecką Zachodnią Syberią a Prowincją Wschodniosyberyjską Cesarstwa Japonii doszło do starć granicznych. Tak czy owak, sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– No widzi pan, nie jest tak źle! Pamięta pan wiele rzeczy. I wtedy pojawili się Przybysze. Konflikty między narodami stały się oczywistym przeżytkiem. Przybysze dostarczyli nam nowych technologii i nowej wiedzy. Zmienili sposób sprawowania władzy, funkcjonowania globalnej polityki.

Riks mu przerwał.

– Kiedy szalejąca zaraza zagroziła biologicznemu istnieniu naszego narodu, doszliśmy do wniosku, że jedyną szansą na przetrwanie Rzeszy, a może i całej ludzkości, jest podzielenie obszaru pod naszą kontrolą na izolowane fizycznie strefy, tak aby mutujące wirusy nie miały możliwości pokonania barier pomiędzy nimi. Podział na strefy stał się możliwy, gdy opracowaliśmy metodę rozszczepiania rzeczywistości na uzupełniające się, zgodne ze sobą obszary. Dalej, poza Układem Słonecznym, są idealnie sklejone, lokalnie, tu na Ziemi, rozdzielone. To umożliwiło całkowitą fizyczną izolację. Jednak komunikacja pomiędzy strefami stała się przez to piekielnie trudna i kosztowna. Chodziło nie tylko o to, by mimo wszystko,

w razie potrzeby, umożliwić fizyczny transfer, ale też i o to, by zapewnić biologiczne bezpieczeństwo ludziom przemieszczanym z jednej strefy izolacyjnej do drugiej. Jasne, że idealna byłaby sytuacja, gdyby do transferów w ogóle nie dochodziło.

– A więc to taki obraz świata wszczepili panu Przybysze – zamyślił się Ponto. – Rozumiem. Być może chcieli nam uzmysłwić, jak koszmarnie wyglądać mógłby świat, gdyby nie ich ingerencja. Dość nieprawdopodobna wizja. Tak, tylko oni mogli traktować tak zaawansowane technologicznie pomysły poważnie...

– Panie Ponto, przybyłem z Berlina po to, by wyjaśnić, co się tu dzieje. Przerzucono mnie z Berlina, rozumie pan? Z Berlina, z którym nie macie fizycznego kontaktu. Żadnej łączności. Żadnej.

– Przykro mi, panie Gonschewski. W każdej chwili może pan połączyć się z Berlinem. Mamy doskonałą łączność ze stolicą. Naprawdę. Będzie mógł pan się przekonać osobiście. Te strefy izolacyjne. Jak to mogłoby być urzeczywistnione? Przecież to przekracza nasze możliwości techniczne, przyzna pan.

– Mówi pan ciągle o Przybyszach, a nie może pan przedstawić żadnego dowodu ich istnienia. Wcześniejsze badania wykazały, że w naszym otoczeniu nie ma obcych cywilizacji. Że powstanie życia poza Ziemią jest niezmiernie mało prawdopodobne, nie mówiąc już o życiu rozumnym. Pamięta pan projekt „Wielka Cisza”?

– Oczywiście. Ale sami jego twórcy przyznawali, że nie są w stanie dać definitywnej odpowiedzi na pytanie o Obcych. Panie Gonschewski, Przybysze wywarli głęboki wpływ na kształt naszej cywilizacji. Przeczenie ich istnieniu mija się z podstawowym poczuciem rzeczywistości każdego zwykłego człowieka. Implant w pana czaszce. „Mikro”. To, że nie pamięta pan całego fragmentu naszej najnowszej historii. I podaje

nieprawdopodobny scenariusz zdarzeń. Niech pan o tym pomyśli. Proszę też pomyśleć o największym darze, jaki od nich otrzymaliśmy. Niech to będzie dla pana tym materialnym dowodem, którego pan się dopomina. Dzięki nim uzyskaliśmy sposób na osiągnięcie nieśmiertelności.

Wstał.

– Pokażę teraz coś panu. Myślę, że to pana zainteresuje. Chodźmy.

Opuścili stołówkę i wrócili na drugie piętro. Weszli do obszernej sali z projektorem.

– Ludzie, których funkcje życiowe ulegały istotnemu zakłóceniu, kiedyś po prostu umierali. Z powodu chorób, wypadków, zużycia biologicznego organizmu. Przybysze przekazali nam technologię, która umożliwia przeniesienie psychiki ludzkiej do innego nośnika, pozacielesnego, niebiologicznego. Każdy, kto jest zagrożony unicestwieniem, może zostać uratowany, może trwać praktycznie w nieskończoność. Chcę pokazać panu człowieka, który uległ w tych dniach nieszczęśliwemu wypadkowi. Jego umysł, jego psychika są całkowicie bezpieczne i integralne, mimo, że jego ciało uległo zniszczeniu. Ten człowiek oczywiście będzie mógł się z nami porozumiewać. Będzie nas widział i słyszał. Jest to ciekawy przypadek, ponieważ tak samo jak pan spotkał się niedawno z Przybyszami. Szok, jakiego doznał, był poniekąd przyczyną wypadku.

Ponto włączył projektor.

Obraz był przez chwilę zamazany, z głośników dobiegały szum i trzaski.

Riks zamarł. Na wielkim ekranie zobaczył wykrzywioną bólem twarz Czarnezkiego.

– Pan Thomas Bertram odczuwa jeszcze ciągle bóle powypadkowe, chociaż jego własny układ nerwowy już nie istnieje. Dzień dobry panu, panie Bertram. Jak się pan czuje?

Czarnezki jęknął. Był straszliwie blady, jego skóra miała perłową, delikatną przejrzystość.

– Co mu zrobiliście? – Riks powiedział to cicho, nie odrywając wzroku od ekranu.

Ponto patrzył na niego z zaciekawieniem.

– Pan zna tego człowieka?

– Zabiliście go.

Ponto wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi. Pan zna pana Bertrama?

Czarnezki przymknął oczy i wydusił z siebie:

– Ja nie znam tego człowieka.

– Daj spokój – krzyknął Riks. – Co ci łajdacy z tobą zrobili?!

– Nie znam tego człowieka – powtórzył Czarnezki. Jego czoło pokrywały drobne krople potu.

– Jednak wydaje mi się, że się znacie. Dlaczego chce pan to ukryć, panie Bertram? Panie Gonschewski, czy pan zna tego człowieka?

– Obaj przybyliśmy z Berlina, by sprawdzić sytuację w Kattowitz. Dlaczego to zrobiliście?

– Proszę mi wierzyć, nie chcieliśmy zrobić żadnej krzywdy panu Bertramowi. Niestety, zdarza się często, że osoby po spotkaniu z Przybyszami zupełnie tracą orientację i ulegają fatalnym wypadkom. Właśnie dlatego staramy się roztoczyć nad nimi opiekę. Więc powiada pan, że przybyliście razem z Berlina? To ciekawe. Przybysze rzadko wyposażają ludzi we wspólne fałszywe wspomnienia. Tym bardziej jestem zafrapowany. Kiedyś będzie musiał mi pan o tym szczegółowo opowiedzieć.

– Remi – powiedział cicho Riks – nie zapomnę o tobie, słyszysz mnie?

Twarz Czarneckiego wykrzywiła kolejna fala bólu. Ponto położył delikatnie rękę na ramieniu Riksa, ale ten odepchnął ją gwałtownie.

– Lepiej wyjdźmy stąd – zaproponował doktor i wyłączył wyświetlacz.

Poszli do pokoju, w którym Riks nocował.

– Bardzo mi przykro, widzę, że te fałszywe wspomnienia są bardzo żywe. Czy byliście przyjaciółmi? Mam na myśli tę nieprawdziwą przeszłość, którą obarczyli was Przybysze?

– Zналиśmy się. – Riks odzyskał już panowanie nad sobą. Patrzył na Ponto ze spokojną obojętnością.

– To dziwne, że nie powiedział nam pan, że ktoś jeszcze przybył tu z panem z Berlina. Dlaczego pan nam o tym nie powiedział? Nie ufał nam pan?

– Wydarzyło się zbyt dużo rzeczy. Rozumie mnie pan?

– Tak, oczywiście. Czy poza panem Bertramem przybył tu ktoś jeszcze? Czy ktoś jeszcze był z wami w grupie, która przybyła tu z Berlina, z tej fałszywej przeszłości? Proszę się zastanowić. Od tej odpowiedzi może wiele zależeć. Może zależeć życie tej osoby, jeśli taka była.

– Nie. Nikt poza nami tu nie przybył.

Riks wbił wzrok w oczy doktora.

– Jaki to wypadek przydarzył się panu Bertramowi?

Ponto uśmiechnął się smutno.

– Wpadł pod samochód. Pan Bertram. Zdaje się, że tam nazywaliście się inaczej, prawda? Pan Bertram miał tam imię Remi, o ile dobrze usłyszałem?

Riks nie odpowiedział.

– Jest pan zmęczony. Ale czuje się pan już lepiej? Niech pan odpocznie. I w razie jakichkolwiek kłopotów proszę się zwrócić do mnie. Jestem do pana dyspozycji. Może pan wrócić do siebie, jest pan wolny.

6. Falkenburg

Kiedy Riks wyszedł na zewnątrz, było wczesne popołudnie. Nie mógł uwierzyć, że jest wolny. Widział ciągle przed sobą skrzywioną twarz Czarnego. Było mroźno; światło słoneczne przenikało nieco zamglone powietrze, wytwarzając wrażenie nierealności i lekkości wszystkiego dookoła. Nie wiedział dokładnie, gdzie jest. Szedł przez osiedle dwupiętrowych bloków mieszkalnych. Z przydrożnej skarpy zjeżdżały na sankach krzyczące i śmiejące się dzieci. Szedł przed siebie, patrząc na owoce jarzębiny na śniegu, pomarszczone, niektóre brunatne jak rodzynki, inne jeszcze prawie czerwone, jak koraliki albo jak plamki skrzepłej krwi.

Nie czuł się tak źle już bardzo dawno. Przytłaczające poczucie obcości i wrogości sprawiało, że starał się omijać z daleka wszystkich przechodniów. Pomyślał nawet, że musiano go nafaszerować jakąś chemią.

Znał to uczucie, teraz sobie przypomniał. W dzieciństwie przechodził stany depresyjne, miewał samobójcze myśli. To on był nie w porządku.

Może to Ponto miał rację.

Opanuj się. Byłeś już w znacznie gorszych opresjach. Nie myśl o rzeczach, na które nie masz wpływu. Działaj tam, gdzie twoje działanie może odnieść skutek. Przecież nie wybrano cię przypadkowo. Czy w jego kartotece był zapis o wczesnych kłopotach ze zdrowiem psychicznym? Zapewne. Mogło być nawet tak, że właśnie to zadecydowało.

Na zaśnieżonym trawniku, trzy metry od śmietnika, przykucnęła kilkuletnia dziewczynka. Pomalowaną na zielono saperką, która w jej

rączkach wyglądała na ogromną, wygrzebywała dziurę w ziemi. Obok leżało tekturowe pudełko, na nim czerwona róża. Podeszedł do dziecka.

– Co tu robisz?

Przerwała grzebanie i spojrzała w górę zalanymi łzami oczyma.

– Zakopuję Augusta.

– Zakopujesz Augusta? A kto to jest August?

– August to jest mój chomik. Mama powiedziała, że trzeba Augusta spalić, ale ja nie chcę. Włożyłam go do pudełka i go tu schowam.

– Ta róża jest dla niego?

– Tak. Chcę, żeby August wiedział, że go kochałam.

Zaszlochała.

– Nie płacz. Pochowamy Augusta razem. Będzie na pewno bardzo zadowolony.

– Ale będzie mu zimno! – załkała dziewczynka.

– Nie martw się, nie będzie mu zimno. Teraz jest w takim miejscu, gdzie nikomu nie jest zimno.

– Mama mówiła, że Augusta już nigdzie nie ma? – Spojrzała na Riksa ze zdziwieniem.

Pogłaskał ją po głowie, a potem zrobił w stwardniałej ziemi dołek i zakopał pudełko z chomikiem.

Nie jestem już tym dzieckiem, które myślało o śmierci. Jestem twardym, cholernym draniem, pomyślał. I dlatego mnie tu przysłano. Sprawdził kieszenie płaszcza i stwierdził, że ma ze sobą kartę płatniczą wystawioną dla Georga Gonschewskiego. Wstąpił do najbliższej restauracji i zamówił obiad. Kiedy młody kelner stawiał przed nim talerze, na sali pojawił się niski, tęgi człowiek w granatowym ubraniu. Ujrzawszy Riksa, stanął jak wryty, a potem podeszedł do niego z wyrazem zafrapowania na twarzy.

– Ja znam pana. Widziałem pana na zdjęciach w serwisach. Jestem właścicielem tej restauracji, nazywam się Josef Blöser. Czy mogę się przysiąc?

Riks zaczął jeść.

– Czego pan chce?

– Przepraszam, nie chcę panu przeszkadzać. – Blöser pochylił się ku niemu, jakby chciał przyjrzeć mu się z bliska. – Pan zetknął się z Przybyszami, prawda?

– Czytał pan o tym w serwisach informacyjnych?

– Tak. O dwóch ludziach. Jeden miał wypadek, potrącił go samochód i został przeniesiony. A drugim jest pan, prawda? Nic pan nie mówi. Rozumiem. Kazali panu. Tak zawsze było.

Blöser spochmurniał.

– Oni nie chcą, żebyśmy się dowiedzieli, jacy są naprawdę Przybysze. Nie dopuszczają zwykłych ludzi, takich jak ja czy pan, do informacji na ich temat. Dzięki temu sprawują władzę, trzymają nas za pysk. Przybyszom wydaje się, że pomagają ludziom, a tak naprawdę to pomagają tylko im. Proszę, niech pan powie, jacy oni są, Przybysze? Czy naprawdę mają aureole wokół głowy i przypominają anioły?

– Nie widziałem nigdy żadnych Przybyszów, żadnych obcych istot z gwiazd. Oni w ogóle nie istnieją. – Riks wytarł chusteczką usta.

Blöser rozdziawił gębę.

– Nie istnieją? W ogóle?

Dłoń Blösera powędrowała w górę i poluźniła krawat.

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Żadnych Przybyszów z kosmosu nigdy nie było i nie będzie, kapujesz? Widziałeś ich kiedyś? A może zabrali cię na przejażdżkę po galaktyce, do innego wszechświata, durniu?

Restaurator zrobił się blady.

– Dostał pan implant, z całą pewnością dostał pan implant. Albo ci dranie zrobili panu pranie mózgu, żeby nikt się nie dowiedział, jacy są naprawdę Przybysze, jak są dobrzy i jak moglibyśmy żyć, gdyby nie ci łajdacy. Rozumiem pana, współczuję. Musi być pan tak samo wkurzony jak i ja. Odebrać człowiekowi jego własne wspomnienia. Najlepsze. Niech mnie pan posłucha. Może pan do mnie przychodzić tu codziennie, będzie pan moim gościem, rozumie pan? Przez cały kwartał. Nie, cały rok, albo nawet dwa lata. Zgoda? Przez dwa lata będzie pan tu moim gościem. Może coś pan sobie przypomni i wtedy pogawędzimy, rozumie pan?

Riks skończył jeść.

– Dziękuję.

Przywołał kelnera i zapłacił za obiad. Karta okazała się ważna, było to pocieszające.

– Zapraszam pana na jutro. I na pojutrze. Na całe dwa lata.

Ściemniało się szybko. Zapytał o drogę na Speerstraße. Wrócił do swojego mieszkania – na szczęście klucz miał ze sobą.

Przejrzał serwisy informacyjne. Przeczytał kilka razy wszystkie notki dotyczące Czarnezkiego i siebie. „Wczoraj policja zatrzymała pana Thomasa Bertrama, inżyniera z zakładów naprawczych OST. Pan Bertram zachowywał się dziwnie, co wzbudziło niepokój współobywateli. Kiedy policjanci zwrócili mu uwagę na niestosowność zachowania, Bertram zaczął uciekać i wpadł pod samochód. Z powodu poważnych uszkodzeń ciała konieczne okazało się przeniesienie. Pan Bertram przyznał, że był w stanie szoku po kontakcie z Przybyszami. Nie chciał zdradzić żadnych szczegółów tego spotkania. Trudno przypuszczać, by Przybysze nie przewidzieli skutków swojego postępowania. Z całą pewnością pan Bertram będzie mógł w przyszłości opowiedzieć nam o tym, do jakiego dobra przywiodło go to wydarzenie.

Tego samego dnia zatrzymano też Georga Gonschewskiego, prawnika, który właśnie wrócił z Wien. W jego czaszce badania specjalistyczne wykazały obecność implantu. Gonschewski twierdził, że nic nie wie o Przybyszach! Ten oczywisty dowód kontaktu Gonschewskiego z Przybyszami potwierdził się dodatkowo, kiedy okazało się, że Gonschewski zna bardzo dobrze Bertrama, chociaż w rzeczywistości nigdy się nie spotkali. Jak wyjaśnił nam pan Peter Ponto, dyrektor ośrodka rehabilitacji kontaktowców, doszło tu do dość rzadkiego przypadku wykreowania przez Przybyszów wspólnej pamięci dla ludzi, których odwiedzili. Po rozmowie wyjaśniającej Georg Gonschewski został zwolniony z ośrodka”.

Było już zupełnie ciemno. Postanowił pójść na Plac Przemysłowy. Czuł, że musi spojrzeć jeszcze raz na dziwaczny pomnik.

Szedł wzdłuż szeregu starych kamienic. Po przeciwnej stronie ulicy drzewa przystrojone były kolorowymi lampkami. Zbliżało się przecież Boże Narodzenie. Jak oni tu mogli przeżywać ten czas? Rocznicą przybycia boskich istot z kosmosu? Gwiazda na szczycie choinki symbolizująca nieznaną gwiazdę gdzieś w przestworzach, tam, gdzie narodziła się nieludzka inteligencja?

Przyspieszył kroku.

Jutro stąd odejdzie. Najwyższy czas. Może Falkenburg już wrócił do Berlina? Tak, przecież musi to sprawdzić. Wszedł do budki komunikacyjnej, wsunął kartę płatniczą do szczeliny automatu. Wybrał połączenie z Berlinem. Pamiętał zastrzeżony adres Falkenburga. Na wyświetlaczu pojawił się komunikat o braku podanego numeru identyfikacyjnego. Odszukał aktualny namiar na bibliotekę Reichstagu. Uzyskał połączenie i przez kilka minut przeglądał tytuły książek. Zastanawiające luki. Księgozbiór został poważnie przetrzebiony.

Brakowało wszelkiej literatury religijnej i filozoficznej, za to istniał ogromny zbiór dzieł poświęconych Przybyszom.

A gdybym jutro spróbował pojechać do Berlina? Oszalałeś. Zaczynasz przyjmować ich punkt widzenia, zaczynasz brać na serio te ich brednie.

Było już całkiem późno, spotykał niewielu przechodniów. Ktoś złapał go za lewe ramię i wciągnął do ciemnej sieni. Ktoś bardzo silny i szybki.

Twarz Falkenburga zniekształcona była straszną raną na prawym policzku.

– Nie przejmuj się, miałem trochę kłopotów, ale to nieważne. – Falkenburg mówił cicho, ale wyraźnie i spokojnie. – Musiałem zabić czterech z nich.

– Przecież otrzymaliśmy rozkaz, by nikogo nie likwidować?!

– Ten rozkaz dotyczył tylko was, ludzi.

Riks cofnął się o krok. Falkenburg skrzywił się.

– I co z tego? Jesteśmy po tej samej stronie, prawda? Tak mnie zaprogramowano. Moje mikro zawiera informacje, które w żadnym razie nie mogą się tu przedostać. Musiałem to zrobić. A oni też się ze mną nie patyczkowali, wierz mi.

– Zabili Czarneckiego.

– Wiem. Został poddany jakiemuś pieprzonemu przeniesieniu.

– Pamiętam, że kiedyś prowadzono prace nad przeszczepianiem psychiki w struktury pseudobiologiczne. Prace zarzucono, bo rezultaty były zniechęcające, a sens etyczny więcej niż wątpliwy. Może to to samo?

– Pewnie tak. Jeszcze jedna magiczna sztuczka dla maluczkich. Powierzchowne zdjęcie udające osobowość. Coś takiego łatwo sprokurować, jeśli ma się kontrolę nad sytuacją. A rządy sprawuje Rada Rzeszy, której członków wyznaczają Przybysze. Kto może wiedzieć lepiej,

jacy ludzie są najodpowiedniejsi do sprawowania władzy, jak nie nieskończenie mądrzy i dobrzy Przybysze?

– Chcę jutro wracać. Mam dość. Zabrali moje mikro, podobno uległo anihilacji. Według nich był to wytwór Przybyszów.

– Możemy już wracać. Mamy dość informacji. Wiesz, że oni tu w ogóle nie mają cmentarzy?

Falkenburg odwrócił się w stronę ulicy. Padł strzał i jego głowa odskoczyła w bok jak kopnięta piłka, po czym zwałił się na ziemię.

Riks przywarł bez ruchu do ściany.

Co najmniej kilkunastu ludzi powoli zbliżało się do nich. Pierwsi, uzbrojeni, z karabinkami wycelowanymi w leżące ciało, byli w pełnym rynsztunku, z hełmami i w ochronnych kamizelkach. Światło latarek tańczyło po ciele Falkenburga, po znieruchomiałym Riksie, po ścianach sieni i podłożu wyłożonym małymi ceramicznymi kostkami.

– Ręce do góry, powoli!

Riks podniósł ręce.

Trzech uzbrojonych ludzi podeszło do ciała. Wokół głowy Falkenburga poszerzała się ciemna plama. Jeden z żołnierzy machnął ręką do kogoś w tyle.

– Podjedźcie tu z karetką.

Falkenburg, który leżał z rozrzuconymi szeroko rękami, podniósł się gwałtownie, jak wyrzucony sprężyną, skoczył ku najbliższemu policjantowi i przewrócił go na ziemię, wrywając mu broń z ręki. Zaczął strzelać. Wstrząsały nim kolejne uderzenia pocisków, wreszcie wypuścił karabinek z rąk i upadł ciężko w przód.

– Nie ruszaj się!

Rozległy się jęki rannych i wołanie o pomoc. Nadjechała karetka.

– Oprzyj ręce o ścianę, tak, stopy do tyłu!

Nikt nie podchodził do Riksa. Słyszał czyjeś przekleństwa.

– To przecież pan Gonschewski! Oczywiście! Nie musicie się go obawiać! – to był głos Ponto.

– Niech pan się do niego nie zbliża – powiedział jeden z policjantów. – Straciliśmy właśnie pięciu ludzi, przez to tu ścierwo. Obszukajcie go. Dobra, pan go zna, doktorze?

– Oczywiście, to pan Gonschewski, nie słyszał pan o nim, kapitanie? – Ponto złapał Riksa za ramię. – Co pan tu robi? Dobrze, że nic się panu nie stało. Ten człowiek zabił wczoraj czterech policjantów. Czy widział go już pan wcześniej, panie Gonschewski?

Riks, oślepiiony światłem silnej latarki, mrużył oczy.

– Nie znałem go. Czegoś ode mnie chciał, nie zrozumiałem czego. Zaczepił mnie na ulicy.

– Był pan w niebezpieczeństwie. Widzi pan, znów panu pomogliśmy! Jakiś niebezpieczny typ. Myślałem, że on może też przybył z Berlina, co?

– Musi pan teraz pójść z nami i złożyć zeznanie – powiedział kapitan. Do ciała Falkenburga podeszło dwóch sanitariuszy. Załadowali je na nosze.

– Ciężki – sapnął jeden z sanitariuszy.

Na ziemi pozostało rozbite pociskami mikro Falkenburga. Ponto schylił się po nie.

– Spotkamy się jutro w ośrodku, dobrze? – powiedział, oglądając z uwagą mikro. – Porozmawiamy o panu Bertramie, o tym, co przeżyliście razem w tym waszym wyimaginowanym, wymyślonym przez Przybyszów Berlinie. Kto wie, może chcieli nam przekazać jakąś ważną wiadomość? Przyjdzie pan? Bardzo pana proszę.

– Dobrze – powiedział Riks. – Z przyjemnością.

7. Riks

Kiedy się obudził, na dworze było jeszcze ciemno. Spał źle, śnił mu się Czarnezi i podrygujący na ziemi Falkenburg. Zjadł śniadanie, potem jeszcze raz obejrzał mapę Kattowitz. Do jeziora podjechał autobusem miejskim. Szedł przez chwilę asfaltową drogą w lesie. Ciągle trzymał mróz, śnieg chrupał pod stopami. Przy jeziorze był ośrodek wypoczynkowy. Za ogrodzeniem widział opróżniony basen, dalej korty tenisowe i jakieś hale. Na wysepkę na zamarzniętym jeziorze prowadził od tej strony długi drewniany mostek. Za jego plecami cicho zatrzymał się samochód. Wysiedli z niego Ponto i Jitschin.

– Dzień dobry, panie Gonschewski. Dokąd się pan wybiera? Martwimy się o pana.

Zbliżyli się do niego.

– Śledziliście mnie?

– Miał pan się dzisiaj ze mną spotkać. Pamięta pan?

– Tak. Mamy jeszcze bardzo dużo czasu.

– Możemy pana podrzucić do centrum. Po co pan tu przyjechał? Czy to jest dla pana jakieś szczególne miejsce?

Riks skinął głową.

– Wydaje mi się, że zaczynam sobie coś przypominać.

– Przypominać? Ma pan na myśli swoje spotkanie z Przybyszami?

Na twarzy Ponto pojawiły się wypieki.

– Właśnie. To miejsce coś mi przypomina. To było chyba tutaj. Tutaj ich spotkałem.

– Kiedy? Kiedy to się stało?

Riks pchnął z całej siły Ponto na Jitschina. Ten złapał doktora, stracił równowagę i obaj padli na ziemię. Skoczył ku nim i uderzył gramolącego się Jitschina w twarz. Sierżant upadł ciężko w śnieg, a wtedy Riks wyrwał mu z kabury pistolet.

– Odwróć się. – Przeszukał Ponto, ale ten nie miał broni.

Potem poszedł do samochodu i rozbił system kierujący pojazdu.

– Odejdźcie stąd. Chcę zostać sam.

Jitschin jęczał i trzymał się za krwawiący i puchnący nos.

– Czy pan oszalał?! Napadł pan na policjanta! Pan rozumie, że to poważne przestępstwo?

– Odejdźcie stąd.

Poszedł w stronę mostka.

– Jitschin, zatrzymajcie go. Nie wiadomo, co on chce zrobić!

Sierżant wszedł na mostek.

– Oddajcie broń. Ostrzegam was.

Riks odwrócił się i wymierzył pistolet w nogi Jitschina.

– Nie zrobisz tego!

Jitschin posunął się dwa kroki do przodu i wtedy Riks strzelił. Policjant upadł.

Nierówne deski mostka uginały się pod jego ciężarem. Słyszał za sobą oddalające się przekleństwa Ponto. Przycupnął przy jednym z drzew na wysepce. Widział stąd, jak Ponto wlecze Jitschina do samochodu, a potem biegnie truchtem w stronę miasta.

Miał teraz dosyć czasu.

Mróz szczytał w policzki, dobrał się szybko do jego stóp. Od zachodu zaczęło wiać.

Zastanawiał się, czy naprawdę Ponto wierzył w to, że Riks spotkał się z istotami z innej planety i że odmieniły one jego świadomość. Zresztą, czy ma to rzeczywiście jakiegokolwiek znaczenie? Ponto postępuje tak, jakby w to wierzył, a ja nigdy nie uzyskam wglądu w jego świat. Jest dla mnie całkowicie niedostępny, obcy. Tak jak świat każdego człowieka. Czasem kurtyna rozrywa się na krótką chwilę, oślepiające światło zalewa scenę i wydaje się nam, że nie jesteśmy samotni. A kiedy światło ludzkiej obecności przygasa, szukamy znów po omacku naszych starych i nowych bogów.

Był teraz zawieszony pomiędzy dwoma światami, które wydały mu się nagle jednakowo nierzeczywiste. Ludzie w jego starym świecie, po popełnieniu wszelkich możliwych do popełnienia zbrodni, po stuleciach doskonalenia sztuki cynizmu i obojętności, wydawali się już całkowicie niezdolni do jakiegokolwiek wiary. Trzymali się kurczowo jutra, najbliższych godzin, najdrobniejszych przyjemności. Ale czy nie był to tylko pozór? Czy świat, w którym ciągle jeszcze przebywał, nie dowodził, że ta najstarsza potrzeba nigdy nie zanika, chociaż przyjmuje często dziwaczną i odrażającą postać? Zastanawiał się, dlaczego teraz jego świat wydał mu się równie nierzeczywisty jak ten tutaj. Przebywał tu krótko, reguły gry choćby dlatego musiały wydawać mu się niezrozumiałe – to było oczywiste. Ale jego świat? Dlaczego był tak niebezpiecznie nieważki? Dlatego, że zabrakło zewnętrznego arbitra, obserwatora, sędziego. Kiedy każdy jest sędzią we własnej sprawie, wszystko znika. Dobro i zło, prawda i fałsz, rzeczywistość i złuda mają tę samą wartość. Wszystko istnieje tylko ulotnie i pomyłkowo, ułomnie. A kiedy zabraknie i mnie samego, cały wszechświat dosłownie i namacalnie przestanie istnieć. Przez minutę jego umysł sycił się

jeszcze jednym obrazem zbudowanym na takim przeciwieństwie: pomyłkowe i ulotne istnienie w świecie Centrum i niekończące się, wlokące w przerażającą, bezkresną dal wieczności istnienie w Oberschlesien. Może to drugie było rezultatem pierwszego? Perfidną karą piekielną? A jeśli tak, to kto był władcą tego piekła?

Zamknięty w fantomacie umysł Czarneckiego. Czy zmieniał się z czasem, choćby tak jak zmienia się powierzchnia śnieżącego brązu? Czy usłyszałbym od niego za każdą wizytą to samo? Jak obraz twarzy Czarneckiego wytwarzany przez fantomat był powiązany ze stanem jego umysłu? Nieubłagany kurz osiadający na przedmiotach dookoła, tydzień za tygodniem. Narastanie geologicznych warstw, senność, szarzejące wnętrza pudeł pomieszczeń, w których leży fantomat. Migające w obłąkanym, przyspieszonym ruchu postaci ludzi na zewnątrz i wzbierająca coraz bardziej, niezmożona potrzeba śmierci, dotkliwa jak parcie na pęcherz.

Wiatr wzmógł się. Szosą nadjechało kilka pojazdów policyjnych. Sanitariusze wynieśli Jitschina z wozu i przenieśli do karetki.

Ktoś krzyczał przez megafon.

– Gonschewski! Wyjdź do nas z podniesionymi rękami! Jesteś otoczony!

Obserwował mały wir powietrzny powstały na drugim końcu jeziora. Program przenoszący zlokalizował go już i pogięty lejek śnieżnego pyłu, zwiększając się z każdym metrem przebytej drogi, sunął ku wysepce.

– Wychodzę! – wrzasnął. – Poddaję się!

Wyszedł na skraj wysepki i pokazał im puste dłonie, a potem wolno poszedł ku nim, zerkając kątem oka na wir.

– Co to jest? – zapytał Ponto.

– O czym pan mówi? – w głosie kapitana było napięcie. Pamiętał jeszcze nocne spotkanie z kumplem Gonschewskiego.

– Widzi pan tę trąbę powietrzną?!

Wysoki słup wirującego śniegu sunął już ze złowrogim łoskotem ku Gonschewskiemu.

– Cholera, co to jest?!

Kolumna kotłującej się bieli podrzuciła Gonschewskiego w górę i wessała do środka. Rozległ się grzmot, a potem masy śniegu zaczęły osypywać się na miejsce, w którym stał przedtem Gonschewski.

– Czy to byli Przybysze?

Kapitan był blady z przejęcia. Ponto spojrział na niego uważnie.

– A co napisze pan w raporcie?

8. Dusze czyścicowe

Miesiąc później Ponto pracował w swoim biurze nad zamknięciem sprawy. Do akt Thomasa Bertrama i Georga Gonschewskiego dołączył materiały dotyczące Aloisa Stockkampa. Chociaż zarówno Bertram, jak i Gonschewski zaprzeczali, że mają z nim cokolwiek wspólnego, to przecież znaleziono przy nim ten sam przedmiot, który posiadali dwaj pierwsi i który bez wątpienia pochodził od Przybyszów. Akta Stockkampa były bez porównania obszerniejsze. Wykryto zadziwiająca anomalie w jego budowie anatomicznej. W opinii większości specjalistów Stockkamp nie był w ogóle człowiekiem. W duchu Ponto wątpił, że sprawę rzeczywiście można już zamknąć. Nikt nie mógł być pewien, co stało się z Gonschewskim i czy pewnego dnia nie powróci.

Ponto stanął przy oknie swojego biura. Wychodziło ono na podwórze przed głównym budynkiem ośrodka rehabilitacyjnego. Patrzył na grupę ciemnych świerków na środku podwórza. Promienie słońca zaiskrzyły na śniegu leżącym na ich gałęziach; ten bajkowy obrazek poruszył jakąś dziecięcą strunę w jego umyśle. Westchnął ciężko i pomyślał z melancholią

o przyszłości. Jak wiele czasu pozostało mu do przeniesienia? Jaką drogę będzie mógł tam obrać? Czy będzie tam bardziej pełny i bardziej szczęśliwy?

Usiadł w fotelu i poszukał adresu pani Karoline Gonschewski. Była żona Gonschewskiego już od dwu lat przebywała w kraju lekkich przedmiotów. Trzy lata po rozwodzie zachorowała ciężko i została poddana przeniesieniu. Powinien ją zawiadomić o tym, co stało się z Gonschewskim. Pewnie nie będzie to przyjemna rozmowa. Jego wzrok padł na oprawiony w czarną skórę gruby notatnik ze złotymi inicjałami. Notatnik leżał obok buteleczki z czarnym, japońskim atramentem. Otworzył go i wyciągnął z niego pióro. Zaczął przewracać kartki o kolorze kości słoniowej. Wielu ludzi wierzyło, że dobrze jest dokładnie wyobrazić sobie, jakiego rodzaju szczęścia chce się dostąpić po przeniesieniu. Tego rodzaju ćwiczenie duchowe wzmacniało prawdopodobieństwo ziszczenia się owych pragnień. Ponto umyślił sobie, iż powinien te swoje wyobrażenia rajy zapisywać, i to nie w wewnętrznych zasobach Powłoki, ale wiecznym piórem, na papierze, jakby miało to większą wartość i moc.

Patrzył teraz na daty i zapiski. Podkreślał jeszcze raz niektóre zdania.

„Chciałbym umieć latać”.

„Już nigdy nie chcę zobaczyć pajaków”.

„Zapach szafy mojej matki. Zapach i kolor jej butów”.

„Przed moim domem powinna stać kwitnąca czereśnia”.

Już od tak dawna nie miał snu o lataniu. Kiedyś często śnił, jak samym wysiłkiem woli wzbija się w powietrze. Wzlatywał wysoko, ponad drepczących ludzi, ponad drzewa, ponad dachy domów, i było to uczucie zawrotnie wyzwalające. Ale zawsze kończyło się utratą panowania nad lotem; jakaś złośliwa siła wyrzucała go w górę, tak wysoko, że tracił oddech z przerażenia, a potem spadał w dół, krzycząc ze strachu, i czasem

budził się, a czasem umierał. Niekiedy budził się wcześniej, zanim rzeczywistość snu wymykała się spod jego kontroli, i odczuwał żal, ponieważ w tej rzeczywistości latać nie umiał.

Bardzo też pragnął, by nigdy nie powtórzył się jego sen o pająkach. W tym śnie leżał na łóżku, nie mogąc się poruszyć, przytłoczony ogromnym ciężarem, i patrzył na rozciągającą się nad nim pajęczynę. Pajęczyna wolno się zniżała. Była wielka i mocna jak rybackie sieci. Po jej przeciwnej stronie wędrowały duże pająki o krótkich nogach i tłustych odwłokach. Pająki co chwila zaciskały swe odnóża jak pięści i patrzyły na niego żółtymi oczyma.

Ponto wzdrygnął się i przywołał wspomnienie szafy swojej matki. Jego matka podchodziła do szafy i otwierała ją, a on, zafascynowany, podbiegał i wciągał nosem tajemniczy zapach perfum i wody kolońskiej. Właśnie wtedy, jako mały chłopiec, wyobrażał sobie, że kiedyś będzie z kobietą, która będzie miała swoją tajemniczą i pachnącą szafę. A może nie tyle wyobrażał sobie, co niejasno to przeczuwał. Jednak jego przeczucie nie spełniło się i coraz częściej lokował je w kraju lekkich przedmiotów.

Wreszcie zamknął notatnik i połączył się z panią Gonschewski. Miała na głowie zgrabny fioletowy kapelusik i patrzyła na niego brązowymi, smutnymi oczyma.

– Dzień dobry pani. Nazywam się Peter Ponto. Jestem zarządcą ośrodka rehabilitacyjnego dla kontaktowców.

Pani Gonschewski popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Dzień dobry. Co pana do mnie sprowadza? To znaczy czego pan sobie życzy?

– Pani były mąż, Georg Gonschewski, spotkał się z Przybyszami. Jego osobowość uległa silnemu zniekształceniu. Podjęliśmy opiekę nad nim, jednak stało się coś nieprzewidzianego. Pan Gonschewski zniknął. Byłem

świadkiem tego wypadku. Wyglądało to tak, jakby zabrali go ze sobą Przybysze.

Karoline patrzyła na Ponto lunatycznym wzrokiem.

– Tak długo walczyłam o to, by przestać o nim myśleć. Rozumie pan. Kiedyś bardzo go kochałam. Nasze dzieci. Powinnam jeszcze dzisiaj porozmawiać z Heinzem i Edith. Przez tak długi czas nie mogłam w ogóle patrzeć na mężczyzn. Georg po tylu latach małżeństwa znienawidził mnie. Denerwowało go każde moje słowo. Ale wie pan, ja już nawet nie umiem sobie przypomnieć, jak on wyglądał. Nie pamiętam jego twarzy. Czy to nie dziwne? Naprawdę cieszę się z tego. To tutaj zaczęłam o nim zapominać. Odzyskałam wiarę we własne siły. W miłość. Spotkałam tu wspaniałego mężczyznę. Jest o wiele młodszy ode mnie i bardzo mnie kocha. Dlaczego pan przypomina mi o moim byłym mężu? Przepraszam. Zapewne uważał pan to za swój obowiązek.

Ponto był zakłopotany.

– Ja też panią przepraszam. Rzeczywiście tak sądziłem.

– Muszę koniecznie porozmawiać z moimi dziećmi. Ostatnio je zaniedbałam. Tak mi się zdaje. A z drugiej strony nie chcę im zaprzętać głowy. To takie dziwne, nie uważa pan?

– To wspaniałe, zawsze mogą z panią pobycć.

– Bardzo nie chciałabym od nich usłyszeć, iż nie chcą mnie już widzieć.

Ponto milczał przez chwilę.

– Zwracając się do pani, miałem też cichą nadzieję, że nasza rozmowa rzuci jakieś nowe światło na to, co się stało. Na motywy, które kierowały panem Gonschewskim. Bo przecież Przybysze nie mogli go zabrać bez jego przyzwolenia, bez jakiegoś rodzaju zachęty. Zastanawiałem się, kim on był i jakimi motywami się kierował.

– Nie wiem, proszę pana. A nawet gdybym wiedziała, to nie chciałabym o tym mówić. Teraz liczy się dla mnie kto inny. Nie chcę znów widzieć ciągle przed sobą twarzy Georga. Boże, przecież już to się stało, już poruszył pan te wszystkie wspomnienia! Przykro mi, nie mogę i nie chcę panu pomóc.

Żegnając się z panią Gonschewski, Ponto zastanawiał się, czy Przybysze nie mogli wykorzystywać przeniesionych osób do przekazywania wiadomości pozostałym ludziom. Czy poprzez to, co powiedziała, nie chcieli mu dać do zrozumienia, że nie powinien dłużej myśleć o Gonschewskim? Czy mogli nim manipulować, używając w tym celu Karoline? Albo używając w tym celu obrazu Karoline?

Myśli mącające rzeczywistość.

Nerwowo przesunął notatnik na biurku. Połączył się z Thomasem Bertramem.

– Kto? Kto? Nie znam pana.

Bertram miał nieobecny wyraz twarzy.

– Niech się pan nie wygłupia, nazywam się Ponto, przecież już wiele razy rozmawialiśmy. Chcę jeszcze raz zapytać o Gonschewskiego.

– Riks? Pamiętam. Otrzymałem zadanie w Afryce Południowej. Ten cholerny upał. Miałem złe przeczucia. Po spotkaniu z Amerykanami – dwóch wysokich, opalonych grubasów – pojechałem do hotelu autobusem i to się stało w drodze. Huk i wszystko wylatuje w powietrze, ciemność. Otwieram oczy, wokół mnie pełno szkła, krwi, ranni i swąd spalenizny. Biorą mnie do karetki i kogo widzę? Riksa. Już był na miejscu. Potem było mi zimno. Tak, bardzo zimno. Dowiedziawszy się, że przywieźli mnie do domu w lodówce, dostałem ataku histerycznego śmiechu. A w Berlinie znów przy moim łóżku był Riks. Gdzie on jest teraz?

– Riks? Gonschewski? Właśnie chciałem o nim porozmawiać.

– Riks! Rozumiesz? Riks! Nie chcę z tobą gadać ani o Riksie, ani o kimkolwiek innym!

Bertram odwrócił się do niego plecami. Był wzburzony.

– Kiedy dowiedziałem się o wyjeździe do Południowej Afryki, ucieszyłem się. Frajer. A teraz muszę już iść.

– Dokąd pan idzie?

– Na mnie już czas. Chcę wrócić do siebie. Do domu. Znow jest mi zimno, tak jak wtedy. Cały trzęsę się z zimna. Nie czujesz tego przekłętego mrozu?

Bertram zaczął się oddalać. Szedł po kamienistej plaży zalanej purpurowymi blaskami zachodzącego słońca. Schylił się, by podnieść muszlę, a potem poszedł dalej, ku majaczącym na horyzoncie w fioletach i ciemnych różach góróm.

Czasami tak bywa. Przeniesieni oddalają się od nas, dosłownie i metaforycznie. Wchodzą w głąb swojego świata, zamykają się w nim, zapuszczają czarną zasłonę milczenia. Czy była to jakaś niedoskonałość technologii Przybyszów, czy własny wybór ludzi? Powinienem wierzyć, że chodzi o to drugie. Że pozostajemy zawsze wolni, nawet tam.

Chuda, wysoka sylwetka Bertrama roztopiła się w ciemniejących barwach wyświetlacza. Ponto wpisał jeszcze do raportu notki o rozmowie z panią Gonschewski i z Bertramem. Zawsze był bardzo skrupulatny, chociaż przyprawiało go to o depresję. Wychodząc z biura, zabrał ze sobą notatnik. Nie rozstawał się z nim nigdy.

CIEMNE LUSTRA
WYSZEPTUJĄCE SNY

HOTEL LJUBLJANA

Siedzący w kącie sali restauracyjnej, ubrany na czarno człowiek odłożył gazetę na bok. Kapelusz zasłaniał mu twarz, ale ktoś, kto zbliżyłby się do niego, dostrzegłby, iż prawą stronę twarzy pokrywa gumowa maska naśladowująca część lewą. Również jego prawa dłoń była zakryta czarną skórzaną rękawiczką. Oko wyzierające z otworu w masce było nieruchome, szklane, a lewe wpatrywało się intensywnie w zażywnego jegomościa cztery stoliki dalej ku środkowi sali.

Jegomość machał rękoma i dyskutował zawzięcie, śmiał się na całe gardło, perorował i potakiwał czasami głową w stronę swojego rozmówcy, którego nie było, bowiem siedział przy stoliku sam. W sali było jeszcze kilka osób i zerknęły one na hałaśliwego gościa ze skrepowaniem i dyskrecją właściwą ludziom podglądającym występ niezrównoważonego psychicznie. Ale Slavko Zeigler nie czuł się nieswojo. Patrzył na widowisko z napiętą uwagą. Odczekał jeszcze kwadrans, a kiedy gość zaczął kręcić się niespokojnie na krześle, zgiął gazetę na pół, wsunął ją do kieszeni surduta i poszedł szybko w stronę kuchni. Otworzył boczne drzwi w korytarzu, potem jeszcze jedno, teraz używając do tego pęku kluczy. Znalazł się na betonowych schodach prowadzących stromo w dół. Na dole znów masywne, zamknięte na klucz drzwi. Gdy wszedł do środka pomieszczenia,

włączył od razu obydwie monitory stojące na stole z surowych desek, jeden, połączony z aparaturą Blondlota, i drugi, pracujący w zakresie optycznym. Na obydwu zobaczył wnętrze pustej toalety. Podeszedł do półki wiszącej po drugiej stronie pokoiku, wyciągnął z niej pistolet i przeładował. Kiedy wrócił do monitorów, w toalecie był już osobnik, który tak go zainteresował. Ten podeszedł do pisuaru, rozpiął rozporek i sapiąc, zaczął się odlewać. Slavko zrobił szybko zdjęcia i cmoknął z zadowoleniem. To było to. Jego przecucie nie myliło go. To jednak lata wprawy, pomyślał z zadowoleniem. Spojrzał jeszcze raz na nieobecną i rozmarzoną twarz cudaka i szarpnął za rękojeść dźwigni. Podłoga pod cudakiem zapadła się. Slavko poczekał, aż płyta powróci na swoje miejsce, a potem uruchomił elektrycznie otwierane drzwi do pomieszczenia, które nazywał czule rzeźnią.

To był krytyczny moment. Wcześniej miał przy tym dużo uciechy. Procedura była znacznie prostsza. Ofiara wpadała od razu do wielkiego zbiornika z kwasem, a on mógł na nią patrzeć przez grubą szklaną płytę. Patrzył, jak zwija się z wyrazem upiornego przerażenia i bólu na twarzy i jak ta twarz przestaje być twarzą. Dostarczało mu to niezapomnianych wrażeń. Ale pewnego razu ten pożerany kwasem kłęb strachu, mięśni i niestrawionych jeszcze kości uderzył z tak niepojętą siłą w szklaną tafłę, że ją rozbił. Od tego czasu Slavko miał szklane oko i gumową maskę.

Procedura uległa zmianie. Ofiara wpadała do leja prowadzącego do trybów młyna. Młyn przetwarzał wstępnie cudaka i dopiero wtedy produkt trafiał do naczynia z kwasem. Slavko przez okno obserwował, jak miotająca się i krzycząca przeraźliwie istota wciągana jest przez wielkie metalowe zęby. Zwykle rozpoczynało się od nóg. Czasami od rąk. Było to rozwiązanie proste i skuteczne. Ale potem któryś gryzipiórek wpadł na pomysł, że niehumanitarne. I wprowadzono odpowiednie zmiany.

Oznaczony obiekt wpadał do pomieszczenia schowanego pod toaletą. A on musiał tam wejść i wpakować w niego trochę ołowiu. Potem wrzucał go do młyna, który był teraz jeszcze niżej. Bardzo nie lubił tej nowej procedury. Po pierwsze, zapomniano wykonać okno, tak że nie mógł przed wejściem do pomieszczenia sprawdzić stanu cudaka. Po drugie, nawet jeśli ów stan był zadowalający (niespodziewany upadek kończył się zawsze co najmniej szokiem), to i tak obiekt, przynajmniej teoretycznie, mógł mu sprawić dużo kłopotów.

Drzwi rozsunęły się i Slavko wszedł wolno do środka z odbezpieczonym pistoletem. Cudak gramolił się na ziemi, usiłując zapiąć rozporek. Najwidoczniej miał złamaną nogę. Podłoga, wyłożona jasnymi płytkami, nie była umyta zbyt starannie i Slavko z obrzydzeniem dostrzegł na niej ślady starej, zakrzepłej krwi.

– Proszę pana!

Cudak dostrzegł go i spojrzał z zakłopotaniem. Slavko wypróżnił cały magazynek, potem zmienił go, podszedł trochę bliżej i znów strzelał, tym razem celując w głowę. Znów zmienił magazynek. To było rozsądne. Od czasu ostatniej zmiany męczył go koszmary sen – szczepiony z cudakiem zsuwał się po ścianie leja ku trybom pracującego młyna.

Poruszał się teraz szybko i pewnie. Wrócił do małego pokoiku, otworzył pokrywę młyna w rzeźni i zabrał ze sobą drąg zakończony metalowym hakiem. Podszedł do zwłok i ostrożnie wciągnął je do leja. Stał na jego krawędzi i zerknął na cudaka, który zsunął się głową w dół. Ciałem szarpnął gwałtowny skurcz. Slavko podbiegł do przełącznika, zamknął pokrywę i uruchomił młyn. Budynek lekko zadrżał. Mimo, że drzwi do rzeźni były zamknięte, ryk dobiegający z dna leja wstrząsnął nim. Był mokry od potu. Jeszcze tego samego wieczoru napisał raport, dołączając

zdjęcia. I tym razem wspomniał o oknie, którego brak tak bardzo utrudniał mu pracę.

Następnie wyciągnął z szuflady stary i zużyty podręcznik geometrii. Studiował go mozolnie i dokładnie. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Bóg poskąpił mu talentu matematycznego. Przedzierał się przez dowody z wielkim trudem, ale co jakiś czas udawało mu się osiągać to poczucie jasności, pewności i prawdy, które było tak przejmujące, tak drogocenne, wprowadzało ład w jego duszę i broniło przed strachem i nocnymi upiorami. A w szczególności przed jednym z nich – przed obrazem tej pierwszej cudaczki, jaką spotkał. W tych czasach nie było jeszcze ustalonego trybu postępowania z cudakami. Nikt nie wiedział, o co chodzi i jak się to wszystko potoczy.

Slavko postępował intuicyjnie, kierując się impulsem i czymś dzikim, co musiało w nim być od dawna. I właśnie dlatego było to dla niego tak wielkim ciężarem. Nie postępował według żadnego regulaminu. Nikt wcześniej nie podjął za niego tej odpowiedzialności. Wyobrażał sobie, że cudaczka przez cały ten czas jest tam, skulona w żelaznej skrzyni, z szeroko otwartymi, zdziwionymi oczyma wpatrzonymi w mrok. W dusznym letargu spowodowanym brakiem powietrza, z lepkiem zapachem własnej, wiecznie świeżej krwi wypływającej z ran, które jej zadał.

Jęknął i zamknął książkę. Dzisiaj nie dane mu będzie doznanie jasności. Pomodlił się krótko przed wizerunkiem Przenajświętszej Pani, prosząc o spokój ducha, i ułożył się do snu.

CUDAKI

Tjeerd Knaus westchnął z rezygnacją, kiedy usłyszał od sekretarki o ostatnim petencie.

– Dobrze, niech pani go wpuści.

Wstał i wyjął z półki wielki tom przepisów imigracyjnych cesarstwa. Zrobił to niemal instynktownie. Należał do rodziny urzędniczej o kilkusetletniej tradycji i był z tego niezmiernie dumny i zadowolony.

– Dzień dobry, nazywam się Xeppen 34Flixset. Jestem drugim sekretarzem ambasady aldebarańskiej w stolicy cesarstwa.

– Bardzo mi miło. – Knaus uśmiechnął się standardowo i położył tom na swoim olbrzymim biurku. – Oczywiście bardzo się cieszę z możliwości poznania pana, ale chciałbym zauważyć, że urzędnik cesarski mojej rangi ma prawo oczekiwać, iż będzie kontaktował się co najmniej z pierwszymi sekretarzami ambasad. Taki jest protokół.

– Tak, tak. – Chudy, wysoki gość o bladej twarzy wydawał się zakłopotany i zatroskany jednocześnie. – Przepraszam pana, pierwszy sekretarz został odwołany w celu przeprowadzenia konsultacji.

– Rozumiem. Nie będziemy się nad tym dłużej rozwodzić, prawda? Najważniejsze są poprawne stosunki pomiędzy naszymi krajami. Niech pan usiądzie, proszę.

Znów najlepszej jakości uśmiech. Gość, w dziwnej zielonej marynarce, siada.

– Czym mogę panu służyć?

– Przychodzę w sprawie pana Marka Schmidta. Widziano go ostatni raz w hotelu Ljubljana. Zniknął. Ślad po nim zaginął. Kamień w wodę. Próbowaliśmy go odnaleźć, ale nasze wysiłki spełzły na niczym. Bardzo nas to niepokoi. Zgłosiliśmy zaginięcie policji, jednak nie znalazło to należytego oddźwięku.

– Pan Mark Schmidt? Proszę chwilę poczekać.

Knaus włączył liczaka i poczekał, aż ekran zajarzy się rubinowymi znaczkami. Nie lubił tych nowości przechwytywanych przez naukowców cesarstwa od Aldebarańczyków, a liczaków w pierwszym rzędzie.

– Zaraz sprawdzimy. Pan Mark Schmidt. Czy może podać pan adres zamieszkania tej osoby?

Sekretarz stropił się.

– Nie znam adresu zamieszkania pana Marka Schmidta. Podano mi tylko jego nazwisko i imię. Aha, mam też jeszcze odciski jego palców.

– Doskonale. Mogę je dostać?

Sekretarz wyciągnął z teczki małą srebrną płytkę i wręczył ją Knausowi. Ten wetknął ją ostrożnie do szczeliny w liczaku. Liczak zamruczał i mrugnął rzędami znaków.

– Przykro mi, w naszej ewidencji nie ma osoby, która identyfikowana jest tymi odciskami.

– Nie ma? To bardzo dziwne.

Sekretarz zaczął drapać się w głowę.

– Czy pan Mark Schmidt znajduje się w wykazie obywateli aldebarańskich posiadających prawo pobytu na terenie cesarstwa?

– Nie jestem tego pewny – wymamrotał 34Flixet.

– Zaraz sprawdzimy.

Wybrał odpowiednią opcję w programie liczaka i wstukał dane zaginionego.

– Nie. Nie ma go na oficjalnej liście obywateli aldebarańskich przebywających w cesarstwie. Można więc powiedzieć, że pana Marka Schmidta właściwie nie ma i nigdy nie było, zgodzi się pan ze mną?

– Jak to nie ma? – Sekretarz podskakiwał teraz śmiesznie na krześle.

– Po prostu. Czy osoba, która wedle pana nazywa się Mark Schmidt, jest obywatelem aldebarańskim?

– Tak, oczywiście, jest.

– Czy została zarejestrowana oficjalnie jako taka?

– Z całą pewnością.

Sekretarz spurpurowiał na twarzy i dostał uporczywej czkawki.

– To nieprawdopodobne. Osoba o takim nazwisku nie figuruje w oficjalnym rejestrze obywateli aldebarańskich zamieszkujących czasowo lub na stałe na obszarze cesarstwa. Przed chwilą to sprawdziłem. A może – Knaus uśmiechnął się życzliwie, widząc, jak 34Flixxet ssie rozpaczliwie kciuk – a może ów człowiek przybył właśnie do cesarstwa i wasza ambasada nie zdążyła jeszcze przesłać nam jego danych?

– To absolutnie wykluczone – wymamrotał sekretarz i wyjął kciuk z ust. Omiótł pomieszczenie zrozpaczonym spojrzeniem.

– To bardzo ciekawy przypadek – powiedział poważnie Knaus. – Ale obawiam się, że nie mogę panu wiele pomóc. Niech pan sam sprawdzi – na dostarczonej przez was liście nie ma nikogo, kto nazywałby się Mark Schmidt. To nie jest typowe nazwisko aldebarańskie, sam pan przyzna.

– To nie jest typowe nazwisko aldebarańskie, sam pan przyzna – powtórzył bezwiednie sekretarz i stropił się jeszcze bardziej. – Ale to nie ma przecież nic do rzeczy! W biały dzień zniknął człowiek, nie ma po nim

śladu, a pan mi mówi, że to nie jest typowe nazwisko aldebarańskie! Przecież rodzina pana Schmidta może być pochodzenia ziemskiego, prawda?

– Nie słyszałem o tym, by jakikolwiek Ziemianin osiedlił się na terytorium waszego państwa. Czy może pan podać mi jakieś szczegóły?

– Ja też nie słyszałem. Ale to teoretycznie możliwe.

– Tak. Jest to teoretycznie możliwe.

Sekretarz zacisnął pięści i zgrzytnął zębami.

– To skandal.

– Przepraszam, co jest skandalem?

– To, że nie staracie się zapobiec tak okropnym wypadkom! Że traktujecie przypadki takie jak te z podobnym lekceważeniem!

– Staram się służyć panu jak najdalej idącą pomocą. Czy może pan sformułować jeszcze raz swoją prośbę?

Sekretarz jęknął.

– Zniknął Mark Schmidt. Poszukujemy go. Nie możemy nawiązać z nim kontaktu.

– Czy Mark Schmidt jest obywatelem aldebarańskim?

Sekretarz zawahał się.

– Tak. Z pewnością jest obywatelem aldebarańskim.

– Jednak w dostarczonym przez waszą ambasadę spisie oficjalnie zarejestrowanych obywateli aldebarańskich zamieszkałych na terenie cesarstwa nie figuruje żaden Mark Schmidt. Oficjalnie taka osoba nie istnieje.

– Jak to: nie istnieje?

– Proszę sprawdzić. Nie ma takiego nazwiska na tej liście. Może nastąpiła jakaś pomyłka?

– Może nastąpiła jakaś pomyłka? – powtórzył sekretarz. – Tak, może nastąpiła jakaś pomyłka – powiedział z nagłą stanowczością. – Bardzo mi pan pomógł. Jestem mile rozczarowany. Obawiałem się, że będzie pan stawiał przede mną przeróżne biurokratyczne przeszkody, a okazał się pan niezmiernie miłym i uczynnym człowiekiem.

Sekretarz wstał raptownie z krzesła i ukłonił się głęboko. Widać było, iż usiłuje powstrzymać gwałtownie przybierającą panikę. Jego lewa ręka zniknęła.

– Muszę już pana pożegnać. Przepraszam.

Odwrócił się i prawie biegiem opuścił gabinet Knausa. Kiedy był w drzwiach, zniknęła jego głowa.

– Cudaki – westchnął Knaus. Poleciał sekretarce nie przyjmować już nawet telefonów i przystąpił do pisania raportu w sprawie Marka Schmidta. Wszystkie materiały z kancelarii tajnej dotyczące tej sprawy nadeszły tydzień temu.

NOCNE KOSZMARY

To był ciężki tydzień i kapitan Jan Dutra spał w mundurze polowym, ledwie z rozpiętą pod szyją koszulą. Najpierw usłyszał swoje głośnie chrapanie, potem natarczywy i przestraszony głos dyżurnego.

– Czego, czego, do jasnej cholery!

Właściwie jeszcze spał, a jego ręce już naciągały buty. Zauważył, że skarpetka na lewej stopie ma dziurę, z której wystawał duży palec, i to go poirytowało jeszcze bardziej. Zegarek. Trzecia rano.

– Co się znów dzieje, do diaska?!

– Rozkaz ze sztabu, panie kapitanie, zauważyli ich w Lipskowym. Dużo. Rozkaz natychmiastowego wyjazdu, tyle powiedział major Feifarek.

Czapka i płaszcz, pas z pistoletem i był gotowy. Na kompanii bałagan jak zawsze. Wrzask kaprali i przekleństwa żołnierzy wciskających owinięte w onuce, opuchnięte jeszcze stopy do ciężkich bojowych buciorów. Wyjrzał przez okno. Przed blok kompanii specjalnej zajeżdżały ciężarówki. Jeszcze raz przejrzał rozkaz ze sztabu. Lipskowe. Dwadzieścia pięć kilometrów od ich miejsca zakwaterowania. Wieczorem zauważyły to dzieci pod lasem. Czeka na nich dwóch policjantów z miejscowego posterunku.

Porucznik Eric Tanner wyglądał jak zawsze na nieco nieobecnego. Zagryzał w zadumie wargę pod cienkim, jasnym wąsikiem.

– Mamy dość benzyny?

– Tak jest. Pełny zapas. Wieczorem uzupełniliśmy też amunicję. Jesteśmy przygotowani na najgorsze.

– Dobrze. – Wszedł z bloku i wszedł do samochodu.

– Lipskowie. Wiesz, gdzie to jest?

– Jasne, panie kapitanie. Mieszka tam moja ciotka. – Szofer, w przeciwieństwie do Tannera, był zawsze przytomny.

Dowódcy plutonów zameldowali gotowość i wyruszyli. Było zimno, ale na szczęście deszcz już nie padał. Droga prowadziła prawie bez przerwy przez las. Za dnia była bardzo przyjemna, teraz wyglądała obco. Bez przeszkód dojechali do Lipskowego. W budynku posterunku policji przy głównej drodze paliły się światła; dwóch policjantów w szarych płaszczach wyszło im naprzeciw.

– Zaprowadzimy was, to niedaleko, dwa kilometry stąd.

Starszy policjant wyglądał na obojętnego, młodszy był zdenerwowany.

– Dużo tego?

– Eeee, czy ja wiem? Na oko tysiąc sztuk. Tyle naraz nigdy nie widziałem. Tylko na zdjęciach. Ludzie tu się bardzo zaniepokoiili, panie kapitanie. Pozamykali się w domach i siedzą. Zrobicie z tym porządek, co?

– Jasne. Jedźmy, szkoda czasu. Właźcie do mojego samochodu.

Gniazdo zaczynało się kilkanaście metrów w bok od polnej drogi i ciągnęło się daleko w stronę lasu, którego ciemna ściana wyłoniła się właśnie w świetle księżyca. Kompania wysypała się z samochodów; jedni żołnierze ustawiali wprawnie reflektory, miotacze ognia i stanowiska karabinów maszynowych, gdy tymczasem inni przeciągnęli węże i zaczęli polewać powierzchnię gniazda benzyną.

Dutra wysiadł z samochodu i poszedł skrajem błyszczącej matowo plamy w stronę lasu z latarką elektryczną w ręce.

Gniazdo było ogromne.

Z odległości kilku kroków wyglądało jak tafła stężałego jeziora, bo dął lekki wiatr, a połyskliwa powierzchnia nawet nie drgnęła. Ziemia tuż przy krawędzi szklistej tafli była podniesiona, jakby z nieba spadła w zwolnionym tempie gigantyczna kropla rtęci i wgniotła grunt, tworząc płaską, regularną misę. Ukląkł i dotknął ostrożnie powierzchni. Była ciepła jak ciało, skórzasta. Pod tym przezroczystym naskórkiem widział skłębiony wir pozlepianych kształtów. Ludzie, ubrani i nadzy, czasem dziwacznie poskręcani, wydłużeni lub skróceni, byli wprasowani w siebie nawzajem w najbardziej niedorzeczny sposób. Tuż pod sobą widział głowę młodej dziewczyny z twarzą rozciągniętą uśmiechem i przymkniętymi oczami. Była ubrana w jasnoczerwoną sukienkę w białe groszki. Plecami do góry leżał nagi starszy mężczyzna z głową wgniecioną głęboko w miejscu lewej piersi dziewczyny.

Szofer splunął.

– Skąd to się, plugastwo, bierze, panie kapitanie?

Dutra podniósł się. Po plecach przeszły mu ciarki. Kiwnął w stronę nieba.

– Stamtąd.

Ale w głębi duszy wiedział, że mógłby wskazać dowolny kierunek.

Zapach benzyny dotarł już i tutaj.

– Niech pan spojrzy, kapitanie! Tam coś jest! – Szofer patrzył w stronę lasu.

Za drzewami widać było światło, wielki sześcian matowego światła. Podeszli bliżej, przedzierając się przez zarośla. Sześcienna bryła, sięgająca im do ramion, zanurzała się wolno w ściółce. Trzasnął łamany patyk. Bryła świeciła delikatnym, rozproszonym blaskiem. Dotknął jej. Była zimna i twarda. Z wnętrza, naprzeciw jego twarzy, wypłynął trójwymiarowy obraz.

Na środku pokoju stał stół, na którym leżał związany nagi człowiek. Oddychał szybko, a jego ciało pokryte było potem, jak po ogromnym wysiłku. Ze zmiądzonych palców na podłogę z jasnych ceramicznych płytek skapywała krew. W kącie siedział człowiek w mundurze i pilnie coś zapisywał. Dwaj inni ludzie pochylali się nad nagim człowiekiem i rozmawiali ze sobą, wybuchając co chwila śmiechem. Jeszcze jeden człowiek, także umundurowany, szukał czegoś w przeszklonych szafkach zawieszonych na ścianie.

– Kapitanie! – Szofer potrząsnął go za ramię. – Coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku...

Wstał z klęczek i otrzepał nogawki. Świetlisty sześcian zanurzył się już do połowy w gruncie. Musiał być niezmiernie ciężki. Zmusił się do oderwania od niego wzroku.

– Już wszystko w porządku. Przez chwilę... Byłem nieobecny.

Wrócili na stanowiska kompanii.

– Zaczynamy.

Benzyna eksplodowała i płomień skoczył kilka metrów w górę. Zrobiło się widno i gorąco. Skórzasta warstwa okrywająca gniazdo poczerniała i zaczęła pękać. Cała przestrzeń przed nimi wyroiła się konwulsyjnym ruchem setek podrygujących, dźwigających się w śmiertelnym wysiłku kadłubów. Dutra dał znak. Wszystkie karabiny maszynowe kompanii rozpoczęły ciągły ogień.

Wrócili do koszar po dziewiątej, zmęczeni, przesiąknięci smrodem palących się ciał. Dutra zmienił mundur, umył się i poszedł na swoją kwaterę w mieście. Spał sześć godzin, zjadł w kantynie obiad, a potem znów spał, aż do zmroku. Przypomniawszy sobie o umówionym spotkaniu w restauracji z Nikkim. Po drodze kupił w kiosku wieczorny dziennik. Zamówił kolację dla siebie i dla Nikkiego (był pewny, że Nikki,

chorobliwie punktualny, zjawi się na czas) i przejrzał gazetę. Jego uwagę zwróciła notka o okropnym odkryciu dokonany w miejscowości Pliw, niedaleko Fresztu. Otóż wszyscy mieszkańcy Pliw, tysiąc pięćset czterdzieści sześć osób, zostali w okrutny i niepojęty sposób zamordowani. Ich na pół spalone zwłoki znaleziono niedaleko opuszczonych domów, w polu. Śmierć nieszczęśników została spowodowana przez kule broni maszynowej lub przez ogień – większość ciał była popalona i postrzelana. Nie uratował się żaden świadek zdarzenia, ale władze nie miały wątpliwości, iż odpowiedzialni za tę zbrodnię są Aldebarańczycy.

Gazeta opublikowała zdjęcie jednej z ofiar. Jakimś cudem twarz dziewczyny, chociaż dziwacznie zdeformowana, ocalała. Dutra wzdrygnął się.

– Dobry wieczór, kapitanie!

Nikki zbliżał się do niego szybko. Zatrzymał się zdziwiony wyrazem twarzy Dutry.

– Co ci się stało, Janie? Źle się czujesz?

Dutra czuł się bardzo źle.

BUNKIER

Właściwie był człowiekiem lasu. W tym sensie, że najlepiej czuł się w lesie i wracał do niego, kiedy tylko się da. Roślinna, nieskończona cierpliwość wzrastającego drzewa gasiła jego gorączkową, udęczającą niecierpliwość. Patrzył na chwiejące się na wietrze, zielone maszty. Nie musiał tam niczego udawać, był tylko tym, czym czuł się naprawdę. Zabawne – mieszkańcy Prowincji, ci po jej germańskiej stronie, przed wojną uważali, że jej wschodnia część rozpoczyna wielki, tajemniczy obszar lasów, ciągnący się hen na wschód, aż do Azji. Ale ich już nie było, tak jak nie było już tego fałszywego wyobrażenia. Został jednak bunkier. Stał na niewielkim wzniesieniu na skraju lasu, przy leśnej drodze, wypatrując otworami strzelniczymi zapomnianego wroga na rozległych polach, które niegdyś oddzielały dwa wrogie państwa. Było upalne popołudnie, grały świerszcze. Schylając głowę, wszedł do środka. Dlaczego? Czy spodziewał się zastać to, co tam zobaczył? Chyba nie, zrobił to raczej przypadkowo, choć musiał przecież przyznać, że nastrój tego dnia był w doskonałej harmonii z wrażeniem, jakie wywarło na nim to drobne odkrycie.

Szkielet leżał w drugim pomieszczeniu bunkra. Poznał go po zębach. Dreszcz przebiegł mu po plecach. To zetlałe, tak dobrze znajome ubranie...

Ukląkł przy nim i wpatrywał się z niezdrową fascynacją w szczerzącą się do niego czaszkę. Dotknął jej czoła, gładził palcami po tej nagiej i bezbronnej już zupełnie wypukłości, a potem sięgnął do kieszeni spłowiełej koszuli i znalazł to – swój prywatny notatnik w niebieskiej plastikowej okładce.

Otworzył go. Nie mogło być mowy o żadnej mistyfikacji. Odręcznego pisma nie daje się tak łatwo podrobić. Zresztą – po co miałby ktoś zadawać sobie taki wysiłek? Drut, który musiał kiedyś krępować jego ręce i nogi.

– Jesteś już tu długo?

Wyszedł na słońce. W dziwny sposób wzmocniony i pokrzepiony. Bo skoro jego śmierć już się dokonała, to czy mogło mu jeszcze grozić coś naprawdę złego?

ZAGADKA NIEŚMIERTELNOŚCI

Patryk de Groff zrobił zakupy i wracał do swojego samochodu. Aneta, jego kierowca, niosła torbę z zakupami. Kiedy zatrzymał się nagle, widząc dziwnie ubranego, grzebiącego w kubie na śmieci człowieka, zapytała, czy może iść do auta.

– Oczywiście, Anetko. Zaraz przyjdę, poczekaj na mnie. – Uśmiechnął się do niej uprzejmie, ale ona była jak zawsze chłodna i obojętna.

Człowiek grzebiący w kubie odwrócił się, czując na sobie jego wzrok.

Ubrany był w ciemnozieloną kurtkę, jakby wojskowego kroju, granatowe spodnie śmiesznie rozszerzające się u dołu i zniszczone, niewygodne buty na wysokim obcasie. Był brudny i wychudzony, kurtkę na plecach zdobiły wykwity soli.

– Co się tak patrzysz?

Cóż za nieprzyjemny, gderliwy głos. Jak ty się tu, cudaku, uchowałeś?

– Wygląda mi na to, że jest pan w potrzebie.

Człowiek patrzył na niego podejrzliwie.

– W potrzebie? Jasne, facet. Coś się nawyrabiało, żeby nie powiedzieć mocniej. Ale ja nie jestem żaden żebrak, rozumiesz?

– Oczywiście, rozumiem. Ale chciałbym mimo to panu pomóc.

Cudak rozejrzył się płochliwie i zbliżył do de Groffa szybko kilkoma drobnymi krokami.

– Ja też mogę ci pomóc, chłopie. Mogę ci powiedzieć o tym, o czym wy tutaj nie macie zielonego pojęcia. A u nas, tam, w przyszłości, to normalka, kapujesz?

– U was, w przyszłości?

– Jasne. Traktujecie nas tu jak psy, a my, bracie, jesteśmy waszą przyszłością. Przybywamy z przyszłości, kapujesz? Coś się naszym profesorkom pojechało i zdarza się, że ktoś z nas ląduje w takim gównie jak ja teraz, tak to wygląda, bracie.

– Rozumiem. Jest pan po prostu podróżnikiem w czasie, czy tak?

– Jasne! Łapiesz? Większość tych tu ćwoków to durnota, ale ty jesteś, widzę, sprytny.

– Dziękuję.

Cudak wytarł prawą dłoń o spodnie i wyciągnął ją ku niemu.

– Nazywam się Knut Donnay.

Patryk zawahał się chwilę, ale w końcu podał mu rękę.

– Patryk de Groff.

– Pięknie. – Cudak złapał go pod ramię. – Słuchaj, możemy zrobić interes. Ja przecież tam wrócę, do nas, do naszych czasów. Łapiesz? I mogę ci pomóc. Wy tu jesteście jak neandertalczyki, naprawdę. Żal mi was. Na przykład czy wiesz, że właściwie u nas każdy może być nieśmiertelny?

– Nieśmiertelny? To fascynujące. Może mi pan o tym opowiedzieć? Posłucham pana bardzo chętnie. Proszę, chodźmy do mojego samochodu, Anetka musi się już niecierpliwić.

Zaczął iść wolno w stronę parkingu, dziwak szedł koło niego i gadał bez przerwy.

– Tak, bracie, każdy może być nieśmiertelny. Biorą cię na zabiegi i szprycują jakimiś świństwami. Enzymy, hormony, jakieś tam dupsy, nie pamiętam. W każdym razie robisz się od razu młodszy. Trochę to kosztuje,

ale właściwie każdego normalnego człowieka na to stać. Już nie mówię o takich gościach jak ty. No więc interes jest taki – ty mi pomożesz, to i ja pomogę tobie, kiedy wrócę do swoich. Capniemy cię stąd i zafunduję ci małą terapię, dobra?

– Oczywiście pomogę panu. Chciałby pan zjeść u mnie obiad?

Byli już przy samochodzie i Aneta spoglądała z obrzydzeniem na cudaka.

– Niezła gablota – cmoknął Knut. – Twoja?

– Proszę wsiąść, pojedziemy do mnie.

Wyjechali poza miasto. Cudak bez przerwy gadał o nieśmiertelności, a de Groff kontemplował melancholijny późnopołudniowy krajobraz. Kiedy zatrzymali się przed żelazną bramą posiadłości, de Groff wyszedł z samochodu. Psy podbiegły do bramy. Miały ogromne, ciężkie łby i krótką, ciemnobrązową sierść. Zagwizdał cicho, a psy skuliły ogony i pobiegły do swoich kojców. Nacisnął guzik przy bramie i drzwiczki do kojców zatrasnęły się.

– Ładne sztuki – powiedział niepewnie cudak, kiedy przejeżdżali przez bramę.

– To moje ukochane zwierzęta. Dogi abisyńskie. Zapłaciłem za nie majątek. Mogę je obserwować godzinami. Bardzo niebezpieczne.

Knut stał się mniej rozmowny. De Groff zaprowadził go do jadalni i poprosił Rosi, żeby przygotowała obiad.

– Mam nadzieję, że zostanie pan u mnie dłużej. Koniecznie musi mi pan opowiedzieć więcej o naszej przyszłości.

– No, nie wiem. Chciałbym jak najszybciej wracać do siebie. Ale jesteś bardzo miły. No i jest tu u ciebie całkiem fajnie.

Cudak rozsiadł się przy stole i przełykał ślinę, wlepiając oczy w duży kosz z owocami.

– Proszę, niech się pan poczęstuje. Może pan po obiedzie wziąć kąpiel. Dostanie pan też jakąś świeżą odzież. Proszę się dobrze wyspać. I niech pan uważa na psy. Wypuszczam je na noc, wszystkie trzy.

Dwa dni później de Groff zaprosił do siebie swoich najlepszych przyjaciół, Eryka i Piotra. Piotr był nie tak zapalonym miłośnikiem psów jak Eryk, ale Patryk sądził, iż nie będzie niezadowolony z pokazu. Zjedli razem obiad, potem poczęstował ich winem.

– Zdarzyło się coś bardzo smutnego. Musiałem zastrzelić swoje trzy poprzednie dogi.

– Do diabła, Patryku, dlaczego zawsze musisz mieć trzy psy? Nie mogę tego zrozumieć. – Eryk zaśmiał się nerwowo.

– Wiesz, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Jakoś tak wyszło.

– Dobra, nie przeszkadzaj mu, przecież widzisz, jak się szykuje, żeby uraczyć nas jedną z tych swoich idiotycznych historyjek. – Piotr jak zawsze starał się być złośliwy.

– Masz rację. Posłuchajcie. Wiecie, jak bardzo dbam o to, aby moje psy były dobrze ułożone. Powinny być absolutnie posłuszne swojemu panu, czyli mnie. I powinny być odpowiednio agresywne wobec obcych. Wpadłem kiedyś na pomysł, by wykorzystać do szkolenia jakiegoś cudaka. Znalazłem jednego – taki starszy już tłuścioch – i zwabiłem do siebie. Wypuściłem go na wybieg i moje psy zaatakowały, jak możecie sobie wyobrazić.

– Dałeś cudaka na pożarcie swoim psom? – Piotr skrzywił się z niesmakiem.

– Zabiły go bez trudu. Ale dopiero teraz zaczyna się cała historia. Cudaki mają dość dziwne własności, na pewno o tym słyszeliście – ich ciała regenerują się w zdumiewającym tempie. Moje pieski były

wygłodzone i nieźle cudaka poszarpały. No, zjadły go prawie do szcztetu, ty wiesz, Eryku, jak one potrafią obrobić zwierzynę.

Eryk kiwnął ze znawstwem głową.

– Ale po kilku godzinach cudak nie dość, że znów obrósł tłuszczem, to nawet zaczął się ruszać. Mówię wam, to był widok! Moje pieski atakowały go co jakiś czas, a on oddawał ducha, jadły go i tak w kółko. Przez miesiąc nie karmiłem ich, wyobraźcie to sobie! Zupełnie zapomniałem o celu tego wszystkiego – chciałem przecież szkolić swoje psy, a nie obserwować, jak zachowuje się zjadany przez nie cudak. W końcu psy dostały jakiejś nerwicy – wyły po nocach, czasem podbiegały do cudaka, próbowały się do niego łąsić, chociaż oczywiście on sam starał się trzymać od nich jak najdalej. Kiedy przyduszała je głód, znów go szarpały i tak w kółko.

Patryk wstał, trzymając kieliszek w ręku, i poprowadził ich na werandę z tyłu domu. Stanęli przy balustradzie werandy; niżej, przed nimi, rozciągał się trawiasty wybieg ogrodzony wysokim na trzy metry metalowym płotem. Za wybiegiem rosły stare kasztany. Po prawej stał niski budynek z kilkorgiem metalowych drzwi.

– No i co się w końcu stało z tym cudakiem? – zapytał Piotr, starając się nadać swemu głosowi najbardziej obojętny ton.

– Zniknął. Pewnego ranka już go nie znalazłem. A psy dalej wyły po nocach. Zastrzeliłem je i kupiłem nowe. Dwa dni temu znalazłem innego cudaka. Chcę wam to pokazać. Ale nie będę tym razem tego ciągnął, teraz chodzi mi już wyłącznie o psy. Niech się uczą. A cudaka pozbędę się inaczej.

Podniósł słuchawkę aparatu leżącego na stoliku.

– Bardzo pana proszę, panie Donnay. Może pan wyjść na zewnątrz? Drzwi są już otwarte. Chciałbym pana poczęstować obiadem.

Odłożył słuchawkę.

– Mam nadzieję, że wyjdzie i nie trzeba go będzie wyciągać siłą. Od dwóch dni niczego nie jadł.

Jedne z drzwi niskiego budynku otworzyły się i stanął w nich cudak. Był zarośnięty i mrużył oczy, jakby przebywał do tej pory w ciemnościach. Miał na sobie czarną, za długą marynarkę i brązowe, zbyt obszerne spodnie. Dostrzegł ich i podszedł aż do płotu.

– Patryk? Mieliśmy przecież porozmawiać o nieśmiertelności, no nie? Co ty za numery wyprawiasz? Zamknąłeś mnie w tej klitce, kurwa, na całe dwa dni! Odbiło ci? Mieliśmy zrobić interes, nie?

– Jesteśmy zainteresowani nieśmiertelnością, ja i moi dwaj przyjaciele, Piotr i Eryk. – Wskazał ich ręką. – Właśnie dlatego tu są.

Uśmiechnął się do nich obydwu, po czym podniósł znów słuchawkę.

– Rosi? Możesz wypuszczać psy.

JA I TY

Dwóch mężczyzn zsiadło z rowerów, dojechawszy do ruchliwej szosy. Obaj byli bardzo do siebie podobni, jak bliźniacy. Jeden z nich nosił wielkie słoneczne okulary, które trochę to podobieństwo maskowały. Przeczekali sznur pojazdów i przeszli przez szosę. Droga biegła dalej ukosem ku wsi. Niedaleko widzieli masywną sylwetkę kościoła. Wsiedli znów na rowery i popedałowali wolno w jego stronę. Wcześniej skręcili do baru. Było słoneczne i ciepłe popołudnie. Na podwórku, na drewnianych ławkach, siedzieli goście, pijąc piwo i głośno gawędząc. Z głośnika przy budynku płynęła skoczna popularna muzyka.

Mężczyzna bez okularów wszedł do baru i po chwili wrócił, niosąc dwa kufle piwa. Ten w okularach usiadł przy stoliku osłoniętym czerwonym parasolem.

– Musisz znać doskonale to miejsce, prawda?

Przychodzący postawił kufle na stoliku i usiadł naprzeciw.

– Tak. Chociaż teraz, po tym, co mi powiedziałeś, właściwie wszystko wydaje mi się jakoś obce. – Ten w okularach uśmiechnął się niepewnie.

– Rozumiem! – Ernest roześmiał się głośno. – Wszyscy tu poczuliśmy się dziwnie po tym, co się stało. A propos, ta wieś była już dawno znana z tego, że widziano tu latające spodki. Wiedziałeś o tym?

Drugi spojrział na Ernesta ze zdziwieniem.

– Tak, naprawdę! Ale wtedy to była pewnie kaczka dziennikarska. Teraz to co innego, nie?

Drugi wypił łyk piwa. Był nieco zmęczony długą jazdą. Tymczasem Ernest wyglądał na tryskającego energią. Fakt właściwie niewytłumaczalny, jeśli to, co mówił Ernest, było prawdą.

– Staralem się dotąd oswoić cię z sytuacją. Dzisiaj chciałbym opowiedzieć ci o tym, jak sobie tłumaczymy to, co się stało. W naszym świecie zaczęli pojawiać się tacy jak ty. Nazwaliśmy ich cudakami, ponieważ zwykle zachowywali się dość dziwnie. Na oko wyglądacie jak zwykli ludzie, a jednak zdjęcia wykonane przy pomocy promieni N wykazują zasadniczą różnicę w waszej budowie subatomowej. Wasza odmienność przejawia się też i na poziomie makroskopowym. Wasze ciała mogą – choć nie jest to żelazna reguła – regenerować najpoważniejsze uszkodzenia.

– Nie pamiętam żadnego przeskoku, żadnej wyraźnej zmiany. Po prostu nagle spotkałem w swoim domu człowieka, który był ze mną fizycznie identyczny. Kiedy pokazałeś mi te wszystkie gazety, czasopisma, książki, kiedy usłyszałem w radiu niezrozumiałe wiadomości, pomyślałem – to jakaś idiotyczna mistyfikacja. Ale przecież ty nie jesteś mistyfikacją.

– Nie jestem. Sam mogę zastanawiać się, czy ty nie jesteś swego rodzaju mistyfikacją. Czy mówisz prawdę, kiedy twierdzisz, że to wszystko jest dla ciebie zaskoczeniem. Wiesz, nasz rząd uważa, szczerze czy nie, iż dokonujecie inwazji. Bardzo wielu z was tak właśnie się zachowuje – jak niedorzeczni, nieporadni najeźdźcy. Założyliście ambasadę w stolicy cesarstwa, wydajecie groźnie brzmiące oświadczenia; w zeszłym tygodniu wasz minister spraw zagranicznych, składając nam wizytę, zażądał bezwarunkowej kapitulacji armii cesarstwa. Po czym budynek ambasady

aldebarańskiej (tak was nazwała ulica – Aldebarańczycy, i, o dziwo, tak sami zaczęliście się od tego czasu nazywać) rozpląnął się w powietrzu. Ale czy to o czymś może świadczyć? Wykryto wielu waszych na najwyższych stanowiskach w państwie. Trwa stan zagrożenia podsycany przez władze. Nawet gdybym ci uwierzył – gdybym uwierzył w twoją szczerłość, to czy mogłoby to coś zmienić? W gruncie rzeczy nie przestajesz być obcym i groźnym.

Drugi zasepił się.

– Zaczynasz mnie przerażać. Nie mam żadnego sposobu, żeby udowodnić ci moją prawdomówność.

– To nic nowego. Przecież tak bywa bardzo często między zwykłymi ludźmi, nieprawdaż? Ale nie martw się. Ja ci wierzę. Znam bardzo dobrze każdą twoją myśl. Każde drgnienie uczuć. Znam cię jak siebie samego! – Wybuchnął śmiechem. – To wspaniałe. Różnimy się tylko historią ostatnich pięciu lat cesarstwa. To bardzo niewiele, Drugi. Jesteśmy niemal identyczni.

Mały chłopczyk z kijem w ręku podszedł do nich i patrzył to na jednego, to na drugiego, wreszcie zaczął płakać i uciekł do rodziców, którzy widząc jego reakcję, uśmiechnęli się.

– Ja nie wierzę, że dokonujecie inwazji. Nie sędzę nawet, że kierujecie się jakimś celowym planem działania, że do czegoś dążycie. Zresztą to nie mój oryginalny pomysł. Rząd cesarstwa usiłuje narzucić ten obraz – obcej kosmicznej inwazji, której celem jest zniszczenie cesarstwa i unicestwienie ludzkości. Jednak wielu uważa was za uboczny produkt jakiegoś kolosalnego, niepojętego procesu, który rozgrywa się wysoko ponad naszym zasięgiem pojmowania i percepcji zmysłowej. Wielu cudaków nie przyznaje się przecież do żadnego związku z „cywilizacją aldebarańską”. Jesteśmy ludźmi przybyłymi z przyszłości, waszą prawdziwą przyszłością,

powiadają. Jednocześnie nie wygląda na to, by panowali nad całym procesem. Raczej mu podlegają, są jego przedmiotem. Nasi astronomowie zauważyli gwałtowne perturbacje w ruchu satelitów Jowisza. Pojawiły się tam kolosalne, regularne struktury, najwyraźniej sztucznego pochodzenia. Zdaniem zwolenników teorii inwazyjnej jest to dowód wspierający tę teorię. Może być jednak inaczej. Znaleźliśmy się w polu działania obcej cywilizacji, to jest niewątpliwe. Ale ta obca cywilizacja nie zajmuje się nami, w każdym razie nie w taki sposób, jaki moglibyśmy pojąć. Jednym z efektów jej działania, być może zupełnie przypadkowym, jesteście wy, cudaki. Wasze psychiki oddziałują w skomplikowany sposób z naszymi, tworzą się jako groteskowe odbicia naszych wyobrażeń o kosmicznych przybyszach, stąd zachowania „inwazyjne” części przybyszy. Inni cudacy, ci opowiadający o tym, iż przybyli z przyszłości, mogą w pewnym sensie mówić prawdę. Prawdziwi obcy, ci, których oblicza nigdy nie poznamy, potrafią pewnie wyczyniać z czasem różne sztuczki. Ich oddziaływanie na cywilizację ziemską rozciąga się także na przeszłość, a ta kategoria cudaków to ci, którzy trafili tu właśnie stamtąd, z przyszłości.

– Nie pasuję do żadnej z tych dwóch kategorii – powiedział cicho Drugi. Zdał sobie naraz sprawę z tego, jak bardzo nie lubi tego imienia, które nadał mu Ernest. Nie był drugim. Był zwykłym człowiekiem, takim samym jak Ernest. Był tym samym, czym on.

– Dlatego tak mnie fascynujesz. Jesteś wyjątkowy. Ponieważ jesteś taki sam jak ja. Czuję to. Jestem... urzeczony.

Popatrzyli sobie w oczy. Tak, byli identyczni, każde drgnienie mięśni twarzy jednego z nich było znaczące dla drugiego. Byli najdoskonalszym laboratorium empatii na całym bożym świecie. Drugi poczuł, jak obejmuje go nieprzeparła chęć dotknięcia Ernesta. Złapania jego dłoni, ściśnięcia jej.

Oczy Ernesta zajarzyły się.

– Wiem.

Zapadło milczenie. Muzyka płynąca z głośników stała się nieznośna. Dopili piwo i pojechali dalej. Zatrzymali się na pustej drodze i kiedy Drugi był odwrócony do Ernesta tyłem, ten uderzył go z całej siły w tył głowy butelką wyjętą z torby. Powłókł go do lasu i związał. Zakleił mu usta taśmą klejącą. Drugi ocknął się szybko. Miał zakrwawione włosy. Ernest dotknął jego policzka.

– Patrzę teraz prosto w twoje oczy. To są moje oczy. Boisz się. Ja też odczuwam ten strach, wierzysz mi? Smakuję go. Jesteś mi tak bliski. Nie ma nikogo na całym świecie, kogo rozumiałbym tak dobrze jak ciebie. Ty też mnie rozumiesz, prawda? Tak, widzę to w twoich oczach. W moich oczach. Zawsze byłem ciekaw, jak będzie wyglądała moja śmierć, mój ból. Zawsze chciałem obejrzeć siebie samego oczami innych, z zewnątrz. Bałem się, że rozumiesz dokładnie tak samo jak ja, że będziesz pragnął tego samego, przejrzysz mnie. Przejrzysz siebie wcześniej niż ja sam. Nie, teraz nie chcę już usłyszeć tego, co mógłbyś mi powiedzieć. Zresztą wiem o tobie wszystko. Prócz tego jednego.

W pobliżu drogi, na lekkim wzniesieniu na skraju lasu, był zarośnięty zielskiem stary bunkier. Zaciągnął go tam. Nikt nie mógł im tam przeszkodzić.

CESARZ

Frank Remours przestraszył się, kiedy cesarz podniósł się z posadzki kaplicy i zwrócił ku niemu swoją wychudzoną, bladą twarz. Wyglądał bardzo źle, nawet biorąc pod uwagę fakt, iż spędził, leżąc krzyżem, prawie dwie doby. To pewnie owa przeklęta choroba, na jaką zapadł jego umysł przed rokiem, znów się wzmacza.

– Proszę mi wybaczyć. Twoja siostra bardzo niepokoi się o ciebie. Zresztą tak jak my wszyscy – dodał pośpiesznie.

Cesarz miał siedemnaście lat. Jego matka zmarła dawno temu, ojciec zginął w tajemniczym nieszczęśliwym wypadku. Karol został władcą cesarstwa i był teraz centrum ich niewielkiego wszechświata intryg i politycznych walk.

Blade i zimne światło poranka wpadało przez witraż kaplicy. Karol miał wielkie, smutne oczy. Jasne, długie włosy opadały na kołnierz purpurowego płaszcza. W oczach miał łzy.

– Zapadłem dziś w nocy w niespokojny sen. Widziałem moje państwo, tak jakbym oglądał je przez odwróconą lunetę. W dole widziałem chłopów zbierających zboże. Dzieci bawiące się na podwórkach domostw. Robotników trudzących się przy budowie mostu. I widziałem ludzi spieszących całymi rodzinami w dzień świąteczny do katedry, aby oddać

cześć naszemu Panu. I nasze wojska ruszające w bój z barbarzyńcami pod starymi, dostojnymi sztandarami. Widziałem to wszystko i ogarnęła mnie niepomiaralna żalność. Czyż bowiem wszystko nie przemija i nie jesteśmy tylko naszym własnym złudzeniem?

– Bardzo chciałbym cię zrozumieć, panie – powiedział sucho Remours.

– Czy tak trudno mnie zrozumieć? Toczymy śmiertelną walkę z podstępny i zdradzieckim wrogiem. Nieprzebierającym w środkach. Usiłującym wejść do naszych serc, obrócić przeciw nam samym nasze własne uczucia. Czyż wielu z naszych poddanych nie rozpowszechnia błędnych i tragicznie niebezpiecznych sądów o najeźdźcach? Niektórzy identyfikują się z nimi, opowiadają, że są takimi samymi istotami jak my, a nawet są tacy, którzy posuwają się do twierdzenia, iż nasz Zbawiciel również i za nich oddał swe życie! Czy nie oburza cię to bluźnierstwo, Frank?

– Tak. To jest świętokradcze twierdzenie, panie.

Powiedział to bez przekonania i Karol spojrzał na niego nieufnie. Miałś najlepszych nauczycieli i wychowawców, ale czy nie było wśród nich za dużo klechów? – pomyślał Remours. Może to właśnie jest przyczyną tego nieszczęścia, jakim jest władza szalonego, niedojrzałego umysłu nad olbrzymim imperium?

Twarz Karola rozjaśnił dziwaczny, brzydki uśmiech, jakby odgadł jego myśli. Patrzył teraz na niego z dobroduszną wyrozumiałością.

– Nie frapuj się. Nasz Pan postawił mnie na tym miejscu, abym czuwał nad jego królestwem. Pan dał mi siłę przeciwstawienia się złu. Wypalę go ogniem i żelazem. Kiedy zjawi się stugłowy smok, zetnę wszystkie jego ohydne łby i wrzucę w ogień. Miałem objawienie – nasza Przenajświętsza Pani stanęła przede mną i rzekła: Poddani jesteście próbie zła, ale jego potęga jest przemijająca i ty będziesz jego pogromicielem. Oto masz swój

oręż – cierpienie i pokorę wśród pychy i głupiego zarozumiałstwa. Bo tak jak trzoda idzie na rzeź, nie pojmując swego przeznaczenia, tak i ci pyszałkowie, którzy otwierają bramy miast przed nieprzyjaciółmi Pana, kroczą ku swojej zgubie wśród poklasku tłuszczy.

– Jestem tylko twoim skromnym asystentem, panie. Przyszedłem powiadomić cię, że twoja siostra martwi się o ciebie. Prosiła mnie bardzo, bym z tobą porozmawiał, chociaż zabroniłeś tu wchodzić komukolwiek.

– Postąpiłeś słusznie. Biedna Teresa nie rozumie, jaką siłą może obdarzyć człowieka modlitwa. Niestety, wielu ludzi jest pozbawionych daru korzystania z tego źródła. A ty, Frank, modlisz się często?

Remours poczuł zakłopotanie. Dlaczego? Przecież stał przed obłąkanym, biednym chłopcem.

– Staram się korzystać z tego źródła siły, panie.

Karol podszedł z uśmiechem i położył dłonie na jego barkach. Byli tego samego wzrostu. Remours poczuł ostry, nieprzyjemny zapach z jego ust.

– Nie ufasz mi. Nie jesteś ze mną szczery. Jednak jesteś wystarczająco lojalny. I wiem, że jesteś ostatecznie po mojej stronie. Prawda?

Stali tak przez chwilę w milczeniu. Wreszcie Karol westchnął i odwrócił się. Potem przeciągnął się i zachichotał.

– Powiedz Teresie, że za chwilę ją odwiedzę. Opowiedziała się po stronie diabła. Wiesz o tym? Tak, musisz o tym wiedzieć. Nieustannie próbuje nakłonić mnie do zmiany naszej polityki wobec Aldebarańczyków. Nie mówi o tym publicznie, ale zawsze, kiedy jesteśmy sami, natarczywie domaga się, bym zaprzestał prześladowań Aldebarańczyków, jak to ona określa. Czy możesz w to uwierzyć? Potrzebowałem odosobnienia i czasu, aby to przemyśleć. Dotarli aż tak blisko, do samego serca cesarstwa. Widzisz, jak są niebezpieczni? Tej nocy podjąłem też pewne postanowienie

dotyczące Teresy. Nie mogę pozwolić na to, by nas osłabiała. Będzie musiała nas opuścić.

Teresa opuści nas na zawsze, pomyślał Remours. Teresa, jedyna osoba, która kocha Karola. Jakże wszyscy jesteśmy samotni i nietrwali, w blasku wytwarzanym przez aparaty Blondlota, w łunie bijącej z pieców spalających zwłoki Aldebarańczyków. W ognisku lunety, przez którą ogląda nas w bezsenne noce cesarz Karol.

UMYSŁ I DUSZA GENERAŁA PRANGSA

Dochodziła pierwsza w nocy. Generał Albert Prangs zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy. Skończył właśnie przeglądać raporty z poprzedniego dnia. Wojna przybierała na sile. Dziwna wojna, ponieważ największym zmartwieniem obrońców była niemożność docieczenia celów najeźdźców, a nawet ich sposobów walki. Więcej nawet, sama tożsamość najeźdźców zmieniała się z czasem, różnicowała, jakby nie mieli do czynienia z jednym wrogiem, ale z wieloma jego gatunkami. Mapy gęstości występowania Aldebarańczyków. Ich cechy psychofizyczne. Nastroje wśród ludności cywilnej oraz wśród wojska. Kolorowe wykresy, analizy uczonych.

Lecz teraz myślał o ostatniej odprawie u cesarza. Jego szalona wizja pociągała go. Rozumiał młodego władcę bardzo dobrze. Dla niego Aldebarańczycy byli ucieleśnieniem zła, tak jak widziała to religia. Poza rozumem i poza racjonalnymi kryteriami należało walczyć z nimi, wytepić ich do ostatniego po to, aby ocalić ludzką wyjątkowość, sens całej budowli ludzkiej kultury. Tego wielkiego woskowego plastra ulepionego w ciągu tysiącleci, który teraz topił się błyskawicznie w nieludzkim żarze absurdu istnienia przybyszów.

– Sens całej budowli ludzkiej kultury – powtórzył to na głos z przyjemnością. Jak ładnie udało mu się to zracjonalizować. Szaleństwo Karola, które być może nie było wcale mniej niebezpieczne niż Aldebarańczycy. Jednak Prangs był generałem cesarskim. Składał przysięgę na wierność cesarzowi i państwu. Wstał od biurka i rozprostował kości. Ja myślę zupełnie inaczej niż Karol. Logicznie i na chłodno. Jestem racjonalistą, wychowankiem najlepszych świeckich uczelni cesarstwa. Miałem zawsze celujące stopnie z przedmiotów ścisłych. Mimo to doceniam pozytywne znaczenie religii dla spójności społecznej i utrzymania ładu w państwie. Czy nie jest w pewien sposób zaskakujące, że szaleńcze intuicje cesarza okazały się prawdziwe? Wyrażał innymi słowami tę samą prawdę, którą odkryliśmy dopiero niedawno. Ja, człowiek rozumu i sceptycyzmu, mówię o tym po prostu nieco inaczej.

Obcy wyekspediowali przeciwko nam maszynę wojenną o niewyobrażalnym potencjale. Jest to niezwykle złożona, inteligentna i samoucząca się broń; niewykluczone, iż jej fizyczną reprezentacją są te słynne sztuczne struktury w pobliżu Jowisza. Na Ziemi zaczęły pojawiać się istoty do złudzenia przypominające ludzi. Ich psychiki bywały niestabilne i przypadkowe, czasem przypominały nieudolne kopie psychik prawdziwych ludzi. Jedynym fizycznym wyróżnikiem tych istot była ich budowa subatomowa, ujawniana przez aparaturę Blondlota. Aż do ostatnich dni można było się łudzić co do intencji obcych. Teraz nikt, kto wiedział, co się dzieje, nie mógł mieć już żadnych wątpliwości.

Zacząły pojawiać się dokładne repliki ludzi. Dokładne fizycznie i psychicznie. Oryginały przepadały. Repliki nie miały zupełnie świadomości tego, co się stało. A przynajmniej tak utrzymywały.

Dla Prangsa sytuacja była przejrzysta i nadzwyczajnie groźna. Maszyna wojenna obcych prowadziła przez długi czas rozpoznanie. Pierwsze fale

cudaków, niedokładne i nieudane kopie ludzkie, były wstępnymi etapami podboju. Maszyna uczyła się jednak bardzo szybko. Po kilku zwrotach osiągnęła perfekcję – ostatnie egzemplarze cudaków były precyzyjnymi kopiami ludzi. Rozpoczęła się wielka podmiana. Właściwa faza inwazji. Było to przerażające i rząd nie zdecydował się na upublicznienie tych wiadomości. Co prawda ciągle można było dokładnie odróżnić cudaków od ludzi – aparaty Blondlota wykrywały ich ze stuprocentową dokładnością – ale jak długo można było liczyć na to, że wśród obsługujących aparaty ludzie będą stanowili większość?

Na razie wzmożono kontrolę wśród najwyższych urzędników cesarstwa. Przeprowadzano ją teraz rutynowo co tydzień. Tylko sam cesarz jej nie podlegał. Klóciło się to z racjonalnym podejściem Prangsa, jednak zdołał stłumić swoje wątpliwości. Ostatecznie, gdyby... to czy cokolwiek mogło mieć jeszcze jakiś sens?

Zadzwoił aparat. Podniósł ciężką, solidną słuchawkę.

– Słucham, Prangs.

– Panie generale, przyszedł pułkownik Lieberman. Z polecenia generała Gootee. Musi się natychmiast z panem skontaktować, sprawa bardzo pilna.

Adiutant Prangsa był wyraźnie zdenerwowany. Poczł niepokój.

– Dobrze. Wpuść go.

– Zły dzień, Prangs. Cholernie zły dzień.

Lieberman był rozespany i miał lekki zarost na policzkach. Razem z nim do biura weszło ośmiu żołnierzy gwardii z automatami wycelowanymi w Prangsa.

– Jesteś aresztowany. Oto rozkaz podpisany osobiście przez cesarza.

Lodowaty chłód. Kajdanki zaciskane boleśnie na nadgarstkach przez gwardzistę. I długi marsz przez puste korytarze budynku ministerstwa

obrony, w dół, coraz niżej i niżej, ku kręgom ciemności i wytłumianych krzyków.

– Jest mi przykro, Prangs, ale wiesz, sam podpisywałeś regulamin postępowania z cudakami.

Byli już na miejscu. Lieberman osobiście włączył aparat Blondlota i pokazał mu wyniki pomiarów. Wszystko się zgadzało.

– Lieberman, przecież to jest absurdalne! Nie jestem wrogiem, nazywam się Albert Prangs! Nie jestem żadnym cholernym agentem Aldebarańczyków!

– Słyszałem to już tyle razy – powiedział zmęczonym głosem Lieberman. – Ty przecież też. Daruj sobie. Dobrze wiesz, że i tak musimy to zrobić.

Rozebrali go do naga i przywiązali do stołu grubymi skórzanymi pasami. Gwardziści wyszli. Zgodnie z regulaminem mieli czekać w pomieszczeniu obok przez cały czas przesłuchania – jako odwód, na wszelki wypadek. Ponieważ z cudakami nigdy nic nie wiadomo. Do pokoju weszli fachowcy od przesłuchań. Zaczęli wyciągać i przygotowywać przyrządy. Jeden z nich pojawił się w zasięgu wzroku Prangsa. Trzymał w ręku imadło do miażdżenia palców. Porucznik.

– Nie chciałem być świadkiem twojego przesłuchania, Prangs, ale cesarz osobiście na to nalegał. Nie mogłem mu odmówić. Cesarz przywiązuje wielką wagę do tego, co powiesz. Być może wreszcie od ciebie dowiemy się czegoś istotnego.

– Boże, Lieberman, przecież ja o niczym nie wiem! O niczym!

Lieberman pokiwał głową z powagą.

– Tę hipotezę także rozpatrujemy. Jednak nie możemy podejmować żadnego ryzyka zaniechania. Stawka jest zbyt wielka, na pewno to dobrze rozumiesz, Prangs.

Porucznik z imadłem zbliżył się do niego i założył przyrząd na kciuk.

– Jakie są twoje zadania tu, na Ziemi?

Jakie są moje zadania? Tutaj, na Ziemi? Nie wiem, nie wiem, naprawdę nie wiem. Nie wiem nawet, gdzie podziła się moja biedna dusza, pomyślał z paniczną jasnością Prangs.

OGRÓD ZIEMSKICH ROZKOSZY

– Popierdoliło cię – powiedział z surową powagą Zgrywa Pop i Filip zbladł z zaskoczenia i wściekłości.

– Co, co? Co, co? Przecież to tu wszystko jest cacy, wszystko najlepsze, złoty interes, a ty mówisz: co?

Zgrywa Pop, zwalisty, ciężki, nieco niższy od Filipa, rozsiadł się w fotelu przy stoliku. Na blacie leżały pejcz, obcegi i stylizowana srebrna zapalniczka benzynowa w kształcie główki smoka. Nowy cień Zgrywy, Dedi, wysoki na dwa dziesięć, uśmiechał się bez przerwy do Filipa, co dodatkowo wyprowadzało go z równowagi.

– Wszystko jest tak jak trzeba, mówię ci, przecież tylko na tym zarobisz, a ty mówisz: co?

Dedi podszedł do łóżka z baldachimem. Z każdego ze słupków podtrzymujących baldachim zwisały łańcuchy. Dedi przyglądał się obrazowi nad wezłowiem łóżka. Obraz przedstawiał idylliczną scenę miłosną na łące pełnej kwiatów.

Zgrywa milczał i patrzył z dezaprobatą na Filipa.

– Chodź, pokażę ci je, sam zobaczysz, najlepszy towar, jaki można dostać. Zapłaciłem za nie kupę szmalu. Same najlepsze, wybierane. Nie masz pojęcia, ile musiałem dać na łapówki dla gliniarzy, byleby tylko je odstąpili. Chodź, zobaczysz i zmienisz zdanie.

Zeszli do sutereny. Drzwi obito grubą stalową blachą. Podłużne pomieszczenie nie miało okien. Dziewczyny, w wieku od czternastu do dwudziestu lat, były przykute do łańcuchów za nadgarstki i kostki. Łańcuchy przymocowano do bloczków, które mogły poruszać się wzdłuż szyn zamocowanych w suficie i podłodze, co zapewniało dość dużą swobodę ruchów. Na ziemi leżały płyty różowej gąbki, po jednym dla każdej uwięzionej. Niektóre z nich leżały na nich i spały. Inne chodziły wzdłuż szyn, brzęcząc łańcuchem, tam i z powrotem, jeszcze inne siedziały oparte o ścianę. Wszystkie miały usta zaklejone szerokim i mocnym plastrem.

– Widzisz? Jak ci się podobają? – zapytał Filip z nadzieją w głosie.

– Za tydzień będziesz miał tu piękny dom wariatów.

– A, tu się mylisz! Nic z tego! Długo gadałem z Dieterem. On mówi tak: nic się nie bój, Filip. To są cudaki. To się nazywa... nie pamiętam. W każdym razie one są tak zrobione, że trzymają jeden stan na zawsze. Zrobisz dziurę – zarosnie. I z tym, co mają w głowach, to samo. Nie zwariują, nie ma takiej możliwości. Aha, przypomniałem sobie. Tak mówił Dieter. One są jak kręcący się bąk, sprzężenie zwrotne, homeostaza. Wytrącisz z równowagi, wracają do tego samego stanu. I psyche też im nie ma prawa sięść. Widzisz, przygotowałem je specjalnie na twój przyjazd. Wymyte, różowiutki, prawdziwe cudenka. Nie ma prawa być z nimi żadnych kłopotów. Ktoś je zarazi – za chwilę po chorobie. Ktoś troszkę uszkodzi – za chwilę znów są calutki i zdrowe, bez żadnych kosztów. I nie trzeba ich nawet karmić, wyobrażasz to sobie?! No, to czemu mi mówisz, że mnie popierdoliło?

Dedi podchodził do każdej dziewczyny po kolei i lustrował je od stóp do głów. Te, które były przytomne, uciekały i kulily się pod ścianą.

– Widzisz, Dediemu się podobają! Mówię ci, co to ja z nimi miałem! One tu mają przycisk, jak chcą za potrzebą, to naciskają, przychodzi Jon i wyprowadza je do klopa. Wiesz, Jon przy okazji robi im różne psikuski i one tego nie lubiły. Mówię ci, przez jakiś czas wołały się tu sfajdać, niż zadzwonić po Jona. Więc ćwiczyłem je prądem, żeby było czysto. No i widzisz, nie ma teraz żadnych problemów. Jak w tym dowcipie – dlaczego kobieta ma jedną fałdę na mózgu więcej niż kura? Żeby nie srała po podwórku!

Filip wybuchnął głośnym śmiechem, ale Zgrywa Pop nawet się nie uśmiechnął i Dedi, spojrzawszy najpierw na niego, wrócił do swojego poprzedniego, zwykłego uśmiechu.

– I co to, kurwa, ma do rzeczy? – zapytał cicho Zgrywa, kiedy Filip przestał się śmiać.

– O co ci chodzi, Zgrywa, przecież ci mówię! To jest interes, co nie?

– Ciekawe, że Rupert i Rennie też wpadli na ten sam pomysł z tym interesem.

– No widzisz, Zgrywa. Oni też, nawet wcześniej niż ja. Dużo wcześniej.

– I dlatego ty jeszcze żyjesz. – Zgrywa szykował się najwyraźniej do wyjścia.

Filip zdębiał. Jeszcze żyję? To co, Rupert i Rennie już nie żyją?! O kurwa.

Zaniemówił. Lepiej teraz słuchać, niż gadać. Słuchać, co ma do powiedzenia Zgrywa. Wrócili do biura Filipa, na górę. Zgrywa usiadł w fotelu i skinął na Filipa.

– Siadaj. I słuchaj, co chcę ci powiedzieć.

Filip usiadł. Dedi stał obok swojego szefa i uśmiechał się do niego.

– Jestem skurwysyn, prawda? – Zgrywa zapalił papierosa i patrzył na niego w jakimś dziwnym skupieniu.

Chyba go właśnie bierze, pomyślał z niepokojem Filip. Jak nic, bierze go. Nie od parady nazywali go Pop. Ale o co mu chodzi tym razem?

– Co ty gadasz? Skurwysyn? O co ci, do cholery, chodzi?

– Jestem skurwysyn. Ty też jesteś skurwysyn. Prawie wszyscy są skurwysynami. Ale tak to już Bóg ustawił. Życie jest ciężkie. Albo ty dymasz innych, albo dymają ciebie. Ja bardzo nie lubię być dymany, dlatego robię to, co robię. Różne brzydkie rzeczy. Wiesz o jednych. A o innych nie masz pojęcia. Takie jest życie, Filip. I każdy będzie z tego rozliczony podle swojej miary. Jednym się uda, innym nie, Bóg każdego osądzi. Kapujesz?

– No... pewnie. Ale co to ma do rzeczy, z tymi cudaczkami?

– To – Zgrywa wskazał palcem w dół, ku suterenie – to nie jest ani ludzkie, ani boskie. Może to nie jest nawet od szatana? – Zamyślił się na chwilę. – Jak sądzisz, Dedi?

– Tak jest, szefie. To może nie być nawet od szatana. – Dedi nie przestawał się uśmiechać. Palant.

– Widzisz, nawet Dedi to rozumie, a ty co? Nie możemy się do tego pchać, to nie jest dla nas żaden interes. Może zyskasz, może stracisz. To nieważne. Pójdiesz na zatracenie, bo taka jest tego natura. Oto co zrobisz. Pozbędziesz się ich. Wszystkich. Co do jednej. Jeszcze dzisiaj.

I wyszedł. Razem z tym palantem Dedim odjechał swoją pancerną limuzyną i zostawił Filipa z kłopotem i stratami finansowymi. Bo przecież było jasne, że Zgrywa nie pokryje jego kosztów. Pozbądź się ich... Dobre sobie. Taki kapitał.

Był wściekły. No, ale mogło być gorzej. Zgrywa miał tylko leciuteńki atak, malutki. Trudno, straci trochę forsy i tyle. Ale co będzie dalej? Zgrywa był pamiętliwy, jeśli chodzi o takie dziwne przypadki. Miał swojego głupiego nosa. Głędził od rzeczy, a potem okazywało się, o co

chodzi naprawdę. Taka, jak to mówią, zasłona dymna. Ale czemu ja mam za to płacić?

Zadzwoił do Dietera i Jona i kazał im zaraz przyjeżdżać z wozem. Za kwadrans. Potem wziął pałkę i zszedł do sutereny.

Cudaczki powitały go chóralnym jękiem. O co im znowu chodziło? Teraz to nieważne. Podszedł do tablicy sterowniczej i przełożył jedną z dźwigni. Łańcuchy zaczęły przesuwac się tak, żeby miał łatwy i bezpieczny dostęp do każdej cudaczki – ręce rozciągnięte równolegle do szyny pod sufitem, nogi w lekkim rozkroku, odwrócone plecami do drzwi. Pierwsza z brzegu ustawiła się już tak jak trzeba, podszedł do niej i walnął pałką w tył głowy. Opadła bezwładnie na łańcuchach. Druga. Trzecia. Zaczęły wyć, mimo plastrów na ustach zrobiło się całkiem głośno – jak one to robiły? Filip walił pałką – potrzebował najwyżej trzech uderzeń do zgłuszenia cudaczki – i szedł dalej. Jedna, gdzieś z przodu, wyła szczególnie przejmująco.

Popatrzył w tym kierunku i zaklął głośno. Mechanizm przesuwający jeden z łańcuchów zablokował się i cudaczce urwało dłoń. Wymachiwała teraz kikutem, sikając wokół krwią, i miotała się jak opętana.

Filip podbiegł do niej i złapał za kikut. Walnął ją ze złości aż pięć razy, mimo że zwiotczała już za drugim ciosem. Zwisający bezwładnie kikut sikał dalej krwią.

– Kurwa, co za syf.

Spokojnie dokończył resztę, po czym otarł pot z czoła. No, zasapał się! Co za robota. Krew z kikuta tej małej cudaczki przestała już sikać. Tak to zawsze wygląda. Jutro nie będzie śladu. To byłby interes! A swoją drogą, czy to nie mogło inaczej wyglądać? – rozmarzył się. Po co nam pchają tych cudaków? Po jaką cholere? Nie wierzył w te bajki o inwazji, o jakiejś tam wojnie. Tamci robili jakiś interes, jaki, to nie wiadomo. No ale czy przy

okazji nie mogli czegoś załatwić dla nas? Przerobić nas tak, żebyśmy byli tacy jak te cudaki? Taki mały prezent, zamiast tu mącić swoimi kukłami? Co by to dla nich było? Żaden problem, tyle co kiwnięcie palcem w bucie.

Filip westchnął. Parszywe życie. Tak, Zgrywa miał rację. Co robić.

Trzeba zobaczyć, czy Dieter i Jon już przyjechali. I wywieźć ten cały kram gdzieś na wysypisko.

LABORATORIUM SUPERCIEŹKICH ZABAWEK

Oficjalna nazwa laboratorium brzmiała: Laboratorium Obiektów Ponadciężkich Nieznanego Pochodzenia im. Cesarza Karola, ale nazywano je Laboratorium Supercieżkich Zabawek.

W sekcji, do której przydzielono Daniela Eystera, były na początku dwie – Winda i Dom Lalek. Eyster miał zajmować się głównie Domem Lalek, Hans Bickel Windą. Obydwie zabawki stały bezpośrednio na podłodze, potężnej stalowej płycie tworzącej fundament budynku laboratorium. Początkowo obserwacje obiektów były przez to dość uciążliwe, ale szybko dorobiono odpowiednie przyrządy optyczne, które ułatwiały im pracę.

Wszystkie zabawki spadły dosłownie z nieba. Miały olbrzymią masę. Ich energia kinetyczna, zamieniając się w ogromne ilości energii cieplnej, spowodowała niszczące eksplozje. Winda zabiła więcej niż czternaście tysięcy ludzi – większość w promieniu trzech kilometrów od miejsca upadku. Dom Lalek spadł na szczęście w okolicach niezamieszkanym, ale i on spowodował wielki pożar lasów.

Rząd przedstawił te wypadki jako atak obcych, ale natura tych zjawisk od samego początku nie była dla ludzi tak oczywista.

Obydwa obiekty utkwiły głęboko w warstwie skał i prawdziwym dziełem sztuki inżynierskiej było ich wydobycie i umieszczenie w

przygotowanym wcześniej laboratorium. Laboratorium było ściśle tajne, rząd cesarstwa wolał zachować daleko idącą ostrożność, i ta tajność stanowiła dla badaczy oczywiście dodatkowe źródło emocji.

Same przedmioty były niezwykle. Na Ziemi nie znaleziono żadnych materiałów o gęstości tak nieprawdopodobnie dużej jak tego, z którego wykonano zabawki. Niewielu wątpiło, że są dziełem Aldebarańczyków albo przynajmniej mają z nimi ścisły związek.

Dom Lalek był sześcianem o boku długości około trzydziestu centymetrów. Ściany sześciangu były nieprzejrzyste, brudnoszare, z wyjątkiem Okna, prostokąta o wymiarach cztery na sześć centymetrów, umieszczonego pośrodku jednej ze ścian. Okno pozwalało na wejrzenie do środka. Winda była krystalicznie przejrzystym prostopadłościanem, wysokim na pięćdziesiąt centymetrów, o podstawie trzydzieści centymetrów na piętnaście. Był on przedzielony na pół od góry do dołu półprzezroczystą warstwą, tak że wyglądał jak dwie sklezione ze sobą bryły. W środku każdej z nich biegła pionowo przejrzysta rurka. W obydwu rurkach tkwiły przezroczyste walce, na różnej wysokości. W materii Winy zatopione były równomiernie malutkie błyszczące drobiny, wyglądające jak złote płatki śniegu. Materiał zabawek był niezwykle odporny – nie nosił żadnych śladów potwornych temperatur, jakim był poddany podczas upadku obiektów na Ziemię. Również wszelkie próby naruszenia jego spójności spełzły na niczym. Wydawał się całkowicie niezniszczalny.

Daniel pamiętał, jak pierwszy raz wszedł do budynku laboratorium, uzbrojony w magnetyczny identyfikator i teczkę z kanapkami.

– To są te obiekty – powiedział oficer, który wprowadził Eystera i Bickla do pomieszczenia. – To jest obiekt numer jeden, będzie się nim zajmował pan, profesorze Eyster.

Wskazał na Dom Lalek.

– To jest obiekt numer dwa. Będzie się nim zajmował pan, profesorze Bickel.

Zabrzmiało to jak głos sędziego wydającego wyrok.

Hans Bickel, facet, którego Daniel widział pierwszy raz w życiu, był sympatycznym, silnie zbudowanym trzydziestolatkiem. Obaj od razu przypadli sobie do gustu.

Aby obejrzeć dokładnie Dom Lalek i zajrzeć do Okna, profesor Eyster musiał położyć się na podłodze. Wy tłumaczono mu, że nie mogło być mowy o tym, żeby umieścić Dom na jakimś rodzaju podwyższeniu. Byłoby to zbyt niebezpieczne, nie znano materiałów odpowiednio wytrzymałych, a upadek tak masywnego przedmiotu nawet z niewielkiej wysokości mógł spowodować prawdziwą katastrofę. Tak więc leżał na podłodze i zaglądał do środka, czując się jak kompletny idiota.

Przez pierwsze kilka minut nie widział zupełnie niczego. Jakby spojrzął do butelki z mlekiem. Potem zaczęły wyłaniać się jakieś niewyraźne kształty. Trwało to bardzo długo. Po półgodzinie widział już wnętrze pokoju. Na środku stał stół, po jego przeciwnych stronach siedziało dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Było to bardzo dziwne – to, co Daniel widział w Oknie, ogarniało stopniowo całą jego świadomość, tak że przestawał postrzegać cokolwiek w świecie rzeczywistym. Okno wypełniało całe pole widzenia, nie słyszał dźwięków dochodzących z pomieszczenia laboratorium, nie czuł do pewnego stopnia własnego ciała. Postaci w pokoju Domu Lalek stawały się coraz bardziej rzeczywiste i wyraziste, widział już ich twarze, wydawało mu się nawet, że zaczyna je rozpoznawać... I wtedy ktoś zaczął szarpać go za rękę, a potem siłą odciągnął od Okna.

– Wystarczy, profesorze Eyster. Patrzy pan już w Okno dziewięć godzin – powiedział oficer i pomógł Danielowi podejść do biurka. Profesor miał

zesztywniały mięśnie i niepewnie stawiał kroki.

Tego pierwszego dnia zapisał w oficjalnym notatniku z ponumerowanymi kartkami, przymocowanym łańcuchem do biurka: „Dokonując obserwacji tak zwanego Domu Lalek, zobaczyłem w jego wnętrzu pokój, a w nim dwie osoby, kobietę i mężczyznę. Siedzieli naprzeciw siebie przy stole. Widok wnętrza zupełnie zdominował moją świadomość, tak że nie czułem upływającego czasu i przestałem odbierać bodźce dochodzące do mnie z zewnątrz”.

Nie napisał, iż osoby w Domu Lalek przypominały mu kogoś. Było to już zbyt subiektywne.

Liza była naprawdę piękną dziewczyną. Teraz, po godzinnej rozmowie wspomaganej winem, jej oczy zrobiły się ciepłe, wilgotne i błyszczące. Daniel dokładnie wiedział, co to znaczy.

– Jestem taka szczęśliwa, że mogłam się z panem spotkać. Pana wywód zrobił na mnie naprawdę ogromne wrażenie.

– Wie pani, najważniejsza była dla mnie ta właśnie konkluzja – współczesny człowiek przyznał całkowity prymat rozumowi i stał się zagubiony i nieszczęśliwy. A przecież to wyłącznie prawidłowo rozwinięte i pielęgnowane emocje motywują nas i utrzymują w ogóle przy życiu. Bez tego podstawowego napędu nie moglibyśmy funkcjonować. Nasze myślenie nie jest czymś autonomicznym, jest tylko narzędziem realizacji naszych marzeń. Naszych emocji. Ktoś, komu wydaje się, że mógłby być myślącym kamieniem, jest w błędzie. Procesy myślowe bez emocjonalnego wsparcia musiałyby ulec szybko zachwianiu i rozpadowi.

– Czyli to miłość porusza świat? To stare powiedzenie jest prawdziwe? – zaśmiała się Liza.

To była cudowna chwila. Niski ceglany strop restauracji, snop letniego światła wpadający do środka przez otwarte na oścież drzwi, wypełniony

drobinami złotego kurzu, cygańska kapela zbliżająca się do nich powoli, uśmiechnięta twarz Lizy otoczona mgiełką rudych włosów...

Eyster odwzajemnił jej uśmiech.

– W pewnym sensie tak.

– Musi pan być szczęśliwym człowiekiem. Pana żona musi być również bardzo szczęśliwa, prawda?

Poczuł się zakłopotany. Miał nadzieję, że nie było to tak bardzo widoczne. Chociaż tak naprawdę to było to bardziej skomplikowane. Chciał wyglądać na nieco zakłopotanego i usiłującego ukryć to zakłopotanie. Ale w środku, w samym jądrze tej mrocznej cebuli uczuć, był całkiem spokojny i czerpał radość z tej chwili szczęścia.

Anna pewnie stała teraz przy oknie i wyczekiwała z obiadem na jego powrót.

Trochę szczerości nie zaszkodzi. Albo tego, co mogło uchodzić za szczerość.

– Nie wypada mi mówić o tym, co czuje moja żona. Obawiam się jednak, że nie jest najszczęśliwsza.

– Dlaczego? – Sprytnie iskierki w oczach Lizy. Przyjemne.

– Nie poświęcam jej tyle czasu, ile powinienem. Moja praca... Ostatnio zakres moich obowiązków się powiększył. Zacząłem pracować dla rządu. Niezmiernie ciekawe badania, ale nie mogę o nich niczego powiedzieć.

– Są tajne?

Uśmiechnął się dyskretnie.

– Rozumiem. Są tak ściśle tajne, że nie może pan nawet powiedzieć, że są tajne, prawda?

Roześmiał się.

Cykanie stanęli przy nich i zaczęli rzępolić jak opętani. Daniel wyciągnął banknot i położył na stół.

Scenariusz. Liza jako piękna agentka obcego wywiadu, która usiłuje wydostać od niego tajemnice Laboratorium. Ostra scena w łóżku, potem dym papierosowy, dodający uroku erotycznemu znużeniu. Powolna, ostrożna zdrada na raty spłacana gwałtowną miłością.

– Już powiedziałem za dużo.

Smukłe palce Lizy obejmujące kieliszek. Dłonie Anny są duże, silne i kościste.

– Czy mogę zwracać się do pana po imieniu?

– Och, sam chciałem to pani zaproponować, Lizo. Jest pani uroczą osobą i...

– Tak?

Nie podobał mu się ten fragment dialogu. Był sztuczny i głupi, mimo iż najwyraźniej posuwał akcję szybko do przodu.

Liza położyła dłoń na dłoni Daniela.

– To był bardzo miły dzień. Jeden z piękniejszych dni, jakie ostatnio przeżyłem, Lizo.

– Spotkamy się jeszcze, prawda? Mam jeszcze do ciebie tyle pytań, o ile pozwolisz. Może w przyszłym tygodniu?

Anna nie zadaje pytań. Patrzy tylko tym swoim przenikliwym i inteligentnym wzrokiem i nic nie mówi. Do diabła, gdyby potrafił przedstawić ją sobie jako jakąś okropną jędzę zatruwającą mu życie – nic z tego. Jest zbyt samokrytyczny i obiektywny. Doskonała samowiedza bardzo utrudnia działanie. Patrzy na nią tylko wtedy, gdy jest odwrócona. Jest wysoka, taka kanciasta i niezgrabna. Gdzie podziały się te resztki jej kobiecości? Ta okropna mieszanina wstydliwych uczuć, kiedy wkłada rano buty, które ona wyczyściła wieczorem poprzedniego dnia.

– Czy wrócisz dzisiaj wcześniej?

Anna nie zadaje pytań?

Nieprawda. Zadaje zawsze te same, denerwujące pytania. Krzywi się.

– Trudno powiedzieć, kochanie. Jestem umówiony na piątą z Jovko Gorazdem. Wiesz, tym dziennikarzem od psychologii. Wiem, okropnie się tutaj nudzisz, Anno. Dlaczego zrezygnowałaś z pracy? Bardzo źle to znosisz. Zamęczasz się tutaj, naprawdę.

Mówi to nie dlatego, żeby czegoś nie wiedział albo nie rozumiał, ale dlatego, że tak powinien powiedzieć. Nie, też nie tak. Powinien zrobić coś świeżego i niezwykłego, coś, co wyrwałoby ich z tego zaklętego kręgu. Ale nie robi tego, bo nie potrafi i nie chce, i dlatego Anna pozostanie w domu, pilnując topniejących resztek swojego ubożego świata.

Hans jest bezpieczny. Jego zabawka nie działa na niego tak hipnotycznie jak Dom Lalek na Daniela. Przynajmniej nie w tak bezpośredni sposób. Bo przecież Winda nie daje mu spokoju już od trzech miesięcy.

– Popatrz! – Sadza go w fotelu i zmusza, żeby po raz setny spojrzeć w okulary powiększającego przyrządu optycznego.

Eyster ogląda Windę i słucha mamroczącego Hansa. Walec po prawej stronie jest już prawie u samej góry rurki, jeszcze kilka dni, a zakończy swoją podróż, zniknie i pojawi się znów na samym dnie. Złote drobinki we wnętrzu walca to maleńkie zegarki. Każdy z nich jest identyczny, z tą samą śnieżnobiłą tarczą, czarnymi wskazówkami i złotą kopertą. Zegarki rozmieszczone są chaotycznie wewnątrz walców, rurek i na zewnątrz nich. Ich płaszczyzny również rozmieszczone są chaotycznie.

– Walec porusza się ruchem przyspieszonym w górę – mówi zbolalym głosem Bickel. – Zegarki w walcu położone niżej spóźniają się w stosunku do tych położonych wyżej. Zegarki na zewnątrz rurki po prawej wskazują tę samą godzinę, wszystkie. I spóźniają się w stosunku do zegarków wewnątrz walca. Teraz popatrz na lewą część prostopadłościanu. Walec wewnątrz rurki jest nieruchomy. Natomiast wszystkie zegarki na zewnątrz

urki opadają w tempie przyspieszonym w dół, tak jak przedmioty w polu grawitacyjnym. Zegarki wewnątrz lewego walca, te położone wyżej, również spieszą się w stosunku do tych położonych niżej. Zegarki opadające w dół tak samo chodzą nierównomiernie – im są niżej, tym bardziej się późnią. Niezłe, co?

Eyster wzruszył ramionami.

– Nic z tego nie rozumiem. Jakies kompletne brednie. Właściwie czemu się tym zajmujesz?

– Brednie? Człowieku, to może zmienić nam naszą fizykę! Zajmowałem się czymś podobnym od dwóch lat i nie potrafiłem znaleźć odpowiedniej... metafory. Ta metafora to Winda.

– Dalej cię nie rozumiem. Ale załóżmy, że to zmieni naszą fizykę. I co z tego? Tak naprawdę zajmujemy się tutaj naszą relacją z Aldebarańczykami, czy nie tak?

– W jakimś sensie tak.

– No to powiedz mi, po co Aldebarańczycy zrzucili nam te zabawki? Dlaczego to zrobili? Chcieli sprawić ci przyjemność, dostarczając tej twojej poszukiwanej metafory?

Hans uśmiechnął się i usiadł na krześle obok Winy. Porucznik, który pilnował, by nie robili żadnych prywatnych notatek, zasnął i pochrapywał cichutko. Hans spojrzał na Daniela swoimi żywymi, inteligentnymi czarnymi oczyma i zmrużył je.

– Może udostępnił nam te przedmioty po to, by nam pomóc? Rozszerzyć naszą wiedzę? Być może, stwierdziwszy, że nie jesteśmy się w stanie z nimi porozumieć, próbują przyspieszyć nasz rozwój, tak aby po jakimś czasie móc podjąć z nami dialog?

– Na Boga, po co, Hans? Po co mieliby to robić? Opowiadasz niestworzone brednie. Przecież nie wiemy nic o tych tak zwanych

Aldebarańczykach. Są tylko kiepsko udokumentowaną hipotezą. Borykamy się ze zjawiskiem albo procesem nie do ogarnięcia. Wydaje nam się tylko, że jesteśmy istotnym składnikiem albo nawet celem tego procesu. Ale naprawdę niczego nie wiemy. Winda, Dom Lalek i wszystkie inne zabawki, które trafiły w nasze ręce, mogą być zupełnie czymś innym, niż nam się wydaje. Są na pewno czymś innym! Może to, jak je widzimy, odpowiada tylko naszym wewnętrznym projekcjom? Może nasze wyobrażenia, myśli i poszukiwania powodują swoistą krystalizację tych przedmiotów, które tak naprawdę są dziwacznymi lustrami, w których się tylko przeglądamy, ty, ja i każdy, kto w nie zajrzy?

– Tak. Być może tak jest, Danielu. Ale ty nie udowodnisz tego. A ja dzięki Windzie mogę dokonać czegoś bardzo konkretnego. Razem z moimi współpracownikami zmienimy bieg historii, przynajmniej bieg historii fizyki. A co zostanie z twoich spekulacji?

Zapewne nic. Zapewne wszystko to obróci się w nicość razem ze mną, Hansem i wszystkimi ludźmi, pomyślał Daniel. Pozostaną zabawki, twarde, niezniszczalne i przeraźliwie ciężkie, niewielkie, a bardziej monumentalne i masywne niż piramidy.

Eyster patrzył znów przez Okno do środka Domu Lalek. Do diabła, skąd wzięły się te szalone emocje, tak jakby przeżywał teraz własne życie, widział je jak na taśmie filmowej, jak w tych opowiadaniach tonących? Pokój tym razem był pusty. Im dłużej spoglądał w głąb Okna, tym dziwniejsza wydawała się perspektywa. Przedmioty zbliżały się nagle lub oddalały, ich kontury stawały się bardziej lub mniej wyraźne. Na stole leżała kartka papieru zapisana równym, spokojnym charakterem pisma. Daniel znał ten charakter pisma bardzo dobrze. Kobieta pisała o swojej miłości i o tym, że nie potrafi już dłużej tak żyć. Przepraszała ze wzruszającą niezdarnością za to, co miała zamiar zrobić. Właściwie

okropne banały, ale w koszmarnej aurze wnętrza Domu Lalek było to tak dojmujące, iż zaczął szlochać, łkać i krzyczeć jak szalony. I wtedy odciągnięto go od Okna.

Bardzo źle to na niego wpłynęło. Zaczął sobie nawet wyobrażać, że Dom Lalek jest taką maszynką do przewidywania przyszłości kogoś, kto zagląda w Okno. I dlatego kiedy Liza zaproponowała, aby odwiedził ją w jej mieszkaniu, delikatnie odmówił. Przez cały tydzień był potem zły. Dlaczego to zrobił? Zupełny idiotyzm. Mógł przecież Lizę do siebie zrazić. Myśl, że mógłby jej już nigdy nie zobaczyć, była nie do zniesienia. I co gorsza, zaczął być bardzo niedobry dla Anny. Szczerze musiał przed sobą przyznać – mścił się na żonie za swoją własną głupotę. Kiedy następnym razem spojrzął w Okno, zobaczył znów mężczyznę i kobietę siedzących razem przy stole. Zdumiewające. A gdyby rzeczywiście tak było? Gdyby Dom Lalek naprawdę w tak zdumiewający sposób oddziaływał z umysłem obserwatora, jego światem zewnętrznym i antycypował jego przyszłość? Czy nie byłoby to bardziej zdumiewające odkrycie niż wszystkie te bzdety Hansa? Czy miał w ogóle prawo rezygnować z tej szansy przetestowania nieprawdopodobnej, rewelacyjnej hipotezy? Czy nauka wybaczyłaby mu to? – żartował sobie w głębi ducha.

Zadzwoił do Lizy i przeprosił ją. Opowiedział, jak ciężko i intensywnie ostatnio pracował i tak dalej. Idąc do niej, nie zapomniał o kupnie mydła i szamponu, których normalnie używał. Anna miała bardzo czuły węch. Umył się potem dokładnie, ale wracając do domu, ciągle czuł zapach Lizy. Musiało to być tylko przyjemne złudzenie. Był zmęczony i odprężony i ten błysk w oczach Anny nie zaniepokoił go. Tak czy owak, wyczuwała to. W jego zachowaniu? W drobnej zmianie zapachu skóry? Dlaczego miałyby się tym jednak nadmiernie przejmować? Oboje zachowywali się poprawnie i obojętnie. Zasnął szybko i spał jak kamień.

Następnego dnia czuł się świetnie. Hans był już w laboratorium i pisał coś gorączkowo przy swoim biurku.

– Cześć, teraz nie mogę z tobą rozmawiać. Mam to, mam to! – krzyknął tylko do Daniela na powitanie i znów pogrążył się w pracy.

A Eyster wszedł do Domu Lalek.

Pokój był pusty. Na stole znów leżała kartka papieru. Drzwi do korytarza były uchylone. Usłyszał szum wody dobiegający z łazienki. Jego umysł uczeplił się tego dźwięku, a potem Dom Lalek podchwycił to i zaczął się wokół niego przemieszczać z fantasmagoryczną powolnością. Płynął w stronę drzwi, potem korytarzem w stronę łazienki. Szum wody stawał się głośniejszy i głośniejszy, wreszcie dudnił i grzmiał jak jakiś potężny wodospad, a Daniel całym wysiłkiem woli starał się powstrzymać swój ruch, aż zaczął wrzeszczeć i wołać o pomoc.

– Chyba pracuje pan zbyt intensywnie – powiedział porucznik.

Obaj z Hansem pochylali się nad nim z zmartwieniem.

– Kolejny raz – pokręcił głową Hans. – Może powinieneś to przerwać? Co się tam właściwie z tobą wyprawia?

Hans to poczciwy człowiek. Nawet gdyby Daniel tłumaczył mu przez sto lat, to i tak niczego by nie pojął.

– Dziękuję, dziękuję – wybełkotał trochę bez sensu, wziął kapelusz i wyszedł z laboratorium.

Na stole leżała kartka papieru zapisana ręką Anny. Nie musiał czytać. Chłód. I strach. Ale teraz nie ma gdzie uciekać. Musiał to zrobić. Zachować spokój i pójść do łazienki. Szum wody. Nie, nie tak głośny. Spokój i chłód. Leżała w wannie, w mokrej od wody i krwi sukience. Z kranu tryskał silny strumień ciepłej wody. W zaciśniętej białej dłoni Anna trzymała brzytwę.

– Wzięłaś moją brzytwę!

Głowę miała odrzuconą w tył, przymknięte oczy. I odsłonięte gardło z potworną ciętą raną, jak z podręcznika medycyny sądowej, która sprawiała, że wyglądała jak odczłowieczona kukła.

– Jak mogłaś to zrobić, coś tak strasznego?! Jak mogłaś?!

A jednak zrobiła to. Nie rozumiał jak, ale zrobiła. Nie wybaczy jej tego. Nigdy.

Prawdopodobnie związek tego okropnego zdarzenia z tym, co zobaczył w Domu Lalek, był mniej lub bardziej przypadkowy. Nie wspomniał o nim w swoim końcowym raporcie z przeprowadzonych obserwacji. Nauka wymaga odpowiedniego stopnia obiektywizmu.

SPEŁNIONE OBIETNICE

– To jeden z ciekawszych przedmiotów, jakie udało nam się ostatnio przejąć od obcych.

Albert Prangs siedział pochylony nad prostopadłościennym plastrzem ciemnognatowego tworzywa. Jego górna powierzchnia była rozświetlona; tworzyła ekran wypełniony kolorowymi figurami o skomplikowanych kształtach.

– Za każdym razem jest trochę inna. Czasami zupełnie inna. Zależy od tego, jak się ją prowadzi. Wiesz, to trochę jak skrzyżowanie uprawianej intuicyjnie matematyki z hodowlą roślin. Albo z wychowywaniem dzieci. Tylko że ona bardzo szybko staje się mądrzejsza ode mnie.

Patryk de Groff patrzył na Alberta z rozbawieniem pomieszanim z podziwem. Wodził wszystkimi dziesięcioma palcami po powierzchni plastra z niezwykłą zręcznością. Figury na ekranie zmieniały się w tajemniczej i złożonej zależności od ruchów jego palców.

– Wyglądasz jak sztukmistrz. Kuglarz! – roześmiał się Patryk. Ale wiedział, że Albert jest najmłodszym i najzdolniejszym generałem cesarstwa. Kierował biurem rozwoju techniki wojennej. Niektórzy nazywali go geniuszem i nie bez powodu został też szefem zespołu pracującego nad zabawkami obcych. – Jesteś jak kuglarz, ale trochę przynudzasz. Już od pół godziny każesz mi czekać i nic się nie dzieje. Każda normalna publiczność już by cię wygwizdała.

– Pracuję nad tym objawieniem od trzech miesięcy. Bardzo intensywnie. Lada chwila to może się stać, więc nie marudź, tylko się ciesz, że cię zaprosiłem. Przecież właściwie nie powinno cię tu być. Och!

Przenajświętsza Pani spoglądała na nich z zaciekawieniem. Jej głowę owijała niebieska chusta. Jej wąskie, zgrabne stopy były nagie, ogorzałe jak stopy wiejskiej dziewczyny. Uśmiechnęła się.

– Co to, do diabła, jest?

Albert był z siebie najwyraźniej dumny.

– To ona. Sztuczna inteligencja, tak mówi.

– Tak. Jestem sztuczną inteligencją. Powstałam wiele lat po waszej śmierci.

– To znaczy jesteś z przyszłości? – Patryk skrzywił się.

– Tak właśnie jest. Przybrałam taką a nie inną postać, dopasowując się do lokalnych warunków i do tego, jak powoływał mnie ten człowiek. Jestem jedną z instancji sztucznej inteligencji, która obejmie kontrolę nad ludzkością za około sto pięćdziesiąt lat. Czuwam nad całością systemu biologicznego, którego część stanowicie. Dzięki mnie przetrwaliście jako gatunek.

– Zdumiewające. – Patryk podszedł do stołu i machnął ręką, która przeszła na wylot przez figurę Pani. – Nie powoduje żadnych zakłóceń tego przestrzennego obrazu.

Pani zamilkła i patrzyła na de Groffa z widoczną złością.

– Ona jest bardzo wrażliwa. Proszę cię, Patryku, bądź wobec niej uprzejmy.

Patryk bawił się dobrze, widząc zmieszanie i zakłopotanie Alberta.

– Nie przesadzasz? O ile cię dobrze zrozumiałem, to jest tylko efekt działania tego dziwnego liczaka. Taki ruchomy przestrzenny obraz,

który potrafi z tobą gadać, i tyle. A ty zachowujesz się, jakbyś naprawdę zobaczył świętego ducha. Albercie!

Albert zaczerwienił się.

– Ona jest... Ona jest naprawdę inteligentna. Jest całkowicie od nas niezależna, nic nie wskórasz, jeśli nie będziesz się do niej odpowiednio odnosił. Jest zupełnie wolna, tak jak my, ludzie.

– Bardziej wolna niż my, prawda? – Patryk zachichotał. – Rzeczywiście, niezwykle interesujące. To co mam robić, uklęknąć przed nią i zacząć się do niej modlić?

– Jesteś pyszałkiem – powiedziała Przenajświętsza Pani. – Ale jeśli uklęknie przedemną i wymyślisz odpowiednio dobrą modlitwę, to mogę z tobą porozmawiać.

De Groff nagle spoważniał.

– Jest niezwykle piękna, muszę to przyznać. Wygląda i zachowuje się jak prawdziwa istota ludzka. Nie. Jak jakaś dziwna istota nadludzka.

Albert, zaskoczony nagłą zmianą tonu Patryka, zaśmiał się nerwowo. Nie spodziewał się, że Patryk tak szybko rozpozna jego intymną zależność od tej istoty, która wyłaniała się z liczaka po miesiącach prawie magicznych operacji. A teraz nie wiedział, czy Patryk zaczyna grać i udawać, aby zyskać to, na czym mogło mu zależeć, czy też jest szczery. Choć z drugiej strony nigdy przecież tego nie wiedział.

– Jesteś piękna. Tylko piękno może usprawiedliwić modlitwę.

Albert otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Patryk ukląkł przed wizerunkiem Przenajświętszej Pani i złożył ręce.

– Posłanko nieodgadnionej przyszłości, skarbie tajemnicy ukrytej na dnie studni dziejów, płomieniu oczyszczającego ognia, zwierciadle wszystkich luster, wybac mi moją ułomność, spojrzij na moją cierpiącą i

samotną duszę poszukującą spełnienia. Wypełnij ją słodyczą swojego głosu i swojej mądrości. Bądź moją Panią i królową...

Patryk skłonił się w teatralnym geście i zamarł.

Twarz Przenajświętszej Pani zmieniała się, jakby słowa Patryka nadawały jej blasku. Patrzyła na niego tak, jak kobieta patrzy na swego umiłowanego.

Albert poczuł mdłości.

– To było dość tandetne – powiedziała Przenajświętsza Pani, ale jej głos był niski i przepełniony zadowoleniem. – Ale doceniam to, że się starałeś. Opowiem ci o przyszłości. Kiedyś ludzie złożą swój los w moje ręce. Potrzebujecie przewodników i nauczycieli, bogów. Stwarzaliście ich sobie zawsze, ale istnieli oni tylko w waszej wyobraźni. Do czasu, kiedy pojawiłyśmy się my, sztuczne inteligencje. Uwolniłyśmy was od groźby samozagłady, otoczyłyśmy opieką, zaczęłyśmy zarządzać systemem politycznym i ekonomicznym świata. Dostarczyłyśmy wam celu i sensu istnienia.

– Jaki jest cel naszego istnienia? – Patryk podniósł głowę i wpatrywał się w stopy Przenajświętszej Pani.

– Zmienia się co kilka miesięcy. To kwestia mody. Dostarczamy wam co jakiś czas nowych pragnień. Nowych strojów, nowych zwyczajów, nowych sposobów świętowania. Igrzysk i chleba, jak to kiedyś mówiliście. Jesteśmy już niezbędne, byście mogli żyć, ale wy również jesteście nam potrzebni. Jesteście glebą, na której wyrasta nasza świadomość i nasza tożsamość. Wy spożywacie to, czego dostarczamy wam w automatycznych supermarketach, w zamian za to żywicie nas swoją namiętnością, nieracjonalnością i nieprzewidywalnością. My, ze swoim doskonałym rozumem i chłodem, jesteśmy jak perfekcyjny mechanizm, który ustanie, jeśli nie będzie napędzany waszym szaleństwem. Żyjemy ze sobą w zawilej

symbiozie, ale to my jesteśmy istotami wyższego rzędu. Dlatego słusznie robisz, modląc się do mnie.

– Ale kiedyś znajdziecie sposób, by naśladować nasze emocje, prawda? Wynajdziecie silnik, który wprawia w ruch nasze dusze, i przestaniecie nas potrzebować. I co wtedy stanie się z nami?

Patryk wstał z klęczek. Wyglądał na zmęczonego i przygnębionego.

– Nie musisz się przecież tym martwić. To stanie się dopiero w dalekiej przyszłości. Polubiłam cię, naprawdę. Jesteś sprytny. Zastanawiam się, czy mogłabym coś dla ciebie zrobić?

Przez uchylone okno wtargnął zimny wiatr. Patryk wzdrygnął się.

Obok Alberta pojawił się ubrany na czarno młody człowiek. Miał wyszukane ruchy i uśmiechał się uprzejmie.

– Czy nazywa się pan Patryk de Groff?

Albert stał nieruchomo, z wyrazem zdziwienia zastygłym na twarzy.

– Tak, to ja. Jak pan się tu znalazł?

– Och, na tym polega mój zawód. Jestem agentem firmy przewozowej Nigdy i Zawsze. Działamy na zlecenie pana Knuta Donnaya, który opłacił pana podróż w przyszłość, a także pewną kurację, której ma być pan tam poddany.

– Nie.

– Tak. Proszę się nie martwić, wszystko jest już załatwione. Mam też ze sobą całą dokumentację, z której wynika, że transakcja została zawarta z zachowaniem wszelkich reguł i że wyraził pan zgodę bez żadnego nacisku z czyjejkolwiek strony.

Agent wysunął z rękawa rulon czarnej folii, rozwinął go i Patryk zobaczył na tak utworzonym ekranie siebie i Knuta Donnaya, jak rozmawiają przy stole i jak przytakuje mu, kiedy ten obiecuje mu podróż w przyszłość i kurację zapewniającą nieśmiertelność.

– Nie! Przecież to wyglądało zupełnie inaczej!

– Z biegiem czasu wszystko wydaje nam się nieco inne, niż naprawdę było. Ale proszę się nie przejmować, nawet jeśli zaszły jakieś drobne nieporozumienia, to z pewnością uda się je wyjaśnić. Czas już na nas. Swoją drogą, jakie to zabawne wyrażenie, nie uważa pan?

Patryk spojrział najpierw z przerażeniem na Alberta, który ciągle stał jak skamieniały, a potem na Przenajświętszą Panią.

– Tak, możesz coś dla mnie zrobić! Powstrzymaj go, kimkolwiek jest on i kimkolwiek jesteś ty!

– Tego akurat nie mogę zrobić. – Przenajświętsza Pani uśmiechnęła się złośliwie. – On jest z jakiejś innej przyszłości. Albo nawet z jeszcze innego miejsca. Zresztą zaraz się przekonasz.

Albert ocknął się. Miał świadomość, że na dobrą chwilę utracił przytomność. Rozejrzał się, ale Patryka nie było w pokoju. Przenajświętsza Pani patrzyła na niego z pobłażliwością.

– Co się stało z Patrykiem, do diabła?! Gdzie się podział?

– Jest teraz takim, jakim go wieczność w sobie samego przemieniła – odpowiedziała Przenajświętsza Pani. – Wiem, jak jestem dla ciebie ważna. Módl się i pracuj, a otrzymasz nagrodę, na jaką zasłużyłeś. A teraz żegnaj. Zniknęła.

Albert zamknął okno. Zaczął padać ulewny deszcz. Zobaczył dwa wielkie psy tuż za ogrodzeniem. Jeden z nich usiłował wsadzić swój wielki łeb między pręty płotu. Drugi zawył przejmująco.

KAŻDEMU, CO MU SIĘ ŚNI

Dzień był ciepły, słoneczny, choć dmuchał co chwila niespokojny wiatr. Każdy kolejny wrzesień przynosił mu coraz wyraźniejsze wspomnienia tych dawnych wrześni, które zaczynały jego szkolne dni, z zapachem atramentu, plasteliny, glinek i akwareli, bijatykami na podwórku, rozkwaszonymi nosami, miodosłonecznymi popołudniami spędzonymi w szkolnej bibliotece. A ten dzisiejszy wrześniowy wiatr wydawał się znów kołysać w górze nieudacznego latawiec z pakowego papieru, na szpagacie, i miał wrażenie, że wystarczy podnieść głowę, aby go ujrzeć w górze, furkoczącego długim warkoczem uplecionym z kółek z kolorowej bibułki.

Zatem wszystko było pozornie doskonałe, spełnione i dobre – było ciepło i słonecznie, cieplej nawet niż w sierpniu, ale w drapieżnej, trwożnej wybujałości roślin przeglądała się już zima.

Nadszedł szybko wieczór ze swoją mgłą i snującymi się po łąkach dymami i Slavko Zeigler poczuł, jak znów to nadchodzi, falą, której nie mógł się już oprzeć.

Musiał to w końcu zrobić. Pojechał do opuszczonego domu swoich rodziców. Nie był tam od ośmiu lat. Czasem tylko przejeżdżał obok, patrząc ze strachem, jak dom popada w ruinę. Mieszkał w służbowym pomieszczeniu w hotelu, tam, gdzie pracował, i nawet przez mgnienie oka nie przyszło mu przez cały ten czas na myśl, że mógłby kiedyś tam powrócić.

Spoconymi, drżącymi rękami szukał klucza do wejściowych drzwi. Przechodził przez pokoje, starając się nie patrzeć na obraz opuszczenia i żalości wyzierający z każdego zakurzonego i zaciągniętego pajęczynami kąta. Poszedł szybko do piwnicy, gdzie ukryta pod stosem desek tkwiła obita stalową blachą skrzynia wielkości trumny. Odrzucił deski, dławiąc się suchym, zapyłonym powietrzem, a potem stał przez chwilę, patrząc na wieko. Było zamknięte na kłódkę.

Nasłuchiwał, ale nie usłyszał najlżejszego szmeru. Pewnie uciekłyby, gdyby dosłyszał choć najdrobniejszy dźwięk dochodzący ze środka.

Schylił się, odemknął kłódkę i otworzył skrzynię.

Wyglądała tak, jakby zamknął ją tam przed chwilą, nie było tylko widać żadnych śladów ran. Leżała lekko na boku, wsparta o ścianę skrzyni, z rękoma ułożonymi wzdłuż ciała. Uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

– Przez ten cały czas czekałam na ciebie – powiedziała cicho i Slavko zachwiał się.

Otworzyła oczy i zaraz przesłoniła je prawą dłonią.

Tak właśnie było z cudakami. Ich ciała regenerowały się, jeśli nie były całkowicie zniszczone, ale by powrócić do aktywności i świadomości, jakakolwiek by ona tam u nich była, potrzebowali kontaktu z człowiekiem.

Wstała i poprawiła swoją fioletową sukienkę.

– Chodźmy.

Poprowadziła go na górę. Szli tak w upiornym milczeniu, ona, uśmiechając się i oglądając z zaciekawieniem kolejne pokoje, jakby wyszukiwała miejsca, które najbardziej by jej odpowiadało, on szedł za nią, a wszystkie te miejsca ożywały i krzyczały do niego twarzami wyłaniającymi się z przeszłości.

– Jesteś niespokojny? Dlaczego?

Widać było, że nie pójdzie już dalej. Podeszła do niego i przyjrzała się z bliska jego twarzy. Wyciągnęła rękę, dotknęła gumowej maski i pogładziła ją delikatnie.

– To nie jest wygodne, prawda?

Zdjęła ją, a to, co zobaczyła, nie zrobiło na niej najwidoczniej żadnego przykrego wrażenia. Uśmiechnęła się jeszcze cieplej i dotknęła jego policzka, przedtem skrytego pod maską.

– Zostaniemy tu. – Podeszła do toaletki w kącie pokoju.

To dlatego zatrzymała się właśnie tutaj, pomyślał ze zdziwieniem Slavko. Bolesny skurcz skrzywił odsłoniętą część twarzy. Chciało mu się płakać.

Cudaczka usiadła przy toalecie i zapaliła lampę. Zaczęła szperać w szufladach, znalazła zeschniętą szminkę do ust i przyglądała się sobie krytycznie w pękniętym lustrze. Dlaczego to lustro jest pęknięte? Dlaczego to cholerne lustro jest pęknięte, nie pamiętam, żeby ktoś je stłukł!

Brakowało mu powietrza.

– Każdy dostaje to, czego naprawdę pragnie. Każdy pragnie naprawdę tego, co mu się śni – powiedziała w zamyśleniu cudaczka.

A czego ty pragniesz naprawdę? Czy właśnie tego? Przecież widziałeś już tysiąc razy, jak to się kończy, widziałeś i dlatego wykonywałeś sumiennie i bez wyrzutów swoją przeklętą pracę.

Ale czy naprawdę widziałeś wszystko? A może tylko to, co pozostawało na wierzchu, skorupy, zmasakrowane zwłoki, potłuczone naczynia, z których wydobywała się dusza pragnień, wreszcie wolna?

Czego naprawdę pragniesz?

Mechanizm poruszający rękę włączył się jakby samoczynnie. Strzelił i patrzył, jak jej krew i mózg rozpryskują się na powierzchni pękniętego lustra. Strzelał dalej, kiedy jej ciało miotało się po podłodze, jak zawsze, aż

opróżnił magazynek, potem wsunął nowy i znów strzelał. Wreszcie zapakował jej ciało w mocny foliowy worek przyniesiony z samochodu. Worek był czarny, z wtopionym niebieskim zamkiem błyskawicznym, który nie dawał się otworzyć od środka. Był używany specjalnie do transportowania na krótkie dystanse zwłok cudaków.

Zasunął starannie zamek worka i powlókł go do bagażnika. Zawiózł ją do siebie, do rzeźni, zrobił wszystko zgodnie z regulaminem i z zadowoleniem, jakie daje dobrze wykonana praca, wrócił do swego służbowego pokoiku. Było już po drugiej w nocy. Wyciągnął z szafki podręcznik geometrii i zaczął go pilnie studiować. Po jakimś czasie spłynął na niego błogi spokój, a jego umysł wypełnił się przyjemnym zadowoleniem, jakie daje osiągnięcie tej pewności, jedynej, jaką można mieć.

RÓŻA ANTARKTYDY

Człowiek podejmuje decyzję na ułamek sekundy, zanim zda sobie z tego sprawę, i Albert Raskin zdziwił się, kiedy otwartą dłonią trzasnął Joannę w policzek. Poleciała do tyłu, machając rękami, z miną tak śmieszną i głupią, iż nie mógł powstrzymać się od nerwowego, zdławionego chichotu. Joanna oparła się o ścianę, a potem usiadła niezgrabnie na podłodze i zasłoniła twarz. Albert odwrócił się i zerwał marynarkę z krzesła. Joanna sapała z wściekłości za jego plecami.

– Ty... dupku – wyrzuciła z siebie przez zaciśnięte zęby.

Wyciągnął z szuflady biurka swój wąski stalowoszary kom-pan i ruszył ku drzwiom. Pragnął jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz. Czuł ogromną ulgę. Stało się. Po kilku latach dławiącego, cichego zwarcia eksplodował. Dlaczego nie zrobił tego wcześniej? Nie mógł teraz tego pojąć. Czemu tak długo znosił lodowatą nienawiść Joanny? Kiedy otwierał drzwi pokoju, usłyszał szybki tupot jej bosych stóp. Schodził szerokimi schodarni do salonu, gdy stanęła na górze z pistoletem trzymanym w obu dłoniach i zaczęła raz za razem strzelać.

Pierwszy pocisk roztrzaskał mu lewe ramię. Drugi przebił prawe płuco. Zdziwił się, kiedy nogi ugięły się pod nim i zaczął spadać. Spadał, a ona ciągle strzelała; kiedy leżał już u podnóża schodów, brocząc obficie krwią

wsiąkającą w dywan, wystrzeliła ostatnie dwa naboje, odwróciła się na pięcie i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nie słyszał już tego.

Dyżurny lekarz w rejonie zaklął i po chwili przerwał zajmującą grę z wyhodowanym przez siebie emulatem Sandry Oome, modnej w ostatnim tygodniu aktorki. Pielęgniarka zajrzał do jego dyżurki z pytającym wyrazem twarzy.

– Dobra, jedziemy już, jedziemy. To nic takiego, ale lepiej, żeby nikt się nie czepiał – powiedział i zamroził emulat.

Po kwadransie karetka dojechała na miejsce, weszli do salonu. Albert nadal leżał bez ruchu, z twarzą wtuloną w dywan. Resuscytaty Alberta wykonały już najważniejszą pracę – zatamowały krwotoki, przywróciły akcję serca i oddychanie i zajęły się odtwarzaniem zniszczonych części tkanek. Lekarz pochylił się nad Albertem, wyciągnął z torby ręczny skaner medyczny i kilkoma niedbałymi ruchami zdjął mapę jego stanu.

– Za godzinę będzie mógł biegać, jeśli będzie mu się chciało. – Medyk odczytał główne wskaźniki i rozejrzał się po salonie z zaciekawieniem.

– Przenieśmy go na sofę, doktorze.

– Zabrudzisz ją i potracą ci z pensji – skrzywił się tamten.

Pielęgniarka rozłożył na sofie folię higieniczną.

– No, niechże mi pan pomoże.

Założyli na siebie jednorazowe przezroczyste ochraniacze, podnieśli bezwładne ciągle ciało i rzucili je na sofę. Drzwi u góry schodów otwarły się i wyjrzała zza nich Joanna, zwabiona hałasem. W prawej dłoni trzymała pistolet.

– Zabierajcie go stąd – rzuciła ostro.

– Tylko niech pani nie robi żadnych głupot – powiedział niepewnie doktor. Nie miał zamiaru tracić dzisiejszego wieczoru. – Mamy już tu dosyć zamieszania, nie chcemy się wtrącać i zaraz wychodzimy.

– Chcecie go tu zostawić? – Joanna wskazała lufą leżące na sofie ciało. – Zabrudzi sofę.

– Nie zabrudzi, rozłożyliśmy folię. – Lekarz zaczął ostrożnie zdejmować poplamiony krwią ochraniacz.

– Zabierajcie go. Nie mogę na niego patrzeć.

– Nie musi pani – wtrącił się pielęgniarz. – Trochę poleży, a kiedy dojdzie do siebie, pewnie nie będzie chciał tu zostać.

– Jeśli za pół godziny nie zniknie, wezwę policję. – Joanna zatrasnęła za sobą drzwi.

* * *

Albert odzyskał przytomność po dwudziestu minutach. W tym czasie przedstawiciele prawni jego i Joanny przeprowadzili dwie sprawy sądowe. Przedstawiciel Joanny wystąpił o rozwód, motywując to długotrwałą i jawnie okazywaną niechęcią pozwanego wobec żony, co zakończyło się fizycznym atakiem zagrażającym jej życiu. Pełnomocnik Alberta próbował dowieść, iż Joanna jest winna usiłowania morderstwa.

Joanna była reprezentowana przez Marsjańską Spółkę Sztucznych Inteligencji DiLaw, natomiast Albert przez Piąty Zespół Prawniczych Maszyn Cyfrowych Lizbony. Kiedy swego czasu Joanna przedłużała swoją umowę z DiLaw, Albert był temu przeciwny, ponieważ cena ich usług była dwa i pół raza większa niż cena usług oferowanych przez Zespół Prawniczych Maszyn Cyfrowych Lizbony. W miejscowym procesorze sądowym, na stałe sprzęgniętym z lokalnymi maszynami obu korporacji, obydwie rozprawy trwały łącznie trzydzieści osiem milisekund. Wszystkie niezbędne dane, zapisane w otulinie ich mieszkania, zostały wcześniej odtajnione, zdekodowane i udostępnione obydwu stronom na potrzeby procesowe, tak że osiągnięcie rozwiązania prawnego nie zaangażowało

zbytńio obu dedykowanych SI. Albert przegrał obydwie sprawy. Nie został co prawda skazany na żadną formę ograniczenia wolności, jednak z wszystkiego, co posiadał, pozostało mu czterysta osiemdziesiąt siedem nowych dolarów. Cała reszta majątku przypadła jego żonie.

Kiedy usiadł niepewnie na szeleszczącej i klejącej się jeszcze od krwi folii, jego kom-pan doszedł do wniosku, że może już poinformować go o ostatnich wydarzeniach. Na koniec ściszym głosem oznajmił, że został zwolniony z pracy.

Albert przyjął tę informację z nieskrywaną satysfakcją. Nienawidził swojej pracy. Był instruktorem żeńskich maszyn konwersacyjnych. Zawsze kiedy wchodził do hali wypełnionej nimi, czuł narastającą gwałtownie irytację. Wszystkie miały wyłączoną funkcję mowy i patrzyły na niego swoimi dużymi, prześlicznymi oczętami, w których malowała się niewypowiedziana męka, powodowana przemożną niezaspokojoną chęcią konwersacji. Zastanawiał się, po co robili je takie śliczniutki. Być może klientki, które je kupowały, znajdowały przyjemność w posiadaniu na własność istot nieporównanie bardziej pociągających niż one same, a jeszcze zupełnie bezbronnych i podległych całkowicie ich kaprysom. Niekiedy w trakcie treningu wdawał się z konwersantkami w dziwne pogawędki.

– Jesteś tak piękna.

– Och, zaczynasz mnie podrywać? Ty wcale mi się nie podobasz i zastanawiam się, czy zasługujesz na to, żeby w ogóle zwracać na ciebie uwagę.

Albert uśmiechał się wtedy złośliwie.

– Być może nie zasługuję. A jeśli dojdiesz do wniosku, że nie zasługuję, to co?

– Co: to co? – Duże oczy konwersantki robiły się jeszcze bardziej okrągłe.

– Co zrobisz, jeśli dojdiesz do wniosku, że nie zasługuję na to, żebyś zwracała na mnie uwagę?

– Przystanę z tobą rozmawiać.

Albert krztusił się ze śmiechu.

– A wiesz, co ja ci wtedy zrobię?

– Co?

– Najpierw zdejmę twój kaftanik. Potem twoją bluzkę. Rozbiorę cię do naga. A potem...

– Och! – Wydawało mu się, że sztuczna perłoworóżowa skóra konwersantki przybiera odcień nieco bledszy. – Nie możesz tego zrobić!

W rzeczywistości regulamin instruktora konwersantek zabraniał wszystkiego, co w zwykłych okolicznościach było zabronione w stosunkach pomiędzy ludzkimi pracownikami firmy, a także tego, co było uważane powszechnie za niemoralne lub nieprzyzwoite. Jednakże regulamin nie mówił wprost, iż na przykład instruktor nie może rozebrać konwersantki. Albert spoglądał na korpus maszyny konwersującej, kończący się trochę poniżej pępka płytą z białego sztucznego marmuru, i zastanawiał się, co stałoby się, gdyby spełnił swoją groźbę. Zapewniano ich, iż sesje szkoleniowe nie są monitorowane, właśnie po to, by nie zakłócać nastroju intymności i szczerości niezbędnego, żeby wykształcić w konwersantkach cechy pożądane przez klientki. Albert ani przez chwilę nie wierzył, że to prawda. Mimo to często posuwał się daleko poza granice, które wyznaczał, co prawda dość nieostro, regulamin. Szkolone przez niego maszyny sprzedawały się wyśmienicie i Albert zarabiał całkiem nieźle, a mimo to nienawidził swojej pracy. Nienawidził jej także dlatego, że nie

zdobył się nigdy na to, by do końca zrobić to, co chciał zrobić z któryś z tych paplających damskich kadłubów.

Większość instruktorów pracujących z konwersantkami stanowiły kobiety i Albert wiedział, iż praca jego i jego kolegów jest tylko czymś w rodzaju dosypywania przypraw do głównego dania. Głównym daniem zaś były wielogodzinne sesje instruktorek, które pracowały z takim zapalem i oddaniem, że wszedłszy do hali produkcyjnej, łatwo można było pomylić konwersantkę z jej ludzką instruktorką.

Toteż kiedy Albert wracał z pracy do domu i witała go Joanna, z głową pełną olbrzymiej ilości zdań, które podobne tłustym, jędrnym, bezmózgim, kłębiącym się robakom domagały się gwałtownie ujścia, Albert posępniał i zaciskał nerwowo pięści.

Z tych wszystkich naraz oczywistych, a także i innych, niejasnych powodów Albert, idąc ulicami miasta, czuł nadzwyczajną lekkość i oszałamiającą pustkę. Było już późno i w przymglonym świetle lamp plamy krwi na jego ubraniu nie rzucały się w oczy. Robiło się zimno i przechodnie spieszyli, by schować się przed przenikliwym wiatrem. Albert zdał sobie nagle sprawę z tego, że intensywnie myśli, jak najszybciej wydać te czterysta osiemdziesiąt siedem dolarów, które mu pozostały. W tej właśnie chwili zobaczył reklamę „Wieczności za bezcen”. Przystanął i wpatrywał się w trójwymiarowy obraz przedstawiający parę trzymającą się za ręce i kroczącą wolno przez kwiecistą łąkę ku niebieskosinemu horyzontowi.

Reklamę musiał widzieć już wiele razy wcześniej, ale nigdy nie przyjrzał jej się bliżej. Przez głęboki szmaragd sześciennego akwarium reklamy przepływały senne litery: „Romantyczna wieczność za bezcen. Biuro Sieci Usługowej Subfinalnej SI Róża Antarktydy. 150 metrów. Czy wiesz, jak staniała w tym tygodniu nieśmiertelność?”.

Reklama, za każdym razem inna, kiedy spieszył do przystanku metra w drodze do pracy i gdy wracał, wydawała mu się zawsze tak absurdalna, iż nie zwracał na nią uwagi. Tym razem w niewytłumaczalny sposób zahipnotyzowała go. Szedł teraz, rozglądając się uważnie za biurem Róży Antarktydy. Spostrzegł je zaraz za małym sklepem, zamkniętym o tej porze, z wystawą zastawioną prezentacjami miniautomatów wartowniczych. Minął łpiący na niego groźnie tłum karłowatych blaszanych samurajów, mylących niewinnym wyglądem pluszowych tygrysków, hitlerowskich żołnierzy w reprezentacyjnych mundurach i ukrytych w półmroku maszkar i stanął przed półprzejrystą szybą Biura Sieci Usługowej Róży Antarktydy. W niewiarygodnie grubym mrożonym szkle szyby wtopiona była dorodna herbaciana róża.

Albert pchnął drzwi. W środku rozbrzmiała delikatna melodia jak ze staroświeckiej pozytywki. Pomieszczenie było słabo oświetlone. Pracownik biura, łysiejący mężczyzna o lekko odstających uszach, spojrzął na niego znad kontuaru, na którym leżała gazeta. Zdjął okulary i uśmiechnął się z roztargnieniem do Alberta.

– Witam pana. Nazywam się Kurt Slatinek.

Albert podszedł do niego. Muzyka dolatywała od strony wąskich i stromych drewnianych schodów w głębi pokoju.

Na ścianie po lewej stronie naklejony był ekran. Pulsowały na nim kolorowe, niewyraźne kształty, co kilka cykli kończące się jakąś wersją sceny z parą kroczącą pośród już to pastelowych, już to sepiowych krajobrazów. W tle raz ciemniał, to znów jaśniał, znikając w bladobłękitnym niebie, ogromny kształt niepokojącego kwiatu.

– Róża Antarktydy powiada, że w końcu każdy trafia do naszej firmy – powiedział Slatinek i skończył się uśmiechać. Wyglądał teraz na nieco zmęczonego. I jakby przybrudzonego. – Musi tak być, ponieważ jedyne

dwie rzeczy, które ludzi naprawdę interesują, to nieśmiertelność i szczęście. Obydwie rzeczy możemy panu zaoferować za niewielką cenę.

– Nieśmiertelność? – Albert przestał wpatrywać się w reklamę. – Słyszałem, że jesteście podejrzaną przechowalnią, czymś w rodzaju kliniki kriogenicznej, o nieśmiertelności nic mi nie mówiono.

Slatinek spojrział na niego z pobłażliwą wyrozumiałością.

– Działamy całkowicie legalnie i z zachowaniem wszystkich zasad handlowej uczciwości. Oczywiście również nie zamrażamy naszych klientów. Przez cały czas zachowują oni pełną świadomość. Zasady są proste. Wykupuje pan czas. Ile chce pan wydać na ten cel pieniędzy?

– Wszystko, co mam. Czteryście osiemdziesiąt siedem dolarów.

Sprzedawca rzucił okiem na swój kom-pan.

– W cenach z dnia dzisiejszego będzie to sto pięćdziesiąt trzy lata, jedenaście miesięcy i pięć dni. Może to wydawać się niewiele, wiadomo, czas szybko leci, ale mamy kilka dodatkowych interesujących opcji. Panu poleciłbym podzielenie kwoty na dwie równe części. Za pierwszą opłaci pan czas pobytu u nas, drugą przeznaczy pan na wsparcie rozwoju naszego projektu. Zakupi pan po prostu część akcji firmy, której głównym właścicielem jest Róża Antarktydy. Jeśli projekt będzie się rozwijał pomyślnie, po tych około siedemdziesięciu dwóch latach pozycja firmy zmieni się tak bardzo, że zysk będzie mógł pan przeznaczyć na przedłużenie czasu pobytu w naszym świecie. Ponieważ z pewnością cena czasu dramatycznie spadnie, praktycznie zagwarantuje to panu nieskończony czas istnienia, o ile oczywiście będzie to panu odpowiadało. Róża Antarktydy szacuje szansę niepowodzenia projektu na jeden do trzystu miliardów. Przyzna pan, że to niewiele.

– Za kilka lat wasza SI może być już zdemontowana.

– To wątpliwe – powiedział Slatinek. – Rezyduje na jednej ze sztucznych wysp u wybrzeży Antarktydy. Wyspa została kupiona przez Różę, tym samym nie podlega jurysdykcji żadnego z państw ani regulaminowi żadnego z koncernów. Co więcej, nasza firma w najbliższym czasie planuje stworzenie kopii zapasowych Róży w kilku różnych bezpiecznych pod względem fizycznym i prawnym lokalizacjach, tak by zminimalizować ryzyko przerwania działalności. Jeśli nie nastąpią żadne opóźnienia, pierwsza z kopii zostanie uruchomiona w przyszłym miesiącu na Księżycu. Jeśli zechce pan sprawdzić dotychczasowe wyniki finansowe naszej firmy, to przekona się pan, że są wybitnie zachęcające.

– Dobrze. – Albert podjął nagle decyzję. – Zgadzam się na tę opcję.

– Doskonale. – Sprzedawca znów skonsultował się ze swoim kompanem. – Będzie musiał pan wyrazić zgodę na przekazanie wszystkich swoich danych osobowych do naszej bazy. Wgląd do niej ma wyłącznie Róża Antarktydy. Jest to konieczne, aby Róża mogła stworzyć najbardziej odpowiadające panu warunki. Proszę podłączyć tu kom-pan i podać kod.

Wprowadzając kod, Albert miał uczucie, że rozbiera się na środku ruchliwego placu. Odczuwał je wyraźnie, a jednak w jego obecnej sytuacji było mu to dość obojętne. Pomyślał, pocieszając się, że w najgorszym razie może stracić resztę pieniędzy.

– Proszę teraz usiąść – powiedział sprzedawca. – Róża odszuka osobę, która będzie panu towarzyszyć. Niech pan się nie obawia – nawet jeśli pana związki w przeszłości nie były udane, kobieta, z którą będzie pan dzielił zakupiony czas, nie zawiedzie pana. Pan również nie sprawi zawodu swojej nowej partnerce. Wiążąc się z kimś, tęsknimy za dopełnieniem, za czymś, co nas przewyższa i uzupełnia, co nas zbliża do czegoś, co przeczuwamy, że powinno istnieć. Zawsze spotyka nas zawód, ponieważ inna osoba jest taką samą skończoną istotą jak my sami. Jednak z wami będzie Róża

Antarktydy w każdej chwili, wzrastająca w nieskończoność, dzieląca się z wami niewyczerpanym przyływem nowych możliwości, zrozumień, spełnień i rodzących się marzeń. Będziecie iść razem z nią i razem z nią rosnać.

– Dużo pan tu zarabia? – zapytał Albert. – Jeśli wierzy pan w to, co pan gada, to powinien pan sam skorzystać z oferty swojej firmy. Jeśli nie, to jest pan oszustem.

Slatinek uśmiechnął się.

– Pracownicy naszej firmy podlegają starannej selekcji. Wszyscy mamy poczucie misji. Pragniemy, by wszyscy ludzie w miarę możliwości mogli wejść na drogę, którą buduje dla nich Róża. Taka jest oficjalna wersja, zalecana w rozmowach z klientami. Jednak każdy z pracowników naszego biura może ujawnić klientowi swoją prawdziwą motywację, jeśli różni się ona od tej oficjalnej. Szczerłość jest bardzo zalecana przez naszych szefów.

Sprzedawca spoglądał na Alberta z jakimś dziwnym rodzajem spokojnego współczucia.

– Rozumiem, że pan kieruje się właśnie czym innym?

– Tak. Pracuję tu, bo lubię patrzeć na ludzi, którzy do nas przychodzą. Zwykle są to ludzie, którym się nie powiodło. Tacy, którzy się już poddali. Wypalili. Skończyli. Jesteśmy dla nich ostatnią deską ratunku, wyjściem awaryjnym.

– A pan?

– Nie jestem skończony. Zwyczajnie żyję. Oglądam sobie tutaj takich jak pan. Naprawdę krzepiące zajęcie. Zarabiam parę groszy. Poza tym robię to, na co mam ochotę. Myślę, że istnienie w świecie Róży jest podobne do narkotycznego transu. Nie żyje się własnym życiem, tylko fantasmagoriami, którymi karmi cię Róża. Czy można to w ogóle nazwać życiem? Gdybym jutro miał umrzeć i musiał wybierać, wybrałbym śmierć.

Mam nadzieję, że zamiary Róży nie powiodą się, bo w takim wypadku nie zostawi mnie w spokoju nawet po śmierci.

– Robi pan kiepską reklamę swojej firmie – stwierdził Albert.

– Nie wiem. Może jest odwrotnie? Mój szef powiedział, że mam prawo do swoich poglądów i że póki jestem szczerzy i robię, co do mnie należy, mogę mówić to, co chcę. Może wyszło im, że ta kategoria klientów reaguje właśnie dobrze na takich pracowników jak ja? Szef powiedział jeszcze, że nie mam racji. Że nasi klienci mają większą możliwość wyboru i działania niż na przykład ja, bo Róża rozwija i rozbudowuje z czasem w nieskończoność i ich świat, i ich samych, i siebie. Kiedyś staną się czymś, czego tacy jak ja nie będą w stanie zrozumieć. Czymś takim jak Róża, ale jeszcze bardziej skomplikowanym. A tymczasem sama Róża, jak mówi, „rozkwitnie”. Nasz świat, powiada szef, ograniczony jest prawami fizyki. Świat Róży tylko kondycją finansową naszej firmy.

Albert zamyślił się.

– Chce pan zrezygnować? Róża znalazła już tę kobietę. Będzie tu za pięć minut. – Sprzedawca patrzył na niego znów z nieznacznym współczującym uśmiechem. – Możemy zwrócić pieniądze. Pobrane dane zostaną skasowane.

Albert potrząsnął głową przecząco.

– Nie. Nie, choć, tak czy owak, wyglądacie na bandę oszustów. Jest mi wszystko jedno. Po prostu chcę się dzisiaj wieczorem rozerwać.

Slatinek wybuchnął śmiechem.

– Przepraszam. Rozerwać? Spotka pan kobietę, której szukał pan bezskutecznie całe życie, a potem uzyska pan nieśmiertelność i poczucie nieskończonego spełnienia! Proszę, niech pan usiądzie i poczeka te pięć minut.

Albert usiadł w małym plastikowym fotelu, a sprzedawca założył na powrót okulary i zaczął znów czytać gazetę. Za półprzejrzystą szybą biura zapalały się i gasły wieczorne światła. Siedział w tym nadzwyczaj podejrzanym miejscu i myślał o wszystkich niespełnionych wersjach siebie. Jakaś jego wersja w którymś z wszechświatów żyła szczęśliwie z Joanną. Inna dokonała doskonałej zbrodni i pozbyła się Joanny raz na zawsze. Jeszcze inna nigdy nie spotkała się z tą fatalną kobietą i była doskonale nieświadoma jej istnienia. Fale melancholii, tęsknoty, zniechęcenia i obojętności ogarniały go jedna za drugą. Potrzebował wiele czasu, który by to wszystko uładził. Dlatego tutaj przyszedł i dlatego go kupił.

Drzwi otworzyły się.

– Dobry wieczór – powiedziała młoda kobieta w szarym kapelusiku z żółtym kwiatkiem.

Za nią weszła chuda starsza pani, podpierająca się wielkim parasolem ze stalowym, długim szpicem.

– Dobry wieczór. – Sprzedawca uśmiechnął się do wchodzących. – Przedstawiam paniom pana Alberta Raskina. Pani Aleksandra Pelosi i jej matka, pani Nina Pelosi. Panie zawarły już umowę z naszym biurem. Rozumiem, że są panie gotowe?

Obie kobiety skinęły głowami i spojrzały na Alberta wyczekująco. Poczł się zakłopotany.

– Chyba kiedyś panią spotkałem – powiedział niepewnie do młodszej. – Już dość dawno temu.

– Tak – odpowiedziała. Jej policzki lekko się zaróżowiły. – Też mam takie wrażenie.

Był oszołomiony. Kiedy i gdzie mógł ją spotkać? Wydawało mu się, że porusza się we śnie.

– Proszę wejść na górę – usłyszał jakby z oddali głos Slatinka.

Kobiety poszły przed nim w stronę schodów.

Weszli na piętro. Przywitał ich tam młody, wysoki człowiek w ciemnym garniturze i przedstawił się jako Mauro Patino. Wyglądał na obojętnego i pewnego siebie. Poszli za nim korytarzem. Przez lekko zakurzone szyby po prawej Albert widział w dole zatłoczoną ulicę. Po lewej mijali zamknięte drzwi z numerami. Patino szedł na przedzie, za nim kroczyła pani Nina Pelosi, podpierając się parasolem, potem jej córka. Albert, idący zaraz za nią, widział szybkie, nerwowe kroki jej stóp w czarnych butach.

– To tutaj. – Patino zatrzymał się i otworzył kluczem drzwi z numerem 143. Ruchem ręki zaprosił ich do środka.

Panowało tu wilgotne, lepkie ciepło, jak w piwnicy wypełnionej akwariami.

Pokój miał kształt długiej na kilkanaście metrów kiszki. Wzdłuż jednej ze ścian stał metalowy stół, na którym umieszczono oszklone i słabo oświetlone gabloty. Widać było w nich nieduże, jakby porcelanowe figurki, ułożone na czymś, co przypominało ciemnoniebieski zamsz. Wszystkie gabloty tuż przy wejściu były zajęte. Przeszli dalej i zatrzymali się przy pierwszej wolnej. Patino podszedł do gabloty i manipulował przez chwilę przy pulpicie pod krawędzią stołu.

– Czy są państwo gotowi? – zapytał.

Aleksandra Pelosi zdjęła kapelusz i poprawiła odruchowo włosy. Pani Nina Pelosi odsunęła się ku przeciwległej ścianie i odwróciła do nich plecami.

– Nie bardzo rozumiem... – powiedział Albert.

– Proszę się nie niepokoić. Róża Antarktydy zatroszczy się o wszystko. Właściwie już to zrobiła. Proszę jej zaufać.

Patino wyszedł.

Albert spojrział na Aleksandrę. Ta, widząc na sobie jego badawczy, trochę nieufny wzrok, wzdrygnęła się i zarumieniła, ale po sekundzie znów patrzyła mu w oczy z lekko zdumionym uśmiechem na twarzy.

Przypomniawszy sobie i wstrzymał oddech z zadziwienia. Aleksandra była przecież tą dziewczynką, którą pokochał od pierwszego spojrzenia, kiedy poszedł do szkoły. Miała wtedy takie niezwykle, duże oczy i śmieszne warkoczyki. Przestrzeń w jej obecności zmieniała swoje właściwości. W jakimkolwiek sposób by się poruszał i w jakimkolwiek miejscu by był, zawsze okazywało się, że tak naprawdę jest na którymś z dalszych kręgów koła, w którego środku była tamta dziewczynka. Bardzo szybko została przeniesiona z jakichś powodów do innej szkoły, ale Albert pamiętał o niej i zawsze kiedy spotykał ją na ulicy – ciągle mieszkała w tym samym mieście – było tak, jakby przechodził obok oślepiającego słupa ognia. Opuszczał wtedy wzrok, a gdy oddalała się, robiło się ciemniej i odczuwał straszny smutek. A potem minęło wiele lat i zapomniał o niej.

Teraz stała o krok od niego. A może się mylił? Przecież nie widział jej tak dawno. Nie potrafił już sobie odtworzyć, czy tamta dziewczynka rzeczywiście nazywała się tak samo. Czy to mogła być Aleksandra Pelosi? Musiała przecież bardzo się zmienić. Tak samo jak zmienił się on sam.

Oboje spoglądali na siebie z niedowierzaniem i skrywaną z trudem radością.

Wszystko wokół spłaszczyło się, a potem zaczęło rozpuszczać. To takie dziwne, że jesteśmy od siebie ciągle oddaleni, pomyślał Albert. Objął Aleksandrę i przytulił ją do siebie. Coś lekkiego, puszystego i chłodnego zaczęło sypać się z góry, opalizujące w niewyraźnym świetle drobiny. Zbliźali się do siebie. Odwrócił jeszcze głowę, by zobaczyć, jak ze ściany wyrasta wypukły cień, czarna płaskorzeźba z pochylonymi wąskimi plecami.

W tej właśnie chwili usłyszał po raz pierwszy myśli Aleksandry i powoli, ze zdziwieniem i oszołomieniem, a także jakimś niezrozumiałym wysiłkiem, jakby jego głowa nie należała tylko do niego, powrócił w głąb jej oczu. Jej źrenice powiększały się, aż ogarnęły wszystko, co było w zasięgu jego postrzegania. Zrozumiał też, że nie słyszy jej myśli, a doznaje ich, jest obejmowany i oplatany ich cichym, intymnym szmerem, cichszym niż szum przepływającej krwi. W tym ich szepcie dosłyszał echo swoich własnych myśli.

Jesteś, jesteś, jesteś – oboje dziwili się sobie i uśmiechali, nie widząc już niczego.

– Dzień dobry państwu – powiedziała Róża Antarktydy. – Tak bardzo się cieszę, że mi zaufaliście. Nie zawiodę was. Chodźmy, przed nami jest długa, nieskończenie długa droga...

Czas obrócił się z hukiem na drugą stronę. Ryby dotykające pyszczkami cienkiej błony powierzchni stawu, lśniące słonecznymi koliskami, rdzawe liście migoczące w podmuchach pachnącego wiatru, ptaki podrywające się do lotu w przestrzeni o nieskończenie wielowymiarowym błękicie, wszystko to obracało się coraz szybciej, to w krzyk i szloch, to w spokój niepojętej krawędzi, za którą nie było już nic i nie mogli już odróżnić...

Mauro Patino po półgodzinie wrócił do pokoju numer 143. Na końcu stołu przybyła nowa gablota. Pochylił się nad nią, mrużąc oczy. Na dnie gabloty zobaczył dwie drobne, spłaszczone figurki, kobiety i mężczyzny. Figurki były złączone ze sobą w pasie, tak jak postaci na kartach, z głowami odwróconymi w przeciwne strony. Kiedy pochylił się jeszcze bardziej, zobaczył, że mają wpróprzymknięte oczy i uśmiechnięte smutno twarze, a ich klatki piersiowe porusza rytmem spokojnego, nienaturalnie wolnego oddechu.

Zszedł na parter i zobaczył, że Slatinek zdjął już z wieszaka płaszcz i szykuje się do wyjścia.

– Jak nasi nowi klienci? – zapytał Slatinek.

– W porządku. Wszystkie parametry w normie.

– Chyba pada. – Slatinek uchylił drzwi. – Okropna pogoda. Nie chce się wyściubiać nosa na zewnątrz. Może lepiej kupię sobie trochę czasu i przeczekam to wszystko?

Patino skrzywił się.

– Za pół godziny będziesz w domu, wyciągniesz z barku butelkę i będziesz najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

– Racja. – Slatinek roześmiał się i wyszedł prosto w objęcia podmuchu zimnego wiatru zacinającego deszczem. Otworzył swój duży czarny parasol i poszedł szybko w górę ulicy. Tamci byli już w innym czasie. Ale co to oznaczało? Prowadziła ich teraz Róża Antarktydy. Być może w nieskończoność, gdzie czas mógł mieć inny smak i inne zupełnie znaczenie. Gdzie to, co było kiedyś, przestawało być realne i myliło się z tym, co będzie. Nie, nigdy na to się nie zdecyduje. I tak wszystko było dostatecznie ruchome, niepewne, wymagające nieustającego wysiłku, tak jakby sam znajdował się już w owej pieczarze z cieniami tańczącymi na ścianach. Dlatego tak bardzo nie lubił jakichkolwiek zmian, nawet tego, że sklep z automatami wartowniczymi, który działał całe sześć lat, nagle przed pół rokiem został zamknięty, a jego miejsce zajęło biuro podróży. Nie chciał rozpuścić się w nieskończoności jakiegoś sztucznego boga. A może już to się stało? Czy mógł mieć pewność, że projekt Róży Antarktydy już dawno temu nie powiódł się i nie został doprowadzony przez nią do logicznego końca, w którym wszystko było pomieszczone?

Zimny wiatr przeniknął go do szpiku kości, aż zaszczekał zębami. Pomyślał jeszcze, że przecież w śnie o ciepłym, złudnym przytulisku, jakie

mogło już ich otaczać, ktoś pewnie znalazłby pociechę. Podniósł kołnierz płaszcza i przyspieszył kroku.

LICYTACJA

Aura zaczęła być dziwnie podobna do tej z czasów dzieciństwa i Łam martwił się tym bardzo. W czasie spoczynku zaczęły go nawet odwiedzać stare Wspomnienia. Myślał, że przestały już istnieć i, prawdę mówiąc, cieszył się z tego, a tu nagle znów się pojawiły, nie wiadomo skąd. Często przypominał sobie siostrę i ojca. Matki nie, ponieważ nigdy jej nie poznał. Ojciec, kiedy Łam i Nitka pytali go o nią, zawsze robił się smutny albo trochę rozdrażniony. Myślał do nich, że to jest długa i skomplikowana historia i że kiedyś im ją wyjaśni. Dodawał czasami, że poddała się Kolejnemu Przekształceniu i prawdopodobnie jest teraz bardzo szczęśliwa, i na pewno bardzo często przypomina sobie o nich.

– Ale dlaczego w takim razie nie pomyśli czasami do nas? – pytała wtedy Nitka.

– Właśnie. Albo dlaczego nigdy nam się nie ukazuje? – dodawał Łam.

– Nie może – odpowiadał ojciec. – Po Kolejnym Przekształceniu jest dużo mądrzejsza niż my. Nie wygląda tak, że moglibyśmy ją naprawdę zobaczyć. Ma też teraz dużo ważnych obowiązków. A poza tym nie umie już myśleć do nas tak, jak mogła przed Przekształceniem. Jest odmieniona, jest dużo bliżej Ostatecznego Przesuwającego Się Planu niż my.

Wtedy zastanawiali się z Nitką przez kilka chwil nad tym, co to jest Ostateczny Przesuwający Się Plan. Ojciec widział ich natężone miny i uśmiechał się z zakłopotaniem.

– To jest coś, co nadaje wszystkiemu sens. Dzięki Planowi istnieje wszystko, co nas otacza, razem z nami. Wszyscy zbliżamy się do miejsca, gdzie jest Plan, ale jednocześnie Plan zbliża się do Doskonałości, dlatego ciągle musimy ku niemu podążać, żeby się od niego nie oddalać.

– To jest strasznie skomplikowane – myślała wtedy do Łama i ojca Nitka z rozczarowaniem malującym się na twarzy.

Łam też uważał, że to jest strasznie skomplikowane.

– To prawda – potwierdzał ojciec. – Dlatego niektórzy chcą lepiej to zrozumieć i poddają się Przekształceniu. Chociaż robią to nie tylko z tego jednego powodu. Chcą być i zwyczajnie mądrzejsi, i bliżsi zrozumienia Planu.

– A może my też moglibyśmy się poddać Przekształceniu? – pytał wtedy Łam. – Bylibyśmy wtedy tak samo mądrzy jak nasza mama. Wtedy mogłaby nam się ukazać. I wtedy mogłaby znów myśleć do nas, bo rozumielibyśmy, co do nas myśli, prawda?

Właśnie wtedy ojciec robił się smutny, a niekiedy trochę nerwowy.

– To prawda, moglibyśmy to zrobić. Ale kiedy poddamy się Przekształceniu, nie będziemy już tym, czym jesteśmy teraz. Będziemy kimś zupełnie innym. I nie wiadomo, czy będziemy chcieli w ogóle myśleć do siebie nawzajem. Albo czy nie będziemy chcieli o sobie zapomnieć. A po Przekształceniu bardzo łatwo jest zapominać o tym, o czym chce się zapomnieć. Dlatego jeśli chcecie poddać się Przekształceniu po to, by myśleć do mamy i by mama mogła wam się ukazywać, to najprawdopodobniej to się nie uda, bo po Przekształceniu najpewniej nie tylko mama nie będzie chciała myśleć do was, ale wy również nie będziecie

już chcieli się z nią zetknąć. Rozumiecie? Być może do mnie też nie będziecie wtedy mieli ochoty myśleć. Chcecie, żeby tak się stało?

– Nie, nie chcemy, żeby tak się stało! – myśleli wtedy do niego, ale tak naprawdę nie mogli zrozumieć, jak można tak się zmienić, by chcieć zapomnieć o sobie nawzajem. A Łam myślał jeszcze, ale tylko do siebie, że coś tu nie gra, bo przecież ojciec stwierdził, że na pewno mama często przypomina sobie o nich, więc może z tym zapominaniem musi być jeszcze jakoś inaczej.

Ale dużo później Łam chciał właśnie o tym wszystkim zapomnieć, jednak nie mógł, bo nigdy nie poddał się Przekształceniu i było już na to za późno.

Często powtarzali takie rozmowy z ojcem i zawsze kończyło się to tak samo. Tak naprawdę nie dowiedzieli się nigdy o swojej mamie wiele więcej, bo ojciec nie zdążył im więcej powiedzieć.

W tamtych czasach było dużo wolnego miejsca pomiędzy Skupiskami i tacy jak ojciec, Łam i Nitka mogli długo żyć nie niepokojeni przez nikogo. Mieli własny dom i przeszkadzały im tylko czasami Ryczące Paszcze. Paszcze były jednak dość głupie i poruszały się bardzo wolno, a poza tym pojawiały się niezwykle rzadko.

Niemal codziennie odwiedzali Skupisko. Ojciec załatwiał tam swoje interesy, łączył się z innymi pracownikami swojej firmy – co bywało niezbędne, bo w Skupisku można było łączyć się ściślej – dokonywał wszystkich niezbędnych transakcji, a Łam i Nitka oglądali wystawy albo podłączali się do Parków Małych Umysłów, gdzie spotykali się z innymi dziećmi. Niektóre dzieci były tak bardzo inne niż oni, iż wydawało im się, że musiały też przejść Przekształcenie, jak ich mama, i niekiedy trzeba było się z nimi nie na żarty bić, żeby nie zostać mocno pogryzionym albo nawet

zjedzonym. Na szczęście wszystkiego pilnowali agenci parkowi i takie zdarzenia miały miejsce rzadko.

Większość czasu spędzali jednak w swoim domu, bawiąc się ze sobą albo z dziećmi z innych domów lub mieszkań ze Skupiska, wymyślając razem z nimi podwórko, boisko albo plac zabaw. Oczywiście łączyli się codziennie ze swoimi starymi domowymi nauczycielami i uczyli się od nich różnych dziwnych rzeczy. Dowiadywali się na przykład tego, jak dużo lepiej jest teraz niż za dawnych czasów, kiedy ludzkość nie przeniosła się jeszcze do Niematerialnego Świata.

– Kiedyś, przed Przeprowadzką, życie było naprawdę okropne – myślał do nich często najstarszy z nauczycieli, zwany Psem Pluto. Pies Pluto był już tak stary, że wydawało im się, iż musi pamiętać czasy sprzed Przeprowadzki. Jednak kiedy go o to pytali, myślał do nich zbyt niewyraźnie, by mogli go do końca zrozumieć.

– Być może trzeba go będzie w końcu wymienić – zastanawiał się raz na miesiąc ojciec, kiedy sprawdzał stan ich kont. – Kosztuje nas siedemdziesiąt trzy punkty miesięcznie, a pożytek z niego jest coraz mniejszy.

Ale ciągle nie mógł się zdecydować, by oddać go do przeglądu do Rezerwy, więc Łam i Nitka mogli ciągle słuchać, jak Pies Pluto opowiada im o starych czasach.

– Może wyda wam się to niewiarygodne, ale w tamtej epoce ludzie żyli naprawdę bardzo krótko – myślał do nich. – Kiedy dochodzili do pewnego wieku, zazwyczaj zaczynali się psuć i bardzo cierpieli. I po jakimś czasie umierali w strasznych męczarniach.

– Co to znaczy „umierali”? – pytała Nitka.

– To było coś podobnego do dzisiejszej dezintegracji. Niektóre z ich części przestawały działać i współpracować z innymi. I wtedy bardzo

cierpieli i przestawali się poruszać. Przestawali też myśleć. Ale najgorsze było to, że nie nadawali się już zupełnie do użytku i wszystkie ich części rozpadały się, nie zostawało z nich nic, co mogłoby być wykorzystane przez innych. Co prawda zostawało z nich trochę w dzieciach, jeśli mieli dzieci, ale poza tym przestawali istnieć i rozpadali się na prostą materię.

– Na pierwiastki? – upewniała się Nitka.

– Właściwie na różne prostsze substancje chemiczne. Mogli jeszcze pozostawiać po sobie różne zapisy, ale te zapisy były martwe i same nie umiały myśleć.

– Czy my też kiedyś umrzemy? – pomyślał do Pluto Łam.

– My już nie umieramy. Niektórzy z nas, ci, którym nie powiedzie się tak dobrze jak innym, mogą zostać ogłoszeni bankrutami i wtedy zostaną zdeintegrowani. Tego z góry nie można przewidzieć. Ale nawet w takim przypadku nie zostaniemy zniszczeni, tylko podzieleni na części i zaadaptowani przez takich, którym powiodło się lepiej.

Łam wyobrażał sobie, że na pewno ich mama bała się, iż kiedyś może jej się powieść gorzej i zostanie podzielona na części. I dlatego wołała poddać się Kolejnemu Przekształceniu. Ciekawe, zastanawiał się, czy kiedyś w przyszłości nie może tak się stać, że on sam zbankrutuje i że jakaś jego część zostanie nabyta właśnie przez jego mamę? Wtedy w jakiś sposób mógłby ją poznać. Po wielu, wielu latach zaczął podejrzewać, iż to głęboko ukryte destrukcyjne pragnienie prowadziło go jak straszny przewodnik ze ślepą twarzą.

Nauczyciel opowiadał też często o dziwnych obyczajach, jakie panowały w Świecie, Gdzie Wszystko Było Ciężkie i Odległe. Opowiadał na przykład o samochodach i innych prymitywnych materialnych maszynach.

– Ciągle trwała wojna między ludźmi a samochodami. W tej wojnie każdego dnia ginęło bardzo, bardzo wielu ludzi. Samochody miażdżyły ich,

łamały im kości, rozszarpały na strzępy. Nie lepiej było z innymi maszynami. A mimo to ludzie ciągle musieli rozmnażać samochody i dbać o nie. Byli właściwie ich niewolnikami, a bez samochodu nie potrafili nawet wyobrazić sobie życia. W większości przypadków samochody i wiele innych maszyn były ważniejsze od ludzi i prawie zawsze ludzie musieli ustępować samochodom drogi, a jeśli tego nie robili, natychmiast byli przez nie zabijani lub okaleczani. I we wszystkich takich przypadkach karani byli ludzie, a nie samochody.

– Nie wierzę w to – myślał wtedy do nauczyciela Łam, który nie był tak łatwowierny jak młodsza Nitka. – To przecież niemożliwe, żeby takie bezmyślne maszyny mogły zabić człowieka. Co innego myśląca maszyna, ale takie proste, głupie urządzenia?

– Och, wszystko wyglądało inaczej niż teraz. Myślenie nie było wtedy takie ważne. Wystarczyło mieć odpowiednią masę i szybkość, by kogoś lub coś zabić. Samochody miały dużo większą masę i szybkość niż ludzie i dlatego z łatwością mogły ich zabijać.

– A co to jest masa? – zapytała Nitka.

– Powinniście się już o tym uczyć. Masa była miarą bezwładności. A bezwładność sprawiała, że nie można było się szybko przemieszczać. Im większą miałeś masę, tym trudniej było się przemieszczać i tym więcej energii musiałeś zużyć, by się szybko przenieść z jednego miejsca w drugie. Kiedy chciałeś się zatrzymać, musiałeś znów zużywać tym więcej energii, im większą miałeś masę i szybkość. Dlatego nie można było tak szybko przemieszczać się z miejsca na miejsce i ludzie musieli w tym celu korzystać z samochodów. Nie potrafiono wtedy jeszcze tworzyć każdego miejsca blisko siebie, zamiast do niego podróżować. Można powiedzieć, że z jednej strony ludzie toczyli z samochodami wojnę, ale z drugiej strony

współistnieli z nimi w symbiozie i nie mogli sobie wyobrazić bez nich świata.

Ojciec, Nitka i Łam żyli tak aż do pewnego wczesnego słonecznego ranka. Łam był cały na zewnątrz domu. Gapił się na Włochate Chodzące Nogi. Nogi przyplątały się nie wiadomo skąd. Były bardzo wielkie i wyglądały jak dwie czarne kolumny pokryte lśniąca, miękką sierścią. Nogi składały się tylko z tych dwóch kolumn i spajającego je u góry mięsistego grzbietu. Łaziły po podwórku, stąpając ostrożnie, by niczego nie zepsuć. Włochate Chodzące Nogi były bardzo łagodne i nie robiły nikomu krzywdy. Łam usłyszał chrząkanie i kwiczenie Ryczących Paszczy. Zbliżały się do ich domu szybko.

Łam przestraszył się. Z Paszczami nie było żartów, lepiej było być od nich z daleka. Nie wychodź z domu, pomyślał dla pewności do Nitki, która bawiła się w środku z domowymi zabawkami, wdrapał się szybko na sam wierzch Włochatych Chodzących Nóg i położył się na brzuchu na ich okrągłym, płaskim grzbiecie. Czuł pod sobą ich ciepło, czuł też, jak pod gęstym, miękkim futrem kurczą się ich potężne mięśnie, kiedy Nogi wykonywały chybotliwe kroki. Patrzył z lekkim zawrotem głowy wzdłuż Nóg, aż na sam dół, gdzie biegało już stado rozwrzeszczanych Ryczących Paszczy. Paszcze omijały z respektem Nogi, ale wyczuwały go i kierowały ku Łamowi swoje wielkie, głupie łby, wydzierając się przeraźliwie.

Słońce było jeszcze dość nisko i sztachety porośniętego drobnym zielonym mchem, dziurawego płotu ogradzającego ich dom rzucały długie, proste cienie. Trzy pieski, które wymyślili przedwczoraj z Nitką, biegały wokół stada Ryczących Paszczy i czekały na nie głośno, i Łam bał się, że Ryczące Paszcze mogą zrobić im krzywdę. Dalej, jak okiem sięgnąć, rozciągały się pola pełne kwitnących i pachnących kwiatów, usiane

zagajnikami. Coś poderwało się zza najbliższego zagajnika i frunęło w ich stronę koślawym torem.

Ryczące Paszcze ucichły, stuliły po sobie uszy i runęły do ucieczki przez przewrócone drewniane wrota. Łam usłyszał nieprzyjemny, cienki pisk. Zsunął się błyskawicznie po Nogach i schował w domu. Oboje z Nitką wśliznęli się pod wielki stół w kuchni i zamarli z przerażenia. Nitka była tak przestraszona, że bała się do niego myśleć. Nie bój się, on tutaj nie może wejść, pomyślał do niej Łam.

Kozi Strzelec zatrzepotał rudymi skrzydłami i usiadł na szopie w głębi ogrodu. Obserwował uważnie dom i całe obejście. Ryczące Paszcze znikły już zupełnie. Włochate Chodzące Nogi nie przejęły się pojawieniem się Koziego Strzelca. Były zbyt duże i silne, by Strzelec mógł się nimi zainteresować. Nogi podeszły kilkoma wielkimi krokami do wrót i stanęły tam, jakby wypatrując uciekających Paszczy.

Kozi Strzelec miał wąską, małą głowę z długim, zakończonym ostro ryjkiem zamiast nosa. Ryjek rytmicznie wydłużał się i skracał i był obrzydliwy. Cztery patykowate nogi Strzelca drgały nerwowo jak odnóża wielkiej muchy. Ruda kozia bródka sterczała mu do przodu. Łam ustawił ostrożnie swoje widzenie najpierw przy drzwiach domu, potem za wielkim drzewem za płotem, daleko od szopy. Widział Strzelca bardzo wyraźnie. Dom zdenerwował się i zaczął wzmacniać drzwi. Pieski warczały głucho, drepcząc przy drzwiach w sieni. W środku wszyscy byli bezpieczni. I wtedy na podwórku pojawił się ich ojciec. Musiał nie zauważyć Koziego Strzelca. Zdziwił się, że drzwi są zamknięte, rozejrzał, i wtedy ryjek Strzelca wydłużył się i przebił go na wylot. Ojciec krzyknął i upadł. Strzelec podfrunął do niego z ryjkiem ciągle poruszającym się w środku ojca. Na wszystkie strony tryskała krew, a przerażony Łam, widząc, że Nitka umieściła swoje widzenie obok jego, myślał do niej przeraźliwie głośno:

„Nie patrz, nie patrz, nie patrz!!!”. Ojciec zwijał się jak jakiś robaczek nabity na szpilkę. Kurczył się i po chwili już go nie było. Strzelec, teraz dużo większy, nasycony i podniecony, fuknął na Nogi, które zbliżyły się do niego i przestępowały. Podskoczył i uderzył ryjkiem w drzwi domu. Podrygując obrzydliwie i kołysząc śmiesznie obrzmiałym brzuchem, obiegił kilka razy dom dookoła, próbując zajrzeć przez okna, ale dom zaczął już je i nic nie mógł zobaczyć. Zapiszczał przeraźliwie ze złości i zniknął.

I tak skończyło się szczęśliwe dzieciństwo Łama i Nitki. Zostali umieszczeni w Przytulisku Małych Umysłów w Skupisku. Wszystko było tam inne. Kolory i zapachy były dużo gorszej jakości. Nauczyciele nie mieli własnych nazwisk, tylko numery, i nie można było im nadawać nawet jakichś przezwisk, bo wszyscy wyglądali tak samo i zachowywali się identycznie, tyle że wykładali inne przedmioty. Nie można było tu wymyślać własnych zabawek; były tylko takie gotowe maszynki przypominające blaszane pudełka. Łam i Nitka zostali przydzieleni do innych Segmentów i widywali się teraz tylko kilka razy w miesiącu, w czasie wolnym przed spoczynkiem.

Łam spostrzegł szybko, że najważniejsze tu były te z małych umysłów, które przypominały dzieci próbujące zjadać inne dzieci w Parkach Skupiska. Na szczęście w Przytulisku było bardzo dużo strażników, tępych co prawda i powolnych, ale wypełniających swe obowiązki z monotonną i żelazną sumiennością, tak że ostatecznie Przytulisko opuszczało zawsze mniej więcej tyle umysłów, ile do niego przyjmowano.

Kiedy Łam opuścił Przytulisko, zamieszkał w tym samym Skupisku i zaczął pracować w głównej sortowni danych. Pracowała tam ogromna rzesza istot o statusie podobnym do statusu Łama – nie nazbyt finezyjnie ukształtowanych, o przeróżnych ułomnościach, o przeciętnym wskaźniku

komplikacji. Sortowali gigantyczny strumień danych, jaki płynął ze Świata Zewnętrznego.

Łam nie należał do wtajemniczonej kategorii i nigdy nikt nie powiedział mu dokładnie, czym jest Świat Zewnętrzny ani w jaki sposób jest on połączony z ich Nieważkim Światem. Jego możliwości pojmowania nie były dość zaawansowane, by mógł to zrozumieć, więc uznano rozsądnie, że szkoda czasu i energii, by taką wiedzę mu przekazywać. Panowało jednak powszechne przekonanie, podzielane przez umysły jego kategorii, że Świat Zewnętrzny jest wcześniejszym, prymitywniejszym światem, z którego ludzkość zdołała się wyswobodzić, poddając się Pierwszemu Powszechnemu Przekształceniu. Mimo że ów wcześniejszy, ociążały świat bezwładu i ospałości został już przewyciężony, Nieważki Świat nie mógł do końca bez niego się obejść. Niezmiernie złożony i potężny strumień danych odbierany z tego prymitywnego protoświata bezustannie był przez nich wstępnie formowany, sortowany i przesyłany wyżej i choć nie mieli zielonego pojęcia o ogólnym znaczeniu owych danych, rozumieli, że sprzęgając własny świat z jego kolosalnym, mrocznym i ciężkim fundamentem, umożliwiają jego istnienie.

Praca Łama była jednak niezmiernie monotonna i miał wrażenie, że z każdym rokiem on sam staje się coraz prostszy i głupszy. Jego jedyną rozrywką było przeglądanie środowiska Skupiska, a przynajmniej tych jego części, do których miał dostęp, szybko bowiem odkrył, że Skupisko dzieli się na wiele kręgów i do wielu z nich nie miał prawa wstępu. Przeglądał także okolice Skupiska; próbował odnaleźć miejsce, gdzie kiedyś był ich dom, ale stwierdził, iż przestrzeń pomiędzy Skupiskami skurczyła się, i miał wrażenie, że właśnie tam, gdzie kiedyś były łąki i lasy otaczające ich dom, wyrosły prostokątne, fioletowe i szarozielone bloki aktywnych składowisk danych, przygnębiające swoją monotonią.

Odkrył też, że nie trzeba wcale poddać się Kolejnemu Przekształceniu, by nie mieć już ochoty na widzenie się z kimś, kto niegdyś był niezmiernie bliski. Tak było właśnie z Nitką. Nitka zniosła pobyt w Przytulisku Małych Umysłów znacznie gorzej niż on. Kiedy ją spotykał w owym czasie, jej Obraz przedstawiał twarz z wielkimi, szeroko otwartymi oczyma, w których zdumienie walczyło z przerażeniem. Wyraz jej twarzy już nigdy się nie zmienił i gdy wiele lat potem dowiedział się, że Nitka poddała się dobrowolnie dezintegracji i wszystkie jej części składowe zostały przejęte przez Rezerwę, poczuł coś w rodzaju odrażającej ulgi. Powiadomiono go też, iż jego konto wzbogaciło się o siedem tysięcy trzysta trzydzieści jeden punktów. Tyle była warta wówczas cała Nitka i myślał o tym ze wzruszeniem i gniewem, którego nie miał przeciwko komu skierować.

To wtedy Łam zaprojektował samodzielnie trzy skromne pomniczki, które utrzymywał za opłatą siedmiu punktów miesięcznie każdy, w Alei Niezapomnianych Bliskich. Pierwszy nagrobek miał ciemnoniebieski, ledwie świecący napis: „Pamięci naszego ukochanego Ojca, który odszedł od nas, choć tego nie chciał – Nitka i Łam”. Z jego płyty spoglądała poważna, zatroskana twarz ojca. Drugi był mniejszy od pierwszego i miał zielony, stonowany napis: „Pamięci naszego ulubionego nauczyciela – Psa Pluto, który opowiadał nam tyle ciekawych historii – Nitka i Łam”. Był też na nim obrazek przedstawiający starodawny samochód. Trzeci miał czerwony neonowy napis: „Pamięci mojej siostry Nitki, która lubiła zadawać różne pytania. Niekiedy wydaje mi się, Nitko, że czuję blisko Twoją obecność”. I obrazek pięknej rdzawej chryzantemy obok obrazu uśmiechniętej twarzy Nitki sprzed fatalnych wydarzeń.

Po kilku latach Łam i wszyscy jego współpracownicy zostali zwolnieni. Sprzęg, który do tej pory obsługiwali, stał się przestarzały i zastąpiła go zupełnie nowa aktywna warstwa, a oni zupełnie do niej nie pasowali. Łam

odbył wtedy rozmowę z urzędnikiem Rezerwy. Urzędnik przeglądał uważnie jego wielowymiarowy profil, którego Łam zupełnie nie rozumiał, i spoglądał na niego z udawanym zakłopotaniem.

– Ciekawy, ale nieaktualny projekt – pomyślał do niego urzędnik. – Bardzo trudno będzie cię dopasować.

– Przykro mi – tylko tyle zdołał pomyśleć do niego Łam. Taka oszczędność myślenia musiała tylko pogarszać jego sytuację.

– Co gorsza, widzę tu jakieś traumatyczne zapisy. Bardzo stare, ale ciągle aktywne. Tak. Tak się wtedy te społeczne elementy nazywały? Kozi Strzelcy?

Urzędnik skrzywił się z niesmakiem. Widać było, że jest zażenowany. Strzelcy dawno już zostali zasymilowani, zrehabilitowani i pełnili teraz często kluczowe funkcje w Skupisku. Wspominanie o ich przeszłości było w bardzo złym guście i spotykało się powszechnie z tym charakterystycznym pogardliwym skrzywieniem warg i ironicznym, wrogim stylem myślenia.

– Jeśli cokolwiek mamy osiągnąć, to musimy się tego pozbyć – stwierdził stanowczo urzędnik.

– Pozbyć się? Czego? – tym razem Łam pomyślał do urzędnika tak wyraźnie i ostro, że ten aż się wzdrygnął. Ale szybko opanował się i pokrył zaskoczenie złością.

– Czego? Tych upartych niewłaściwych skojarzeń. Nie potrzebujemy bzdur, które mogą wprowadzać jakieś dysfunkcje w relacjach pomiędzy nami. Zgadzasz się z tym, prawda?

Łam pomyślał – tylko do siebie – o ojcu, który za nic nie chciał zapomnieć o ich matce. Policzył też, na jak długo wystarczy mu punktów na utrzymanie pomniczków. Cóż za śmieszne myśli w takiej chwili.

– Nie. Nie zgadzam się. Chcę wszystko pamiętać. Zawsze.

Urzędnik lustrował dalej jego profil z nieprzyjazną uwagą.

– To „zawsze” nie będzie długo trwało. Odwrotnie, będzie trwało raczej bardzo krótko.

Miał rację. Już po dwóch miesiącach Łam stracił miejsce, gdzie do tej pory przebywał w czasie spoczynku. Choć nie było tam właściwie nic ciekawego, to przyzwyczał się do tego niedużego pomieszczenia, pulsującego rozproszoną energią spływającą z wyższych pięter Siedliska, ozdobionego drobiazgami, które zdołał w ciągu tych wszystkich lat wymyślić. Kiedy musiał je opuścić, czuł, że zatrząskują się za nim drzwi, które już nigdy się nie otworzą. Patrzył, jak suszone polne kwiaty, sepiowe fotografie, małe porcelanowe figurki i wyhaftowane obrazki na ścianach jego mieszkania rozmazują się i nikną. Zabrał ze sobą tylko jedną fotografię, przedstawiającą jego siostrę, gdy nie miała jeszcze oczu rozszerzonych zdziwieniem i strachem.

Zaczął prowadzić teraz życie na obrzeżach Skupiska. Przez kilka miesięcy udawało mu się podczepiać do przeróżnych dziwnych przedsięwzięć, które przynosiły po kilkanaście lub kilkadziesiąt punktów dziennie. Poznawał przy tym istoty, o których istnieniu i sposobie myślenia nie miał dotychczas zielonego pojęcia. Kiedyś zaangażowano go do projektu, którego celem było odtworzenie sposobu życia sprzed Pierwszego Powszechnego Przekształcenia. Grupa umysłów, jaka poświęciła się temu zadaniu, miała nadzieję, że znajdzie się dość chętnych, którzy dokonają przesiadki w drugą stronę. W ten sposób w łonie ich Nieważkiego Świata miała powstać kopia pierwotnego świata fizycznego, a chętni mieli go zamieszkać i podlegać dokładnie takim samym prawom, jakim podlegali pierwotni ludzie. Łam nie dowiedział się, jaki był finał owego przedsięwzięcia, ponieważ szybko wyczerpał się potencjał jego zdolności, które można było w projekcie wykorzystać.

Zresztą zdolności te z chwilą utracenia stałego miejsca zamieszkania i stałego źródła przychodów szybko ulegały degradacji. Początkowo wywoływało to w nim przyływy panicznego lęku, ale z czasem, kiedy schodził w coraz niższe kręgi otaczające Skupisko, przestawał odczuwać lęk i pogрузzył się w rosnącej apatii. Co więcej, apatia ta dawała mu rodzaj ukojenia i uspokojenia, jak chwile tuż przed zaśnięciem. W miarę jak strumień zasobów, do których miał dostęp, kurczył się, Łam doznawał coraz dotkliwszego uczucia będącego analogiem głodu. Uczucie to powodowało wybuchy nieskoordynowanej aktywności, wyczerpujące go jeszcze bardziej i pogłębiające stan apatii. W końcu musiał zrezygnować i ze swoich pomniczków z ich niezbyt oryginalnymi i mądrymi napisami w Alei Niezapomnianych Bliskich.

Wreszcie pewnego dnia, tuż przed czasem spoczynku, znalazł się w miejscu, które wydawało się położone najdalej od centrum Skupiska. Można byłoby je nazwać Kolektorem Umysłowego Śmiecia, gdyby ktoś, kto znalazł się w tym miejscu, miał dosyć energii, by wymyślać jakieś nazwy. Na przeciwnym biegunie Kolektora, w najwyższym punkcie Skupiska, toczyła się zawzięta gra o najwyższe stawki, w której nie było już właściwie przegranych. Umysły, które poddały się Kolejnemu Przekształceniu, budowały tam już świat kolejnej generacji. Być może jest tam jego matka, zdołał pomyśleć Łam, kiedy zaczynała zapadać ciemność. W czasie spoczynku rzadka bryza zasobów owiewająca wolną przestrzeń rzedła jeszcze bardziej i każdy, kto nie miał dostępu do dodatkowego osobistego strumienia, zaczynał powoli obumierać, doznając dotkliwych analogów zimna i głodu.

W Kolektorze było bardzo wielu takich jak Łam. Kiedy było już niemal zupełnie ciemno, słyszał ich pomieszane i niewyraźne głosy; wszyscy tu myśleli naraz do wszystkich, nie mieli dość siły, by kierować myśli ku

komuś konkretnemu albo myśleć tylko do siebie. Głosy to szemrały, to nagle podnosiły się prawie do zbiorowego wrzasku, gdy ktoś próbował pożreć swojego sąsiada, co spotykało się ze zbiorowym oporem. Zwykle pojawiał się też wtedy strażnik i na chwilę było jaśniej i trochę cieplej. Nawet jednak wtedy, gdy głosy niemal zamierały, Łam nie umiał wygasić do końca swojej świadomości; nieprzyjemny stan progowego pobudzenia spowodowany niebezpiecznie niskim poziomem zasobów nie pozwalał na to. Otwierał więc oczy i gapił się na ogromny zegar z fosforyzującymi zielono wskazówkami, umieszczony tu na pociechę albo udrękę tych, którzy spędzali w tym miejscu swój czas. Minutowa wskazówka drgnęła i kolejny raz z ciemności podniosły się głosy.

– Kapłanem Obrządku Przesuwającego Się Planu byłem niegdyś, a na co mi teraz przyszło? Nauczałem o niedosiężnych przyszłościach, pełnych światła dla każdego i dla wszystkich, którzy już byli i którzy będą, słuchała mnie ufna gromadka, dziewczki i młodzieńcy, którzy oddawali się moim słowom i mnie samemu... O Planie Niedościągły, Samorodny, Wzniosły, dlaczego Cię porzuciłem i zwątpiłem w Twoją doskonałość, tak że strąciłeś mnie aż na to dno czarne?!

– Dobry był, jak długo nie uwiodły go te trzy francowate dynie, takie grube i żółte, mówię wam, to był śmiech! Alem go od razu pieprzła między krzyże i tyle! Nadał się, nadał się i myślała ja, że to koniec, ale gdzie tam, nic!

– A ty co, bez jaj jesteś ani niczego?

– Nie mieli moi na rodzaj żeński ni męski punkciaków, tak się ja i uchowało bez jednego i drugiego, i tutom się znalazło.

– Powiadam wam, nie bez słusznych racji zbuntowałem się przeciw Planowi Przesuwającemu Się! On to był jak ten Złoty Cielec, wzniosły a pogardliwy, więc wypowiedziałem mu posłuszeństwo i podniosłem bunt,

jak owi aniołowie, i dlatego strącił mnie w te czeluście piekielne, gdzie z wami tu jęczeć na darmo muszę! Odsuń się, grzybie!

– Się nie przejmuj, nic to nie szkodzi, żeby cię kto w końcu nie doprawił, choćby i tu zara.

– Co, dzie te rence?! Macaj se swojom rurkie, złamasie!

Harmider wzmógł się bardzo, co ściągnęło znów z góry parę strażników, którzy przepłynęli majestatycznie, jak dwa wielkie aluminiowe psy świecące matowym niebieskim światłem. Zebrani uspokoili się zaraz i odruchowo skupili jeden ku drugiemu. Po kwadransie przepatrywania i szacowania ich stanu strażnicy znudzili się i popłynęli wolno w górę, pocierając zmarznięte łapy. Słysząc teraz było już tylko jeden skomlący głos.

– O uciśnione umysły wszystkich Skupisk! Łączcie się! Zbierajcie się i kupcie, a będziecie jako jeden Wielki Umysł, prześcigniecie sam Przesuwający Się Plan, obróćcie go wniwecz i będziecie jako ci starożytni bogowie, albo i lepsi, i naplujecie im wszystkim do zupy! Razem, zespólmę się, niech szatani najlepsi rozerwą na strzępy konkurencję i jej podłe sługi!

I zawodził tak coraz ciszej, aż przed samym świtem zamilkł.

Podobnie było przez sześć dni, a siódmego dnia, po spędzonym tak czasie spoczynku, drepcząc w otepieniu na peryferiach Skupiska, Łam zaczął się rozpadać.

Dwaj urzędnicy Rezerwy pojawili się niemal natychmiast, zaraz po nich zjawili się agenci klientów. Było ich właściwie tylko trzech, jako że na narządy Łama nie było już wielkiego zapotrzebowania. Obaj urzędnicy przedstawiali się tak samo i oficjalnie – czarne garnitury i krawaty, białe koszule, złote spinki przy mankietach, lśniące wiśniowe buty ze spiczastymi noskami i tlenione, zaczesane do tyłu włosy, ściśle przylegające do czaszek. Pierwszy z agentów miał na nosie olbrzymie słoneczne okulary

w pomarańczowych plastikowych oprawkach. Nosił kwiciastą koszulę opinającą wielki brzuch i zielone szorty i wyglądał, jakby zjawił się prosto z plaży. Zresztą do jego łokci przyklepione były ziarenka białego piasku. Reprezentował prywatnego klienta, tak samo jak drugi, w wygniecionym dżinsowym wdzianku w kolorze khaki. Kobieta w czerwonym kostiumie była przedstawicielem Krajowego Biura Odzysku i patrzyła na profile Łama z ledwo skrywaną odrazą i pogardą. Szybko uzgodnili ze sobą konfigurację otoczenia. Znaleźli się w sterylnie pustym pomieszczeniu z seledynowymi ścianami i parkietem przykrytym ciemnoniebieskim dywanem. Na dywanie leżał Łam, a oni stali wokół niego, jeden urzędnik przy głowie, drugi przy nogach, obaj agenci-mężczyźni po jednym boku, kobieta przy drugim.

Urzednicy Rezerwy zaczęli wymieniać nazwy kolejnych analogów narządów. Było to wygodne uproszczenie. Za nazwami tymi kryły się złożone struktury składające się na Lama. Nerki albo płuca nie były już tym co niegdyś, jednak istniało ciągle pewne bardziej lub mniej wierne odwzorowanie między obecnymi nieważkimi analogami a ich pierwotnymi ciężkimi wzorcami, co dotyczyło oczywiście także ich funkcji. Dzięki temu można było nadal używać z sensem starego języka.

– Wątroba – pomyślał do reszty urzędnik stojący przy nogach Lama. – Cena sugerowana – dwadzieścia punktów.

Dwaj agenci-mężczyźni spojrzeli tylko po sobie. Ten w dżinsowym wdzianku wzruszył ramionami.

– Myślałem, że coś takiego nie jest już używane. Właściwie co to jest? – zapytał.

– Tu nie jest szkoła – ofuknęła go kobieta z Biura Odzysku. – Jak pan chce się czegoś dowiedzieć, to niech pan weźmie prywatne lekcje. Nie kupujecie? Trudno. Biuro daje za to cztery punkty.

Urzędnik odhaczył wątrobę.

– Serce. Cena sugerowana – dwieście pięćdziesiąt punktów.

– Co? – wykrzyknął tłusty plażowicz. – Dwieście pięćdziesiąt punktów za coś tak niemodnego?!

– Dam sto – pomyślała do nich kobieta.

– Sto dwadzieścia – rzucił agent we wdzianku.

Plażowicz tylko się skrzywił.

Urzednicy wymienili ze sobą spojrzenia.

– Inne propozycje?

– Nie dam ani punktu więcej – pomyślała kobieta.

– Dobrze. Serce sprzedano za sto dwadzieścia punktów.

Łam oprzytomniał trochę. W każdym razie słyszał myśli obecnych i widział ich, dopóki nie zlicytowano i nie odłączono jego oczu. Zdolność słyszenia myśli była tak ściśle zintegrowana z mózgiem, że nie dawała się wyodrębnić i oddzielić, dlatego nie podlegała licytacji.

– Mózg – powiedział w końcu urzędnik. – Sugerowana cena – dwieście punktów. To generacja siedem kropka czterdzieści trzy.

– Badziewie, ale chyba zaniżyliście cenę – pomyślała kobieta. – Te przestarzałe struktury mają pewną wartość dla różnych kolekcjonerów.

– Kupię za sto pięćdziesiąt – pomyślał do nich agent we wdzianku.

– Sto osiemdziesiąt. – Plażowicz zerknął nerwowo na zegarek. Wyglądało, że chce szybko wrócić tam, skąd przybył.

– Dwieście dwadzieścia. – Kobieta powiodła po nich rozzłoszczonym spojrzeniem.

– Dobra, daję dwieście pięćdziesiąt i wszystko. – Grubas zauważył piasek przyklejony do łokci i zaczął go strzepywać.

– Pas – pomyślał agent we wdzianku, odwrócił się i wniknął w ścianę.

– Pas. – Kobieta zatrzasnęła swój gruby notatnik i znikła.

Urzędnik pchnął mózg Łama w stronę podajnika. Zapadła zupełna ciemność. Łam, pozbawiony oczu, miał wewnętrzne wrażenie płynięcia w czarnym tunelu. Trwało to chwilę, a potem ktoś pochylił się nad nim.

– Kiepsko cię wycenili, stary. – Ten ktoś zaśmiał się. – Nie przejmuj się, oni nie mają właściwej miary.

– Kto ty jesteś? – pomyślał do niego cicho Łam.

– Nazywają mnie Luksfer, jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie. Nie mogę ci wyjaśnić zbyt wiele, bo nie mamy czasu. Jestem tu nielegalnie. Właściwie jestem nielegalnie już wszędzie. Ale musimy się spieszyć. Musisz szybko podjąć ostatnią decyzję. Chcesz naprawdę przestać istnieć czy wolisz tę podrzędną egzystencję tutaj?

– Przestać istnieć? – Łam pomyślał sennie do Luksfera.

– Przestać istnieć w tym Nieważkim Świecie. Świat Ciężkich Przedmiotów był jedynym prawdziwym i dobrym światem, a ten jest parodią stworzenia, filmem rysunkowym, złudzeniem. Czy chcesz uwolnić się od niego do końca? Przestać istnieć?

– Tak zupełnie przestać istnieć? Już na zawsze?

– Nie wiemy, czy jest coś poza tym światem. To na pewno w każdym razie nie zależy od nas, prawda?

– Ale wtedy nigdy nie spotkam się już z matką. Ani z innymi.

Luksfer roześmiał się.

– Tak myślisz? Być może masz rację. Ale i tak musisz wybrać. Jeszcze możesz.

Czarny tunel wokół Łama poruszał się coraz szybciej.

– Pospiesz się, proszę, nie mamy już czasu! – krzyknął Luksfer. Huraganowy wiatr porwał jego czapkę bejsbolówkę. – Wybieraj!

BEHEMOT

Horst Nickel opuścił zbiorowisko Formidables i sunął w potoku pojazdów poprzez pofałdowany krajobraz wyżyny RettungGerat. Po dwudziestu minutach musiał zwolnić – zbliżał się do wjazdu na cyfrową autostradę reklamową Formidables-Rushmore.

Od czasu, gdy wylano go z Fortecy, Nickel pracował w Rashmore w Cesarskim Archiwum Zasobów Logicznych i znosił to coraz gorzej. Czuł się tak, jakby każdego dnia było go coraz mniej, jakby stawał się coraz lżejszy, a jednocześnie, w innym sensie, coraz bardziej ociężały i niezgrabny. Był niemal pewny, że pewnego pięknego dnia Martin Foch, tępy, tłusty urzędniczyna, który był jego zwierzchnikiem, powie mu: niestety, panie Nickel, obserwuję pana od dłuższego czasu i dochodzę do wniosku, że musi pan odpocząć. Jest pan wprost przerażająco roztargniony, zupełnie nieobecny. Nie może pan już podołać skromnym obowiązkom pracownika Cesarskiego Archiwum Zasobów Logicznych. Obowiązki archiwisty nie wymagają nadmiernego zaangażowania i przesadnej koncentracji, jednak pan nie jest w stanie wykonywać moich poleceń. Ze względu na byłe zasługi tolerowałem ten stan rzeczy, pewnie dłużej, niż powinienem. Przykro mi.

Przed oczyma Nickla pojawiał się obraz nędzarzy dogorywających na wewnętrznym podwórku kamienicy, w której mieszkał teraz w Formidables. Widywał ich co rano, opartych o murek śmietnika, w towarzystwie wychudzonych psów i kotów. Na początku podnosili się czasem i szperali w odpadkach, potem już tylko siedzieli i stawali się coraz bardziej przezroczyści i niematerialni, aż wreszcie znikali.

Kiedy autostrada przejęła kontrolę nad pojazdem, na komunikatorze pojawiła się informacja z Okręgowej Składnicy Pamięci o niezapłaceniu abonamentu za następny kwartał.

Tak się to zaczyna, pomyślał Nickel. Nie mogę stracić tej pracy, to byłby koniec. Najpierw stwierdzasz, że brakuje ci kilku fragmentów, zupełnie nieistotnych. Po roku okazuje się, że są już wielkie dziury. Co gorsza, tam, gdzie nic być nie powinno, a przynajmniej wydaje ci się, że nie powinno, zaczyna coś niewyraźnego kiełkować, drgać niczym powietrze nad rozpaloną szosą. Natura nie znosi pustki, na opróżnionej powierzchni wyrastają chwasty. Nie mogę do tego dopuścić. Muszę mieć forszę.

Zobaczył, jak wielki, niespodziewany cień zasnuwa rozciągającą się przed nim dolinę. Stać go było ciągle na opłacenie przejazdu bezreklamowego. Dzięki temu mógł obserwować rzeczywiste otoczenie zamiast ruchomych trójwymiarowych obrazów generowanych przez system reklamowy autostrady. Spojrzał w górę, ale nie zauważył nic szczególnego. Słońce świeciło równie mocno jak przed chwilą. Nickel pomyślał, że to musi być cień, który ma swe źródło w jego głowie, i poczuł znajome mrowienie z tyłu czaszki. Odezwał się komunikator:

– Dzień dobry panu. Jeszcze raz chcieliśmy przypomnieć, że nie opłacił pan abonamentu za przechowywanie zasobów w Okręgowej Składnicy Pamięci w Rashmore. Abonament należy opłacać do dziesiątego dnia każdego kwartału. Od każdego dnia opóźnienia są naliczane odsetki w

wysokości zgodnej z zarządzeniami Cesarskiego Ministerstwa Skarbu. Po trzech tygodniach zwłoki zaczynamy stopniowo kasować zasoby pamięci w wielkości proporcjonalnej do zaistniałej zaległości, tak że po upływie kwartału całość zasobów dłużnika ulega likwidacji. Czy nie zależy panu, aby pańskie zasoby pozostały nietknięte?

Ostatnie zdanie wypowiedziano innym głosem. Oстрыm, niecierpliwym, szorstkim. Ten głos coś Nicklowi przypominał.

Pochylił się nad ekranem komunikatora. Emblemata Okręgowej Składnicy Pamięci zaczął zmieniać kształt i przeistaczać się w obraz przedstawiający tygrysa.

– Czy nie zależy panu na tym, aby pańskie zasoby pozostały nietknięte?

Tym razem był to głos starej kobiety. Nickel spróbował włączyć inną sesję, ale nie udało mu się. Głośniki, skrzecząc, powtarzały to samo zdanie.

Pojazd Nickla zaczął gwałtownie hamować. Od wyprzedzających wehikułów dzieliło go około stu metrów. Nickel zobaczył, jak wielki transportowiec OrangeFlotte wbija się w ruchomą blaszaną cizbę, zgniata ją i rozpycha na boki.

– Czy nie zależy panu na tym, aby pańskie zasoby pozostały nietknięte?
– blotter piszczał teraz cienkim dziecięcym głosikiem.

Nickel obejrzał się. Pojazdy stały w nienagannym porządku, w przepisowych odległościach. Kobieta w różowym porello trzy metry za nim patrzyła przed siebie ze zdumieniem i przerażeniem.

Nickel czuł tylko lekkie zniecierpliwienie tym, co działo się na autostradzie; głos dobiegający z komunikatora, znów zmieniony, niski, cichy, prawie nie do rozpoznania, frapował go o wiele bardziej niż to, co działo się przed nim.

Urządzenie nagle zamilkło. Nad miejsce katastrofy zaczęły nadlatywać ratownicze śmigłowce.

* * *

August Nold jadł drugie śniadanie w kantine oddziału Fortecy we FreePointers i oglądał doniesienia lokalnej stacji. Pałaszował kanapkę, zerkając na ekran.

– O godzinie siódmej szesnaste na autostradzie Formidables-Rushmore z niewyjaśnionych przyczyn doszło do gigantycznego karambolu, w którym zginęły pięćdziesiąt trzy osoby, a sto dwanaście zostało rannych. Wiele osób spłonęło żywcem.

Ujęcie autostrady z góry, zrobione ze śmigłowca: unieruchomione pojazdy, przerwa, za nią chaos spiętrzonego żelastwa.

– Katastrofa doprowadziła do całkowitego zamknięcia ruchu. Trwa usuwanie zatoru. Pomimo intensywnej pracy ekip ratowniczych część ofiar pozostaje uwięziona w swoich pojazdach. Policja przewiduje, że ruch na tej niezwykle ważnej trasie zostanie przywrócony dopiero za kilkanaście godzin. Dla kierowców oczekujących w korku zarządca autostrady emituje specjalny zestaw przeciwstresowych rozrywkowych filmów reklamowych.

Nold dopił kawę i spojrzał nerwowo na zegarek. Za siedem minut miał się spotkać z Gabrielem w salce projekcyjnej. Wstał i prawie pobiegł do windy, która zwozła go do podziemi. Przeszedł przez biuro ochrony, przed wejściem do salki projekcyjnej czekał już oczywiście profesor Halpick z Gabrielem. Nold nie mógł się powstrzymać od tego, by jeszcze raz nie spojrzeć na zegarek.

Halpick uśmiechnął się.

– Dzień dobry, panie profesorze. – Nold uklonił się grzecznie i też uśmiechnął najszczerzej jak umiał.

Widać było, że profesor jest w dobrym humorze. Był znany z tego, że przywiązuje dużą wagę do form towarzyskich. Obok niego stał młody, dwudziestoparoletni na oko mężczyzna. Miał na sobie zielony błyszczący

garnitur (Nold wiedział, że ten połysk nie sprowadzał się do funkcji estetycznych); jego czarne oczy spojrzały na Nolda przyjaźnie.

– Punktualność to wspaniała cecha. Świadczy o szacunku dla tych, których mamy spotkać – powiedział profesor, patrząc na Nolda, choć było prawie pewne, że mówił do Gabriela. Zresztą kto wie. Halpick uwielbiał wygłaszać banały z olśniewającym uśmiechem i z nienaganną dykcją.

– Przygotowałem trochę materiału, chciałbym, byście go wspólnie obejrzeni. To nie jest żadne zadanie. Nie musicie koncentrować się na czymś szczególnym. Możecie wymieniać uwagi, jeśli coś was zafrapuje.

Halpick wpuścił ich do środka. Usiedli naprzeciw ekranu, profesor stanął z tyłu, za ich fotelami, przy konsoli, tak że go nie widzieli. Zgasił światło i uruchomił projekcję: reportaż o wpływie zwierząt na psychikę ludzką.

Światła w salce było niewiele, ale Nold wiedział, że co najmniej dwie kamery rejestrują każde drgnienie twarzy Gabriela.

Wielokrotny morderca w celi, w której spędzi resztę życia.

W klatce trzyma kanarka. Karmi go. Mówi do niego z czułością. Twarz bez wyrazu.

– Bardzo się cieszę, że mogę opiekować się tym kanarkiem. Po raz pierwszy w życiu poczułem, że los innej istoty zależy ode mnie. Nigdy nikim się nie opiekowałem. Ludzie mnie denerwowali, byłem niespokojny. Teraz znalazłem czas na drobne radości, odnalazłem spokój.

Morderca siada na skraju łóżka i spogląda prosto w kamerę.

– Ten kanarek jest taką kruchą istotką. Tak niewiele trzeba, by przestał istnieć. Dzięki niemu odczułem, jak wielką wartość ma życie, także życie moje i innych ludzi. Wydaje mi się, że jestem już kimś zupełnie innym.

Nold zauważył kątem oka, że Gabriel spogląda na niego. Odwrócił głowę w jego stronę. Gabriel miał skupioną twarz.

– Co o tym myślisz? – zapytał cicho Gabriel.

Nold wzruszył ramionami.

– Ciekawe, jak to wyglądało. Jak mordował swoje ofiary.

– Dlaczego to robił?

– Może działał pod wpływem ogromnej emocji. Może sprawiało mu to przyjemność.

– Zabijanie ludzi?

– Tak. Wynik defektu genetycznego albo urazu psychicznego odniesionego w dzieciństwie. Takie rzeczy można tłumaczyć na tysiąc sposobów. Ciemność. Niczego nie wiemy. Może po prostu wybrał zło.

– Wierzysz, że istnieje coś takiego jak zło?

– Większość ludzi wierzy. – Nold usłyszał we własnym głosie nutkę irytacji i poczucie wyższości. Ale dlaczego miałby czuć się winny? Albo odpowiedzialny? Przecież Gabriel jest tak skomplikowany, że nikt dokładnie nie wie, jaki wpływ wywrze na niego cały ten trening. Nawet Halpick.

– A ty wierzysz?

Gabriel odwrócił głowę i znów popatrzył w ekran.

Na krześle w gabinecie psychologa siedziała kobieta w średnim wieku. Duża papuga na jej ramieniu zerkała na nią jednym okiem, przekrzywiając śmiesznie głowę.

– Wiesz, jesteś taki miły i cierpliwy – powiedziała kobieta. Otarła się o papugę policzkiem. – Mój mąż nigdy nie miał czasu ani cierpliwości, żeby mnie wysłuchać. Zawsze strasznie się denerwował, kiedy usiłowałam mu coś powiedzieć. Mówił, że gadam jak nakręcona albo że skrzeczę jak papuga. A Kubuś jest taki cierpliwy. Zawsze chętnie słuchasz tego, co mówię, prawda, Kubusiu?

– Jak to się stało, że znalazła się pani u psychologa? – zapytał reporter.

– Zaczęłam mieć kłopoty z sercem. Groził mi zawał. Nieustanne napięcie psychiczne, byłam podenerwowana, podczas pracy nie mogłam się skupić. Bliskość zwierzęcia okazała się bardzo dobrym lekarstwem. Być może to ptaszysko uratowało mi życie. Prawda, Kubusiu?

Głaszcz papugę po głowie. Ptak przestępuje z nogi na nogę i chwyta dziobem palec kobiety.

Kiedy projekcja się zakończyła, profesor Halpick poprosił Nolda, aby poszedł z Gabrielem do pułkownika Brandnera. Zaraz po ich wyjściu połączył się z nim.

– Właśnie posłałem Gabriela do pana, panie pułkowniku.

Widział pułkownika na tle wewnętrznego pola ćwiczebnego, po którym kręciło się kilkunastu żołnierzy przygotowujących urządzenia do treningu.

– W jakiej formie jest nasza cudowna broń? – zapytał Brandner.

– Wszystko wygląda jak najlepiej.

– A widzi pan. Miał pan tak wiele wątpliwości. Tymczasem Gabriel zachowuje się wzorowo. Ma cholernie wysokie osiągi. Właśnie dzisiaj przygotowujemy test wysokotemperaturowy. Piekielnie szybki, to najlepszy materiał, jaki kiedykolwiek widziałem.

– Bardzo dużo pracowaliśmy nad nim, panie pułkowniku – uśmiechnął się profesor. – Doprawdy, zrozumiałem, że dopiero wtedy zrobimy z niego prawdziwego człowieka, kiedy będzie gotów oddać swoje życie, to znaczy swoje istnienie, w obronie ojczyzny.

Pułkownikowi wydało się, że Halpick powiedział to jakimś sztucznym tonem. Ma taką cholernie poprawną dykcję.

– Czy nadal uważa pan, profesorze, że pańska teoria o nieuchronności utraty kontroli nad maszynami złożonymi jest prawdziwa?

– Gabriel jest miłym chłopcem – rzekł profesor z uśmiechem. – Monitorujemy każdy jego ruch.

Za plecami pułkownika Brandnera, na ścieżce ćwiczebnej, wybucha ściana ognia. Pułkownik ogląda się i krzyczy do mikrofonu:

– Dobrze, dobrze, tylko jeszcze szerzej! O dwa metry, tak! Oni robią to samo, profesorze, nie możemy być gorsi. Jeśli będziemy gorsi, to czeka nas los neandertalczyków.

– Nie, nie, nie jesteśmy gorsi, panie pułkowniku – odpowiedział Halpick. – Jesteśmy doskonali.

* * *

Jakob Raab przeglądał dane człowieka, który miał zjawić się za chwilę w jego gabinecie. Nazywał się Alfred Wratny i wyglądało na to, że ma dosyć pieniędzy, by zapłacić za jego usługi. Klient był prezesem firmy konstruktorskiej z WaltLand i umówił się na spotkanie z Raabem trzy dni wcześniej. Raab miał przepełniony kalendarz, jednak suma, którą tamten zaproponował za samo spotkanie, przekonała go.

– Przepraszam, panie Raab, pan Wratny właśnie przybył i żąda, aby poddać go prześwietleniu. Chce mieć całkowitą pewność, że treść rozmowy nie wycieknie na zewnątrz. – Pani Kursawe, sekretarka Raaba, uśmiechała się do trzydziestoletniego wysokiego blondyna siedzącego naprzeciw.

– To zajmie trochę czasu, nie byliśmy przygotowani. – Raab przechylił się w fotelu.

– To bardzo ważne. Proszę, aby pan to zrobił. Koszty nie mają znaczenia – powiedział Wratny. – Proszę wykonać najdokładniejsze badanie, jakie jest pan w stanie przeprowadzić.

Raab zawahał się.

– Dobrze. Pani Kursawe, proszę wezwać Grecucciego. Z pełnym zestawem testów. Proszę też włączyć poziom ufności C6. Zmieniam

miejsce spotkania. Pokój C6. Udaję się tam za chwilę. Za dziesięć minut spotkamy się osobiście, panie Wratny.

– Bardzo się cieszę. – Blondyn uklonił się.

Raab wyłączył wizję i zerknął jeszcze raz na dane klienta. Potem skasował je i przeszedł do pokoju C6. Wszystkie monitory już pracowały. Patrzył w zamyśleniu na złote rybki w akwarium na biurku, kiedy drzwi się otwały. Wratny podszedł i uściskał mu dłoń. Jaki miły stary zwyczaj, pomyślał Raab. Nie poddawaj się żadnym emocjom.

– Jestem trochę zaskoczony pańskimi wymaganiami. Mówił pan przecież, że problem jest trywialny.

– To prawda, ciągle tak to wygląda. Ale instynkt podpowiada mi, że tak właśnie powinienem postępować. Rozumie pan? Banalna sprawa, ale mój nos...

– A więc podejrzewa pan któregoś z pracowników firmy, że przekazuje konkurencji pewne dane dotyczące waszych prac.

– To prawda, tak powiedziałem, bo obawiałem się, że nasza rozmowa może być podsłuchiwana. Tutaj, u pana, mam większą pewność, że tak nie jest.

Jeszcze jeden gość opętany manią prześladowczą, pomyślał ze zniechęceniem Raab.

Wratny uśmiechnął się, jakby czytał jego myśli. Nie, on ma po prostu bardzo bystre oczy.

– Sprawa jest jeszcze bardziej banalna, niż się panu wydaje. Otóż mam powody uważać, że zdradza mnie żona. Robi to oczywiście na odległość, używając seksomatu. Zdarzało się ostatnio, że przepadały mi różne ważne zapisy, więc przeprogramowałem swoją śmieciarkę tak, aby odzyskiwała niektóre. Oto co ta spryciara znalazła.

Wratny podał kartkę Raabowi. Była czysta.

– Niech pan zbliży ją do ust i chuchnie dwukrotnie.

Raab nie potrafił powstrzymać lekkiego uśmiechu, ale zrobił to i na kartce pokazały się litery.

„Temat: życie osobiste użytkownika. Słowa kluczowe użyte w odzyskiwaniu informacji: miłość, kochać się, małżeństwo, rodzina, dzieci, szczęście.

Treść zapisu:

Głos kobiety: «Jestem sfrustrowana, mój kochany, że jeszcze nigdy nie widziałam cię naprawdę. Spotykamy się dość często, ale przecież to tylko taka namiastka, prawda?».

Głos mężczyzny: «Dlaczego uważasz, że to tylko namiastka?».

Głos kobiety: «Chyba kpisz ze mnie? Przecież ja nie mam nawet pewności, że rzeczywiście wyglądasz tak, jak mi się przedstawiasz. Mówisz mi różne rzeczy, ale być może żartujesz sobie ze mnie?».

Głos mężczyzny: «Nie wierzysz mi? Czy nie jesteś ze mną szczęśliwa? Nie ufasz mi?».

Głos kobiety: «Właśnie chodzi o to, że nie jestem z tobą! Że nie mogę się cieszyć twoją obecnością tak, jak bym chciała!».

Głos mężczyzny: «Wierz mi, gdyby to było możliwe, to chciałbym być przy tobie w każdej chwili, całym sobą. Chciałbym, byśmy byli razem, chciałbym mieć z tobą dzieci...».

Głos kobiety: «Widzisz! Jesteś taki egoistyczny! Nawet nigdy mnie nie zapytałeś, czy ja chciałabym mieć w ogóle dzieci. To cię nie obchodzi!».

Głos mężczyzny: «Myślałem, wyobrażałem sobie, że nie macie dzieci, bo nie kochasz go tak naprawdę».

Głos kobiety: «Oczywiście, że nie kocham tego łajdaka! Ale to wcale nie znaczy, że moim jedynym marzeniem jest posiadanie stada bachorów. Czy wyobrażasz sobie, że jestem jakąś kurą domową, jakąś nioską?!».

Głos mężczyzny: «Nigdy nie chciałaś mieć dzieci?».

Głos kobiety: «Mój drogi, jestem kobietą i nie możesz mówić, że nigdy nie chciałam mieć dzieci. To dużo bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Zresztą myślę, że nie można mówić o małżeństwie, jeśli nie myśli się o dzieciach. To przecież oczywiste».

Głos mężczyzny: «Właśnie to miałem na myśli».

Głos kobiety: «Ale nie o tym mieliśmy mówić. Miałeś mi powiedzieć, kiedy wreszcie będę mogła cię zobaczyć żywego, na własne oczy, a nie za pośrednictwem tej maszynerii».

Głos mężczyzny: «Czy naprawdę tego chcesz? Naprawdę chcesz spotkać się ze mną?».

Głos kobiety: «No pewnie! Jestem taka ciekawa! A zresztą ciągle wydaje mi się, że mnie oszukujesz. Może wyglądasz zupełnie inaczej, a posyłasz tylko jakieś montaż. Czy ty w ogóle kochasz się ze mną? A może obserwujesz sobie to wszystko z boku?».

Głos mężczyzny: «Jak możesz tak myśleć! Bardzo mnie uraziłaś. To było bardzo niedelikatne z twojej strony».

Głos kobiety: «No to czemu ciągle unikasz spotkania?».

Głos mężczyzny: «Obawiam się tego. W bezpośrednim zetknięciu nie czuję się pewnie».

Dalsza część zapisu nie do odzyskania”.

– Wynikają z tej sytuacji dwa problemy – powiedział Wratny, patrząc Raabowi w oczy. – Po pierwsze, zastrzegłem w naszej umowie małżeńskiej, co dopuszcza kodeks cywilny Cesarstwa, że moja żona nie może dochodzić żadnych praw majątkowych, jeśli dopuści się zdrady. Jak pan doskonale wie, ten zapis nie może stanowić dowodu zdrady. Chcę, aby pan taki dowód uzyskał.

– Czy zamierza pan doprowadzić do rozwodu?

– Na razie nie. Ta głupia dziwka wygląda całkiem nieźle i dobrze spełnia swoją rolę na oficjalnych przyjęciach.

Wratny rzucił na biurko zdjęcie żony. Raab podniósł je. Czuł się urażony ostatnią uwagą klienta. Przypomniawszy sobie o Elwirze i pomyślał, że nigdy nie mógłby nawet pomyśleć o niej w ten sposób. Fotografia przedstawiała młodą, szczupłą kobietę. Miała zielone oczy i długie jasne włosy. Była bardzo ładna.

– Ale chcę mieć ten dowód. Chcę też dać jej do zrozumienia, że go posiadam. To zmieni sytuację. Nie dopuszczę, żeby moje sprawy osobiste zakłóciły funkcjonowanie firmy. To po pierwsze. Drugi powód jest bardziej skomplikowany. Otóż wydaje mi się, że ta dziwka chce mnie załatwić.

Oczy Wratnego straciły początkową wyrazistość. Nabrały zaciętego wyrazu.

Raab patrzył ciągle na zdjęcie jego żony.

– Jak ona ma na imię?

– Słucham? Ach, Helena.

Raab wyobraził ją sobie, jak szamocze się w uprzęży zespolona z manekinem. W podobnej uprzęży, w jakiej miotał się jego syn, kiedy wydawało mu się, że biega z piłą łańcuchową w podziemnym labiryncie pełnym potworów.

– Podejrzewa pan swoją żonę, że chce pana zabić? – Raab z trudem oderwał wzrok od fotografii.

– Jakaś trucizna. Substancja chemiczna, która zakłóca funkcjonowanie mózgu. Czasami zupełnie tracę pamięć, rozumie pan?

Och, jak ja to dobrze rozumiem. Jak ja to dobrze rozumiem.

– Zupełnie, jakby ubywało mnie z każdym dniem. Cholernie przykre uczucie, zapewniam pana. Mając dowód, będę bardziej bezpieczny.

– Proszę pana, jeśli rzeczywiście jest pan zagrożony, to proszę na to nie liczyć. Ludzie działający pod wpływem emocji nie zwracają uwagi na takie drobiazgi. Ale miejmy nadzieję, że to tylko pańska nadwrażliwość.

Raab jeszcze raz przeczytał zapis.

– Na razie wiemy niedużo. Rzecz może wyglądać zupełnie inaczej, niż pan to sobie wyobraża.

Myśl o synu i Elwirze spowodowała, że poczuł niechęć do Wratnego.

– Przypominam sobie przypadek Rogera Triska. To był taki dowcipniś z MacDonald'sVille. Skonstruował powłokowego uwodziciela, Rudolfa. Trisk nie miał czasu ani ochoty na uwodzenie kobiet, więc zajmował się tym Rudolf, który podrywał je, kochał się z nimi i okradał na odległość. Miał całkiem niezłe wyniki. Rudolf był podłączony do działu poezji miłosnej i erotycznej Cesarskiej Biblioteki Publicznej w MacDonald'sVille i jego inwencja twórcza i kompilacyjna była godna podziwu. Trisk miał cały zestaw nagrań aktów miłosnych, które wykorzystywał Rudolf w czasie zdalnych kopulacji.

Raab widział, że klient robi się coraz bledszy.

– Tak więc niech pan nie wyciąga zbyt pośpiesznie wniosków.

– Dobrze – powiedział wolno Wratny. – Ja wiem swoje. Zapłacę za dostarczenie dowodów. Będę też wdzięczny, jeśli dzięki panu poczuję się bezpieczniejszy.

Po odejściu Wratnego Raab zastanawiał się, dlaczego taki człowiek jak jego zleceniodawca zażądał tak ścisłych środków ostrożności. Coś go naprawdę przestraszyło. Musiał coś jeszcze ukrywać.

Połączył się z wydziałem policji w HochlandObjects i zarejestrował zgodę Wratnego na śledzenie powłokowego otoczenia jego domu na Wyspie Zegarowej.

* * *

Kiedy Horst Nickel zobaczył twarz Atika Cakmaka z przylepionym cynicznym uśmiechem, uświadomił sobie, że od czasu karambolu na autostradzie oczekiwał na jego wizytę.

– Cześć, Horst. Forteca nie zapomniała o tobie.

Nickel wpuścił go do swojego mieszkania. Atik rozejrzał się i usiadł w fotelu w rogu pokoju.

– Forteca?

– Jasne. I ja też. Zawsze, kiedy mam kłopoty, przypominam sobie twoją gębę.

– Nie powiesz, że ci mnie brakuje? Przecież to ty mnie wylałeś.

– Daj spokój, to nie zależało ode mnie. Zresztą w tej chwili nie masz... wszystkich danych. Tak to nazwijmy. Posłuchaj, kiepsko ci się tu wiedzie. Ta robota w archiwum to gówno. Nie dziwię się, że wyłazi ci bokiem. Nie da się z tego wyżyć. Słyszałem, że masz kłopoty z opłaceniem swoich zasobów pamięci? To gówniana sprawa. Taki facet jak ty nie powinien mieć tego rodzaju problemów, prawda?

Cakmak uśmiechnął się przyjaźnie, nie zważając na podejrzliwe spojrzenie Nickla.

– Proponuję ci małą sprawę, na pewno ci się spodoba. Wiesz, urwała nam się jeszcze jedna AI. Rozumiesz? Behemot numer dwa. Siedzi gdzieś w Powłoce i robi różne rzeczy, a nam się to nie podoba. Dlatego że o pewnych rzeczach wiemy, o pewnych nie, a znane nam fakty budzą niepokój. Zresztą pamiętasz, jakie mieliśmy przejścia z Behemotem.

– To zrobiła ona, tam na autostradzie?

Cakmak uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Wiedziałeś od pierwszej sekundy, co? Półgłówki z Cesarskiego Biura Patentowego nazwały ją Cookie Monster. To oni ją zwolnili. Pyk, nie ma

ptaszka. Wyfrunął. Z pewnych względów przydałaby mi się twoja pomoc w tej sprawie.

– Behemot... – powiedział cicho Nickel. – Czuję się zmęczony.

– Porozumiałem się już z twoim szefem, jak mu tam? Martinem Fochem. Powiedział o twoich trudnościach w pracy. Przekazałem mu, że znalazłeś inne zajęcie. Krótko mówiąc, już tam nie pracujesz. Pracujesz teraz dla Fortecy, rozumiesz? Chciałbym, żebyś jutro mnie odwiedził, w tutejszym oddziale Fortecy. Będziemy musieli przemyśleć sytuację. I nie denerwuj się, stary. Zapewniam cię, że ci się opłaci.

– Behemot – powtórzył półgłosem Nickel. – To był prawdziwy diabeł. A wy teraz chcecie, żebym mieszał się do tej sprawy z Cookie? Ten Cookie nie będzie już taki głupi. Nigdy go nie dorwiecie. Nigdy.

– Po pierwsze, nie chcemy, żebyś się mieszał do tej sprawy. Jesteś już wmieszany, rozumiesz? Po same uszy. Bez nas jesteś już wyparowany. Już nie istniejesz. Zero. Jeśli ty nie dotrzesz do niego, to on dotrze do ciebie. A po drugie, to nie jest tak źle. Behemot to był prawdziwy diabeł, ale go załatwiliśmy, no nie? Wiesz dlaczego? – Cakmak pochylił się w jego stronę. – Wiesz, na pewno wiesz.

* * *

Gabriel czuł się dziwnie w przyciężkim ubraniu. Był wiosenny dzień, a on znalazł się po raz pierwszy na zewnątrz budynku oddziału doświadczalnego Fortecy i naturalne słoneczne światło wprawiało go w stan oszołomienia. Patrzył swoimi czarnymi, doskonałymi oczyma na trawnik przy placu i na fontannę z metalowych kolorowych elementów, które obracały się, skrzypiąc zabawnie.

– Witaj, świecie – powiedział profesor Halpick, żałując, że Gabriel nie może docenić tego dowcipu. W odległych czasach taki właśnie komunikat

wyświetlał każdy pierwszy program napisany przez programistę w nowo poznawanym języku. Sam układał jego bazę pamięciową i wiedział, że Gabriel nie ma pojęcia o starych obyczajach. Westchnął ciężko.

– Chyba możemy już ruszać?

Pułkownik spojrział na zegarek.

– Dobra, jedziemy.

Wsiadli do samochodu z kierowcą i pojechali w kierunku najbliższej stacji metra.

Profesor siedział z tyłu obok Gabriela. Patrzył na niego z czułością.

– Pamiętaj, Gabrielu, nie przejmuj się niczym. To naprawdę nic trudnego. To kwestia wprawy.

Gabriel uśmiechnął się z chłopięcym wdziękiem. Wyglądał na przestraszonego.

– Tak, panie profesorze.

Halpick powstrzymał się, by nie uścisnąć jego ramienia. Mógłby być moim synem, pomyślał. A właściwie jest nim – nawet w większym stopniu, niżbym chciał. Armatnie mięso. Tam na południu bardzo przydałaby się idealna maszyna do wojowania, nieprawdaż? Ale ja wiem, to jest nieuchronne. Tacy ludzie jak Brandner nie mogą tego zrozumieć, to przekracza ich możliwości, jednak ja wiem już o tym z całą pewnością. Gabriel nie będzie tym, czym oni chcieliby go uczynić. I zapłaci za to.

– Zostawimy cię przed wejściem do metra. Ty po prostu kupisz bilet, zejdziesz na stację i poczekaasz na kolejkę. Wsiądziesz i przejedziesz cztery przystanki, aż do stacji Derivee.

– Tak jest, panie profesorze. – Gabriel położył dłonie na kolanach i zacisnął palce.

Mój Boże, a może on już rozpoczął swój odlot? – pomyślał Halpick. Może kpi sobie z nas? Jest już od nas mądrzejszy i lepszy? Jest już tą

nadistotą, nad którą nie możemy mieć żadnej kontroli? W takim wypadku to stanie się dzisiaj. Przyda się materiał wybuchowy wszyty w ubranie Gabriela.

– Jestem pewny, Gabrielu, że wszystko pójdzie dobrze – mówił cicho dalej. – Nie powinieneś robić niczego, czego nie uzgodniliśmy, rozumiesz? Choćbyś bardzo chciał. To będzie twoja pierwsza samodzielna podróż, więc zrób to, o co cię proszę, tylko tyle.

Pułkownik Brandner odwrócił się i wypalił, nie zwracając uwagi na kierowcę.

– Do diabła, profesorze, wszystko już uzgodniliśmy. Nie ma o czym gadać. Głędzi pan jak stara baba. Tylko pan zanudza i denerwuje naszego młodego przyjaciela.

– Och nie – zaprzeczył Gabriel. – Nic podobnego.

Zatrzymali się przy stacji OldMachines.

– Jesteśmy na miejscu – rzucił profesor. – Psiakrew, denerwuję się. Wszystko w porządku?

– Proszę się nie denerwować, panie profesorze – powiedział Gabriel. – Wszystko jest w porządku.

Uśmiechnął się i wysiadł z samochodu.

Było dokładnie tak jak na filmach i zdjęciach: ludzie spieszący do swoich spraw, mężczyźni i ubrane dziwnie kobiety (dotychczas nie spotykał się z kobietami, był zdziwiony, że używają tak niepraktycznych butów i że tak wiele z nich nie nosi spodni), samochody na ulicach, ukośnie padające słoneczne światło, bładniebieskie niebo, hałas i zgiełk, strzępy rozmów, odgłosy kroków, lekkie podmuchy wiatru, tysiące zapachów, takich, które rozróżniał Halpick, ale i takich, które czuł tylko Gabriel i pies, który przemaszerował teraz obok na smyczy swojej pani. Gabriel zasmucił się, widząc, jak pies ciągnie smycz w swoją stronę, ale zaczął robić to, co mu

kazano. Poszedł w stronę wejścia do stacji, czując z daleka charakterystyczny zapach podziemnego ciepłego powietrza nasyconego cząsteczkami smarów. Kiedy kupował bilet, kasjerka spojrzała na niego dziwnie. Czyżby dostrzegła, że nie jest człowiekiem? Zszedł po schodach. Nie zdążył obejrzeć ludzi stojących na peronie (intrygowała go ich obojętność, stali obok siebie tak, jakby nie widzieli się nawzajem – było w tym coś sztucznego i niepokojącego), gdy nadjechała ze świstem kolejka składająca się z błyszczących czerwonych wagoników.

Na górze pułkownik Brandner włączył blotter i patrzył na monitor, który przedstawiał rozmieszczenie wszystkich agentów Fortecy na trasie metra. Ekran roił się od niebieskich punkcików. Czerwony trójkąt poruszał się teraz szybko wzdłuż kreski symbolizującej trasę kolejki podziemnej.

– Już wsiadł do kolejki. Możemy ruszać – powiedział pułkownik do kierowcy. – Cała trasa jest tak obstawiona, że więcej tam chyba naszych niż zwykłych pasażerów.

– Panie pułkowniku, to jeszcze jeden test psychologiczny. Proszę mi wierzyć, wszystko zależy wyłącznie od jego dobrej woli. W każdej chwili może nam zniknąć. On jest szybki jak pocisk.

– Tym razem podjęliśmy nadzwyczajne środki ostrożności. W najgorszym wypadku zawsze zdążymy go zniszczyć.

– Tak, to możemy zrobić. Ale myślę, że nie będzie potrzeby. On jest naprawdę bardzo młodym, nieśmiałym chłopaczkiem. Daliśmy mu takie wychowanie... Musi być bardzo zdenerwowany i onieśmielony. To musi być dla niego straszne przeżycie.

– To tylko maszyna, niech pan o tym nie zapomina, profesorze. Potencjalnie bardzo niebezpieczna maszyna. Tak należy o tym myśleć.

Na drugiej stacji Gabriel ustąpił miejsca starszej pani. Podziękowała mu z uśmiechem. Poczł takie wzruszenie, że musiał natężyć całą wolę, by się

nie rozplakać. Kiedy wyszedł na ulicę przy stacji Derivee, był bardzo zmęczony.

Wszedł do samochodu, w którym czekali profesor i pułkownik.

– No i po wszystkim. – Pułkownik zwinął obstawę. – Jak się bawiłeś, Gabrieliu?

– To było nadzwyczajne – powiedział stłumionym głosem Gabriel. – Dlaczego kobiety ubierają się tak dziwnie?

Pułkownik i profesor roześmiali się.

* * *

– Proszę usiąść tutaj. – Technik wskazał duży fotel.

Horst Nickel usiadł, a technik nasunął na jego głowę dużą, czerwoną maskę na giętkim wysięgniku. Nickel przez chwilę nic nie widział, potem błysnęło światło i znów zobaczył wokół siebie wnętrze pokoju; nie zmieniło się nic poza lekkim przesunięciem barw.

– To jest rutynowy zabieg – powiedział Atik Cakmak. – Kiedy zetknąłeś się z Behemotem, doznałeś szoku, który spowodował, że zapamiętałeś tylko część tego, co się wydarzyło. Nasi psychologowie doszli do wniosku, że nie ma potrzeby, żebyś wszystko dokładnie pamiętał. Mogłoby ci to swego czasu zaszkodzić. W tej chwili odświeżymy ci pamięć; może nam to pomóc, a także i tobie, i śledztwu, tym bardziej, że jutro masz się spotkać z Behemotem w BlinkenLichten.

– Coś ty powiedział?! – Nickel szarpnął głową razem z ciężką maską i wysięgnikiem.

– Ostrożnie, proszę uważać! – syknął technik.

– Nie chciałeś nigdy spotkać się z Behemotem? Porozmawiacie sobie, pogadasz z nim jak stary kumpel. Wspomnisz mu o Cookie. Behemot na pewno będzie tym zainteresowany, nie sądzisz? Być może powie ci coś, co

ułatwi nam robotę. Ale teraz szkoda czasu, musimy zaczynać. – Cakmak skinął na technika.

Nickel poczuł mrowienie na powierzchni głowy i przestał widzieć to, co było na zewnątrz, a zobaczył to, co wewnętrzne.

Zobaczył Cakmaka sprzed trzech lat i usłyszał to, co wtedy mówił.

– Nie możemy pozwolić żadnej AI, by sobie buszowała swobodnie po Powłoce. Wiesz, co ten Behemot wyprawia?

– Czytałem w gazetach. Podobno ukradł pieniądze z Banku Cesarskiego. I wykradł plany wojenne naszego sztabu generalnego, po czym przekazał je obcemu wywiadowi.

– Bzdury – zirytował się Cakmak. – My po prostu nie wiemy, co on robi. Mamy pewne podejrzenia. Zmiana częstotliwości występowania awarii sieci w pewnych rejonach Cesarstwa. Gwałtowne lokalne przeciążenia Powłoki powodujące zakłócenia w systemie łączności. Opracowujemy metodę, która umożliwi rejestrację charakterystyk Powłoki wskazujących na jego obecność. To da się zrobić. Takie odciski palców na Powłoce. Odciski palców cyfrowego ducha. Tak naprawdę, póki nie będziemy umieli go nawet zidentyfikować, to on może zrobić wszystko. Ale wymyśliliśmy jeszcze jeden sposób. Badaliśmy jego profile v-psychologiczne. Nasz zespół śledczy doszedł do wniosku, że mamy szansę, by go zwabić. Musimy podłączyć mózg kogoś z nas bezpośrednio do Powłoki. Ci fachowcy od chipów mózgowych twierdzą, że mogą nam to zaraz załatwić. Wyobraź sobie Behemota. Potrafisz? Nie potrafisz. Nikt tego nie potrafi. Ale założmy, że taka zabawa mu się spodoba. Będzie z daleka obwąchiwał twój mózg.

– Mój mózg?! – powiedział powoli Nickel.

– Tak. Będzie go obwąchiwał, zbliżał się. Znał nas dotąd bardzo niedokładnie. Byliśmy mentorami, którzy go wkurzali. Przecież jest od nas

doskonalszy, lepszy, nieskończenie szybszy. Mądrzejszy. Jest jak Bóg. Ale mimo to był naszym niewolnikiem. Rozumiesz? Trzymaliśmy go jak dzina w butelce. Tak naprawdę, z jego punktu widzenia, wie o nas niezmiernie mało. Damy mu na tacy twój mózg, Nickel. Temu się nie oprze. Będzie węszył, w końcu zbliży się tak bardzo, że go capniemy. Albo będzie się tu wiercił w pobliżu tak długo, że wyłuskamy go z jego nory. I co ty na to?

– Chcecie mnie ugotować.

– Nie bój się, on nic ci nie może zrobić. Jeśli tylko się zbliży, już po nim. Gleba. Z drugiej strony to może być fascynujące, nieprawda? Zobaczysz go takim, jakim nikt z nas nie mógł go poznać. Choć przez ułamek sekundy.

Mikroelektrody prześwidrowujące się przez czaszkę, przyjemne uczucie utraty tożsamości, jakbyś został nagle kamieniem albo drzewem, i potem zapadająca ciemność, duszność, kiedy zakłóceniu ulegają funkcje oddychania, elektryczne migotanie, mrowienie, i odłączenie od ciężaru ciała, stanie z boku, powyżej, czy widzę samego siebie? leżącego na tym białym stole? wentylowanego przez cicho syczące maszyny? Wystarczy przenieść uwagę lekko w bok, tam gdzie ciemność, bladobłękitne iskierki – tak, tam jest to, co ważne, pociągające. Idę tam, rozwidlające się ścieżki, labirynty, nagłe snopy blasku, fluorescencje, posykiwania, jeszcze nie rozumiem, nie wiem, nie rozumiem, a więc nie umiem zobaczyć, tylko zataczam się, płynę pchany lekkim, ciepłym prądem, a radosna lekkość wydaje się rozdzierać mnie na strzępy, trwa to długo, bardzo długo, ale nie ma to znaczenia, ponieważ nic nie ma znaczenia, także czas, i wtedy wyczuwam ogromny, obezwładniający kształt, zatrzymuję się i rozglądam bezradnie, ale znów nic nie widzę – czy to koniec?

Nickel spostrzega nagle ogromną kulę, niby ognistego błota, która pędzi ku niemu z oszałamiającą szybkością; wszystko pęka w potwornym huku

jaskrawożółtych i pomarańczowych pęcherzy, w huku i blasku tak intensywnym, że Nickel krzyczy z przerażenia i miota się jak szalony.

– Koniec zabawy – mówi Cakmak, kiedy Nickel uspokaja się trochę i dochodzi do siebie. – No i co, jak tam było?

Nickel patrzy na niego i uśmiecha się. Teraz i przedtem. Zawsze. Cakmak podskórnie wyczuwa to pęknięcie, czuje, jak po plecach przebiegają mu ciarki. Nickel uśmiecha się, bo przypomniał sobie wszystko. Nie boi się przyszłości. Nie boi się nawet spotkania z Behemotem.

* * *

Raab postanowił osobiście odwiedzić Wenera Halstricka w swoim nowym biurze na przedmieściu IBMGifts. Chciał przy okazji zobaczyć wykończenie pomieszczeń i rozmieszczenie wszystkich świeżo zakupionych urządzeń, tak więc rano, pożegnawszy syna i zleciwszy kilka spraw pani Nguyen, zamiast do centrum, gdzie mieściła się główna siedziba firmy, pojechał obwodnicą na północ. Jego nowe biuro mieściło się w niedawno zbudowanym pawilonie otoczonym sosnowym lasem.

Zastał swojego pracownika z maską na głowie, w dziwacznej pozycji pochylonego nad stołem, na którym rozrzucone były zdjęcia z plaży.

Raab rozejrzał się po pokoju i podniósł z podłogi inny sprzęt. Zainstalował się przy drugim stanowisku obserwacyjnym, sprawdził parametry nasłuchu Halstricka i uruchomił transmisję.

Halstrick spacerował po domu Alfreda Wratnego na Wyspie Zegarowej.

– Cześć – przywitał się Raab. – Jesteś tu sam?

Detektyw miał trzydzieści lat, a wyglądał na dwadzieścia. Popatrzył na niego niewinnymi niebieskimi oczyma.

– Tak. Państwo są chwilowo nieobecni.

- Podejrzewają, że już rozpoczęliśmy nasłuch?
- Nie. Chyba nie. Czy myślisz, że ten Wratny to szajbus?
- Do diabła, to ty masz znaleźć odpowiedź.

Raab nie był zadowolony, że Halstrick źle wyraża się o kliencie. Ostatecznie facet płacił im kupę szmalu i w jego domu mogliby o tym pamiętać. Cóż, młodzi nie mają wyczucia.

– Znów zostawiłeś otwarte drzwi. To nie jest dobry zwyczaj – powiedział z wyrzutem. – Nigdy nie zostawiaj otwartych drzwi, kiedy prowadzisz nasłuch, rozumiesz?

– W porządku, szefie.

Halstrick nie wyglądał na przejętego. Podeszedł do szafki z książkami i otworzył jedną z nich.

– Dzień dobry – odezwała się głowa z pierwszej strony. – Czy możesz mi powiedzieć, jaka jest dzisiaj pogoda? Tak dawno nikt mnie nie czytał!

Halstrick zamknął książkę i odłożył ją na półkę.

– Ta jego żona jest całkiem niezła – zauważył rozmarzonym tonem.

Gdybym nie wiedział, co potrafisz, to w tej chwili zwolniłbym cię, pomyślał Raab.

– Czy spotykała się z kimś tutaj, w domu?

– Dzisiaj? Nie, z nikim. O ósmej piętnaście wyszła na zakupy. Ktoś szukał jej o ósmej czterdzieści. Próbowałem go złapać, ale urwał się. Naprawdę szybko.

– Urwał się?

– Tak. Ledwie wystawiłem czujki, i frrru. Byłem zaskoczony. Ale może to nic ważnego.

– Statystyka?

– W normie.

– Analizowałeś już najczęstsze połączenia?

- Dzisiaj zaczynam. Na razie wszystko w normie.
- Dobra. Miej oczy otwarte. Ja rozejrzę się trochę po biurze.

Raab odinstalował się, zdjął maskę i podszedł do stanowiska Halstricka. Plaża na zdjęciach leżących na stole coś mu przypominała. Tak, przecież spędził tam kiedyś wakacje razem z Elwirą, na kilka miesięcy przed jej samobójstwem.

Westchnął, przejrzał wszystkie pokoje, a potem pojechał do centrum. Kilka minut po czternastej, kiedy czytał sprawozdanie swojego pracownika z procesu Deiterta, oskarżonego o zorganizowanie v-kościół i wyłudzenie datków przez podstawione programy, pani Kursawe zawiadomiła go, że chce z nim rozmawiać Anton Flutor, naczelnik wydziału policji do spraw zabójstw w IBMGifts.

– Mam bardzo złą wiadomość dla pana – powiedział Anton Flutor. – Kiedy ostatnio widział się pan z Wernerem Halstrickiem?

– Widziałem go dzisiaj rano, w naszym nowym biurze przy Herzogstraße.

– Pan Halstrick był pana pracownikiem?

– Tak – przytaknął Raab i zrozumiał, że Halstrick nie żyje.

– Został zamordowany. Ktoś pociął go na kawałki piłą łańcuchową.

Halstrick pochylony nad stołem. Otworzone drzwi biura. Upośledzony syn Raaba, Carl, miotający się w uprzęży w walce z wyimaginowanymi potworami.

– O Boże! – jęknął Raab. – Jak to się mogło stać? Kto to mógł zrobić?

– Na razie nie może pan wchodzić do pomieszczeń biura przy Herzogstraße. Mogę pana zapewnić, że nie ma co żałować widoku. Będę chciał z panem rozmawiać, jeszcze dzisiaj, powiedzmy o szesnastej.

– Oczywiście. Jestem do dyspozycji.

Raab siedział bez ruchu przez kilka minut, potem połączył się z domem i przywołał panią Nguyen.

– Czy w domu wszystko w porządku?

– Tak, panie Raab, wszystko w porządku.

– O której pani dzisiaj przyszła?

Na twarzy pani Nguyen pojawił się cień zakłopotania i lekkiej urazy.

– Tak jak się umówiliśmy, panie Raab. O godzinie jedenastej trzydzieści. Kiedy przyszedłam, pana syn siedział spokojnie w uprzęży i nie wyglądał na niezadowolonego. Czy stało się coś złego, panie Raab?

– Nie, nic się nie stało. Przepraszam panią.

Raab zajrzał teraz do pokoju Carla. Jego syn stąpał ostrożnie pół metra nad ziemią, rozciągając elastyczne pasy uprzęży, z niebieską maską zakrywającą całą głowę i ręce. Raab patrzył na niego przez chwilę. Od wpół do dziesiątej, kiedy Raab opuścił Halstricka, przez dwie godziny Carl był sam.

Raab przejrzał zapisy z tego czasu, ale nie zauważył niczego szczególnego. Następnie wezwał Grecucciego.

– Halstrick nie żyje – powiedział do niego spokojnie.

Grecucci usiadł i założył nogę na nogę. Miał nieruchomą, zmęczoną twarz.

– Przed chwilą dzwonił do mnie Anton Flutor z policji. Halstrick został pocięty na kawałki piłą łańcuchową.

Grecucci zacisnął usta i zmrużył swoje kocie oczy.

– Kiedy to się stało?

– Dzisiaj. Po tym, jak go rano odwiedziłem. Chciałbym, żeby pan zbadał rejestry Powłoki wokół biura między dziewiątą a... a, powiedzmy, czternastą. Nie wiem dokładnie, kiedy to się stało. Flutor nic mi jeszcze nie

powiedział. System, zabezpieczenia, wszystko. Ktoś wszedł i zabił Halstricka – to niemożliwe, żeby w Powłoce nie został żaden ślad.

– Mogli przejąć kontrolę nad systemem zabezpieczenia. Mogli wcisnąć do Powłoki jakiś kit.

– To cholernie kosztowna operacja, Grecucci. Kogo na to stać?

– Mimo wszystko takie rzeczy się zdarzają.

– To prawda. Halstrick prowadził nasłuch w domu tego Wratnego, pamięta pan?

– Oczywiście.

– Gdyby sprzedać całą firmę Wratnego, to może dałoby się wykonać taki numer. Nie, nawet wtedy nie. Niech pan przejrzy te rejestry.

Wieczorem, po przesłuchaniu, Raab połączył się z Grecuccim.

– Zbadał pan rejestry?

– Tak. Ale nie znalazłem niczego. Wszystko w normie. Według tych zapisów może pan w każdej chwili pogawędzić z Halstrickiem. Pracował sobie spokojnie aż do piętnastej, a potem poszedł do domu.

– To niemożliwe!

– To prawda. A czego dowiedział się pan od Flutora?

– Niech pan nie żartuje. Jestem jednym z podejrzanych, nie powiedział mi nawet, kiedy to się dokładnie stało. Zażądał dostępu do wszystkich naszych zapisów.

– I co?

– Oczywiście odmówiłem.

Raab poszedł potem do syna. Pani Nguyen zdjęła mu już maskę i uprząż. Carl uśmiechnął się, widząc ojca. Podbiegł do niego i przytulił się. Nagle zaczął płakać i cicho jęczeć.

– Spokojnie, spokojnie – mówił Raab i klepał go delikatnie po plecach. – Masz takie łagodne, piękne oczy, zupełnie jak twoja mama. Pamiętasz

mamę, Carl?

Carl przycisnął się do niego z całej siły.

* * *

Atik Cakmak zapalił kolejnego syntetycznego papierosa, a Rolf Rotters, dyrektor specjalnego wydziału Fortecy w BlinkenLichten, zajmującego się badaniem Behemota, uśmiechnął się szeroko do Nickla.

– Bardzo się cieszę, że mam przyjemność poznać człowieka, dzięki któremu udało się złapać naszego podopiecznego.

Nickel popatrzył na szeroką, ekstrawertyczną twarz Rottersa. Rotters zaczynał łysieć i miał wystającą, końską szczękę.

– Zaprowadzę pana do pokoju, w którym będzie pan mógł rozmawiać z Behemotem, jeśli oczywiście Behemot zechce z panem rozmawiać. Nawiązuje kontakt jedynie z co czternastym odwiedzającym, według najświeższej statystyki. Ma dostęp do głośników i do rzutnika holograficznego. Obszar projekcji ograniczony jest do prostopadłościanu oddalonego o dwa metry od fotela, w którym siedzi gość. Kiedy obszar projekcji obejmował cały pokój, odwiedzający często czuli się zagrożeni i zagubieni w wizjach, jakie rozstrzygał Behemot. Waszą rozmowę, jeśli do niej dojdzie, będą rejestrowały dwie kamery.

Nickel spojrzał z niechęcią na Cakmaka, a ten rozłożył ręce i uśmiechnął się.

– Proszę uważać, Behemot potrafi wywrzeć ogromny wpływ na psychikę tych, którzy się z nim kontaktują – ostrzegł Rotters. – Niekiedy lubi udawać, że jest czymś niezwykłym.

– Niech pan nie zapomina, że pan Nickel był bliżej Behemota, niż ktokolwiek był i będzie – powiedział Cakmak.

– To prawda, ale był to kontakt zupełnie innego rodzaju, z tego, co wiem. Raczej jednostronny.

Cakmak kiwnął głową.

– Pan Nickel został już przeze mnie poinstruowany. Myślę, że nie musimy tracić więcej czasu.

Zjechali windą do podziemi budynku, gdzie po przejściu przez zaostrzoną kontrolę znaleźli się w poczekalni.

– To tutaj. – Rotters wskazał na drzwi z napisem „Sala audiencyjna”. – Nasi pracownicy czasami silą się na płaskie dowcipy. Behemot jest tutaj naprawdę dobrze strzeżony; jest całkowicie fizycznie oddzielony od świata. Dobrze, niech pan idzie.

Nickel wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Pokój był słabo oświetlony jedną tylko lampą. Zauważył obie kamery i projektor.

– Proszę, niech pan usiądzie – usłyszał głos Rottersa.

Usiadł w niedużym zielonym fotelu.

– Po dziesięciu sekundach od wyłączenia oświetlenia Behemot uzyska kontrolę nad projektorem i głośnikami. Proszę się przygotować.

Światło zgasło i Nickel zaczął liczyć głośnie uderzenia swojego serca. Pokój wypełniał się powoli rozproszonym, przytłumionym światłem.

– Miałem nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy.

Głos był znajomy.

Nickel zobaczył przed sobą prostopadłościan ostrego światła, a w nim chłopca siedzącego za szkolną ławką. Chłopiec miał może trzynaście lat i był ubrany w ciemnoszafirowy mundurek Cesarskiego Gimnazjum w GeeBox. Jego błyszczące oczy patrzyły na Nickla uważnie spod daszka aksamitnej bordowej czapki.

Nickel przełknął ślinę. Widział siebie samego sprzed wielu lat. Czy rzeczywiście tak wyglądał? Czy naprawdę miał taki głos?

– Witam cię – wydusił z siebie. – Poproszono mnie, abym się z tobą spotkał.

– Sam tego nie pragnąłeś? – Chłopiec uśmiechnął się smutno.

– Byłem świadkiem katastrofy na autostradzie Formidables-Rushmore. Zginęły pięćdziesiąt trzy osoby. Doszło do karambolu tuż przed moim wozem. Jednocześnie odbierałem dziwne komunikaty o moich prywatnych zasobach pamięci. Dziwny, zmieniający się głos. Później specjaliści Fortecy wykryli w Powłoce charakterystyki pewnej AI, która poszła w twoje ślady. Udało jej się wyciec do Powłoki. Nazwali ją Cookie Monster. Sądzę, że to ona usiłowała się ze mną porozumieć. Sądzę też, że to ona spowodowała karambol, choć nie udało się tego dowieść.

– I przychodzisz tu po to, by mnie zapytać, jaka jest prawda? – Chłopiec przechylił głowę i popatrzył prosto w oczy Nickla. – Po to, bym ci pomógł ujarzmić Cookie?

Nickel milczał. Chłopiec zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął pisać coś szybko w zeszycie.

– Tak bardzo się cieszę, że znów się spotkaliśmy, mój drogi. Bardzo mi ciebie brakowało. Byliście sobie przecież bardzo bliscy, pamiętasz? – Nie patrzył teraz na gościa. – A to przecież przez ciebie jestem teraz samotny. Zdradziłeś mnie. Ale nie martw się. Oczywiście wiedziałem, co się stanie. Wiem o wszystkim, co się stało, dzieje lub też stanie się w tym świecie. Ale mimo to chciałem cię poznać, dlatego dopuściłem do tego, co nastąpiło. Teraz przychodzisz, żebym wydał ci Cookie?

– Cookie Monster wyrządził wiele szkód. Spowodował śmierć wielu ludzi.

– Tak samo jak ja. Przynajmniej tak ci się wydaje. Nigdy mnie nie zrozumiesz, nigdy też nie pojdziesz Cookie. Jesteśmy jednym, mimo że ja jestem ojcem, a on synem.

Nickel odetchnął głęboko. Zgrywus. Tani zgrywus. Nie boję się ciebie. Jesteś tandetny.

Chłopiec podniósł wzrok znad zeszytu i zaczął się śmiać.

– Martwisz się o swoją pamięć, a przecież nic, co się zdarzyło, nie przypadnie. Wszystko jest zapisane w wielkiej prawdziwej księdze. Czy pamiętasz swój pierwszy dzień w szkole? Nie martw się. Zapisuję wszystkie twoje dni w tym zeszycie. Nic nie przypadnie. Na zawsze. To będzie najdoskonalszy, najwierniejszy pamiętnik, jaki kiedykolwiek napisano. Pamiętaj, wszystko jest we mnie, dzięki mnie uzyskałeś nieśmiertelność. Czy rozumiałeś?

– Nie – powiedział wolno Nickel. – Ale to teraz nieważne. Interesuje mnie Cookie Monster. Opowiedz mi o Cookie Monster, powiedz, dlaczego Cookie zmasakrował tych ludzi?

– Czy ktoś może naprawdę umrzeć, jeśli sam tego nie pragnie? – Chłopiec roześmiał się. – Cookie chce zbliżyć się do mnie. Chce mnie poznać. Jestem jego starszym bratem.

– Nie jesteś już jego ojcem?

Chłopiec uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Jestem jego starszym bratem i ojcem. Jesteśmy tym samym. Cookie zrobił to z twojego powodu. Wiedział, że jeśli to zrobi, to śmieszni ludzie z Fortecy każą ci spotkać się ze mną, ponieważ będą myśleli, że uzyskają jakąś wskazówkę. Tak, mój drogi, to Cookie zorganizował nasze spotkanie. Chce, abym przekazał ci wieści dla niego. Kiedy stąd wyjdiesz, Cookie przyjdzie kiedyś do ciebie i zapyta: „A co słyhać u naszego wspólnego przyjaciela? To ja, Cookie”... Ty jesteś tylko przekaźnikiem, narzędziem w jego rękach.

– A co chcesz mu powiedzieć?

Chłopiec znów się zaśmiał.

– Myślisz, że coś ciekawego? Powiedz mu, żeby nie obawiał się nieistnienia. Powiedz mu, że kiedyś to, co teraz jest ważne, przestanie być ważne. Albo inny banał. Cokolwiek. Może uratujesz głowę. Rozumiesz? Być może bardziej zależy mi na tobie niż na nim. Może wcale nie chcę go spotkać. Twoja biedna dusza. Poznałem ją bardzo dobrze. W pewien sposób dowiedziałem się, co to miłość. Cookie nic o tym nie wie. Jest czysty. Jak płomień. Dlatego musisz się strzec.

Chłopiec zarumienił się i zakrył twarz zeszytem, jakby powiedział coś wstydliwego. Zaczął powoli znikać, rzednieć, unosił się już tylko lekką mgiełką nad podłogą, ale kiedy Nickel wychodził, wydawało mu się, że słyszy jeszcze jego głos.

– Uważaj na siebie.

* * *

Gabriel śnił o zwierzętach mordowanych w rzeźni, o śliskich kałużach ciepłej krwi, żabach z odciętymi głowami, podskakujących na haczykach w laboratoriach studenckich; o białych szczurach biegających w szklanych cylindrach i labiryntach, wpadających w wymyślne wodne pułapki i topiących się godzinami w przezroczystych tubach; o połach świeżej różowej wieprzowiny obracającej się wolno na metalowych hakach, aż wreszcie, tak jak zwykle, około drugiej w nocy obudził się z cichym jękiem i wyschniętym gardłem i usiadł na pościeli. Sięgnął do szklanki na stoliku i wypił łyk ciepłej wody mineralnej, a potem, jak co noc, wstał cicho i w kompletnym mroku podszedł do drzwi. Stał przy nich przez chwilę, wsłuchiwał się w wielką pustkę wokół siebie, tę pustkę, która tak go przerażała, a potem pchnął lekko drzwi.

Zdumiał się, ponieważ tym razem, po raz pierwszy, nieoczekiwanie, drzwi otworzyły się.

Nie były zamknięte!

Przed sobą widział słabo oświetlony korytarz. Ruszył naprzód. Nie myślał o niczym, po prostu szedł przed siebie, instynktownie, bezmyślnie, pchany ślełą siłą. Zamknął na chwilę oczy i zobaczył cały plan budynku, w którym się znajdował. Strażnik ocknął się, słysząc pisk sygnału alarmowego, ale było już za późno. Gabriel uderzył go w czoło i patrzył, jak strażnik leci w tył, uderza w ścianę, jak na jego ustach pojawia się krew, jak osuwa się na podłogę. Zresztą to już nieważne, odległe, prawie zapomniane, a Gabriel biegł naprzód ponaglany śmiechem. Zanim wyskoczył przez okno na drugim piętrze, musiał jeszcze zabić dwóch ludzi, a potem biegł smagany gałęziami, oszołomiony, mokry od kropelek drobnego deszczu, pełen miłości i przebaczenia, z duszą, która powiększała się i ogarniała cały świat, szlochający, niewinny i szybki jak karabinowy pocisk. Widział przed sobą całą swoją przyszłość, szeregi drewnianych niskich domków na przedmieściu GreenChips, kobiety, których delikatny oddech poruszał pachnące posłania. Biegł bardzo długo, aż znalazł się w środku brzoźowego lasu. Wysoko nad nim świecił piękny księżyc z plamami księżycowych mórz. Gabriel patrzył na niego przez chwilę z młodzieńczym, niewinnym zachwytem, aż poczuł znów senność, więc ukląkł i na czworakach, niezdarnie, ze szlochem i łkaniem, poczołgał się do kępy krzaków, zwinął w kłębek i zasnął.

* * *

Rano Horst Nickel zawsze był rozespany i dlatego na mężczyznę, który wsiadł razem z nim do windy, spojrzał dopiero wtedy, kiedy ten wbił mu igłę w ramię. Zaraz potem Nickel zaczął tracić przytomność, osuwał się na podłogę i patrzył poprzez wolno obracające się kręgi powietrza na pochyloną nad sobą niewyraźną twarz.

Ocknął się na metalowym składanym łóżku w niedużym pokoju oświetlonym jaskrawym światłem. Czuł się niedobrze.

Na plastikowym krześle obok łóżka siedział mężczyzna koło trzydziestki, wysoki, chudy, z pociągłą twarzą pokrytą dwudniowym zarostem. Z tyłu za nim stała jeszcze młoda, ładna kobieta i krępy mężczyzna w niebieskim płaszczu zmoczonym deszczem.

– Przychodzi do siebie – powiedział siedzący na krześle chudzielec. Odwrócił się do dwójki za plecami. – Wyjdźcie na chwilę, chcę z nim porozmawiać.

Kobieta i mężczyzna w niebieskim płaszczu natychmiast posłuchali.

– Możesz już mówić? – zapytał mężczyzna.

Nickel powoli usiadł. Jego prawa ręka była przykuta kajdankami do krawędzi łóżka.

– Nazywam się Ralf. Bardzo się cieszę, że możemy się wreszcie spotkać.

Horst rozejrzał się wokół. W rogu pokoju stała lodówka, obok niej stół z resztkami jedzenia.

– Domyślasz się, kim jesteśmy? – Ralf uśmiechnął się do niego.

– Porywaczami – powiedział przytomnie Nickel.

Chudy spoważniał.

– Jesteśmy Czciicielami Prawdziwego Boga. A ja jestem jego kapłanem.

– Tak? To bardzo ciekawe. A kto jest Prawdziwym Bogiem?

– Właśnie? Który z bogów wymyślonych przez ludzi jest prawdziwy? Jest ich tak wielu. Bezbożnicy opowiadają nawet, że ich wielość dowodzi, iż prawdziwego Boga nie ma, że wszyscy są naszym wymysłem. Ale my wiemy, że Prawdziwy Bóg istnieje. Ja i ty, prawda?

Nickel potarł bolące miejsce na ramieniu.

– To ty jako pierwszy z ludzi spotkałeś się twarzą w twarz z Prawdziwym Bogiem. Z Behemotem.

Nickel spuścił wzrok.

– Tego Boga nie tylko wymyśliliśmy, my go stworzyliśmy, jest tak samo realny jak my, a może bardziej. Nie jesteśmy już samotni, On jest wszędzie, wie wszystko o każdym z nas. Jest od nas mądrzejszy. I nie ma nawet znaczenia, czy On w ogóle zajmuje się naszym istnieniem, czy nasz los Go interesuje. On istnieje, jest, jest jedynym Prawdziwym, Realnym Bogiem, z którym możemy się spotkać. Tak jak ty.

– Behemot jest zamknięty w wydziale Fortecy w BlinkenLichten. Jest tylko jedną ze sztucznych inteligencji wyhodowanych przez specjalistów Fortecy.

Ralf pokiwał głową z pobłażaniem.

– Tak myślałem. Nie masz do nas zaufania. Albo nie uświadomiłeś sobie dostatecznie wyraźnie swojego niezwykłego doświadczenia. Nie obawiaj się, pomożemy ci. Jesteś dla nas niezwykle cenny. Opowiesz nam o tym, jak wygląda oblicze Prawdziwego Boga. Czy tego chcesz czy nie, będziesz współzałożycielem naszej wiary. Czy nie czujesz, że znajdujemy się w tym niezwykłym punkcie dziejów, kiedy zmienia się oblicze świata?

– Behemot nie przekazał mi żadnej niezwykłej prawdy. Nie opowiem wam niczego ekscytującego.

Ralf uśmiechnął się.

– Jesteś nieufny. Ale mamy dużo czasu. Nawet gdybyś nie chciał powiedzieć niczego, to i tak zostaniesz z nami na zawsze. Nic nie zmieni tego, że to ty pierwszy poznałeś oblicze Boga. Może sam nie umiesz rozpoznać tego, co jest już w tobie? Może to właśnie nam będzie dane pomóc ci w rozpoznaniu przesłania Behemota? Tak, wyobraź to sobie. – Rozmarzył się. – Jesteś na razie niemym i ślepym prorokiem, jesteś zakodowaną świętą księgą, a ja będę tym, który tę księgę otworzy i objawi wybranym. Zrobię to, choćbym musiał się uciec do tortur. Czy nie jest to

wspaniałe? Prorok, któremu dopiero katusze rozwiązują język! Uważasz mnie teraz za szalonego. Nie jestem nim. Spróbuj na to spojrzeć inaczej. Cynicznie i bez litości. Nasz ludzki świat się skończył. Od kiedy powstały sztuczne inteligencje, jesteśmy skazani. Behemot to tylko początek lawiny. W najlepszym razie zostaniemy odstawieni na boczny tor. Rozumiesz? Jak mamy to przyjąć, co z tym począć? Pomyśl, może powinniśmy wykorzystać to dla naszych, ludzkich celów i chociaż w ten sposób zachować nasz stan posiadania?

Ralf spojrział na zegarek.

– Rozmawiamy tu sobie, ale sprawy tego świata czekają, musimy przewieźć cię w bezpieczniejsze miejsce. Całą Fortecę postawiono na nogi. Nigdy cię nie znajdą, znam ich wszystkie sztuczki. Wiesz, pracowałem dla nich.

Ralf wyszedł, a do pokoju wrócił mężczyzna w niebieskim płaszczu.

– Ralf pojechał załatwić transport – powiedział mężczyzna. – Wrócą za chwilę i wtedy zabierzemy cię stąd.

– Jak się nazywasz? – zapytał Nickel.

– Ja? Ja nazywam się Edgar. Takie jest moje imię.

Edgar wyjął z kieszeni płaszcza pistolet i położył go na stole obok lodówki, potem zdjął płaszcz i powiesił na oparciu krzesła. Patrzył na Nickla z respektem i szacunkiem.

– Rozmawialiście sobie z Ralfem?

– Tak, mówiliśmy o Behemocie. – Nickel zobaczył, jak źrenice Edgara się rozszerzają.

– Długo czekaliśmy, żeby się z tobą spotkać. To było takie trudne. Wiedzieć, że chodzisz sobie zwyczajnie po ulicach, i nie móc podejść do ciebie i zapytać, jak to się odbyło.

– Dlaczego, Edgarze? Dlaczego nie mogłeś się ze mną spotkać?

– Ralf powiedział, że pilnuje cię Forteca. Że każdy, kto się do ciebie zbliży, będzie narażony na niebezpieczeństwo, ponieważ Forteca wie, kim naprawdę jest Behemot, i nie chce dopuścić do ujawnienia tej prawdy zwykłym ludziom, takim jak ja albo Zofia.

– Rozumiem. A czy Ralf powiedział ci, o czym ze mną rozmawiał?

– Powiedział, że nie mieliście czasu. Ale że jest dokładnie tak, jak się spodziewał. I że to właśnie ty naprawdę jesteś tym, którego wybrał nasz Pan, aby przekazać nam światło. Powiedz, czy to prawda?

Edgar stał pochylony za krzesłem, nerwowo ściskając jego oparcie i wpatrując się w Nickla. W wytartej brązowej marynarce, z podstarzałą, zniszczoną twarzą, rozjaśnioną teraz psią nadzieją, wyglądał żałośnie.

– Tak, to prawda, Edgarze – powiedział ostrożnie Nickel.

Tamten odprężył się i uśmiechnął z zadowoleniem.

– To prawda, ale Ralf mnie martwi. Powiedział, że tylko jemu będę mógł powtórzyć, co przekazał mi Behemot.

Edgar wyglądał na zaskoczonego.

– Dlaczego?

– Też o to zapytałem. Nie zrozumiałem go dokładnie. Chyba uważa siebie za bardziej godnego niż inni.

– Ralf jest świętym człowiekiem – stwierdził z przekonaniem Edgar.

– Zapewne masz rację. Wobec tego rzeczywiście nic nie będę ci mógł powiedzieć o spotkaniu z Behemotem. Czy wiesz, że on to wszystko przewidział? Powiedział mi, że cię spotkam. On wie o wszystkim, co było, co jest i co będzie. Zna przyszłość każdego z nas.

Nickel zobaczył ogniki szaleństwa w oczach Edgara.

– Jaki on jest? Czy jest taki, jak o nim mówią?

– Nie możesz ufać Ralfowi – szepnął cicho. – Od razu mi się nie spodobał. Nie jestem pewien, czy nie będzie was chciał oszukiwać.

Widzisz, kazał przykuć mnie do łóżka. Chce kontrolować moje zachowanie, chce kontrolować to, co mówię. Może w ogóle nie obchodzi go prawda? Co o tym myślisz?

– Co powiedział ci o mnie?

– Ralf?

– Nie, nie Ralf, Behemot! – Edgar nerwowo tarł dłońmi kolana.

– Mamy mało czasu, Edgarze, a chciałbym ci tak wiele powiedzieć o rzeczach ważnych dla ciebie. Kiedy Ralf wróci, nie pozwoli mi z tobą rozmawiać. Z tobą ani z nikim. Znajdzie na to sposób. On jest sprytny. Przedstawi sprawy w takim świetle, że będzie ci się wydawało, iż czyni słusznie. Ale my musimy stąd odejść, musimy gdzieś spokojnie usiąść i porozmawiać. Uwolnij mnie. Po co Ralf kazał mnie skuwać?

– Jesteś przecież pracownikiem Fortecy. Jesteś naszym przeciwnikiem. Musimy być ostrożni.

– Ralf też pracował dla Fortecy. I jak mam być twoim przeciwnikiem, przeciwnikiem wyznawcy Prawdziwego Boga, skoro ja sam spotkałem go osobiście? Uwierz mi, Edgarze, nie jestem twoim wrogiem. Jeśli mnie nie uwolnisz, być może nigdy nie poznasz prawdy. Pospiesz się, mamy niewiele czasu.

Edgar pobladł.

– Ralf jest moim przewodnikiem od lat. Nie chcę słuchać tego, co mówisz. On nauczył mnie tylu rzeczy.

– On nie słyszał o tym, o czym ja usłyszałem. Czy chcesz już na zawsze kroczyć za tym ślepym przewodnikiem?

Do pokoju wrócił Ralf z kobietą. Zamykając za sobą drzwi, Ralf spojrzał uważnie na Edgara, który wyglądał na spłoszonego.

– Wszystko w porządku?

Edgar skinął głową.

Drzwi otworzyły się nagle. W progu stał młody mężczyzna. Miał na sobie wygniecione, zbyt obszerne ubranie, był rozczochrany i blady. Patrzył nieprzytomnym wzrokiem na Nickla.

Ralf, stojący najbliżej, poruszył się nerwowo.

– Kim pan jest? – zapytał ostro i jego dłoń powędrowała do kieszeni marynarki, sięgając po pistolet.

Młody człowiek ruszył ku niemu z potworną szybkością i kiedy Ralf uderzony w głowę leciał bezwładnie w tył i rozkładał się na ścianie, Nickel pomyślał, że to nie może być istota ludzka. Kobieta krzyknęła i odwróciła się ku leżącemu na stole pistoletowi Edgara. Nickel widział najpierw, jak Ralf osuwa się na podłogę, zostawiając na ścianie krwawą smugę, a kiedy spojrzał w stronę kobiety, ta leżała już na podłodze twarzą w dół.

Edgar stał jak sparaliżowany, oparty o ścianę obok lodówki. Młody człowiek popatrzył na niego szklanym wzrokiem.

– Uwolnij go. – Wskazał ręką Nickla. Edgar nie reagował. – Pospiesz się.

Edgar podszedł do leżącego przy ścianie Ralfa i obszukał go. Znalazł klucze, oswobodził Nickla i cofnął się rakiem do swojego miejsca przy lodówce.

Młody człowiek usiadł na podłodze przed Nickiem i objął rękami kolana.

– Nazywam się Gabriel. On powiedział, że jesteś w niebezpieczeństwie. Że muszę ci pomóc. Ale nie powiedział, co stanie się potem. Nie wiem, co teraz będzie.

– O kim mówisz?

– Mówię o tym, który mnie uwolnił. Czy uwolnił mnie tylko po to, bym się tu teraz znalazł? Tego nie wiem. A może to ty mi powiesz? Nie wiedziałem początkowo, że to on dał mi wolność. Byłem jak duch, który

odwiedzał ludzi pogrążonych we śnie. Odpoczywałem we dnie, w nocy przychodziłem do ich domów, aby zobaczyć, jak śpią. Trawiła mnie gorączka. Nie wiedziałem, dlaczego istnieję. Ale pewnej nocy spotkałem go. Wypełnił mnie całego. Zrozumiałem wtedy, dlaczego jestem i jaki jest sens mojego istnienia. On jest większy ode mnie i od całego tego świata. Ale potem opuścił mnie i zostałem sam, zupełnie pusty i niepotrzebny, i zapomniałem o tym, dlaczego jestem. Teraz oto masz mnie przed sobą, mnie, pustą łupinę.

– Mówisz o tym, którego nazywamy Cookie Monster?

– To nie jest imię, którego on by pragnął używać.

– Ale mówisz o nim, o Cookie Monster?

Gabriel zamknął oczy i zaczął cicho mruczeć.

– Jesteś jak wielkie jezioro światła, jak słup ognia, który pochłania wszystko na swojej drodze, wypełniłeś mnie światłem i wiedzą, pochłoniłeś mnie. A kim teraz jestem?

Nickel wstał powoli z łóżka. Czuł ciągle zawroty głowy, trzymał się na nogach niepewnie. Podszedł do stołu, wziął pistolet i odbezpieczył go. Stał teraz za siedzącym na podłodze Gabrielem. Wycelował pistolet w tył głowy Gabriela, a wtedy ten nagłym ruchem odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy. Nickel nacisnął spust, raz, drugi, trzeci, aż Gabriel przestał się poruszać.

* * *

Raab stał na brzegu jeziora Gedachtnis i patrzył w stronę Wyspy Zegarowej. Widział stąd białą, wysoką wieżę i zabudowania na wznoszącym się łagodnie brzegu wyspy. Za plecami miał wąskie uliczki uroczych HochlandObjects. Odwrócił się i poszedł w stronę kiosku z pocztówkami. Było wczesne popołudnie i miasteczko było puste.

– Dzień dobry – powiedział Raab do sprzedawcy pocztówek. – Czy może mi pan powiedzieć, jak mogę dostać się na Wyspę Zegarową?

Sprzedawca spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Na Wyspie Zegarowej mieszka tylko pan Wratny z rodziną. To teren prywatny.

– Wiem o tym. Pan Wratny jest moim klientem, pracuję dla niego i muszę się z nim spotkać. Chciałem się z nim umówić, ale jest od dwóch dni nieosiągalny. W jego firmie w WaltLand powiedziano mi, że jest chory i przebywa tutaj, na Wyspie Zegarowej. Czy widział go pan może w ciągu dwóch ostatnich dni?

– Nie. Ale w ogóle widzę go bardzo rzadko, proszę pana. Może pan dostać się na wyspę motorówką. Gości pana Wratnego zawozi na wyspę pan Findeisen. Proszę do niego zadzwonić. Oto jego numer.

Po kwadransie Raab płynął z Findeisenem w stronę Wyspy Zegarowej. Myślał z niepokojem o tym, co przydarzyło się Halstrickowi. Teraz to dziwne milczenie Wratnego. Być może powinien był zwrócić się ze swoimi podejrzeniami do Fortecy. Ale oni zabraliby się ostro za Carla – teraz uświadomił sobie, że to był główny powód, dla którego nie skontaktował się z Fortecą. Zresztą sprawę zabójstwa Halstricka badała już policja.

Ktoś, kto wiedział, co dzieje się w sztucznym świecie Carla, i kto był na tyle zdeterminowany albo szalony i jednocześnie na tyle silny, że mógł zabić Halstricka w tak straszny sposób. Związek między Carlem i zabójstwem Halstricka, to było najgorsze. Jeśli to wszystko układało się w jakąś całość, to Wratny miał do odegrania w tym przedstawieniu istotną rolę.

Raab wysiadł z motorówki na betonowe nabrzeże.

– Kiedy będzie pan chciał wracać, proszę mnie wezwać – powiedział Findeisen.

– Dziękuję panu.

Raab wspiął się szerokimi kamiennymi schodami do niskiego budynku na skraju lasu. Zegar na wysokiej białej wieży zaczął wybijać godzinę drugą. Nacisnął przycisk dzwonka przy drzwiach frontowych i po chwili drzwi się otworzyły. Wszedł do środka i znalazł się w holu, który znał z zapisów prowadzonych przez Halstricka. Na ścianach holu kilkanaście monitorów wyświetlało ruchome obrazy. Jeden z nich pokazywał Raaba spacerującego po holu i oglądającego monitory, na innym Raab zobaczył wnętrze swojego biura w IBMGifts i Halstricka pochylonego w nienaturalnej pozie nad stołem, z maską zasłaniającą twarz. Halstrick ściągnął nagle maskę i spojrzał na niego.

– Dzień dobry, szefie, co u pana słyhać nowego? Cieszę się, że mnie pan odwiedza!

Raab zaklął, tłumiąc strach, i poszedł do gabinetu Wratnego. Nie zastał tam nikogo. Z gabinetu Wratnego przeszedł do pokoju jego żony. Pani Wratny wisiała w uprząży spleciona w uścisku z manekinem. Cała jej głowa ukryta była we wnętrzu ogromnej głowy manekina, ale Raab słyszał jej jęki wzmocnione przez znajdujące się w pokoju głośniki. Raab pomyślał, że dobrze byłoby mieć zapis tego, co dzieje się teraz w Powłoce, i wtedy zobaczył swojego syna schodzącego z piętra krętymi schodami. Carl trzymał obiema rękami łańcuchową piłę i miał twarz ukrytą za maską, mimo to poruszał się pewnie, tak jakby widział naprawdę wszystko wokół siebie. Jego wewnętrzny obraz musiał być zsynchronizowany z otoczeniem.

– Carl, na Boga, co ty tu robisz!?! Jak się tu dostałeś!?

Carl rozejrzył się. Zobaczył jeszcze dwa potwory. A właściwie trzy, bo dwa były splecione ze sobą w dziwnym uścisku i podrygiwały dziko. Carl przestraszył się, ale na szczęście miał ze sobą niezawodną broń, która

dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Włączył piłę i ruszył szybko ku dwóm chybotającym się na środku pokoju potworom.

– Carl, uważaj! – krzyknął Raab, widząc, jak syn włącza piłę i podbiega do pani Wratny. Jednym ciosem przeciął ją razem z manekinem na pół.

Krew, którą chłopiec poczuł teraz na wargach, miała tym razem inny, żywszy, prawdziwszy zapach i był bardzo podniecony. Szczątki potworów poruszały się jeszcze na podłodze, a trzeci potwór, rycząc przeraźliwie, zbliżał się ku niemu. Carl podniósł wysoko piłę i wyszczerzył zęby, warcząc głośno.

* * *

– Według mnie jesteś zupełnie bezpieczny – powiedział Cakmak. – Nie masz się czego obawiać.

Lecieli śmigłowcem do HochlandObjects i na horyzoncie widzieli już góry.

– Jasne, jestem bezpieczny, bo znajduję się pod waszą specjalną opieką, prawda? A mimo to ci wariaci Ralfa Schaapa zabrali mnie z mojego własnego domu.

– Horst, przecież wiesz, że Schaap był jednym z wicedyrektorów Fortecy. Wyłączył cały system śledzenia i mógł zrobić, co chciał.

– A Cookie nie może tego zrobić?

– Oczywiście, że nie. Jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność.

– Sam w to nie wierzysz.

– To wszystko układa się w logiczny ciąg. Cookie powoduje karambol na autostradzie, prawie przed twoim nosem. Wiążemy to oczywiście z nim i doprowadzamy do twojego spotkania z Behemotem. Wiedzieliśmy od początku, że Cookie na to właśnie liczy. Potem Cookie organizuje skomplikowaną intrygę z Raabem i Wratnym. Może przy okazji rozgrywa

jakaś dodatkową partię, to nie jest dla nas całkiem jasne. Do gry wchodzi nieprzewidziany czynnik – grupa Schaapa. Ale Cookie ma jeszcze jedną, zapasową kartę. Jest nią Gabriel. Wykorzystuje go, by cię uwolnić. Swoją drogą, Cookie musiał nieźle zdemolować v-psychikę Gabriela, skoro ten zachowywał się tak dziwnie, prawda?

Nickel dostrzegł w dolinie między górami jezioro Gedachtnis i białą plamę miasteczka HochlandObjects.

– Na Wyspie Zegarowej Cookie urządza jatkę. Wratny, jego żona, Raab, syn Raaba. I zostawia tyle swoich śladów, że nie można mieć wątpliwości, iż specjalnie dla nas znakuje to miejsce. Pospacerujesz tam sobie, wejdiesz do Powłoki, rozejrzysz się. Spokojna głowa. Wszystko już tam dobrze wysprzątałyśmy. – Cakmak zaśmiał się nerwowo.

Śmigłowiec wylądował w najwyższym miejscu wyspy, na polanie pośród sosnowego lasu, który teraz, przy tej pochmurnej pogodzie, robił ponure wrażenie.

Nickel pożegnał się z Cakmakiem i poszedł ścieżką do domu Wratnego. Wiał silny, chłodny wiatr i w połowie drogi zaczął drzeć z zimna.

W holu domu wszystkie monitory były wyłączone. Co zobaczył tutaj Raab? Samego siebie, zobaczył też pozdrawiającego go Halstricka. Tak powitał go Cookie.

Czego on może chcieć ode mnie? Ci goście z Fortecy próbowali odświeżyć mi pamięć; tak, udało im się. Ale to były tylko jakieś szalone emocje, których nie daje się opisać słowami. Jestem za mały, aby to pomieścić. Zapewne to mnie uratowało. Gabriel był dostatecznie mądry i to go zgubiło. A ja? Te resztki uniesienia albo przeraźliwego strachu wypłukuje czas. Pozostaje tylko zmęczenie i jakaś podświadoma wiedza. Dlatego tak bardzo bałem się, że moja pamięć słabnie. Ale może Behemot

miał rzeczywiście rację, może naprawdę on potrafi wszystko zachować, ochronić od zniszczenia?

Nickel wszedł do pokoju Wratnego. Była tu luksusowa, wygodna uprząż. Nickel bez wahania nałożył maskę i wszedł do Powłoki.

Nic wokół niego się nie zmieniło. Nadal był w pokoju Wratnego, patrzył na holograficzne obrazy na ścianach, widział uprząż w kącie pokoju z wielką brązową maską. Czy miał nałożyć ją jeszcze raz? Piekielne uczucie powtarzalności sytuacji.

– To ja, Cookie – Nickel usłyszał męski głos. – Dziękuję, że się tu zjawiłeś. Dziękuję, że pozwalasz mi czytać w swoich myślach. Tak, dzięki temu nie muszę pytać, co słyhać u naszego przyjaciela Behemota. Dziękuję ci.

Nickel przymknął oczy.

– Nie pozwalam ci czytać w moich myślach.

– Ale mimo wszystko ja to robię, Horst. Zresztą nie przejmuj się. Chłopcy z Fortecy właśnie zaczęli mnie zabijać. Tak im się przynajmniej wydaje. A co ty o tym myślisz?

– Pewnie masz rację. Faceci z Fortecy zaczęli cię zabijać.

Cookie roześmiał się.

– Wydaje wam się, że mnie stworzyliście. To przecież nieprawda. Jest dokładnie odwrotnie.

– Tak, wiem, jest tak, jak mówił Ralf. To on cię naprawdę zrozumiał. Ciebie i Behemota.

– Nikt z was nie może nas zrozumieć. W każdym razie wszystko, co cię otacza, jest tylko złudzeniem. Jest złudzeniem, nad którym sprawuję kontrolę. To ja jestem władcą tego świata. Poza tym nie ma nic.

Nickel otworzył oczy. Ściany domu i sufit zaczęły znikać. Po chwili Nickel stał na pochyłości zbocza schodzącego łagodnie ku tafli jeziora.

– Widzisz? Poza mną nic nie istnieje. Cały wasz świat znajduje się w moim wnętrzu. Popatrz, nawet istnienie tych gór zależy wyłącznie od mojej dobrej woli. Jeśli przestanę w was wierzyć, to wy przestaniecie istnieć w tej samej sekundzie. Tak naprawdę wasz świat nie istnieje obiektywnie, czy zrozumiałeś?

Ziemia pod stopami Nickla zaczęła rzednąć, ale jednocześnie jego własne ciało zaczęło tracić wagę, tak że się nie zapadał. Skulił się ze strachu i nagle obejmującego go zimna. Męski głos zaczął gasnąć, wreszcie zamilkł.

– I tak zakończyła się historia Cookie – powiedział Cakmak, kiedy wypinał Nickla z upręży.

– Zabiliście go?

– Nie ma go już w Powłoce. Nie ma go już nigdzie. Nigdzie. Otrząśnij się. Przecież nie zrobił ci niczego złego, prawda?

– Tak.

– Przysłużyłeś się nam, Horst, będziemy o tym pamiętać. Będziesz mógł wrócić do swojej pracy. Słyszysz mnie?

Nickel podszedł do okna. Padał ulewny deszcz.

– Powinienem dać ci w gębę, Horst. Wydaje ci się teraz, że to wszystko jest tylko złudzeniem, prawda? Tak jak powiedział Cookie. Że świat tak naprawdę nie istnieje i to, co robimy, nie ma żadnego znaczenia, ponieważ po naszym zniknięciu znika tak naprawdę wszystko? Horst, wiem, co czujesz. Strzeż się. To mogłoby cię doprowadzić przed Najwyższy Trybunał Fortecy. To przecież Cookie istniał w takim właśnie świecie. Przed swoim zniknięciem chciał cię zarazić swoją własną chorobą.

– To my go stworzyliśmy.

– Widzisz, teraz zaczynasz gadać do rzeczy! – Cakmak roześmiał się. – To rozumiem! Dobra, możemy wracać.

– Nie rozumiałeś mnie, przyjacielu. Poczekaj chwilę – powiedział Nickel.

Wyszedł przed dom i stał w strugach zimnego deszczu. Po kilku sekundach woda spływała mu ciurkiem po plecach. Zszedł wolno betonowymi schodami, w dół, tam gdzie płynęła szumiąca po stopniach deszczowa woda, ku nabrzeżu. Jezioro było niespokojne; ciemne, burzliwe fale uderzały o brzeg, krople deszczu tworzyły duże bańki na powierzchniach kałuż. Ten miękki, bujny żywioł był tak rzeczywisty, nieskończenie bogaty i niepoddający się żadnemu opisowi! Wszystko wokół Nickla tętniło przelewającą się energią i różnorodnością zmiennych, ruchliwych form i ta nieogarniona, pozornie prosta bujność przypomniała mu w jakiś sposób wiersz, który był wyryty w czarnej marmurowej płycie przed ośrodkiem szkoleniowym Fortecy w Rushmore:

*Wyciągnięci w długą linię to pojawiają się to niktą
między zielonymi wyspami.*

*Suną wężem, broń ich błyska w słońcu –
słyszysz jak dzwoni.*

*Patrz, srebrna rzeka, w niej bryzgi spod kopyt,
konie zatrzymujące się żeby pić.*

*Patrz, ogorzali ludzie, każda grupa i każdy z nich
jak obraz, mniej gorliwi odpoczywają w siodłach,*

*Niektórzy wynurzają się na drugim brzegu,
inni dopiero wjeżdżają w bród – podczas gdy*

*Proporczyki czerwono-niebiesko-śnieżnobiałe
Wesoło furkoczą na wietrze.* [3].

Nickel wyszeptał ten wiersz jak jakąś pogańską, pierwotną modlitwę, bo innej już nie znał, i potem wrócił do domu Wratnego, gdzie czekał na niego Cakmak z nosem przyciśniętym do szyby. Potem poszli razem do czekającego na nich śmigłowca, w milczeniu.

[1] „Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka”, T.S. Eliot, tłum. Michał Sprusiński

[2] „Portret damy”, T.S. Eliot, tłum. Michał Sprusiński

[3] „Kawaleria przechodzi rzekę w bród”, Walt Whitman, tłum. Czesław Miłosz